



DARIA
DESOMBRE



DUCHY
NIEBIAŃSKIEJ
JEROZOLIMY

POWIEŚĆ KRYMINALNA

DARIA
DESOMBRE

DUCHY
NIEBIAŃSKIEJ
JEROZOLIMY

przełożyła
MARGARITA BARTOSIK



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *Призрак Небесного Иерусалима*
(*Prizrak niebiesnego Ijerusalima*)

Projekt okładki: *Izabella Marciniowska*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Grażyna Muszyńska, Renata Kuk*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Timur Kulgarin/Shutterstock

© Gilmanshin/Shutterstock

© Daria Desombre, 2014

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Margarita Bartosik

ISBN 978-83-287-0336-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2016

Mamie

Czyżby nie było już w nas potrzeby poszukiwania prawdy, niezaspokojonego rosyjskiego dążenia do budowania życia z Bogiem i jak Bóg nakazał, szukania Grodu Bożego, Kiteż gradu[1], chowającego się przed złem? Czy to nie wy, poszukiwacze owego Grodu Bożego, utraciwszy „gród ojczysty”, pracujecie dziś na rzecz tego Grodu?

Iwan Szmielow

Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem.[2]

Friedrich Nietzsche

SPIS TREŚCI

PROLOG
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
KATIA
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
INNOKIENTIJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

1. MASZA

3. INNOKIENTIJ

2. MASZA

INNOKIENTIJ

ANDRIEJ

INNOKIENTIJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

INNOKIENTIJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

ANDRIEJ

MASZA

ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
INNOKIENTIJ
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
INNOKIENTIJ
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA
ANDRIEJ
MASZA

PROLOG

PIĘĆ MIESIĘCY TEMU

Ależ zimno! Katia o przydomku Przepierka, od dawna bezdomna, skuliła się zziębnięta. Nie przepadała za placami, a zwłaszcza za tym. Czuła się na nim samotna i malutka, bezbronna w obliczu ewentualnego niebezpieczeństwa. Wmawiała sobie, że za dużo meneli tu się kręci, ale jakiś zwierzęcy instynkt podpowiadał jej, że niebezpieczeństwo czai się na górze. Stoisz na kamiennym wzniesieniu, obok masz Łobnoje Miasto[3], jakbyś sama ściągała na siebie gniew bezlitosnych niebios.

Katia rozejrzała się. I po co tu przylazła? Obcokrajowców, od których dałoby się wyciągnąć ze sto rubli, jak na lekarstwo. Za wcześnie. Nawet pracownicy GUM-u[4] nie dopisali. Są tylko jacyś słuchacze szkoły wojskowej na nocnej przepustce – ale oni się nie liczą.

Zimno jak diabli! Hulający wiatr i uczucie samotności w porannym mroku dokuczały Katii tak bardzo, że chętnie by się czegoś napiła. Ale nie miała kasy ani żadnej nadziei, by ją zdobyć.

Aż tu nagle... Przepierce wydało się, że to sam łaskawy Bóg pogroził z góry palcem i rzekł do niej: Służebnico boża, Katierino! Oczywiście w proch się obrócisz, ale niech ci będzie – masz tu ode mnie prezent!

Obok ogrodzenia soboru Pokrowskiego[5] leżała duża ładna reklamówka z logo GUM-u na białym tle. Katia aż zadrżała z podniecenia – w reklamówce na pewno był prezent od Boga! Odwróciła się twarzą do świątyni, zrobiła w podzięce znak krzyża i pomknęła w stronę „prezentu”. W torbie było coś zawiniętego w biały poplamiony papier. Postanowiła zignorować brązowe plamy i nie zdejmując dziurawych rękawiczek, rozerwała opakowanie. Najpierw wyłoniło się coś podłużnego, bladego, z czarnymi włoskami, a potem zaciśnięte kurczowo palce o sinych paznokciach ściskające niewielki obraz, który przedstawiał ciemną wieś,

dziwne, przesadnie ultramarynowe niebo, krowę o ludzkich oczach patrzącą prosto na Katię przesywającym wzrokiem...

Upłynęło kilka sekund, zanim uzmysłowiła sobie, co to jest. I wtedy zawyła przeciągle, jakby śpiewała:

– Aaaaa!

Runęła twarzą na prastary bruk placu Czerwonego i nim zapadła się w czarną nicość, zdążyła zobaczyć dwóch policjantów pędzących w jej stronę...

MASZA

Masza obudziła się parę minut przed budzikiem i leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. Na ulubionym tureckim kilimie taty zastygł kwadrat słonecznego światła. Kolory w tym miejscu wydawały się jaskrawsze, intensywniejsze, a w innym miały barwę ciemnego nasyconego karminu z czarnym ornamentem z domieszką niebieskiego.

Nad kilimem wisiała półka z książkami dla młodzieży. Masza nie chciała się ich pozbyć. Niekiedy, kryjąc się przed matką, czytała pięć, dziesięć stron, wyciągnąwszy którąś na chybił trafił za podniszczony grzbiet i otwarty na przypadkowej stronie. Czasami był to Arthur Conan Doyle, innym razem Jane Austen albo jedna z sióstr Brontë. Czytanie ulubionych fragmentów, które znała prawie na pamięć, było dla niej tym, czym dla innych przeglądanie z nostalgicznym uśmiechem albumu ze zdjęciami z dzieciństwa. Ale ona nie lubiła rodzinnych albumów. Zdjęcia ją przygnębiały. Te z czasów, gdy miała mniej niż dwanaście lat – dlatego że był na nich tata, a te późniejsze – dlatego że taty na nich nie było.

Zza ściany dobiegły stłumione dźwięki i oddechy i Masza, jak zwykle, odsunęła się odruchowo. Nie chciała słuchać – nawet zza ściany – czegoś, co matka, zawsze znajdująca na wszystko precyzyjne określenie, nazywała „ucieczką przed samotnością”. Na ile dało się usłyszeć – dzięki cienkim ścianom – ucieczka przed samotnością odbywała się kilka razy w tygodniu. W takich chwilach Masza czuła się nie jak osoba, która uzyskała właśnie dyplom z wyróżnieniem na wyższej uczelni, mądra i dość ładna, tylko jak dziewczynka pozostawiona sama na peronie i patrząca ze zdziwieniem, jak odjeżdża podmiejski pociąg.

Było to uczucie dość nieprzyjemne i upokarzające. Głupio obarczać winą obcego człowieka, który korzystał z ich łazienki i parzył po swojemu kawę w ich kuchni. Niby za co? Że zajął miejsce taty? Że nie jest tatą? No właśnie. NIE JEST TATĄ. Nietata wyczuwał niechęć Maszy i – będąc lekarzem

i psychologiem z wykształcenia – zawsze usprawiedliwiał ją przed matką, o nic nie pytał i dawał głupie prezenty, na przykład ten oto budzik, który każdego ranka odtwarzał takty utworów jazzowych Glenna Millera.

Budzik wybuchnął radosną melodią i Masza złośliwie pozwoliła mu dokończyć. Zaległa cisza i z sąsiedniego pokoju nie dobiegł już żaden dźwięk. Masza uśmiechnęła się i przeciągnęła. Glenn Miller – jak Nietata. To świetny jazzman, ale żeby każdego ranka! Wzięła ze stolika przy łóżku zegarek, jak co dzień skinęła głową mężczyźnie na zdjęciu. Miał pociągłą twarz, delikatne rysy i ironiczny uśmiech. Zaczynał łysieć, przez co jego czoło wydawało się jeszcze wyższe.

– Dzień dobry, tatko – powiedziała do niego. – Dlaczego dałeś się zabić?

ANDRIEJ

W pierwszej chwili Andriej o mało nie wrzasnął ze strachu na całe gardło, ale wytrzymał wzrok i zobaczył, że ta wielka, kudłata, śmierzcząca morda to nie senny koszmar, tylko konsekwencja jego wczorajszej pochopnie okazanej litości.

Wracał jak zwykle koło jedenastej wieczorem z Pietrowki[6], ledwie żywy ze zmęczenia, i zatrzymał się przy otwartym całą dobę kiosku spożywczym w swojej wsi, żeby kupić chleb. Kundel siedział pod budką i potwornie się drapał. Andriej kupił butelkę bałtyki[7], na którą zasłużył po ciężkim dniu pracy, i pijąc, trochę z psem pogawędził. A tak naprawdę poskarżył mu się na swoje pieskie życie. Wspomniął o surowej męskiej samotności i ogólnej pogardzie dla „paniuś” (pies z pewnością dobrze wiedział, jak zwą się u nich przedstawicielki płci pięknej, więc Andriej nie patyczkował się z doborem słów), ciężkiej harówie i jedzeniu w podejrzanych knajpach. Opowiedział też o wczorajszej bohaterkiej wyprawie do mięsnego. Usmażył sobie potem kotlety, które dzisiaj zamierzał odgrzać w mikrofalówce.

I tu popełnił zasadniczy błąd. Pies nie był głupi. Historii o męskim losie wysłuchał ze zrozumieniem i powściągliwością, ale jeśli chodzi o kotlety... Na kotletach się złamał. Jego oczy rozblęły w letnim zmroku wyjątkowo błagalnie, ogon zaczął walić o popękany asfalt i Andriej, który odzyskał po wypiciu butelki piwa dobry humor, sam zaprosił nieszczęśnika do siebie na jednego kotlecika, którego postanowił mu odstąpić. Mężczyźni przecież muszą trzymać się razem!

No, no. Pies jednak nie do końca się zgadzał z jego planem. Od razu poczuł się jak u siebie w domu, podążył za nim do kuchni – ciemnej komórki za werandą – i gapił się na Andrieja niczym sierota, póki nie zjadł pięciu kotletów. Przy czym – uwaga, obywatele! – nawet nie przeżuwał jak każdy dobrze wychowany pies, tylko łapczywie połykał je w całości.

– Musisz przeżuwać – tłumaczył Andriej, dając mu kolejnego kotleta. –

Inaczej nic nie przyswoisz (tak mówiła Andriejowi mama, gdy jeszcze dbała o jego odżywianie).

Ale gdzie tam – wszystko odbywało się w tym samym rytmie. Rzut kotлетem – głośne połknięcie – i spojrzenie sieroty. Andriej też musiał połykać kotlety prawie w całości, żeby i one nie dostały się tej sprytniej chudej bestii, która brała go na litość.

– Cholerna aktorzyzna – upominał psa Andriej, popijając herbatę.

Gdy kundel zrozumiał, że mięso się skończyło – a za liptonem wyraźnie nie przepadał – błagalne spojrzenie zgasło i psisko umościło się obok starej wysiedzianej kanapy.

– Nawet o tym nie myśl – nie zostaniesz u mnie na noc.

Próbował wyrzucić psa, chwyciwszy go za kark, ale ten mu się wyślizgiwał, a gdy Andriej chciał nogą wypchnąć impertynenta na zewnątrz, kundel znów sięgnął po swoje błagalne spojrzenie maltretowanego męczennika. W końcu Andriej się poddał, machnął ręką.

– Niech ci będzie, ty cholerna Raniewska[8]!

Przymknął drzwi z werandy do pokoju i położył się spać.

Następnego ranka pies oczywiście otworzył drzwi łapą. Andriej zaklął, wyszedł na ganek, gdzie wisiała umywalka[9], i umył się. Odruchowo zdjął z gwoździa bawełniany ręcznik, ale natychmiast odwiesił go z powrotem. Ręcznik miał już tak zdecydowanie ciemnoszary odcień, że nie dało się nim wytrzeć. Andriej ostro skarcił siebie, że dawno już powinien był zrobić pranie, włączył czajnik i usiadł na werandzie. Gdy woda się gotowała, wziął wczorajszy kubek po herbacie, wsypał do niego zmieloną kawę, wrzucił dwie kostki cukru, pokroił chleb... i poczuł na sobie spojrzenie kundla. „Ależ lichy żyjesz!” – wyczytał w jego oczach.

– Nie podoba się, to wynocha mi stąd! – warknął na kundla.

Obudził się w nie najlepszym nastroju, a do tego, gawędząc wczoraj z psem, zapomniał kupić ser na śniadanie.

Rozległ się dzwonek komórki. Andriej odebrał, wysłuchał i znów cicho zaklął. Jak już wspomnieliśmy, miał kiepski humor. I wyglądało na to, że dzisiejszy dzień wcale mu go nie poprawi.

MASZA

– Ursołowicza nie ma! – usłyszała Masza od rozdrażnionej sekretarki z dziekanatu. – Trzeba było dzwonić.

– Ale przecież ma zajęcia... – Zmieszana przestępowała z nogi na nogę, już zrozumiawszy, że niepotrzebnie jechała przez całe miasto.

Schodząc na dół, klęła na siebie na czym świat stoi. Ursołowicz trzymał się tylko planu wykładów. Wszystko, co było określane jako „praca ze studentami”, w ogóle się nie liczyło. I bez piszących prace magisterskie miał co robić. Masza na początku była dumna z tego, że zgodził się zostać jej promotorem, ale z każdym tygodniem i miesiącem dochodziła do wniosku, że trochę mniej znany wykładowca, trochę mniej zajęty pisaniem podręczników i artykułów czy konferencjami w Princeton, bardziej by jej odpowiadał. Przecież pracę pisała nie dla wykładowcy, nie dla oceny, nie dla...

Gwałtownie zwolniła. Przez otwarte drzwi uniwersyteckiej stołówki zauważyła, oprócz znudzonej bufetowej, przygarbione plecy Ursołowicza przy odległym stoliku pod oknem. Skręciła zdecydowanie i skierowała się prosto w stronę profesora.

– Przepraszam – powiedziała, podchodząc do stolika. – Nigdzie nie mogłam pana znaleźć.

Ursołowicz popatrzył na nią, polecił: „Eż obie erbaty” – w ustach miał kanapkę – i znów się odwrócił.

Masza posłusznie wzięła sobie herbatę i bułkę i wróciła do stolika, przekonana, że Ursołowicz odegra się na niej za zakłócenie posiłku, jak to się stało z pewnym studentem, który też pisał u niego pracę. Student wyszedł wtedy z jego gabinetu cały błydy, ręce mu się trzęsły. Gubiąc poprzekreślane na czerwono kartki, prawie biegł korytarzem.

– Nie mogę jeść, jeśli ktoś siedzi obok i patrzy – burknął Ursołowicz, gdy

siadała na krześle obok.

Sięgnął do podniszczonej teczki, wyjął znajomą Maszę do bólu pracę magisterską i, wytarłszy niedbale rękę papierową serwetką, zaczął ją kartkować. Masza ścisnęła zbielełymi palcami filiżankę z herbatą, jakby nagle poczuła, że musi się ogrzać. Na marginesach nie było żadnych uwag.

– Dobra robota, Karawaj – powiedział wreszcie Ursołowicz, podnosząc na Maszę krótkowzroczne, prawie pozbawione rzęs oczy. – Po pewnych poprawkach nadaje się nawet na doktorat. Ale ty chyba nie masz zamiaru zajmować się pracą naukową, co?

Masza, wciąż ściskając filiżankę w dłoniach, pokręciła przecząco głową.

– Chodzi o to – Ursołowicz odchylił się na krześle, nie spuszczając z dziewczyny uważnego spojrzenia – że temat jest dość niezwykły, powiedziałbym, specyficzny.

Zrobiło jej się nieswojo, on zaś kontynuował:

– Wiesz o... hm... przedmiocie badania więcej ode mnie. A szczerze powiedziawszy, więcej niż ktokolwiek na tej uczelni. Takiego materiału – postukał w kartki – nie da się zebrać w ciągu roku. Ani dwóch lat. Trzeba temu poświęcić minimum pięć lat. Powtarzam: minimum. To znaczy, że temat kiełkował w twojej głowie, zanim dostałaś się na prawo. A teraz proszę mi powiedzieć, moja droga, co w nim tak pociąga młodą osobkę w wieku lat dwudziestu trzech?

Poczuła, że jej policzki płoną. A Ursołowicz raptem pochylił się nad stolikiem i cicho powiedział:

– Nie uwierzyłaś, co?

Masza spojrzała na Ursołowicza, a ten nagle przypomniał sobie kolor oczu jej ojca – dokładnie taki sam, jasnozielony, o rzadkim zimnym odcieniu. W ogóle była wyjątkowo do niego podobna. Te same wysokie kości policzkowe, duże ładnie zarysowane usta. I spojrzenie też „Karawajewskie”, jakby patrzyła w zamyśleniu nie na otoczenie, tylko w głąb siebie.

– Posłuchaj – szepnął, choć obok nikogo nie było. – Kimkolwiek by on był, odpuść sobie! Nie trwój życia na szukanie wyjaśnienia! Ta wiedza na nic ci się nie zda, a co najważniejsze – nie zwróci życia Fiodorowi!

Masza wzdygnęła się, a Ursołowicz, odwracając wzrok, zamknął teczkę

i odezwał się już zupełnie innym tonem:

– Mam co do pracy szereg pytań i uwag, głównie dotyczących struktury. Znajdziesz je na kartce przy bibliografii. Możesz już iść.

Skinęła głową, wymamrotała coś niezrozumiałego, prawdopodobnie „dziękuję”, wzięła ze stolika teczkę i schowała ją do torby. Ursołowicz już nie zwracał na nią uwagi i Masza szybko ruszyła do wyjścia.

– Gdzie masz praktykę? – Usłyszała jego głos, gdy była już w drzwiach.

Zatrzymała się cała zeszywniała.

– Na Pietrowce – rzuciła cicho.

Ursołowicz coś mruknął i odwrócił się. Wszystko na nic – pomyślał. – Ona nie odpuści – ma charakter po ojcu! I kto by pomyślał, że za tym niewinnym spojrzeniem, czystym czołem, blond kosmykiem założonym jak u uczennicy za różowe uszko kryją się potwory niczym z *Kaprysów Goi*?



Masza szła korytarzem, patrząc prosto przed siebie, z wysuniętą do przodu brodą i próbowała za wszelką cenę nie dopuścić do „nadmiernej wilgotności” – jak mawiał jej ojciec. Z poczucia bezradności i dziecinnej złości była bliska płaczu. Złości na siebie samą. Jak mogła tak głupio się „ujawnić”? W jaki sposób tajemnica, której nie zdradziła ani koleżankom, ani pamiętnikowi, ani, rzecz jasna, matce, stała się dostępna ot tak sobie, wbrew jej woli, nieomal pierwszemu lepszemu? Dlaczego, dlaczego nie napisała pracy na jakiś inny, bardziej bezpieczny temat? Na przykład... Na chwilę się zatrzymała, nie potrafiąc szybko wymyślić innego tematu. Temat mógł być tylko jeden.

Minimum pięć lat, powiedział Ursołowicz. Pięć? A co powiecie na dziesięć? Temat ukształtował się w jej głowie koło dwunastego roku życia, gdy dziewczynki na dobre żegnają się z lalkami. Żegnają się z lalkami, by zająć się...

ANDRIEJ

Gdyby ktoś powiedział Andriejowi, że cierpi na typowy kompleks prowincjusza, mało tego, biednego prowincjusza, naplułby mu w twarz. Po pierwsze, uważać się za prowincjusza w Moskwie jest po prostu śmieszne, bo do tej kategorii zalicza się dziewięćdziesiąt procent jej mieszkańców. Te dziesięć zaś, które przekonuje wszystkich o swoim niby rdzennie moskiewskim pochodzeniu – proszę uważnie im się przyjrzeć, a zaraz znajdziecie jakąś ciotkę z Sarańska czy wujka spod Uralu. Andriej uważał Moskwę za swoje miasto, ponieważ znał ją jak własną kieszeń i ta wiedza była bardzo cenna.

Przez pierwsze miesiące swojego podmoskiewskiego życia całe weekendy jeździł stareńkim fordem, odkrywając i poznając miasto. Był przyzwyczajony obywać się bez dni wolnych i nie bardzo wiedział, co robić z nadmiarem czasu. Czytał rzadko, „telepatrzydłem” pogardzał, do filharmonii chodzić nie był nauczony. Wolny czas był dla niego męczarnią. Nie potrafił usiedzieć beczynn timer, więc gdy nie pracował, brał się do sprząwania wynajmowanej daczki, rąbał drwa do pieca lub prał. A ponieważ owe zajęcia nie bardzo go pociągały, cieszył się, gdy w firmie wrzało.

W głębi serca czuł, że ma szczęście, bo należy do nielicznej na świecie grupy ludzi, którzy czerpią przyjemność z wykonywania swojej codziennej pracy, opłacanej pod koniec każdego miesiąca. Przyjemność porównywalną do tej, jaką odczuwał jego ojciec, upijając się w wolne dni, a matka – wyjaśniając relacje z ojcem albo gadając godzinami przez telefon. Dlatego jadąc z daczki na Pietrowkę, Andriej czuł głęboko skrywaną radość.

A kompleksy? Właśnie wyprzedził sportowe bmw, w którym siedziała gówniara koło dwudziestki. I po co takiej sportowy silnik? Natomiast w wozie Andrieja bardzo się przydawał, a widok min właścicieli drogich bryk, które wyprzedzał na skrzyżowaniach, sprawiał mu ogromną frajdę. Tatus i samochodzik kupił, i prawko, a o mózgownicy zapomniał? – zapytał

w duchu prawie czule pozostającą w tyle dziewczynkę w bmw. – Ojoj! Jak to tak! – skarcił nieznanego tatę, którego wyobrażał sobie jako mister Twistera, byłego ministra milionera[10].

Zręcznie skręciwszy, zatrzymał się na swoim miejscu parkingowym. W kieszeni odezwała się komórka i jego bezpośredni przełożony, pułkownik Aniutin, krótko rozkazał basem, by stawił się natychmiast. W jego gabinecie. Za pięć minut. Andriej zaklął. Nie był jeszcze gotowy do składania raportu, ale wyraźny rozkaz nie podlegał, jak to się mówi, dyskusji, więc wszedł do gabinetu naczelnika dokładnie po pięciu minutach.

Raportować jednak nie musiał. W gabinecie siedziała nieznana mu panienka. Jedna z tych w sportowym bmw, jakie przed chwilą wyprzedził.

– Karawaj Maria – przedstawił niesympatyczną panienkę pułkownik. Był wyjątkowo rumiany i radosny. – Absolwentka prawa na MGU[11].

No oczywiście – pomyślał Andriej z rosnącym rozdrażnieniem. – Przecież nie zawodówki w Psiej Wólce.

Panienka wstała i wyciągnęła do niego wąską dłoń. Andriej ją zignorował, skłoniwszy tylko głowę.

– Andriej Jakowlew.

– Andriej to wspaniały śledczy. – Aniutin nie poskąpił wygłoszonego słodkim tonem komplementu.

A może trochę cytryny, obywatelu naczelniku? – zapytał szefa Andriej. Oczywiście nie na głos. W rozmowie z nim pułkownik zawsze używał ostrej żołnierskiej prozy i zwykle – żeby „wbić do łba”.

– Będzie pani partnerem Andrieja – dalej niczym słowik śpiewał Aniutin. – Wielu rzeczy może panią nauczyć.

Kim ona jest? – zastanawiał się Andriej ze złością.

Aniutin odwrócił się do podwładnego.

– Maria będzie miała dyplom z wyróżnieniem...

Oczywiście kupiony przez tatusia – dokończył w myślach Andriej.

– Ma bardzo ciekawy temat pracy – ciągnął Aniutin. – Seryjne zabójstwa uznane za wypadki. Będzie świetną pomocnicą!

Andriej zmusił się, by jeszcze raz spojrzeć na panienkę. Pisze pracę

o seryjnych mordercach? Chyba upadła na głowę. Ostatnia myśl tak wyraźnie odzwierciedliła się na jego twarzy, że Aniutin uprzejmie poprosił panienkę, żeby zostawiła ich samych; ta skinęła głową i wyszła, ściskając w rękach jakąś teczkę (na pewno ze swoim wiekopomnym dziełem).

Ledwie drzwi się za nią zamknęły, Aniutin gwałtownie odwrócił się do Andrieja i ojcowski wyraz na jego twarzy błyskawicznie zamienił się na kierowniczy...

MASZA

Masza stała za drzwiami, podpierając ścianę na korytarzu i nasłuchując rozdrażnionego basu Aniutina. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, co się teraz dzieje w środku. Pułkownik wyjaśnia temu mało sympatycznemu facetowi w tanich tureckich džinsach, że dostała się tu po znajomości (jakby tamten już tego nie rozumiał!), więc niech ta po znajomości „pomaga”. A nieprzyjemny typ będzie ją pouczał, jak nic. Szanse na normalną pracę po takim siłowym wprowadzeniu do zespołu są równe zeru.

Najgorsze jest to, że ona rzeczywiście dostała się tu po znajomości, więc już wcześniej mogła przewidzieć, co wyniknie z jej pragnienia odbycia stażu na Pietrowce. Bez znajomości by tu nie trafiła, a chciała tylko tutaj. I teraz – pomyślała Masza ponuro – džinsowy typ będzie ją po cichu nienawidził, opowie o tym swoim kolegom – bohaterskim śledczym i Masza zostanie czarną owcą, której nikt nie powierzy poważnego zadania. Wszyscy będą patrzeć na nią z jawną ironią i czekać, kiedy w końcu uwolni ich od swojej uciążliwej obecności...

Trzeba było iść, jak wszyscy, na praktykę do sądu, kserować dokumenty i robić kawę naczałstwu. Te mroczne myśli przerwało gwałtowne otwarcie drzwi, przez które wybiegł Andriej z twarzą jeszcze bardziej wykrzywioną, niż się spodziewała.

– Proszę za mną – rzucił.

I poprowadził długimi korytarzami do innego gabinetu. Było w nim okno z resztkami kaktusa na parapecie, stało kilka biurek zawalonych teczkami na dokumenty i siedziało z dziesięć osób, z których żadna nie zwróciła na Maszę najmniejszej uwagi.

Dziewczyna ucieszyła się. Już widziała siebie tête-à-tête z nieprzyjemnym śledczym pogrążonym w lodowatym milczeniu na przeciwległym końcu biurka. Obecność osób trzecich dawała iluzoryczną nadzieję, że facet się rozchmurzy, a Masza wejdzie do drużyny, która być może będzie w stosunku

do niej bardziej wyrozumiała niż ten mruk.

Andriej tymczasem odsunął teczki i papiery na bok i wskazał ręką na zwolnioną część biurka.

– Pani miejsce pracy – powiedział oschle, kładąc nacisk na słowo „pracy” i dając do zrozumienia, że wszyscy i tak dobrze wiedzą, że na pracy zależy jej najmniej.

Będzie tylko tu spodnie przecierać – po protekcji.

ANDRIEJ

Co za paskudna historia – myślał Andriej, zerkając od czasu do czasu na nieproszoną sąsiadkę. – Nie w porę Szary poszedł na zwolnienie. Gdyby nie zwolnienie, tę wstrętną gówniarę przydzieliliby komuś innemu.

Mówi się – miłość od pierwszego wejrzenia. Takiej przypadłości Andriej nigdy nie doznał. No i proszę, przydarzyło mu się całkiem co innego. Siedzi przed nim Masza, jak jej tam – Karawaj? Nazwisko też jakieś idiotyczne! Siedzi – i wszystko z nią niby jak trzeba. Wysoka, jak to teraz modne (Andriejowi wysokie dziewczyny stanowczo się nie podobały. „Stanowczo” ze względu na jego własny wzrost), włosy ma proste, oczy – jakiegoś nieokreślonego koloru, nos też nie na pół twarzy. Siedzi i cholernie wkurza Andrieja, aż mu praca nie idzie. Wkurza jej twarz bez makijażu, dłonie z krótko obcięzonymi paznokciami – bez żadnego pierścionka, czarny T-shirt, bez dekoltu, pod samą szyję, także czarne dżinsy, mokasyny. Siedzi i patrzy na niego. Czeka. Ciekawe na co?

– Przepraszam pana – mówi, a głos ma łagodny, zmija jedna. – Rozumiem, że pana drażnię... – W tym miejscu Andriej zaczerwienił się i przełknął ślinę. – Ale... czy mógłby pan dać mi jakieś zadanie?

No nie, jak w przedszkolu! Zadanie jej daj! Dobrze.

Andriej uśmiechnął się – jak mu się zdawało, znacząco.

– Wcale mnie pani nie drażni, stażystko Karawaj. A zadanie... Zadanie powinno odpowiadać tematowi pani badań naukowych. Eee... – Tu jeszcze bardziej się wyszczerzył, niczym krokodyl. – Niech się pani zajmie, na przykład, zebraniem informacji z danych statystycznych o zabójstwach uznanych za wypadki w ciągu ostatnich dwóch lat.

Panienka z zakłopotaniem mrugnęła.

Andriej był bardzo zadowolony ze swojej wypowiedzi, zwłaszcza z fragmentu o badaniach naukowych.

– Pan rzeczywiście tego potrzebuje? – spytała panienka.

Andriej westchnął. Znów sztucznie się uśmiechnął – już nie znacząco, tylko z nieskrywanym rozdrażnieniem.

– W naszej pracy, stażystko Karawaj – rzekł – wszystko może się przydać. Jak widać.

Zadzwoił telefon. Pilne wezwanie. Znalaziono zwłoki. W centrum miasta. Wyłowili z rzeki Moskwy, prawie pod murami Kremla.

– Jadę! – rzucił Andriej, z głośnym szurnięciem odsunął krzesło i chwycił dzinsową kurtkę z wieszaka w kącie.

Panienka popatrzyła na niego z nadzieją. Oczywiście już wyobrażała sobie, jak wyjeżdża na wezwanie. Bohaterska absolwentka MGU. Andriej udął, że nie zauważył jej spojrzenia.



Musiał zaparkować dość daleko od miejsca zbrodni, a potem długo przedzierać się przez tłum gapiów. Miejsce było ogrodzone, technicy zaczęli swoją pracę i już przyjechał samochód po ciało. Czekali tylko na niego. Andriej obejrzał zwłoki, odnotowując, że zabity mężczyzna w średnim wieku był nieźle wysportowany. Z zaciekawieniem przyjrzał się tatuażowi na umięśnionych ramionach – pierścień z węzem.

– Siedział, za zabójstwo – młodziutki technik potwierdził oczywiste wnioski Andrieja.

Andriej zrobił kilka zdjęć komórką – dla siebie. Ręce, zniekształcona przedśmiertnym grymasem twarz... Skinął głową palącym papierosy facetom – możecie zabierać. Gdy ładowali ciało do samochodu, głowa mężczyzny nagle odchyliła się na bok, odsłaniając nad karkiem liczbę „14”.

– Stój! – Andriej podbiegł i sfotografował kark. Dopiero wtedy zauważył dwoje nastolatków, mieli może ze czternaście lat. Dziewczyna wtuliła twarz w ramię chłopca, który sam był potwornie blady. Świadkowie. Pechowcy – westchnął Andriej. – Przeżywają swoją pierwszą miłość, romantyczną randkę, a tu proszę – topielec. Świetne wspomnienia.

Przypomniała mu się własna pierwsza miłość i to go rozbawiło – wołał już nieboszczyka. Podszedł do zakochanych.

– To wy go znaleźliście?

Chłopiec skinął głową.

– Widzieliście coś?

– Nic – odpowiedział.

Tego się spodziewał. Posłał dzieciakom pokrzepiający, jak mu się zdawało, uśmiech niczym młody komisarz Maigret, zapisał ich telefony na wszelki wypadek i puścił młodych wolno. Popatrzył, jak chłopiec troskliwie obejmuje dziewczynkę w talii, mruknął coś pod nosem i wrócił do techników.

– I jak, jest coś? – zapytał zrezygnowany, choć intuicja już mu podpowiadała, że niczego nie ma i nie będzie. Jeśli nawet zabójca zostawił coś po sobie, zmyła to już rzeka.

Obmyła trupa i był teraz niczym gładki, bez żadnych śladów, kamyk morski.

MASZA

Masza dość szybko zdobyła dwie archiwalne teczki ze sprawami zabójstw z ostatnich dwóch lat – nikt w pokoju nie zwracał na nią uwagi, ale i nie wykazywał niechęci, w odróżnieniu od dżinsowego śledczego. I za co on ją znienawidził? Tak wyraźnie czuła jego niechęć, że nawet głos ją zawiódł, gdy zapytała o zadanie. Dobrze przynajmniej, że starczyło jej rozumu i nie poprosiła go, by wziął ją ze sobą na miejsce zbrodni – jasne, że żadnych wyjazdów nie będzie, ma siedzieć nad nikomu niepotrzebnym sprawozdaniem statystycznym!

Na jakiej podstawie sądziła, że znajdzie się w środku wydarzeń? Może nie ścigając przestępcę z pistoletem w ręku, ale w każdym razie stojąc wśród techników, śledczych i wytresowanych owczarków, i że będzie mogła wysnuwać błyskotliwe hipotezy? A technicy będą wymieniać z owczarkami spojrzenia – że niby taka młoda, a już taka mądra! Masza oczywiście rozumiała, że wiedza teoretyczna ustępuje bagażowi doświadczeń praktycznych, ale przecież jakiś pożytek z najlepszej studentki na roku Maszy Karawaj mógłby być, nieprawdaż? Odetchnęła, nieświadoma, że wysunęła do przodu brodę zupełnie jak ojciec – a niech ich diabli wezmą! I ze zdwojonym uporem zaczęła czytać wnioski śledczych i patologów, przeglądać zdjęcia z miejsc zbrodni...

Nieoczekiwanie trafiła na coś dziwnego: raport z zabójstwa na nabrzeżu Biersieniewskim. Wynikało z niego, że w piwnicy starej elektrowni, w której mieściła się teraz zajezdnia tramwajowa, zostały zabite trzy osoby – dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Masza uważnie zlustrowała zdjęcia i rozejrzawszy się ukradkiem – wciąż nikt nie zwracał na nią uwagi – wyciągnęła z kubka na biurku Andrieja szkło powiększające. Rzeczywiście, mieli liczby na koszulkach. Trudno coś dostrzec na czarno-białych fotografiach – czym zrobiono napisy? Krwią? Krwią wymazane są podkoszulki, zalane usta i podbródki. Masza na chwilę oderwała od nich wzrok. Dobrze jednak, że zdjęcia są czarno-białe. Przeszła do protokołów przesłuchań: główny

świadek, który znalazł ciała, stróż I.N. Ignatjew.

Wpisała nazwisko do zeszytu i wróciła do zdjęć. Szkło powiększające wychwytywało detale z rozmytego tła – związane nogi, duże spiralne kolczyki kobiety, krzesła ustawione półkolem i podkoszulki – wielkie, luźne, wyraźnie niepochozące z garderoby ofiar. Musiał je przynieść zabójca.

W jednym celu – na wielkiej białej koszulce lepiej widać wypisane krwią arabskie cyfry: „1”, „2”, „3”.

ANDRIEJ

Dobrze jest przyjaźnić się z patologiem – stwierdził Andriej i uśmiechnął się – też w duchu. Komuś takie stwierdzenie może wydać się dość dyskusyjne.

Wykonujący ów specyficzny zawód dzielą się na dwa podstawowe typy. Pierwszy – upodabniający się. Człowiek, który przez cały dzień zajmuje się trupami, sam zaczyna przypominać swoich „klientów”. Krótko mówiąc – staje się blady i ponury. Druga odmiana patologa to przeciwieństwo pierwszego. Co w istocie oznacza człowieka rumianego, tryskającego zdrowiem, optymistę o specyficznym poczuciu humoru. Łączy te dwa typy tylko przywiązanie do napojów wysokowych, ale jeśli o to chodzi, to Andriej, oczywiście bez przesady, chętnie dołączał do każdego towarzystwa. Dla dobra sprawy mógłby być nawet tylko on, patolog i trupy, trupy, trupy...

Patolog Pasza zaliczał się do drugiej kategorii. Chłopak miał trójkę dzieci i bardzo zaradną żonę z własnym biznesem w branży turystycznej. Utrzymywała, nie obnosząc się z tym, całą rodzinę i uwielbiała swojego męża – rozrywkowego miłośnika grzebania się w cudzych, już ostygłych, ciałach.

Andriej wpadł dziś do prosektorium w jednym celu – żeby wyciągnąć od Paszy coś, co można by nazwać wstępными wnioskami. Ale ten miał akurat ciężki dzień, do tego koncert u „średniej córeczki w podrzędnej szkole”, a dziecięca twórczość amatorska, chłopie – sam to zrozumiesz, jak zostaniesz wielodzietnym ojcem – to nie przelewki!

Dlatego Pasza zwyczajnie Andrieja zlekceważył, rzuciwszy jedynie:

– Przyczyna śmierci: uduszenie. Pod wodą. To po pierwsze. Do tego ciało jest odmrożone. Być może facet zmarł wcale nie kilka dni temu, co można by wywnioskować ze stanu tkanek. To po drugie.

– Czeka! – Andriej chwycił Paszę, który wkładał już płaszcz, za rękaw. – Co to znaczy odmrożone? Przecież jest lato!

– Odczep się! – Pasza uwolnił się od niego, wyśpiewując w biegu falsetem: – Jutro, jutro, nie dziś – jak to mówią wszyscy lenie!

I zostawił Andrieja pocierającego w zakłopotaniu czoło samego na korytarzu prosektorium.

MASZA

Masza przeglądała teczki do jedenastej wieczorem, aż za oknem zrobiło się całkiem ciemno, a w gabinecie pusto. Była zmęczona kartkowaniem dokumentów, oglądaniem potwornych zdjęć, dręczyło ją również nieokreślone uczucie dyskomfortu. Coś – związanego z liczbami – już w tych teczkach widziała, coś tam jej umknęło... Ale co? Jakby jakiś cień czaił się za jej plecami. Wystarczy tylko się obejrzeć, by to coś zobaczyć albo zrozumieć. Coś bardzo ważnego. Ale cień umykał, oczy miała już zmęczone i zdolność koncentracji osłabła. Nie było sensu siedzieć dłużej.

Skopiowała część dokumentów i włożyła do teczki. Pora zbierać się do domu. Wychodząc, rzuciła spojrzenie na biurko Andrieja z piętrzącymi się teczkami i papierami. Gdzie on się podział? Pewnie już się dziś nie pojawi.

Minęła portiernię, gdy zobaczyła przy wejściu znajome do bólu plecy w starym płaszczu.

– Nik Nik ! – zawołała.

Nik Nik obejrzał się i uśmiechnął szeroko, odsłaniając źle dopasowaną sztuczną szczękę.

Po raz pierwszy zauważyła, że się zestarzał. Nie wyglądał już jak kolega taty z roku. Masza ze smutkiem pomyślała, że tata też by się zmienił przez te lata – przecież Nik Nik zawsze był bardziej wysportowany od niego, zajmował się sztukami walki, grał w tenisa, czasami udawało mu się wyciągnąć tatę na narty. Jeśli nawet on poddał się upływowi czasu, to jak by teraz wyglądał jej ojciec? Czy to ważne? – pomyślała Masza. – Wszystko jedno, jak by wyglądał. Byłaby taka szczęśliwa, a jej życie tak różniłoby się od dzisiejszego, że trudno nawet sobie wyobrazić.

Czule ucałowała kolegę taty w policzek. Krzaczaste brwi Nik Nika uniosły się.

– Hej! – zawołał, lekko się odsuwając. – A co z konspiracją? Zapomniała

panienka, gdzie się znajduje? Ja tu od dawna jestem dla wszystkich
Nikołajem Nikołajewiczem. I żadnych całusków, bo jeszcze ktoś zobaczy!

Masza rozejrzała się w popłochu. Miał rację. Jak na złość z samochodu
wysiadł akurat jej nowy szef i starając się nie patrzeć w ich stronę, szybko
skierował się do budynku.

– A niech to! – powiedziała z rozpaczą w głosie. – Miałeś rację!

– Co, nakryli cię? – Nik Nik przeszedł na konspiracyjny szept.

– Bardzo śmieszne – westchnęła Masza. – Choć i tak wszyscy
podejrzewali, że trafiłam tu po znajomości. Nie mieli tylko pojęcia, dzięki
komu. Teraz on już będzie wiedział, czyją jestem protegowaną.

– Nieprzyjemny typ?

– Potwornie – przyznała Masza.

– To nic, jak cię lepiej pozna, zrozumie, ile jesteś warta!

– Już to widzę – burknęła Masza. – Akurat!

– Daj spokój. – Nik Nik uśmiechnął się i zmienił temat, pytając jak
zawsze: – A jak tam mama?

ANDRIEJ

No, no! – pomyślał złośliwie Andriej. Teraz już wiadomo, jaką „góre” miał na myśli Aniutin, znacząco pokazując grubym paluchem sufit. Sam Katyszew. *Herr* prokurator. Kryształowa postać, najlepszy z najlepszych, ludowy mściciel. Andriej nie odważyłby się nawet poprosić go o papierosa! A nasza prymuska do niego: tiu-tiu-tiu, jak do krewniaka. Całuje w policzek. Andriej był tak wzburzony, że nawet poszedł schodami zamiast wsiąść do windy.

Dopiero w gabinecie, przy swoim biurku, doszedł trochę do siebie. Włączył czajnik elektryczny, otworzył lufcik, zapalił papierosa i się zaciągnął. Pałac, wsypał kawę rozpuszczalną, włączył komputer. Wszedł na „zaginionych” i wpisał w wyszukiwarce: pół roku, mężczyźni. Na ekranie szybko migwały twarze – dużo osób zginęło w ciągu sześciu miesięcy w Moskwie i okolicach. Stop! Namacał telefon komórkowy, choć i bez tego znał odpowiedź. Znaleziony dziś topielec, mimo przedśmiertnego grymasu, który zniekształcił jego twarz, oraz I.A. Jelnik, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, zaginiony w lutym – to bez wątpienia ta sama osoba.

– Świetnie, świetnie – wyszeptał Andriej, parząc gardło gorącą kawą.

Palce podrygiwały mu niecierpliwie – czuł, że sprawa ruszyła z miejsca.

Ten pierwszy ruch, nawet ledwo zauważalny, był najważniejszy. Andriej wyobrażał sobie nową sprawę jako głąz na szczycie, który próbuje powolutku rozkołysać, aż głąz sam zacznie się toczyć. No to kolejny krok – kim jesteś, kochany przyjacielu Jelnik? Baza danych zawierająca nazwiska karanych nie zawiodła. Ekran wypełnił się tekstem i zdjęciami en face i z profilu, na których Jelnik był wyraźnie młodszy niż dziś rano na brzegu rzeki Moskwy. Andriej z zadowoleniem potarł nasadę nosa.

Kochany przyjacielu Jelnik. Zabójco.

MASZA

W samochodzie Masza próbowała pozbyć się nieprzyjemnego uczucia. Było jej przykro, że już pierwszego dnia, gdy nie zdążyła jeszcze pokazać, na co ją stać, Jakowlew powiązał ją z Katyszewem i teraz już na pewno będzie patrzył na nią przez pryzmat tej znajomości. Z jakiegoś powodu była przekonana, że mimo powszechnego, prawie nabożnego zachwytu osobą Katyszewa znajomość z wpływowym prokuratorem tylko pogorszy jej sytuację w oczach miłośnika dzinsów. Zresztą – zaprzeczyła sama sobie, ostrożnie parkując pod płotem starej elektrowni – być może nie będą musiała niczego nikomu udowadniać. Wątpię, by na Pietrowce pracowali ludzie nadmiernie wrażliwi. Zwłaszcza Jakowlew do wrażliwych na pewno nie należy.

O tak później porze w zajezdni tramwajowej nie było nikogo prócz znudzonego wielkiego faceta przeglądającego czasopismo. Na widok dziewczyny odłożył je na blat i Masza przeczytała tytuł – „SuperAuto”.

– W jakiej sprawie? – Ochroniarz nie był zbyt dobrze wychowany.

– Szukam I.N. Ignatjewa – powiedziała oficjalnie oschłym tonem.

Była nieprzyjemnie zaskoczona, gdy bezczelnie wyszczerzył zęby.

– Dziennikarka czy jak?

Masza niepewnie skinęła głową.

– Nie znudziło się wam jeszcze tu przyłazić? Minęły dwa lata! A twojego Ignatjewa już wtedy zwolniono. Za to, że nie dopilnował. – Ochroniarz wyglądał na zadowolonego z losu, jaki spotkał kolegę. Masza prawie od razu zrozumiała dlaczego. – Pięćset rubli za wejście i opowiem nie gorzej od Igorka.

– Chwileczkę.

Pogrzebała w torebce i zebrała w setkach żadaną sumę. Jutro i pojutrze zjem na obiad samo jabłko – pomyślała. W mrocznych ścianach elektrowni

perspektywa jutrzejszego wilczego apetytu wydawała się mało realna.

Ochroniarz wpuścił ją do środka i długo prowadził wąskimi korytarzami, aż doszli do schodów z metalowymi drzwiami na końcu.

– Postawili po zabójstwie – wyjaśnił.

Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, otworzył drzwi i włączył oświetlenie. Piwnicę zalało zimne szaroniebieskie halogenowe światło, typowe dla pomieszczeń biurowych, które od razu rozviało skojarzenie „stara piwnica – tajemnicze zabójstwo”.

Piwnica była zupełnie pusta, podobna do wszystkich piwnic biurowych, i Masza zapytała siebie, po co tu właściwie przyszła. Do tego została pozbawiona obiadu... Ochroniarz tymczasem wszedł już w rolę mrocznego *cicerone* i pokazywał jej miejsce pośrodku, z trzema krzesłami. Opowiadał dokładnie to samo, co było zapisane w dokumentach sprawy, których kopię Masza miała w tej chwili w torebce.

– No więc – ochroniarz przeszedł na teatralny szept – obcięto ofiarom języki. Ale każdemu inaczej: jednemu tylko koniuszek, babie – połowę, a trzeciemu – cały... Śledczy mówił, że mogliby się uratować, gdyby udało im się ze sobą porozumieć. Byli związani sprytnym węzłem, typu morskiego. Ale widocznie nie mieli głowy do rozmów... Krwi wokół było morze.

– A liczby? – zapytała Masza. – Liczby na koszulkach?

– Jakie liczby? – Ochroniarz wzruszył ramionami. – Żadnych liczb nie pamiętam.



Masza od razu położyła się do łóżka – bolała ją głowa, przed oczami miała, niczym zamazany negatyw, piwnicę z trojgiem zabitych. Zalane krwią brody, związane jedną liną ręce za plecami. Przez sen słyszała, jak do pokoju wchodzi mama. Zorientowała się po dźwiękach, że wieszka rzucony sweter na wieszaku, potem coś zaszeleściło. Matka podniosła z podłogi zdjęcia, które Masza powyciągała dzisiaj z akt. To ją zaniepokoiło – mamie na pewno nie spodobają się zdjęcia zmarłych.

Mama niepokoiła się o nią, chciała, żeby córka zajmowała się czymś innym, poszła w jej ślady, a nie ojca – poświęciła się medycynie, nie prawu,

gdzie, jak wiedziała z doświadczenia, jest więcej krwi, więcej śmierci, mniej nadziei na wyzdrowienie... Ale wyszło, jak wyszło. Najlepsza szkoła matematyczno-fizyczna w Moskwie (do której Masza dostała się po wygraniu kilku miejskich olimpiad z matematyki) powinna była, według słów ojca, „poukładać dziewczynce w głowie i nauczyć ją logicznego myślenia”. Zamiast tego jej umysłem, jakkolwiek paradoksalne byłoby takie połączenie, zawładnęły „królowa wszystkich nauk” i chaos nigdy nierozwiązanego zabójstwa. Zabójstwa osoby, której samo istnienie przez dwanaście lat życia Maszy było miarą wszystkiego, jedynym punktem oparcia, gwarantującym, że wokół, w tej jakże pięknej wielobarwnej rzeczywistości, istnieje nie tylko bagno. Ale – ciach! – i punkt oparcia usunął się spod jej stóp niczym legendarna Atlantyda i nic w zamian – choćby częściowo – nie powstało.

Mama nie stała się oparciem dla małej Maszy. Sama była jak starsza córeczka tatusia, choć młodsza od niego zaledwie o rok. Pracowała jako asystentka profesora Riabcewa w katedrze propedeutyki chorób wewnętrznych i profesor – car i bóg – wiązał z mamą wielkie nadzieje. Póki tata nie przekonał jej, że muszą mieć dziecko. Gdy mama poinformowała profesora o swojej ciąży, ten poruszył ustami i oznajmił, że powinna poszukać sobie innej pracy, przecież kobiety w ciąży i młode matki nie mogą poświęcić się nauce, ponieważ z natury myślą „o czym innym”. Mama próbowała przekonywać profesora, że z nią będzie inaczej, ona potrafi myśleć „o rzeczach wyższych”, ale Riabcew tylko blado się uśmiechnął, poklepał ją po ramieniu i roztargnionym tonem polecił, by dbała o siebie.

Wróciła do domu cała we łzach i urządziła tacie awanturę. Co z nią teraz będzie, czyżby miała zamienić się w kurę domową, która potrafi mówić tylko o pieluchach?! Nie, to jest nie do pomyślenia, to niemożliwe, ona tego nie chce, jeszcze można pójść do lekarza i... Tata uderzył ją wtedy w twarz – pierwszy i ostatni raz w życiu. A potem objął i czułym szeptem zapewniał, że będzie jeszcze drugą Biechtieriewą^[12], że trzeba troszeczkę poczekać, że Riabcew sam sobie przeczy. Bierze do katedry takie piękności jak jego Natasza i nie chce, by zakładały rodzinę. A oni będą mieli cudowną dziewczynkę, taką samą piękność jak jej mama...

– Chłopca – poprawiła go. – Będziemy mieli chłopca.

Nic z tego nie wyszło, oboje się mylili. Po pierwsze, urodziła się Masza.

Po drugie, nie odziedziczyła urody po matce. I w ogóle nie była podobna do matki. Ale to nic Fiodora Karawaja nie obchodziło. Ledwo wrócił z pracy, już biegł do kołyski, zastygał z malutką Maszą na rękach i tylko uśmiechał się radośnie w odpowiedzi na groźne wołania żony:

– Umyłeś przynajmniej ręce, zanim wziąłeś dziecko?!

Natalia skarżyła się potem przyjaciółom:

– Od progu biegnie do małej. Nie ma mowy o jakiejś higienie!

Wszyscy wokół się zachwycali: jaka cudowna ta Natalia z zawiniątkiem w chmurze białych koronek, jaki troskliwy ojciec i słodki niemowlak...

Ale Masza od wczesnego dzieciństwa wiedziała, że jej pojawienie się na świecie stało się przyczyną nieszczęść mamy. Ucierpiała jej figura – cienka talia była już tylko wspomnieniem, piersi po karmieniu obwisły, na brzuchu utworzyły się fałdy. Natalia skarżyła się, że plecy ma jak grenadier, stopy zwiększyły się o rozmiar, przez co całą swoją niemałą kolekcję obuwia musiała zanieść do komisju. Często łkała, patrząc w lustro i nie poznając siebie. Zmiany po porodzie zbiegły się z pierwszymi oznakami starzenia się – co było podwójnym ciosem... Ani namowy męża, ani prezenty, ani próby zostawienia małej pod opieką dziadków i „wyjścia do ludzi” nie zdołały rozwiązać jej rozpacz. Natalia pograżyła się w depresji.

Ojciec wpadał po pracy do supermarketu, przygotowywał kolację dla Maszy, a potem dla siebie i żony, czytał córeczce książkę przed snem i siedział do północy nad papierami. W odróżnieniu od mamy nigdy nie cierpiał na bóle głowy i ani razu nie zbył Maszy, gdy ta zadawała mu któreś z tysiąca pytań, jakie nurtują dorastające dzieci. Pewnego razu Natalia w obecności Maszy wpadła w histerię z powodu własnej nieprzydatności i zawodowego niespełnienia. Fiodor szybko zabrał córkę do jej pokoju, ale Masza instynktownie wyczuła, że histeria nie była prawdziwa. Mama sama nie wierzyła w sentencje, które z siebie wyrzucała, i w głębi serca dobrze rozumiała, że miejsce u boku Riabcewa dostała wyłącznie dzięki swojej młodości i urodzie, a nie zdolnościom na miarę Biechtieriewej. Ale musiała nieustannie podtrzymywać w mężu poczucie winy, utrzymywać je na stałym poziomie, niczym hormony czy codzienny poranny zarost. Fiodor odpowiadał za to, że nie była już piękna i nie zostanie nigdy doktorem nauk.

I wtedy u Karawajów pojawił się Nik Nik. Ich stosunki z tatą na jakiś czas

się ochłodziły, co wynikało z wyboru zawodu. Jeden został prokuratorem, drugi – adwokatem. Nawet dziesięć lat później przyjaciele potrafili prowadzić ze sobą w kuchni długie dyskusje. Rozgorączkowany Katyszew mówił o tym, że wszystko przegniło, wszystkie podstawy prawa są przestarzałe, organy ścigania skorumpowane, ale nie patrząc na to, trzeba udowadniać przestępcom winę. Na co ojciec spokojnie odpowiadał, że w naszym kraju nigdy nie zabraknie ludzi, których będą wsadzać do więzienia. A czy znajdzie się ktoś, kto będzie ich bronił? Oto jest pytanie.

W środku dyskusji do kuchni wchodziła mama, po dziewczęcemu siadała tacie na kolanach, obejmowała go rękami za szyję i prosiła, by porozmawiali o czymś innym, niezwiązanym z ich zawodem. I Katyszew pokornie cichł i zaczynał mówić „o czymś innym”.

Gdy Masza dorosła, zrozumiała, że Nik Nik był zakochany w jej matce i prawdopodobnie kochał ją po dziś dzień.

Często ich odwiedzał – gdy ojca w domu nie było i być nie mogło. Bawił się z Maszą (sam dzieci nie miał), próbował pomagać mamie w kuchni – zawsze zanosila się w jego towarzystwie śmiechem, ale z kuchni nie przeganiała. Masza czasami zadawała sobie pytanie: czy tata o tym wiedział? I sama sobie odpowiadała: oczywiście, że wiedział. To była odwieczna gra, z regułami znanymi nawet wioskowemu głupkowi. A Fiodor Karawaj na pewno do wioskowych głupków nie należał. Mama rozkwitła dzięki skrywanemu uwielbieniu Nik Nika – znów zaczęła nosić kolorowe sukienki, malować się i uśmiechać. Stała się w końcu lepszą matką. Gotowała, odprowadzała córkę na kółko gimnastyczne i zajęcia z ceramiki (Masza nie miała sukcesów w żadnej z tych dziedzin), wozila na wycieczki krajoznawcze do Kołomińskiego[13] i Muzeum Puszkina[14]. Natalia była kobietą dobrze wykształconą, dużo rozmawiała z córką i wiele jej opowiadała. Masza jednak tęskniła za tatą, czując, że Nik Nik mimo wszystkich swoich zalet to tylko namiastka. A tata w ostatnich latach życia pracował coraz więcej i znajdował dla Maszy coraz mniej czasu.

Za to gdy znalazł, należał tylko do niej. Spacerowali we dwójkę moskiewskimi bulwarami, jeździli razem łowić ryby, chodzili na basen i lodowisko. A to, że w tym czasie mamę odwiedzał Nik Nik – ojciec ufał im i było mu ich żal. Katyszewa – bo, według niego, wybrał złą specjalizację i nie taką żonę, nie miał też dzieci, a więc nie miał takiego skarbu w życiu jak

jego Mania. A Natalii... No cóż, Natalia niech sobie poflirtuje. I ufał – niebezpiecznie.

Po tragicznej śmierci ojca Masza bała się i potajemnie pragnęła, by Nik Nik ożenił się z mamą. Taka ciemność zapanowała wtedy wokół niej, że chciała, by obok był ktoś bliski. Jednak – to dziwne! – po śmierci ojca wizyty Nik Nika stawały się coraz rzadsze, a potem zupełnie ustały.

I jeszcze coś. Maszy się zdawało, choć nigdy o tym nie rozmawiali, że ostatnie procesy prowadzone przez Fiodora Karawaja, dotyczące problemów niesprawiedliwości nie tylko w stosunku do jednostki, ale również niesprawiedliwości społecznej, a nawet szerzej – niesprawiedliwości wynikającej z podłości życia codziennego, kosztowały ojca bardzo dużo wysiłku. Zdarzało się, że po wejściu do mieszkania zatrzymywał się w ciemnym korytarzu i patrzył w stronę oświetlonej kuchni na taki obrazek: żona siedząca naprzeciwko Nik Nika z odchyloną do tyłu głową śmiała się na cały głos beztrudnie jak dziecko. Twarz Fiodora zdradzała w takich momentach nie zadowolenie, a jedynie zmęczenie. Widocznie mieć za żonę dziewczynkę jest przyjemnie tylko do pewnego momentu. A potem chce się mieć u boku żonę-przyjaciółkę, z którą można porozmawiać, gdy bajki na dobranoc są już przeczytane i drzwi do pokoju dziecięcego szczelnie zamknięte.

Nie da się jednak przemienić bajkowej Calineczki w kogoś na wzór Nadeжды Konstantinowny[15]. Koniec końców to on sam stworzył wokół Nataszy świat, w którym mogła pozostać kochanym dzieckiem i nigdy nie wydorosnąć. No cóż, to jego wina. Być może, gdyby ojciec żył, Masza z czasem w naturalny sposób zajęłaby miejsce jego towarzyszkę życia, pozostawiając Natalii rolę rozpieszczonej dziewczynki.

Wyszło jednak inaczej. Ojciec zginął, zniknął pieczołowicie pielęgnowany przez niego zaczarowany ogród wokół jego ukochanych kobiet i matka po jego zniknięciu pożegnała się ze starym image'em. Ponieważ z dwóch dziewczynek – Natalii i Maszy – Natalia była jednak starsza.



Maszę obudziły optymistyczne jazzowe rytmy budzika i zapach porannej kawy. Nasłuchując na wszelki wypadek podejrzanych dźwięków za ścianą,

wyskoczyła z łóżka i poszła pod prysznic, zabrawszy ze sobą do łazienki ubranie, w którym zamierzała iść do pracy – wciąż głupio się czuła w szlafroku w obecności ojczyma. Po dwudziestu minutach zgasiła światło i wyszła ubrana w swój zwykły uniform – czarne spodnie, czystą czarną koszulkę, ciemnogrnatowy golf. Proste włosy miała zebrane w koński ogon.

– Nigdy nie znosiłam tego zeszytu – usłyszała głos matki z kuchni i znieruchomiała. – To niedopuszczalne, by myśli dziecka od dwunastego roku życia krążyły cały czas wokół zabójstw, przestępstw i maniaków! Nie chcę, żebyś zajmowała się tym zawodowo!

– Obawiam się, Natałko – powiedział ojczym dobrze ustawionym głosem lektora – że nie masz tu nic do gadania. Masza już wybrała sobie zajęcie i...

– Tak, zgodziłam się, by poszła na prawo! Sądziłam, że zarazi się tam miłością nie tylko do psychopatów! Że zostanie notariuszem albo otworzy praktykę adwokacką! A zamiast tego kolejne trupy, teraz – z Pietrowki! Zadzwoń do Katyszewa, żeby odwołał ten jej staż!

– Natusiu, popatrz na to z innej strony – zaczął ojczym pojednawczym tonem. – Dziecko zajmuje się tym, co mu się szalenie podoba, są szanse, że odniesie duże sukcesy.

– A ja nie chcę... – przerwała mu matka.

Masza pchnęła drzwi do kuchni.

– Dzień dobry!

– Dobry – kaszlnąwszy, przywitał się ojczym, a matka tylko skinęła głową, odwrócona do niej plecami.

Miała zaczerwienione oczy, gdy się odwróciła. Maszy zrobiło się wstyd.

– Co jest na śniadanie? – rzuciła przesadnie rzeźkim tonem.

Matka położyła na talerzu kilka racuszków i żeby zmienić temat, zapytała:

– Znów w czarnym?

Styl ubierania się Maszy był jednym z najczęściej poruszanych porannych tematów, coś podobnego do prognozy pogody. Masza zwykle odszczekiwała się, słysząc matczyne: „Co to, w przyrodzie nie istnieją inne kolory?”.

Istnieją, odpowiadała. Ale trzeba je ze sobą komponować, a z czarnym ten problem gustu i straty czasu odpada. Zgadza się, ale czarny wyszczupla

i podkreśla bladość. Tak, ale to pozostałość po okresie dojrzewania – nosi tylko czarne ubrania i ten kolor odpowiada jej porannemu humorowi. Tak, tak, tak...

Nie, mamusiu – myślała teraz – to nie żałoba ciągnąca się ponad dziesięć lat! Nie, mamusiu, to nie objaw depresji, nie, nie chcę nikogo podświadomie od siebie odepchnąć...

Ojczym przez cały ten czas rozsądnie zachowywał neutralną pozycję, a matka w końcu westchnęła i zaproponowała kluczyki do swojego samochodu.

– Dzięki. – Masza pocałowała matkę w policzek na pożegnanie. – Jadę dziś metrem. Tak będzie szybciej.

Wychodząc, zobaczyła, że Natalia z matczyną troską poprawia mężowi krawat, i smętnie się uśmiechnęła – jak to jednak znajdujący się obok kobiety mężczyzna zmienia ją wewnątrz i zewnątrz... Pomyślała też, że przy Nik Niku matka znów pewnie stałaby się dziewczynką z bajki. Ale nie chciała grać w tę samą grę z nikim innym prócz taty.

W metrze miała szczęście – znalazła miejsce siedzące. Od razu wyciągnęła zeszyt. Na czystej kartce zaczęła kreślić szkic – zawsze lepiej wszystko rozumiała „z obrazkiem”. No więc było ich troje. Schematycznie narysowała krzesła ustawione w półokręgu, trzy postacie – dwie męskie, jedną kobiecą.

Młody człowiek siedzący obok z zainteresowaniem patrzył na nią ukradkiem – widocznie należał do rzadko spotykanych estetów i docenił jej profil, delikatne palce, niepomalowane usta.

1. Węzeł – napisała Masza obok obrazka.
2. Liczby.
3. Dlaczego języki obcięto inaczej? – to zdanie podkreśliła.

Esteta zaglądający jej przez ramię i szukający sposobu, żeby nawiązać niebanalną rozmowę, odsunął się gwałtownie po przeczytaniu ostatniego pytania. Masza uśmiechnęła się kącikiem ust niewidocznym dla chłopaka (nie podglądaj!), spokojnie schowała zeszyt do torby i skierowała się do wyjścia.

Siedziała w pracy co najmniej od godziny, gdy do pokoju wszedł Andriej.

Z pewną dozą ironii i politowania zauważyła, że był ubrany tak samo jak wczoraj. Te same džinsy. Ta sama wytarta džinsowa kurtka. Do tego – chyba że tylko jej się zdawało, bo tak go nie cierpiała? – czuła od niego lekki zapach psa. Przywitał się ze wszystkimi naraz, nie patrząc na nikogo w szczególności, tym bardziej na Maszę. Nawet lepiej – pomyślała, obawiając się ironicznej analizy swojego wczorajszego spotkania z Nik Nikiem. Andriej tymczasem rzucił džinsową kurtkę na oparcie krzesła i sięgnął po telefon.

– Szagin? Cześć. Andriej Jakowlew. Słuchaj, mam pytanie do fachowca od kryminalistów: kto z recydywistów lubi ostatnio fantazyjnie strzyc kark? Jak fantazyjnie? No, taki wystrzyżony numer...

Masza zamarła. Numer?

– Co ty powiesz? Więc to całkiem nowa moda, rozumiem. Odnotuj tam sobie w badaniach kryminalnego folkloru. Chodzi o liczbę czternaście. Siedem i siedem? Podwójny symbol szczęścia? Niemożliwe! Nigdy bym nie pomyślał. Dzięki, specjalisto od numerów, na razie. – I odłożył słuchawkę, przypadkowo napotkawszy spojrzenie Maszy.

Numerologia! – Serce Maszy zabiło mocniej. – Symbolika liczb! Ponownie przejrzała sprawy na biurku. „1”, „2”, „3” – pierwsze ofiary na nabrzeżu Biersieniewskim. „4” – na ręce zmarłego alkoholika pozostawionego rok temu nocą w Kutafji[16]. „6” – na ręce, znalezionej bez ciała na placu Czerwonym pół roku temu. I teraz – „14”. Czy to ten sam człowiek, a może ona już całkiem zwariowała na punkcie swoich seryjnych morderców? Ale nawet jeśli założyć, że liczby „1”, „2”, „3”, „4” i „6” łączy jakiś dziwny sposób zabijania... Podniosła wzrok na Andrieja i zaryzykowała.

– Przepraszam pana!

Jakowlew niezadowolony uniósł wzrok znad papierów.

– Ma pan może raport patologa z sekcji zwłok znalezionych na brzegu Moskwy?

Andriej uniósł brew, wyraźnie dając do zrozumienia, że stażystka Karawaj miesza się w nie swoje sprawy.

– Chodzi mi o to – czerwieniąc się, szybko dodała Masza – czy jest w tej

śmierci coś dziwnego.

Brwi Andrieja poszybowały jeszcze wyżej.

– A co pani rozumie pod słowem „dziwny”? – zapytał chłodno.

Masza bezradnie wzruszyła ramionami, zbierając myśli. W tym czasie Andriej zdążył już wrócić do swoich papierów.

Cham! Masza aż gotowała się z oburzenia. Nawet nie udawał zainteresowania jej wyjaśnieniem. A tym bardziej nie miał zamiaru odpowiadać na jej pytanie. Okej – powiedziała do siebie, marszcząc brwi w sposób, o którym matka mówiła: „A teraz chmurzysz się jak Fiodor”. –

Dobra, mniejsza z tymi liczbami. Spróbujemy z drugiego końca. Różnie obcięte języki. I jeszcze ta sprawa dziwaczego alkoholika, który ze spuchniętym gardłem przyszedł umierać do Kutafji. Tu mamy rękę z obrazem Chagalla. Co jeszcze?

Zagłębiła się w stare sprawy z ostatnich dwóch lat. I znalazła coś – jak mogła o tym zapomnieć? – ten potworny przypadek, o którym pisały wszystkie gazety. Żonę tiumeńskiego gubernatora, z pierwszej dziesiątki najbogatszych kobiet świata, która zostawiła w tyle twórczynię włoskiej marki Benetton i angielskiego chłopca Harry’ego Pottera, znaleziono poćwiartowaną. Jej ciało, starannie zawinięte w gazety, leżało na ławce w Kołomienskim...

Masza wzdrygnęła się. Gubernatorowa miała wielu wrogów – mnóstwo ludzi w większym lub mniejszym stopniu zależało od jej licznych biznesów. Musieli dawać łapówki, poniżać się, podlizywać potężnej władczyni okręgu... Ludmiła Turina rządziła twardą ręką – jej biznes kwitł, pieniądze płynęły na konto w szwajcarskim banku, w Londynie kończyła budowę willi, o której przez dłuższy czas rozpisywały się gazety, że niby nie wypada tak..., że aż tak..., unikając dokładnych określeń, a nawet łagodniejszych synonimów. Tych, którzy pozwalali sobie na krytykę, Ludmiła ciągała po sądach i puszczała w skarpetkach.

Kto mógł zrobić coś takiego zawsze otoczonej ochroną gubernatorowej? Kto mógł zrobić coś takiego i nie zostać złapany – oto jest pytanie – zastanawiała się Masza. Czy pozwolą jej zajrzeć do akt sprawy, przynajmniej do wstępnych wniosków techników? W swoim czasie do rozwikłania tego zabójstwa zostali skierowani najlepsi śledczy, ale wszystko

jakoś ucichło po tym, jak mąż Turiny pewnego pięknego dnia uciekł do mglistego Albionu.

Masza zanotowała w zrobionej przez siebie tabeli (w której wszystkie kreski były idealnie proste, mimo że nie miała linijki): Turina Ludmiła, data śmierci, miejsce – Kołomienskoje.

I znów zagłębiła się w papierach. Gdzieś wczoraj widziała... Coś zwróciło jej uwagę, ale wtedy zignorowała to, nie wiedziała jeszcze, czego szuka. A szukała czegoś niezwykłego i wydawało jej się, że ta niezwykłość była wielkości słonia. Po półgodzinie ją olśniło – jest! Konstruktor i architekt Bagrat Gebelai zmarł w swoim luksusowym mieszkaniu przy ulicy Leniwka w wyniku silnego fizycznego i psychicznego wyczerpania. Rzucił się w oczy kontrast pomiędzy „luksusowym” i „fizycznym wyczerpaniem”. Wydawało jej się, że już gdzieś w gazetach widziała nazwisko Gebelai. Wypełniła kolejny wiersz tabeli: Bagrat Gebelai, Leniwka, osiem miesięcy temu, i odchyliła się na krzesło. Nazbierało się trochę tych dziwnych przypadków, które łączyło jeszcze jedno – miejsce znalezienia ciała: oprócz Kołomienskogo, leżące trochę na uboczu, wszystkie pozostałe były w centrum miasta.

Zapytała siedzącego obok śledczego, który właśnie ogłosił, że pora na przerwę na papierosa, czy może skorzystać z jego komputera. Śledczy machnął przyzwalająco ręką i wyszedł, za nim podążyła reszta.

W pierwszej kolejności Masza znalazła szczegółowy plan Moskwy i włożywszy do drukarki kartkę formatu A4, wydrukowała w kolorze plan centrum miasta. Kątem oka zauważyła na końcu korytarza Andrieja z papierosem w ręku, z ironiczną miną słuchającego śledczego, który udostępnił jej komputer.

Chyba ma na imię Wołodia – przypomniała sobie i szybko wróciła do pokoju. Wpisała w wyszukiwarce kilka cyfr i słowo „numerologia”. Google jej nie zawiódł: cyfra „jeden”, przeczytała Masza – to symbol sławy i potęgi, czynu i ambicji. Człowiek z jedynką w dacie urodzenia powinien kierować się nią, nigdy nie zbaczając z kursu i nie wyrywając się do przodu przed czasem. Cyfra „dwa” symbolizuje równowagę w nastroju, działaniach, delikatny i miękki charakter. „Czwórka” oznacza osobę zrównoważoną, pracowitą. „Szóstka” zapowiada sukces w przedsięwzięciach, pod warunkiem

że uda się zdobyć zaufanie otoczenia, przekonać nie tylko klientów, ale i naśladowców.

Masza z irytacją zamknęła stronę i znów usiadła przy swoim biurku. Wynikało z tego, że ten, któremu odcięto połowę języka, powinien podążać za losem, a panienska z numerem „2” – zachować równowagę psychiczną, mimo że krew lała jej się z ust strumieniami. Jest jeszcze pijak, którego cyfra oznacza pracowitą naturę... Nie wiadomo, jak potoczyły się losy właściciela ręki znalezionej na placu Czerwonym, ale Masza wiedziała już, że to wszystko jest zbyt proste, żeby było prawdziwe. I nawet nie była pewna, czy rzeczywiście istnieją jakieś powiązania między tymi przypadkami, czy też ona po prostu je zmyśliła.

– Andrieju Leonidowiczu! – Wstała i położyła przed szefem kartkę.

Szef na dźwięk „Leonidowicza” wzdrygnął się, ale zachował kamienną twarz i wziął kartkę do rąk.

– Co to jest?

– To są zgony, które wydały mi się dziwne.

– Znów pani z tymi dziwnymi przypadkami?

– Tak, znów – uparcie potwierdziła Masza.

– Chyba poleciłem pani zająć się zabójstwami, które uznano za nieszczęśliwe wypadki i samobójstwa?

Masza milczała. Andriej westchnął.

– Słucham panią, stażystko Karawaj.

– Przecież panu jest wszystko jedno, czym będę się zajmować – powiedziała cicho. – Prawda? A tak przynajmniej nie będę sterczeć panu przed oczami.

– To jest argument. – Po chwili milczenia Andriej uśmiechnął się. – Dobrze, niech pani bada te swoje dziwne przypadki.

Masza szybko skinęła głową i prawie wybiegła z pokoju.

– I czego tak się czepiasz tej panienski? – usłyszała, zamykając za sobą drzwi.

I ucieszyła się, że nie doczekała się odpowiedzi.

ANDRIEJ

Pasza wreszcie oddzwonił i Andriej jak oparzony pobiegł do prosektorium. Był w podłym nastroju – nie aż tak podłym, ale jednak. Czuł w swoim głosie zimną złość, gdy odpowiadał studentce, chociaż na nią nie zasłużyła. Pracowała od rana, i to ciężko – Andriej kilka razy z zaciekawieniem obserwował wyraz ogromnego skupienia na jej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi. Prymuska... Musiał jednak przyznać, że potrafiła pracować z materiałem. Nie wiadomo, co za dziwne rzeczy tam znalazła, ale jeśli pomoże jej to w napisaniu „praktycznej części” pracy dyplomowej, niech jej będzie. Niech biega, zadaje pytania. Skądś ją przepędzą i nie będą się patyczkować, a gdzie indziej opowiedzą wszystko, jak trzeba. Niech uczy się pracować nie tylko z papierkami, ale i z ludźmi.

Z takimi to pedagogicznymi wnioskami wkroczył do prosektorium i uściśnął ogromną dłoń Paszy, zanim ten wciągnął lateksowe rękawiczki.

– Dziwaczna sprawa. – Pasza pokazał na rozcięty brzuch zmarłego.

Andriej skrzywił się i zajrzał do środka. Niczego tam nie było.

– Wyjęto mu organy wewnętrzne – ciągnął Pasza. – Inaczej mówiąc, wypatroszono chłopca jak kurczaka. Znalazłem w środku to. – Podał Andriejowi przezroczysty pakunek.

– Pieniądze? – Andriej przyjrzał się zawartości pakunku.

– No właśnie. Dokładniej – radzieckie jednokopiejkówki.

– Ile? Czternaście. Aha. – Zaskoczony Andriej usiadł.

– A na głowie ma... – zaczął Pasza, ale Andriej mu przerwał.

– Wiem, widziałem.

– To nie wszystko. – Pasza był mocno podekscytowany. – Patrz! – Wyciągnął w stronę Andrieja siną rękę zmarłego. – Pod paznokciami znalazłem lód. Ale nie z lodówki, tylko z mikrocząsteczkami wskazującymi na jego naturalne pochodzenie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Tylko tyle, że mamy połowę lipca. Ostatni raz lód widziano na rzece w lutym, najpóźniej w marcu. Mimo że nie ma płuc, powiem ci od razu – facet został utopiony. Gdzieś w przerębli.
- Rozumiem. Mówiłeś też, że został zamrożony...
- Nie wycofuję się z tego. Tak, zamrozili go. I kilka dni temu wrzucili z powrotem do rzeki.
- Bez sensu. – Andriej potarł czoło.
- Wiem – zgodził się Pasza.
- Wygląda na to – Andriej zmusił się do spojrzenia na wykrzywioną przedśmiertnym grymasem twarz zmarłego – że chłop został utopiony w przerębli, z której próbował się wydostać...
- Nie tylko wydostać. Jest cały w ranach i zadrapaniach. Popatrz! – Pasza odwrócił głowę zmarłego, żeby było lepiej widać.
- Aha, czyli facet z całych sił walczył z zabójcą, który go topił. Potem morderca go wyciągnął. Czekał pół roku, żeby podsunąć nam martwą rybkę. Chciał namieszać z czasem zabójstwa, czy jak?
- Posłuchaj, jeśli zabójca nie jest skończonym idiotą, mógł przewidzieć wynik ekspertyzy sądowo-medycznej głęboko zamrożonych tkanek. Chociaż być może zabił go nie pół roku, a założmy, trzy lata temu. Jeśli ciało było dobrze zamrożone, mogło zachować się w takim stanie.
- Nie, Pasza. – Andriej znów spojrzał w szeroko otwarte oczy ofiary. – Tak nie było, bo Jelnik przepadł w zimie.
- To jest Jelnik? – Pasza wsunął ciało do lodówki.
- Tak, znalazłem go wczoraj w kartotece – tatuaż pomógł. I jeśli zabójca nie mógł oszukać nas z czasem, to gdzie tu cymes, jak mawiała babcia mojego kolegi z klasy.
- Miejsce? – wyraził przypuszczenie Pasza, zdejmując rękawiczki.

ULICA NIKOLSKA

KATIA

Najpierw zadzwoniła do drzwi. Szanse na to, że Natalia Siergiejewna jest w domu, były znikome, ale lepiej się upewnić. Potem otworzyła drzwi własnym kluczem, głęboko odetchnęła i z błogim uśmiechem na twarzy, od razu rozpoznając i przyjmując zapachy tego domu, przekroczyła próg. Gdy zdejmowała kozaczki, wydało jej się, że słyszy jakiś szelest z kuchni. Zamarła z kozaczkiem w ręku.

– Natalio Siergiejewno? – zawołała w głąb mieszkania.

Żadnej odpowiedzi. Tylko zegar ścienny z wahadłem tykał w kuchni i regularnie obracał się bęben pralki w łazience.

Na chwilę zatrzymała się przed lustrem w przedpokoju – lubiła patrzeć na siebie w tym lustrze. Czuła się wtedy tak, jakby była u siebie w domu. Tak naturalnie. Miękkie złociste światło abażuru miało taki sam magiczny efekt jak w dzieciństwie. Znów była księżniczką, a nie pastuszką – podziwiałcie wszyscy. Katia przeszła się lekkim krokiem po mieszkaniu, zachodząc do każdego pokoju. W salonie na kanapie pojawił się nowy koc. Podeszła i przesunęła po nim dłonią – delikatny. Pewnie z kaszmiru. W łazience na półeczce stał nowy krem. Na pewno Natalii, Maszka zwykle smarowała się tym, co wpadło jej w ręce. Ale krem Katia zostawiła sobie „na później”.

W pokoju Maszy nic się nie zmieniło od czasów ich dzieciństwa. Letnie słońce świeciło za oknem.

– Trochę tu duszno – powiedziała na głos i otworzyła okno, żeby przewietrzyć.

W pokoju Natalii i garderobie zatrzymała się nieco dłużej. Zauważyła sandaiki na średnim obcasie, w smacznym czekoladowym kolorze, klasyczny kostium w cienkie paseczki z oszłamiającą podszewką w lamparci wzór... Wciągnęła powietrze nosem – Natalia znów zmieniła perfumy. Matka Maszy nie trzymała się jednego zapachu, cały czas eksperymentowała. Katii się to podobało. Zabawiała się perfumami Natalii – „które z nich bardziej do mnie

pasują” – i wyglądało na to, że w zasadzie pasowały wszystkie. Zajrzała do kuchni i otworzyła lodówkę. Lodówka należała do strefy zakazanej i psuła jej całą przyjemność. Z nią nie mogła pobawić się w gospodynię – prawdziwa gospodyni zauważyłaby zniknięcie połowy główki holenderskiego sera (Katia uwielbiała taki ser, był potwornie drogi) albo kiści winogron... Chociaż było to mało prawdopodobne. Ale takie niebezpieczeństwo istniało, dlatego zawartość ogromnej lodówki Katia pozerła tylko oczami, jak biedny prowincjusz rozkoszną flamandzką martwą naturę w Ermitażu.

Bardzo chciała poleżeć w wannie, ale nie odważyła się. Mimo wszystko tłumaczyć swoją obecność w wannie pełnej piany i aromatycznych olejków to co innego, niż gdy nakryją cię pod prysznicem. Na taką ewentualność Katia zawsze miała wytłumaczenie: Oj, Natalio Siergiejewno, wpadłam do kałuży, oblali mnie z okna, ochlapał przejeżdżający mercedes... Odważyłam się skorzystać z pani gościnności. Katia wiedziała, że pozwoli. I nawet zaproponuje herbatę po fakcie, wypytując o adoratorów Maszy. Natalia bardzo lubiła słuchać o adoratorach – Maszka niewiele mówiła jej o swoim życiu osobistym. Na podstawie różnych drobiazgów (nieśmiały, nieudanych prób makijażu, wścieklej miny Innokientija) matka domyślała się, że córka kogoś ma, i nawet wysłała raz Katię na zwiady („Nie miej mi za złe, ale w tobie cała nadzieja!”).

Katia zadanie wykonała – dowiedziała się, że ten ktoś studiuje na jednym roku z Maszą, ma na imię Pietia, jest dobrym chłopcem, synem bogatych rodziców, jeździ porsche. Katia na widok tego porsche aż zadrżała z zachwytu, a Maszka, głupia, powiedziała wtedy, że za dużo szpanu, a w sportowym aucie nie widać, co się dzieje na drodze, dżipy wszystko zasłaniają. Katia takim wozem mogłaby nawet z zamkniętymi oczami jeździć! I co ten Pietia widział w Maszce – nie wiadomo. Katia nic nadzwyczajnego w koleżance nie zauważała. No, może gęste włosy, przyznawała po długim namyśle, i oczy... Być może. Raz nawet powiedziała o tym Maszce – oczywiście, nie w sensie „tylko ty takie masz”, a jako komplement. Masza się roześmiała i zacytowała któregoś z Francuzów, że niby gdy kobieta nie jest piękną, chwałą jej włosy i oczy. Katia wtedy się zdziwiła – Maszkę rozbawił chyba fakt, że jest brzydula. No i była inteligentna, ale dla facetów to wada. Więc co tak pociągało Pietię? Wygląda na to, że dźwięczne i znane w środowisku prawniczym nazwisko Karawaj.

Tragicznie zmarły adwokat. I to wszystko.

Jeżu, ależ wszyscy po jego śmierci wokół Maszki skakali, w tym jej, Katii, matka – też mi coś, nie miała się nad kim litować. Biedne dziecko, tak wcześniej została bez ojca, w takich tragicznych okolicznościach! Katia wtedy po raz pierwszy nie wytrzymała. Wykrzyczała matce: „A nade mną się nie politujesz? Ojciec mnie porzucił, gdy byłam jeszcze u ciebie w brzuchu. To dopiero wcześniej i tragicznie, nie?”.

Matka wprawdzie uzalała się wtedy nad nią – pogłaskała po głowie i powiedziała, że nieładnie jest komuś zazdrościć, ale Katia nie umiała nie zazdrościć. Miała wrażenie, że już się urodziła z tym uczuciem. Gdy patrzyła z okien na parterze na dziewczynkę w kolorowej kurteczce niesioną na barana przez radosnego tatę, słyszała rozmowy babć na ławeczkach – jaki to dobry ojciec z tego Fiodora Karawaja, i na wysokim stanowisku. Gdy widziała tego Fiodora obok Natalii, wtedy jeszcze młodej i ubranej w takie ciuchy, jakie jej matce nawet się nie śniły! Do tego zdjęcie w artykule o jakimś głośnym procesie. Bardzo chciała przyjaźnić się z Maszą, a jednocześnie – wydrapać jej oczy. Było to dziwne, niepokojące, dręczące uczucie, zauważone przez jej matkę dopiero dziesięć lat później.

W roku, gdy obie dziewczynki skończyły trzynaście lat, matce zaproponowano za ich jednopokojowe mieszkanie duże pieniądze. Mogła kupić za nie trzypokojowe w mniej prestiżowym rejonie. Matka się ucieszyła – kupujący mieszkanie wszystko zorganizował, nawet przeprowadzkę, za co była mu bardzo wdzięczna – sama nie dałaby rady i na nic takiego by się nie zdecydowała. Z zachwytem mówiła Katii, że będą teraz miały nie tylko oddzielne pokoje (przecież za kilka lat będziesz panienką!), ale nawet salon (i być może pewnego dnia, Katieńko, zamieni się on w pokój dla dziecka!).

– Nie zamieni się – ucieła Katia.

Była pewna, że będzie miała majątnego męża.

Oczywiście bardzo się cieszyła z przeprowadzki. Przede wszystkim własny pokój, co ma duże znaczenie w okresie dorastania, a do tego nie będzie musiała oglądać więcej Maszy. Dopiero po miesiącu zrozumiała, że na peryferiach miasta umiera z tęsknoty. Życie bez Maszy było puste – jakby usunęli z niej jakieś perpetuum mobile, podstawowe uczucie, które ją napędzało. Poza tym nie była idiotką i dobrze rozumiała, że nie porozmawia

ze swymi obecnymi koleżankami z podwórka tak jak z Maszą – rozmowy tamtych krążyły wyłącznie wokół chłopaków, kosmetyków i ciuchów. Trzech tematów, których nigdy z Maszą nie poruszały...

Na początku szczerze się cieszyła z oglądania postrzępionego „Vogue’a”. A potem zaczęła się nudzić. Pamiętała, jak przychodzili chłopcy ze szkoły matematyczno-fizycznej, w której uczyła się Masza, i rozmawiali o rzeczach nie zawsze dla niej zrozumiałych. Ale byli o wiele ciekawszy od tych, o których plotkowały z pianą na ustach jej nowe koleżanki z podwórka. Właśnie za takiego chłopca ze szkoły matematyczno-fizycznej chciała w przyszłości wyjść za mąż – pod warunkiem oczywiście, że ten się dorobi, a nie zostanie pracownikiem naukowym jak jej matka.

Dlatego Katia postanowiła odnowić znajomość z Maszą, znów się z nią zaprzyjaźnić, mimo dzielących je dziesięć stacji metra. Głębokie przekonanie wyrastające z zawiści, która w ciągu dziesięciu lat dojrzewała w niej niczym dobre wino i jak kompas wskazywała prawidłowy kierunek, podpowiadało jej, że Masza krąży w wyższych sferach i ona, Katia, też musi się tam dostać.

Zadzwoniła po roku potwornie spięta. Masza była zaskoczona, ale, dzięki Bogu, przyjemnie zaskoczona. I zaprosiła w gości. Po wyjściu z metra na ulicę Bolszaja Polanka Katia głęboko odetchnęła miejskim smogiem i poczuła się jak w domu. W mieszkaniu Maszy jej odczucie się wzmocniło – nic nie mogła na to poradzić, bo właśnie to mieszkanie z jej wspomnień, w którym spędziła połowę swego dzieciństwa, było jej prawdziwym domem. Ze ściśniętym gardłem usiadła naprzeciwko Maszy przy stole w kuchni.

– Co ci jest? – wystraszyła się Masza.

– Stęskniłam się za tobą – odpowiedziała Katia i wcale nie kłamała.

Wybierając się na spotkanie i chcąc zaimponować koleżance, starannie się umalowała. Ale patrząc teraz na czystą, nietkniętą makijażem twarz Maszy, zmieszala się (przecież Masza aż do łez za Katią nie tęskniła) i zrozumiała, że znów przegrała. Po prostu dlatego, że Masza gra w zupełnie inne gry.

Przy stole zapadła nieprzyjemna cisza. Masza i Katia szybko piły herbatę, udając, że nie rozumiały jednej ważnej kwestii: nie miały żadnych wspólnych tematów do rozmów.

Katia była zrozpaczona. Mogła odwiedzać ten dom tylko pod warunkiem,

że będzie przyjaźniła się z Maszą. Dom, który tak kochała. Gdyby była trochę starsza, być może potrafiłaby prowadzić niewymuszoną rozmowę, ale były tylko nastoletnimi dziewczynkami, a nie damami swobodnie zachowującymi się w towarzystwie.

– Podrywa mnie chłopak na harleyu, wyobrażasz sobie? – powiedziała, próbując ratować się za wszelką cenę.

– Harley? – Masza nie zrozumiała.

– To taki supermotocykl! Chłopak siedział już za drobną kradzież, wyobrażasz sobie! Powiedział mi, że wyglądam na szesnaście lat. A ja mu na to: Przecież mam szesnaście! A on do mnie: Nie zmyślaj, smarkulo – trąkotała Katia, nie odrywając wzroku od oczu Maszy, które w miarę opowiadania stawały się coraz większe...

Skończywszy z chłopakiem na harleyu, Katia przeskoczyła na Swietkę z sąsiedniej bramy, regularnie bitą przez matkę za to, że się maluje, a przecież ma już piętnaście lat, wyobrażasz sobie? Potem opowiedziała o prowadzącym przez ich podwórko „wielkim jedwabnym szlaku” handlarzy z sąsiedniego bazarku z tandetą. O chłopaku, który wrócił z Czeczenii chory na głowę. Siedział w krzakach i czekał, aż przyjdzie po niego mamusia i powie, że wszyscy się wycofali, zasadzki nie ma, więc może iść do domu na kolację.

Katia odkryła w sobie dar bazarza. Przedstawiała po kolei a to przestraszonego chłopaka wyglądającego z krzaków, a to zadowolonego z siebie durnia na harleyu, a to matkę Swietki z okna mieszkania wyklinającą córkę na całe podwórko. Masza śmiała się do łez i gdy wróciła z pracy jej matka, uprosiła ją, by też posłuchała. Katia wykonała na bis najbardziej udane kawałki, udoskonalając je w czasie powtórnego, już z lekkim sercem, opowiadania – wygrała! Udało się.

Trwało to przez długie lata – Katia była dla Maszy niczym goszczący w jej domu Pietrosian[17]. Z innymi Masza prowadziła inteligentne rozmowy, a z Katią relaksowała się i nawet czasami plotkowała. Katia się o to nie obrażała. Nie obrażała się też na krzywe spojrzenia kolegów Maszy ze szkoły, a później ze studiów – że niby kim jesteś, gdzie studiujesz? A... na takiej jednej. Oczywiście, że od razu widzieli w niej człowieka spoza własnego środowiska. Ale Katia sama to wiedziała i nie skarżyła się, grała

prostą dziewczynkę. Masza przedstawiała ją jako dawną przyjaciółkę z dzieciństwa. Przyjaciółka z dzieciństwa – brzmiało to prawie jak tytuł. Kiedyś dołączy do ich kręgu. A może skoczy jeszcze wyżej. Nie spieszy jej się, pierw musi się zaadaptować... Tak sądziła.

Póki nie spotkała Innokientija. No właśnie. Póki nie spotkała Innokientija.

MASZA

– Masz pozdrowienia – oznajmiła i schowała komórkę do torebki.

– Sąsiadka przyjaciółka? – Innokentij łyknął białego wina z kieliszka. – Szkoda, że nie wzięłaś wina. Jest bardzo lekkie i pasuje do szparagów.

– Snob! – dobrodusznie rzuciła Masza, nabijając szparaga na widelec. – Nawiasem mówiąc, wciąż jest w tobie zakochana.

– Aha. – Innokentij się skrzywił. – I wciąż tobie zazdrości.

Masza chrząknęła i wzruszyła ramionami.

– Nie ma czego! Żebyś wiedział, jak mnie lekceważy mój nowy szef! Wczoraj zobaczył, jak rozmawiam z Nik Nikiem. Uważa mnie za kompletne bezmózgowie ze znajomościami.

– A twoja główka pracuje niczego sobie – uśmiechnął się Kiesza.

– Nie. – Masza gorzko westchnęła. – W ostatnim czasie nie. Kręcę się w kółko. A wokół CZEGO – nie wiem. Dziwne są te zabójstwa. Ale takie zawsze można wygrzebać. Powiem inaczej. Dziwne zabójstwa w dziwnych miejscach. Spójrz! – Sięgnęła do torby i wyjęła wydrukowany plan Moskwy.

– Pokaż. – Innokentij położył plan po prawej stronie talerza i przez chwilę patrzył na niego z roztargnieniem, kończąc jeść szparagi.

Masza przyglądała mu się z nadzieją, pijąc wodę i bojąc się cokolwiek powiedzieć – Innokentij nie znał się na zabójstwach, ale oboje mieli zaufanie do intelektualnych możliwości drugiego: o ile Masza zachwycała logiką, o tyle Innokentij – wiedzą.

– I jak?! – wreszcie nie wytrzymała.

– Bzdury. – Innokentij odsunął plan. – Nic mi nie przychodzi do głowy.

Masza schowała wydruk do torby.

– Ja też nie mam żadnych pomysłów – odezwała się ponuro, skinąwszy głową na kelnera.

– Zjedz deser, poprawi ci humor! – Innokientij puścił do niej oko i namówił na największy tort z witryny – monstrum z owocami i bitą śmietaną. – A ja znalazłem wspaniałą ikonę – powiedział, gdy zabrali się do ciasta. – Starowierców, z szesnastego wieku. Już mam klienta, mogę za to wziąć miesiąc urlopu i jeśli chcesz...

– Ten Jelnik też był staroobrzędowcem! – przerwała mu Masza, prawie wbijając w niego łyżeczkę z tortem.

– Co powiedziałaś? – Innokientij znieruchomiał.

Masza znów wyciągnęła plan i poprosiła o coś do pisania. Innokientij posłusznie wyciągnął pióro z wewnętrznej kieszeni welurowej wiśniowej marynarki. Masza z rozdrażnieniem wypróbowała złote pióro na serwetce, a potem starannie zaznaczyła gwiazdką miejsce obok placu Czerwonego.

– Zaczekaj. – Innokientij przesunął do siebie wydruk i ponownie przyjrzał się punktom na planie. – Mogę go sobie pożyczyć na kilka dni? Zastanowię się i jeśli do czegoś dojdę, zadzwonię do ciebie.

– Bierz sobie, zrobię kopię. – Masza uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Lubiła, gdy Innokientij brał się do rozwiązywania jej tajemnic. Przypominało to dziecięcą konspirację, choć Kiesza od dawna nie był już dzieckiem i wyrósł na zadbanego dandysa, „kolekcjonera staroci”, jak sam siebie nazywał, właściciela malutkiego sklepiku z antykami w centrum stolicy. I sądząc po złotych piórach, drogich butach i platynowych spinkach w mankietach uszytych na zamówienie koszul z eleganckimi inicjałami „IA”, „Innokientij Aleksiejew”, sklepik Kieszy może nie przynosił kokosów, ale dochód był wystarczająco wysoki. Tak, Kiesza bez wątpienia był młodzieńcem o bardzo wyszukany guście i Masza, wiecznie biegająca w niezmiennych czarnych ciuchach, często zadawała sobie pytanie: jak im, tak różnym, takim indywidualistom, udało się zachować do tej pory przyjaźń z dzieciństwa? I wiedziała, że to jego zasługa.

– Co mi ten plan przypomina? – rzucił zamyślony Innokientij, połykając ostatni kawałek tortu. – Nie, po takim obżarstwie nic mi nie przychodzi do głowy...

ANDRIEJ

Tam, gdzie jadł obiad Andriej, nie przygrywał jazz. Nie serwowano szparagów ani dobrego chablis. Klientami nie byli ludzie w koszulach z inicjałami. Tam, gdzie jadł obiad Andriej, było duszno i pełno papierosowego dymu, a klienci siedzieli w kurtkach i płaszczach. Jedli przy plastikowych stolikach niewzbudzające zaufania kanapki. Pili piwo. Andriej siedział naprzeciwko Archipa. Archip tak naprawdę nie był Archipem, tylko Archipowem. Jego oryginalne przezwisko pochodziło od mało oryginalnego nazwiska. Był informatorem Andrieja. Archip szanował Andrieja i uczciwie wypełniał swoją część umowy. Andriej z kolei Archipa nie wsadzał, ale ciepłymi uczuciami też nie darzył mimo dostarczanych przez niego cennych informacji – nie znosił wągrowatej, wąskiej jak nóż twarzy Archipowa. Do tego Archip miał zwyczaj mówić, poufale przysuwając głowę do rozmówcy i dysząc mu w twarz wczorajszą kolacją.

– Jelnik dawno z tym skończył! – szeptał, łyknąwszy spienionego taniego piwa. – Po tamtym procesie nikt niczego już mu nie zlecał. Mieszkał na wsi. Z nikim z koleżków się nie spotykał – że niby dajcie mi spokój, pozwólcie na starość pożyć jak porządny obywatel. Akurat! Głupek mówił, że przyjeżdżali do niego różni wojskowi...

– Jacy wojskowi? – przerwał Andriej, wgrzyzając się w wyschniętą kanapkę. Chociaż na widok Archipa stracił apetyt, musiał coś przetrącić w czasie przerwy.

– Czy ja wiem? Ponoć nie jakieś płotki, choć przyjeżdżali brykami poniżej średniej i po cywilnemu.

– Więc skąd twój głupek wiedział, że wojskowi? – uśmiechnął się Andriej.

– Żartujesz sobie?! – Archip aż zakrztusił się z oburzenia. – Po pierwsze, sama postawa. Po drugie, krok jak na placu i morda nalana. A na niej wyraz typu – czemu nie meldujesz? Jasne jak słońce, że nie niżej pułkownika.

Andriej zamyślił się, łyknął z kubka ciepłego napoju udającego kawę i skrzywił się.

– A z kim ostatnio Jelnik siedział w celi?

– Mogę się dowiedzieć.

– Zrób to. Wyślij mi na komórkę.

– Dobra. – Archip wytarł wargi. – Lecę.

Andriej tylko skinął głową.

Informacje dawały do myślenia. Jelnik się wycofał. I wtedy został zabity. Gdzie tu logika? Zabili go za to, że się wycofał? Jakież zaległe porachunki? Do tego wojskowi. Co mają do tego wojskowi?! Przypomniał mu się grymas na twarzy ofiary. Ciało bez wnętrzości. Zardzewiałe miedziane jednokopiejkówki. Coś nieprawdopodobnego, jakieś brednie. Musi jechać do Jelnika na wieś – postanowił i podszedł do baru, by zapłacić za siebie i Archipa.



Na korytarzu zderzył się ze stażystką – dosłownie. Wyłaniając się zza zakrętu z typową dla siebie zawrotną szybkością. Zderzyli się jak dwie tenisowe piłeczki. Panienska jęknęła i kucnęła. Andriej najpierw się wystraszył, że z bólu, ale potem zrozumiał – zaskoczona upuściła wszystkie papiery. Jakież ksera zdjąć.

Niezgrabnie przykucnął obok niej i zaczął zbierać dokumenty. Najpierw pospiesznie, potem coraz wolniej. Liczby na zabitych na nabrzeżu Biersieniewskim, czarne na czarno-białym ksero, ale wiedział, że to krew. Muskuly z tatuażem „4” w zbliżeniu. Pamięć natychmiast podsunęła skojarzenie – „14”. Na karku Jelnika. Podniósł się jednocześnie z panienką. Była czerwona jak rak.

– A jednak zajmuje się pani śledztwem?

Masza szybko skinęła głową.

– Bardzo dobrze – niespodziewanie dla siebie powiedział Andriej, nagle zdając sobie sprawę, że oczy stażystki Karawaj znajdują się na wprost jego oczu. I są – jasnozielone, w otoczeniu ciemnych, jakby wilgotnych rzęs – bardzo wyraziste. Wyczytał w nich z jednej strony zmieszanie, z drugiej –

przekorę. Białe usta, przed chwilą mocno zaciśnięte, wykrzywiły się w uśmiechu w odpowiedzi na jego „bardzo dobrze”.

– Cieszę się – oznajmiła.

Odwróciła się i zniknęła za zakrętem.

Ale tyczka – pomyślał dobrodusznie i po raz pierwszy bez rozdrażnienia.

Pora jechać do Toczynowki, wsi, gdzie mieszkał kiler Jelnik, gdy skończył z zabijaniem.

MASZA

Masza siedziała na ławeczce obok rejonowego komisariatu policji i udawała, że uważnie słucha młodego dzielnicowego Dimy Safronowa. Dzielnicowy palił w obecności cizi z Pietrowki drogie papierosy i zastanawiał się, czy nie zaprosić jej do kina. Oczywiście po kinie będzie musiał zabrać ją jeszcze do knajpy... A coś mu podpowiadało, że ona nie chodzi do tanich knajp.

Rozmyślając nad tym, jednocześnie opowiadał jej o Kolanie[18]. Chociaż co tu dużo opowiadać? Pijacek jakich wielu. Nieszkodliwy. Nie złodziejasek – z takich szczęściarzy, co to swoją miarkę wódki zawsze gdzieś zdobędą. Resztki dobrego wychowania przejawiały się u niego tym, że nie sikał, gdzie popadnie. I nie łąził, gdzie nie trzeba. Tak naprawdę trasa spacerowa Kolki ograniczała się do ich kwartału. Więc jak to się stało, że nagle znalazł się w Kutafji? Przyszedł, żeby umrzeć w sąsiedztwie zabytków? Ale tam przecież policjantów od cholery, spokojnie butelki nie rozpijesz! Do tego miał mieszkanie – po co tak daleko jechać? Dopiero później, gdy trafił się dociekliwy patolog, wyszło, że Kolan nie zmarł na zawał serca czy od zakrzepu, który się oderwał po mocnym alkoholu, tylko w wyniku uduszenia. Musiał to być jakiś wyjątkowo mocny zajzajer, skoro płyn stopniowo docierający do gardła spowodował jego spuchnięcie.

– Płyn jakiego rodzaju? – ocknęła się Masza, mając cały czas przed oczami, niczym niekończący się komiks, scenę swojego zderzenia z Andriejem. Co za idiotka!

– Wódka oczywiście! Czytałem ekspertyzę – jeśli ścieka po kropelce, wychodzi wypisz, wymaluj jakaś średniowieczna tortura. Ponoć w Chinach taką stosowali.

– Nie tylko w Chinach. – Masza nachmurzyła się, jakby znów próbowała uchwycić coś mglistego.

Spojrzenie panienki z Pietrowki zrobiło się takie nieobecne, że Dima

Safronow ostatecznie zrezygnował z pomysłu zapraszania jej do kina.

– A w jego mieszkaniu – dodał na końcu – nie znaleziono żadnych odcisków palców, ani w kuchni, ani w korytarzu, ani w pokoju. Z jednej strony i bez wróżki wiadomo, że to zabójstwo. Ale z drugiej, kto takim typem będzie sobie zawracał głowę? Po co zabijać nieszkodliwego pijaka? Chociaż może coś wiedział?

– Być może – zgodziła się Masza. Ten rzeczowy i tłumaczący wszystko motyw zupełnie się jej nie podobał. – Wdzięczna jestem za poświęcony mi czas – grzecznie podziękowała dzielnicowemu.

– Proszę. – Dima zmieszał się jej manierami. – Jeśli będą jeszcze jakieś wątpliwości, proszę pytać.

– Bardzo chętnie. – Masza ostrożnie wyciągnęła dłoń z przedłużającego się uścisku.

Szła już do samochodu, gdy coś sobie przypomniała. Obejrzała się na Dimę, który wciąż odprowadzał ją wzrokiem.

– Tatuaż na ręku! – zawołała Masza. – Liczba „cztery”. Widział go pan wcześniej?

– Nie. Na pewno nie! – odkrzyknął Dima. – Przez pół roku chodził w koszulce na ramiączkach – zauważyłbym.

Masza z satysfakcją skinęła głową, pomachała mu ręką i wróciła do samochodu.

ANDRIEJ

Toczynowka okazała się wsią jak z telewizyjnego reportażu o wymierającym rosyjskim siole. Więcej niż połowa domów stała porzucona, a te jeszcze zamieszkałe dzieliły nie setki, tylko tysiące lat świetlnych od stolicy światowego glamouru. W czasach, gdy w Moskwie złota młodzież wymieniała się na zajęciach filmikami z komórek, uczyła prawidłowo jeść ostrygi prosto z Bretanii i wstrzykiwała sobie botoks w szczęki, żeby po nocach nie zgrzytać ze stresu zębami (czyli nie niszczyć ich nieziemsko kosztownej bieli), otóż w tym samym czasie obok każdej chaty znajdowała się toaleta w postaci dziury w ziemi, jak w średniowieczu, a wodę noszono z dalekiej studni i podgrzewano za pomocą butli na gaz. Dwie rzeczywistości dzieliły wieki. Ludzie mówili w jednym języku, ale nie rozumieliby się nawzajem. W Toczynowce nie znalazłby się ani jeden obywatel, który by wiedział, co to są ostrygi, botoks czy MMS. Jediną osobą, która wiedziała coś o świecie i paradoksach dwudziestego pierwszego wieku, był Jelnik, kozak na zesłaniu. Ale i tego zabili.

Andriej siedział i palił, zastanawiając się, już bez oburzenia i goryczy, nad zdumiewającą cechą rosyjskiego człowieka – kompletną obojętnością, jeśli chodzi o godziwe warunki codziennego życia. Nad nieposzanowaniem przez władzę – od czterech pokoleń – swoich obywateli. Nad zadziwiającą potulnością tychże obywateli, którym zapewniono socjalizm i elektryfikację całego kraju jako podstawowe warunki budowy komunizmu, ale nie zapewniono gorącej wody i kanalizacji. I nic – jakby nic się nie stało. Jak przycisnąć, to biegnij w zimie po śniegu do wychodka, gdzie na gwoździu wiszą kawałki gazety i cieknie woda z zardzewiałego pojemnika.

Czego jednak szukał w tutejszym życiu Jelnik? Był dość majątny – mógł sobie po odsiadce pozwolić na ciepłą toaletę. Drzwi w domu kilerki były zamknięte. Andriej poszukał klucza tam, gdzie zwykle się go zostawia – pod wycieraczką, koło zamkniętych na głucho okiennic. Przez kilka minut rozglądał się dookoła – działka nie była duża, ale zadbana. Jelnik, jak się

okazuje, kochał ziemię. Zielone grządki, poletko z ziemniakami, nawet cieplarnia. Andriej ruszył w jej stronę. W środku okazała się zaskakująco – na tle całkiem zadbanego ogrodu – zapuszczona. Nie było w tym zresztą nic dziwnego – gospodarz zniknął w zimie. W cieplarni było gorąco i duszno, ale nie czuło się zapachu ogórków ani pomidorów, tylko gnicie i rozkład. Andriej się wzdrygnął – na podłodze leżał martwy ptak, białe cienkie kosteczki, czarne nadgniłe pióra. Widocznie wleciał w zimie i nie mógł się wydostać – pomyślał. Ten, kto zabił Jelnika, zabił też ptaka – pod nieobecność gospodarza ptak nie mógł otworzyć drzwi, nawet bardzo cienkich. Andriej zajrzał pod puste wiadro, ale doszedł do wniosku, że gospodarz nie rozumował jak wieśniak, więc nie ma sensu szukać schowanego gdzieś klucza.

Czym różnią się ludzie od ptaków? – pytał siebie Andriej, stojąc zamyślony przed gankiem i pobrzękując drobnymi w kieszeni. – Hm. Tym, że potrafią otwierać drzwi. Wysypał drobne z kieszeni na dłoń. Znalazł wśród monet trzymany specjalnie na taką okazję spinacz i ukradkiem się rozejrzał – dookoła żywej duszy. Wybacz mi, Jelnik, to wszystko przez dzieciństwo spędzone na ulicy, dysfunkcyjną rodzinę, uczenie się na złych przykładach – mówił do siebie, pogwizdując i prostując spinacz. – Czego to człowiek się z nudów nie nauczy?

Przeszedł się do samochodu, otworzył bagażnik, chrząknął zadowolony, widząc odpowiedni klucz. Miękkim sprężystym krokiem wrócił do drzwi. Jeszcze raz się rozejrzał – cisza, spokój. Włożył do dolnej części otworu zamkowego klucz, z wierzchu – spinacz, wygięciem do góry. Dalej poszło już łatwiej. Poruszał powoli, licząc obroty: raz, dwa... pięć. Przy każdym obrocie spinacza rozlegały się ciche kliknięcia. Andriej marzycielsko spojrział w letnie niebo, całe w wesołych białych obłoczkach. Delikatnie napał na drzwi.

– Kochane wy moje – powiedział na głos, gdy otworzyły się bez skrzypnięcia.

Zawołał dla pewności:

– Jest tu ktoś?

Że niby nie jestem wcale włamywaczem, drogi towarzyszu Jelnik. Ale właściciel od dawna już nie żył, Andriej tylko udawał. W domu panowała

głucha cisza i nieprzeniknione ciemności – co nie jest niczym dziwnym przy zamkniętych okiennicach.

Andriej wymacał wyłącznik. Na suficie zapalił się z lekkim pstryknięciem wielki żyrandol, zupełnie niepasujący do tego miejsca – wsi Toczynowka. Andriej gwizdnął. Nic nie pasowało tu do wsi Toczynowka. Żyrandol ze szkła z Murano w jaskrawym pomarańczowym kolorze wisiał wysoko. Andriej nie od razu się połapał, że sufitu i piętra nie było – przed oczami rozpościerała się otwarta przestrzeń, ograniczona jedynie pomalowanymi na ciemnoczekoladowo belkami.

Hol był kwadratowy – przy wejściu połyskiwał szlachetny dębowy parkiet, trochę dalej leżał turkmeński dywan. Na dywanie stały biała skórzana kanapa, dwa futurystyczne fotele i niski stolik. W głębi błyszcząca chromem kuchnia – z takich, które lubią pokazywać na zdjęciach w czasopismach na glansowanym papierze. Celebryci prezentują w nich swoje kulinarne talenty. W oknach wisiały beżowe zasłony.

Andriej zmusił się do wyrznięcia na zewnątrz – tam wciąż była Toczynowka, nędzna i szara. Surrealizm – pokręcił głową i obejrzał kilka pokoi – sypialnię (biały minimalizm, szafa na całą ścianę pełna drogich ciuchów – od włoskich dżinsów po angielskie garnitury), drugi pokój – wyglądał na gościnny – w tym samym stylu. Do tego łazienka z kabiną natryskową wyłożona beżowym porowatym kamieniem i toaleta. Andriej z niedowierzaniem odkręcił krany – ciepła woda miała wymarzoną temperaturę i świetne ciśnienie. Jelnik korzystał u siebie w domu ze wszystkich osiągnięć cywilizacji. Nie, nie na Rublowce[19]. W Toczynowce. Nie chciał wyróżniać się spośród pijanych chłopów i półślepych staruszek? Andriej zamyślił się. Jeśli były kiler nie zabijał, musiał zarabiać pieniądze – sądząc po domu, niemałe – w jakiś inny sposób. Ale przecież nie uprawiając ziemniaki!

Andriej z zazdrością spojrział na kominek, który jakby zawisnął pół metra nad podłogą. Kiler Jelnik miał gust. Nawet jeśli wziął sobie projektanta wewnątrz, musiał to być dobry projektant. Ciekawe, jak Jelnik wytłumaczył mu, co ma robić – urządź mi pałac w środku chatki na kurzej nóżce? Ale tak, by chatka na zewnątrz pozostała chatką na kurzej nóżce? Znaleźć projektanta – to żaden problem. Tego Andriej był pewny. Ale po co? Wątpliwe, by wiedział, skąd jego ekscentryczny klient brał pieniądze.

Wyszedł na dwór, usiadł na ganku i zapalił. Nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Jadąc do Toczynowki, był prawie przekonany, że wycofawszy się z zabójczego biznesu, Jelnik beknął za jakąś starą sprawkę. Ale w tym domu pachniało nowymi pieniędzmi, nowymi przedsięwzięciami, można by rzec.

Komórka w kieszeni kurtki zadzwięczała, informując o przyjściu esemesa. „Cytman – ksywka Doktor” – donosił wierny Archip. Doktor, wojskowi, nowy biznes, zabójstwo przez utopienie, przechowywanie w lodówce przez pół roku, ciało bez wnętrzości, znów wrzucone do Moskwy...

– Dobry – usłyszał Andriej i gwałtownie odwrócił głowę.

Przy furtce stał facecik około dwudziestki z zespołem Downa. Nieśmiało się uśmiechał, patrząc małutkimi oczkami ufnie i czule.

– Cześć – odpowiedział Andriej.

– Jesteś nowym właścicielem? – Facecik zaczął bokiem przemieszczać się w stronę ganku.

– Nie – przyznał Andriej, posunąwszy się trochę, by zrobić mu miejsce.

– Andriejka jestem – przedstawił się facecik i szybko dodał: – Masz zapalić?

– Mam, imienniku. – Andriej wyciągnął w stronę nowego znajomego paczkę papierosów.

Facecik chwycił od razu kilka i wsunął za wielkie odstające uszy. Przez kilka minut palili w milczeniu.

– Igoriok już nie wróci – powiedział nagle wysokim kobiecym głosem. – Na pewno nie!

– Czemu tak sądzisz? – Andriej był zaskoczony niespodziewanym tembrem jego głosu.

– Wyjechał! Przyjaciel po niego przyjechał, dobry człowiek. Granatowym wozem.

– Niemożliwe?! – Andriej spiął się jak przed skokiem. – Jakim wozem?

– Granatowym. – Andriejka zerknął na śledczego jak na idiotę. – Igor powiedział do mnie: Idź już, Andriejka, nie będę potrzebował twojej pomocy. Pomagałem mu w zimie śnieg odgarniać. Przyjaciel, mówi, do mnie przyjechał, ważny człowiek, jestem mu wdzięczny do grobowej deski. Pora,

mówi, dług spłacić.

– Jak ten człowiek wyglądał?

– Mężczyzna taki. Taki... postawny.

– Jakie miał oczy, włosy, nie pamiętasz?

– Ciemny taki, kurtka czarna, ciemny. A wóz granatowy.

Andriej już zrozumiał, że więcej niczego się nie dowie, ale nie mógł wyjechać, mając w rękach taką ważną, a jednocześnie okrojoną informację.

Przeszedł się jeszcze po chatach, ale babcie nie widziały „ciemnego człowieka”. I granatowego wozu też sobie nie przypominały. Andriej pokrzyżował jeszcze wokół domu i ogrodu pod dobrodusznym spojrzeniem mrugającego do niego imiennika. I zabrał się z powrotem z zamiarem wysłania do domu Jelnika techników, choć był przekonany, że o najważniejszej rzeczy – facecie z wozu, tajemniczym zbawcy Jelnika, już wie.

I niczego ciekawszego i bardziej istotnego technicy nie znajdują.

INNOKIENTIJ

Innokientij siedział i z roztargnieniem patrzył na plan miasta z krzyżkami, który dostał od Maszy. Dzięki Bogu, starczyło jej taktu, by w czasie obiadu nie wprowadzać go w szczegóły, co się za nimi kryje. Apetyt w związku z tym nie ucierpiał, ale ciekawość – straszny grzech i siła napędowa historyka – została rozbudzona. Wydawało mu się, że już gdzieś widział podobny plan z krzyżkami. Z racji swojego zawodu przypuszczał, że musiał być stary. Prawdopodobnie z siedemnastego wieku.

Zaczął szukać atlasu. Gdzie on się podział? Ach, tu... Innokientij w zamyśleniu pogłaskał grzbiet. Stare mapy, tak samo jak stare zdjęcia w sepii i chyba jeszcze obrazy małych mistrzów holenderskich, miały dla niego zupełnie wyjątkowy urok. Pełne były detali zapraszających do oglądania ich w nieskończoność. Malutcy łyżwiarze odtworzeni z lotu ptaka gdzieś na tyłach obrazów Bruegla, kawałek ulicy u de Hoocha, wyraz twarzy i ubrania rodziny kupieckiej na zdjęciach z drugiej połowy dziewiętnastego wieku i te ogrody w centrum osady Strieleckiej na planie – wszystkie miały jedną wspólną cechę. Jego Królewską Mość – detal.

Detal do głębi realistyczny. Podążając w ślad za nim jak za nicią Ariadny w ciemnym labiryncie czasu, można było dotknąć innej rzeczywistości. A przecież, szczerze powiedziawszy, to właśnie dlatego wybrał zawód historyka. Czy to nie jest sposób na przeniknięcie do innych światów? Albo oderwanie się od tego jedyne, do którego trafia się zrzędzeniem losu? Nie wytrzymał i jeszcze raz zerknął na „komentarze” do planu Zygmunta[20]. Pełne nieścistości odzwierciedlały pogląd na Moskwę obcokrajowca, postronnego obserwatora. Innokientij uśmiechnął się, czytając owe komentarze. Kim oni są, mieszkający dziś w Moskwie, jeśli nie postronnymi obserwatorami wieku siedemnastego? Obcy, niewiedzący, że Moskwa, wciśnięta w rankingu gdzieś pomiędzy Delhi a Seul i znajdująca się daleko w tyle za Szanghajem i São Paulo, otóż właśnie ta Moskwa była niegdyś czwartym co do wielkości miastem Europy – po Konstantynopolu, Paryżu

i Lizbonie.

I gdzie ten Konstantynopol? – obojętnie rozmyślał Kientij. – Gdzie Lizbona uginająca się pod ciężarem złota obu Ameryk, owiewana świeżym oceanicznym wiatrem epoki nowych odkryć? Gdzie Paryż, ograbiony przez rewolucje i barona Haussmanna? A tymczasem jeździec mógł objechać moskiewską twierdzę „w ciągu trzech pełnych godzin” – w czasie, jaki współczesny moskwianin spędza codziennie w korkach.

Innokientij rozkoszował się tekstem, który znał prawie na pamięć: „Miejskie świątynie zaś są częściowo z cegieł, w większości z drewna, domy wszystkie z drewna. Nikomu nie wolno budować z kamienia lub tłuźnia oprócz niewielu ze szlachty, a najznakomitsi kupcy mogą budować u siebie w domach specjalne pomieszczenia – małe i niskie, w których chowają najcenniejsze rzeczy w czasie pożaru. Anglicy i Holendrzy oraz kupcy hanzeatyccy przeważnie tu składują swoje towary, sprzedając tkaniny, wyroby z jedwabiu i wonności...”.

Uśmiechnął się, czytając następujące zdanie: „Miejscy kupcy są wielce obeznani i skłonni do transakcji handlowych, wielce szachrajscy, jednak są trochę porządniejsi i bardziej cywilizowani w porównaniu z resztą mieszkańców tej krainy...”.

MASZA

Masza siedziała na korytarzu prokuratury i cierpliwie czekała. Anna Jewgienjewna, postawna kobieta po czterdziestce, śledcza w sprawie Bagrata Gebelaiego, długo kłóciła się z kimś przez telefon. Wreszcie wpuściła Maszę do gabinetu i poprosiła, by usiadła na małym, obciążonym skajem krześle naprzeciwko masywnego biurka.

Biurko było w idealnym porządku, czego nie dałoby się powiedzieć o Annie Jewgienjewnie. Jej czarny sweter, porozciągany na obfitym biuście, cały był w kociej sierści; włosy, zebrane z tyłu w ciężki kok, miała rozczochrane i źle ufarbowane, lakier na owalnych paznokciach jej zaskakująco delikatnych palców podpryskiwał.

– Więc Gebelai? – Postukała paznokciami w blat biurka. Potem gwałtownie odepchnęła się od niego, podjechała na fotelu na kółkach do szafy, bezbłędnie wyciągnęła potrzebną teczkę i wróciła z powrotem do biurka. Otworzyła ją, popatrzyła przez chwilę na papiery, po czym przeniosła spojrzenie na Maszę. – A pani to po co, kochana?

Masza postanowiła nie ujawniać całej prawdy – że niby pisze pracę dyplomową na temat dziwnych zgonów uznanych za wypadki.

– Tak... – Anna Jewgienjewna chrząknęła, sięgnęła po papierosy i zapaliła. – Dziwna śmierć, rzeczywiście. Gebelai był architektem konstruktorem. Zaprojektował kilka stacji metra z daszkami. Dwa lata temu, w godzinach szczytu, gdy pod daszkami zebrał się uciekający przed deszczem tłum, te nagle runęły. Zginęły setki osób. – Śledcza westchnęła i strąciła popiół – częściowo do popielniczki, częściowo na czarny sweter. –

Koszmarne historia. Zginęło mnóstwo kobiet i dzieci. Chyba mnie rozumiesz. – Masza w milczeniu kiwnęła głową. – Gebelai został wtedy oskarżony i skazany razem z wykonawcami. Stacja metra zawaliła się w wyniku wad konstrukcyjnych powstałych w trakcie projektowania – źle dobrano materiały, błędnie obliczono obciążenia... Ale prezydent ułaskawił

Gebelaiego i ten został zwolniony. Tak to było. A po kilku miesiącach znaleziono go martwego w jego mieszkaniu na Leniwce. Cały był wymazany ziemią, ziemię miał też pod paznokciami, był nagi, wychudzony... Lekarze ustalili, że serce nie wytrzymało obciążeń fizycznych. Ale jakie obciążenia mógł mieć ten drań? Był przecież zasłużonym architektem, laureatem wielu konkursów, odznaczony orderem, zresztą miał ten order nawet przypięty bezpośrednio do skóry.

Anna Jewgienjewna pokazała Maszy dwa zdjęcia. Na pierwszym ogólny widok, trochę z góry, mieszkania urządzonego z kiczowatym luksusem, na drugim – sam Bagrat Gebelai skulony w pozycji embrionalnej na podłodze. Do porośniętej ciemnymi włosami klatki piersiowej miał przyczepiony order.

– Co to za order? – spytała Masza.

– Order trzeciego stopnia „Ach’dz-apsza” – powiedziała starsza śledcza zmęczonym głosem. – Najwyższe odznaczenie, które wręcza się obywatelom Abchaskiej Republiki Autonomicznej za wielkie zasługi w dziedzinie nauki, kultury i sztuki. Nasz bohater otrzymał go kilka lat przed tragicznymi wydarzeniami w Moskwie.

– Ale to nie jest jego jedyne wyróżnienie?

– Nie, jest jeszcze medal „Za Zasługi” i inne typu „Zasłużony Architekt Federacji Rosyjskiej” i „Zasłużony Działacz Sztuki”. Nabudował przecież mnóstwo cerkwi w nowych dzielnicach. Na razie, dzięki Bogu, stoją.

Masza przysunęła zdjęcie do oczu: order miał kształt koła z prostymi i falistymi promieniami. Anna Jewgienjewna łaskawie pozwoliła jej na zrobienie ksera kilku zdjęć. Dziewczyna uśmiechnęła się i podniosła z krzesła.

– Bardzo dziękuję za poświęcony mi czas.

– Nie ma za co, pisz dyplom, pogłębiaj wiedzę, jak będą pytania, pomogę!
– Śledcza z łoskotem wstała zza biurka i przeszła w głąb gabinetu.

Wychodząc, Masza zdążyła jeszcze zauważyć, jak włącza czajnik elektryczny.

Idąc korytarzem do wyjścia, z roztargnieniem pomyślała, że życzliwa Anna Jewgienjewna właściwie nie powiedziała jej nic nowego. Jedynie o orderze, o którym nie wspomniano w dokumentach ze sprawy. Wyobraziła

sobie ostry koniec igły na orderze przyczepiony do sianej skóry i wzdrygnęła się.

Muszę trochę o sobie zadbać – postanowiła, potrząsając głową, by odpędzić okropny obraz. – Pójdę poćwiczyć, matka się ucieszy.

Natalia kupiła pół roku temu abonament dla córki, próbując zmusić ją do wyprostowania pleców, poprawienia samopoczucia i zapomnienia o seryjnych mordercach! Więc popracuje nad tym.



Masza nie znosiła uprawiania sportu i wchodziła do holu będącego na topie klubu fitness na Nowosłobodzkiej tak, jak inni wchodzi do dentysty. W rytm dodającej energii muzyki biegła po prowadzącej donikąd bieżni już przynajmniej od pół godziny, gdy nagle zgubiła rytm i z trudem utrzymując równowagę, nacisnęła czerwony guzik. Stop! Order! Coś było nie tak z tym cholernym orderem! Rzuciwszy ręcznik, pobiegła do szatni. Wciąż ciężko dysząc, otworzyła szafkę, wyciągnęła teczkę z zebranymi dokumentami i usiadła na drewnianej ławce.

Kropla potu spadła na ksero zdjęcia, order na zarośniętej klatce piersiowej Gebelaiego wyglądał teraz jak w zbliżeniu. Masza przełknęła ślinę, uniosła nieobecne spojrzenie znad teczki. Wokół przechadzały się półnagie wysportowane dziewczyny – w kostiumach kąpielowych, dresach, owinięte ręcznikami i rozluźnione po gorącym prysznicu. Masza, z teczką na kolanach, patrząca w zamyśleniu w przestrzeń, budziła ich nieskrywane zdumienie.

– Order – szeptała Masza, licząc promienie. – Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Pięć – powtórzyła cicho, a dziewczyny wokół podawały sobie nawzajem krem do ciała, malowały rzęsy, szumiała suszarka do włosów.

Nie, brednie! – pomyślała, ale nie mogła już się zatrzymać. Wymacała w teczce wizytówkę otrzymaną od Anny Jewgienjewny i wybrała numer.

– Słucham – rozległ się niski głos śledczej.

– Dobry wieczór. Znów niepokoi panią Maria Karawaj.

– A, stażystka. Witaj. – Głos obniżył się o kolejną oktawę. Masza usłyszała, jak po drugiej stronie śledcza zapala papierosa. – Pojawiły się

kolejne pytania?

– Tak – powiedziała zakłopotana Masza. – Chodzi o to, że przyjrzałam się zdjęciom i wydaje mi się, że order miał więcej promieni... To pewnie nie jest ważne – dodała szybko, zawstydzona nagle, że niepotrzebnie niepokoi śledczą.

– Zuch dziewczyna. – Masza bardziej wyczuła, niż usłyszała, jak śledcza z przyjemnością wydmuchuje dym papierosa. – Dociekliwość w naszej cholernej pracy jest bardzo ważną cechą. Było ich osiem, stażystko...

– A zostało pięć – przerwała Masza. I pospiesznie zadała kolejne pytanie: – Może się po prostu ułamały?

– Po prostu! – mruknęła śledcza. – Po prostu tylko koty się rodzą. Nie głupsze od ciebie. Odpilowane, kochana, zostały – po prostu. A po co, dlaczego, już mnie głowa od zastanawiania się boli.

– Dziękuję – powiedziała Masza powoli i pożegnawszy się, wyłączyła komórkę. – Pięć – powtórzyła cicho i aż wystraszyła się swojej myśli.

Czy wszystko rzeczywiście układa się w krwawe puzzle, czy to tylko podświadomość usłudźnie podsuwa jej kawałki pasujące do schematu? Schematu zaczynającego się od cyfr „1”, „2”, „3” na podkoszulkach ofiar na nabrzeżu Biersieniewskim, który doprowadził teraz do zasłużonego architekta znalezionego w luksusowym mieszkaniu przy ulicy Leniwka, zmarłego na zawał serca po niezwykle wyczerpującym wysiłku fizycznym? Wzdrygnęła się, gdy zadzwoniła komórka. To był Innokentij.

– Maszo – powiedział – chyba coś mam w sprawie tych twoich punktów. Ale nie jestem pewny. Chcę, żebyś poznała pewnego człowieka. Jeśli możesz, to dzisiaj. – I podyktował adres.



Zmierzchało, gdy spotkali się z Innokentijem przy wejściu do szpitalnego parku. Ochrona nie od razu przepuściła samochód Maszy – widocznie musieli zadzwonić do recepcji. Jechali powoli szeroką aleją wzdłuż starych klonów w głąb parku. Dźwięki miasta stopniowo cichły. Innokentij z galanterią podał Maszy rękę, gdy wysiadała z samochodu, i dziewczyna usłyszała śpiew niewidocznych ptaków. Miała wrażenie, że są za miastem. Weszli szerokimi schodami na ganek w stylu Andrei Palladia – białe

kolumny w półkolu – i Innokentij popchnął ciężkie, wypolerowane tysiącami dłoni drzwi. Masza zdążyła jeszcze przeczytać tabliczkę przy wejściu: KLINIKA PSYCHIATRYCZNA IM. I.P. PAWŁOWA.

W środku znajdowały się już bardziej współczesne drzwi z grubego szkła. Dziewczyna w recepcji skinęła głową i drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry – powiedział Innokentij. – My do profesora Gluzmana.

Masza myślała, że chodzi o lekarza, ale sympatyczna pielęgniarka tak słodko się uśmiechnęła, mówiąc, że Ilja Jakowlewicz czuje się wspaniale i może ich przyjąć, że zwątpiła w to.

– Co to znaczy? – spytała, gdy szli korytarzem pokrytym wykładziną dywanową.

– Ilja Jakowlewicz to mój ulubiony nauczyciel – wyjaśnił Kiesza przyciszonym głosem, ściskając zimną dłoń Maszy. – Opowiadałem ci o nim sto lat temu! Oczywiście już nie pamiętasz! Jest profesorem habilitowanym, specjalistą od rosyjskiego średniowiecza. Niech cię nie odstrasza fakt, że jest w szpitalu – ma właśnie „dobry” okres. Pisze książki, udziela konsultacji, jeszcze niedawno jeździł po świecie z wykładami.

Ale Masza mimo wszystko czuła się nieswojo – zza drzwi po obu stronach korytarza nie dobiegał żaden dźwięk. Cicha, ledwie słyszalna muzyka klasyczna koła nerwy. Czyje? Odwiedzających? Personelu medycznego? Pielęgniarka tymczasem stanęła przed drzwiami wyglądającymi identycznie jak inne i delikatnie zadzwoniła. Na progu pojawiła się kobieta podobna do niej niczym siostra bliźniaczka – taki sam radosny uśmiech na ich widok, taka sama sympatyczna twarz.

– Ależ to Innocenty! – rozległ się donośny głos w głębi pokoju i pielęgniarka, kiwnąwszy głową, odsunęła się na bok.

Starszy mężczyzna koło sześćdziesiątki, o okrągłej łagodnej twarzy porośniętej modnym szpakowatym zarostem i prawie tak samo krótkim językiem na jajowatej głowie, był ubrany raczej jak wykładowca Oksfordu niż pacjent szpitala psychiatrycznego. Miał na sobie ciemnozieloną marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, cienki wełniany golf i sztruksowe spodnie. Odwrócił się do nich na elektrycznym wózku i uścisnął rękę Innokentijowi. Potem chytrze uśmiechnął się do Maszy.

– Gluzman Ilja Jakowlewicz do pani usług. – I uniósł jej dłoń do ust, ale nie pocałował, czyniąc tylko dżentelmeński gest.

– Masza – przedstawiła się zmieszana dziewczyna.

– Dziękuję, Innokientiju, że przyprowadziłeś do starego pustelnika taką piękność! – Gluzman z przechyloną na bok głową przez chwilę jej się przyglądał niczym ciekawski ptak. – Przynajmniej napatrzę się na stare lata!

I odjechał, pokazując pielęgniarce, gdzie ma postawić przygotowany czajnik – na niskim stoliku, idealnie dopasowanym do wózka inwalidzkiego.

Na stoliku już pyszniła się porcelanowa patera z czekoladkami i druga – kryształowa, w której w artystycznym nieładzie sąsiadowały ze sobą ciemne, prawie czarne czereśnie i lśniące, jakby powlekane woskiem truskawki, drobne i intensywnie pachnące. Maszy po ćwiczeniach na siłowni i całym dniu pracy śliska napłynęła do ust.

– Proszę, proszę siadać, panno Maszo! – Gospodarz zrećcznie przesunął w jej stronę filiżankę, nalał esencji, a potem gorącej wody, sięgnął po mikroskopijny spodeczek z cieniutkim plasterkiem cytryny, po srebrną cukierniczkę z kostkami cukru. – Dzisiejsze dziewczyny pewnie piją herbatę bez cukru?

– Dureń!! – nagle rozległ się prawie nad samym uchem Maszy starczy głos.

Podskoczyła wystraszona i obejrzała się za siebie. Za jej plecami wisiała wielka klatka z ogromną papugą.

– Dureń! – powtórzyła papuga.

– Wiem to i bez ciebie! – dobrodusznie powiedział Gluzman.

Masza się roześmiała. Napięcie spowodowane długim marszem korytarzami luksusowego szpitala psychiatrycznego opadło. Gluzman był chory, ale żadnych oznak szaleństwa nie wykazywał. Wręcz przeciwnie. Spojrzenie jego brązowych oczu było przenikliwe, duże usta rozciągały się w ironicznym uśmiechu.

– Czy nie sądzi pani, droga Mary, że moja papuga, źle wychowana hultajka, jest podobna do mnie?

Masza skinęła głową i łyknęła z delikatnej filiżanki. Herbata była znakomita.

– Nie przepadam za tymi wszystkimi zielonymi i czerwonymi herbatkami z kwiatami, pąkami, listkami i posiekaną słomą, które pachną wszystkim, tylko nie herbatą! Mających napotne, uspokajające i inne lecznicze właściwości. – Gluzman obsłużył Innokientija i odchylił się w fotelu, wyraźnie zadowolony z siebie. – Co was sprowadza, młodzi przyjaciele, do mojej skromnej pustelni?

– Iljo Jakowlewiczu – Innokientij pochylił się i wyciągnął z teczki Maszy plan miasta – potrzebujemy pańskiej pomocy. A ściślej mówiąc, potwierdzenia mojej hipotezy. – Podał profesorowi kartkę.

Gluzman wyciągnął z kieszeni okrągłe okulary z bardzo grubymi szklami i założył je na mięsisty nos. Z obojętnym wyrazem twarzy, przechylając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, uważnie obejrzał plan.

– Panie profesorze, widzę w zaznaczonych punktach pewną prawidłowość... – Zdenerwowany Innokientij aż podniósł się z krzesła.

– Być może to tylko przypadek, ale... – Gluzman zwrócił się do Maszy, zdjął okulary i uśmiechnął się – zęby miał nienaturalnie białe. – Innocenty dojrzał to samo co ja. To złoty chłopak, niech go pani mocno trzyma.

Masza odwzajemniła uśmiech.

– Trzymam go już od wielu lat!

Gluzman skinął głową i spojrzał na spłonionego Kieszę.

– Nigdy nie bój się własnych wniosków, chłopcze! Trzeba zaufać swemu wewnętrznemu głosowi, bo on opiera się przede wszystkim na wiedzy! No i mieć zaufanie do własnych przeczuć. A ono przychodzi wraz z doświadczeniem.

– Niebiańskie Jeruzalem – powiedział cicho Kiesza.

– Niebiańskie Jeruzalem – niczym echo powtórzył Gluzman. – Właśnie ono.

Zmieszana Masza patrzyła raz na jednego, raz na drugiego.

– Mario, zdziwienie w pani oczach dowodzi, że nie wie pani nic o koncepcji niebiańskiego Jeruzalem, prawda? – Gluzman podjechał na wózku do półek z książkami, które zajmowały całą ścianę pokoju. – Weźmy na przykład na początek to. – Wyjął książkę w skórzanej okładce. – *Pismo*

Święte. Czytała pani?

Masza poczuła, że się czerwieni.

– Oczywiście, że pani czytała – stwierdził Gluzman, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Ale kto by tam pamiętał o takich książkach? Tylko tacy starcy jak ja. Chwileczkę, zaraz znajdę... – Zaszeleścił kartkami. – Proszę posłuchać, to z Apokalipsy: „I Miasto Święte – Jeruzalem Nowe ujrzałem zstępujące z nieba od Boga, przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża”[21]. – Gluzman zdjął okulary i uniósł wzrok na Maszę: –

Otóż, Maszeńko – pozwoli pani, że tak się do pani zwrócę? – w tradycji religijnej Jerozolimę uważano za pierwszą wśród miast i pępek świata tylko dlatego, że była pierwowzorem Grodu Niebiańskiego. A Jeruzalem niebiański z kolei to nic innego, jak królestwo świętych w niebie. –

Uśmiechnął się. – Jeśli wierzyć Janowi, miasto nieziemskiej urody, całe lśniące, zbudowane ze świetlistych materiałów. Bramy – z pereł, fundamenty – z drogocennych kamieni: jaspisu, szafiru, chalcedonu, szmaragdu, topazu, chryzoprazu, ametystu; rynek – ze złota... I nie jest to tylko wyraz gustu autora, jego wyobrażenia o pięknie. Nie!

Gluzman spojrzał na Innokentija. Ulubiony uczeń go nie zawiódł.

– Kamienie symbolizowały wówczas źródło sakralnej energii, są wieczne i jako takie – idealne, w odróżnieniu od śmiertelnego świata ludzi, zwierząt czy roślin...

Gluzman przerwał mu.

– Jeruzalem niebiański to wyobrażenie Kościoła, święte miasto, w którym człowiek obcuje z Bogiem. Tylko w nim jest możliwe powszechne zjednoczenie w cnocie, którego nie dało się osiągnąć przy budowie wieży Babel – mówił jakby w natchnieniu. – Ale Jeruzalem, choć jest to dość dziwne jak na synonim Kościoła, oznacza też duchową wolność. Wolność, Maszo, to bardzo ważne!

Masza poczuła się jak kompletna idiotka, co Gluzman, zdaje się, zauważył.

– Zresztą, chyba całkiem namieszałem pani w głowie! Proszę tylko pamiętać, że mimo głębokiej symboliki jest w opisie Niebiańskiego Grodu dokładność i precyzja, które umożliwiły przenoszenie go nieskończoną liczbę razy ze sfer niebieskich do twardej ziemskiej rzeczywistości. – Ponownie

otworzył Biblię. – Proszę tylko posłuchać, jaka doskonała architektoniczna precyzja, każdy detal to swoisty symbol. – Profesor uniósł palec. – Otóż niebiańskie Jeruzalem ma kształt kwadratu, którego boki są zwrócone na wszystkie strony świata. W każdej ścianie muru są trzy bramy, ukazujące wszystkim stronom świata obraz Trójcy.

Masza posłała Innokentijowi bezradne spojrzenie. Ten mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Maszo, proszę zamknąć oczy i wyobrazić sobie to miasto! Ma wielkie, wysokie mury – wyliczał z namaszczeniem Gluzman – dwanaście bram, a na nich dwunastu aniołów...

Masza, która do tej pory, pochyliwszy głowę, słuchała uważnie, przy dwunastu aniołach nie wytrzymała.

– Iljo Jakowlewiczu, nie rozumiem, co z tym wszystkim wspólnego ma...

– Cierpliwości, moje dziecko, cierpliwości, zaraz dojdziemy do sedna sprawy. Proszę się nie spieszyć, pośpiech to przeznaczenie dyletantów, a pani jest jeszcze młoda. Kto chce posiadać wiedzę, niech wystrzega się niecierpliwości. O czym to mówiliśmy? Ach tak, że słowa w *Piśmie Świętym*, pełne symboliki, były odbierane często jako instrukcja do działania. Średniowieczna architektura miała dwie podstawy – Jeruzalem niebiańskie i Jerozolimę ziemską, dobrze nam znaną. Powiedzmy, Obraz i Praobraz. Proszę sobie przypomnieć Złote Bramy w Kijowie i Włodzimierzu, odtwarzające Złotą Bramę w Jerozolimie i późniejszą w Konstantynopolu.

Masza nerwowo skinęła głową.

– Symbolika ziemskiej Jerozolimy była wykorzystywana o wiele rzadziej i tylko w miastach stołecznych – zauważył Innokentij. – Natomiast miastami o strukturze i kompozycji Jeruzalem niebiańskiego były Kijów, Psków, Kaszyn, Biełoozero[22], Kaługa... I oczywiście Moskwa.

– Dziwne – odezwała się niepewnie Masza. – Zawsze uważałam, że w średniowieczu budowano miasta chaotycznie. Wąskie uliczki prowadzące donikąd, konsekwencja improwizowanej zabudowy po częstych pożarach...

– To pogląd dość rozpowszechniony, ale całkowicie błędny! – oburzył się Gluzman. – Równie jak opinia o „mroku średniowiecza”. A fe! To był trudny, ale i piękny okres, który podarował światu genialną architekturę,

malarstwo, rzeźbiarstwo, literaturę wreszcie! Czy człowiek stworzył coś piękniejszego od unoszących się w niebo strzelistych gotyckich świątyń? Albo szlachetnie prostej cerkwi Pokrowa na Nerli[23], żeby tak się szczyścić późniejszymi wiekami?! Myślałby kto, że w osiemnastym czy dziewiętnastym wieku w Moskwie było mniej nędzarzy, sierot i kalek! Mniej brudu, knajp i domów publicznych na głowę mieszkańca! A idei... Wzniosłej religijnej idei, która wcześniej prowadziła i uduchowiała życie nawet najmłodszego czeladnika... Już nie było!

Gluzman znów przesunął się na wózku do półek z książkami i wyciągnął kilka kolejnych postrzępionych tomów.

– To teraz, w naszym pięknym dwudziestym pierwszym wieku, budują byle jak! Wtedy zastanawiano się nad każdym położonym kamieniem. Kościoły powstawały za życia trzech, pięciu pokoleń. Nie to co projekty Gebelaiego!

Masza wzdrygnęła się.

– Proszę się zastanowić, Maszo! Ludzie: ich dzieci, wnuki, prawnuki, rodzili się, żenili, starzeli i umierali w cieniu wznoszonej świątyni. I nie dało się wykonać takiej pracy bez głębokiego namysłu, bez fundamentalnej idei, wokół której, niczym ciało obrastające kości, formowało się życie we wszystkich jego postaciach.

Innokentij posłał Maszy spojrzenie – że niby co za wspaniały zaimprovizowany wykład. Wyraźnie rozkoszował się rozmową.

– Teraz przejdźmy do Moskwy. – Gluzman ściszył głos i wyćwiczonym gestem wykładowcy poprawił okulary na dużym nosie. – Chodzi o to, Maszo, że Moskwę często nazywa się trzecim Rzymem. A przecież to idea bardziej świecka, polityczna... Imperialna, można powiedzieć. Idea samowładcza, koniunkturalna. O wiele głębsza i starsza jest idea Moskwy jako drugiej Jerozolimy, mocno zakorzeniona w rosyjskim prawosławiu. Moskwa zaś, jak pani pamięta, jest spadkobierczynią Bizancjum. Konstantynopol padł w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku. Stąd religijno-mistyczna koncepcja, by stworzyć praobraz Niebiańskiego Grodu na ziemi. Wynikało to z całkiem realnych wydarzeń. Dwudziestego dziewiątego maja tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego roku Konstantynopol zostaje zajęty przez osmańskiego sułtana Mehmeda Drugiego, a podczas walk ginie ostatni

bizantyjski imperator Konstantyn Jedenasty. Turcy przemianowują Konstantynopol na Sambuł i robią z niego stolicę imperium osmańskiego. Tak upadł fundament światowego prawosławia. Z punktu widzenia prawosławnej biurokracji oznaczało to przeorientowanie się Wielkiego Księstwa Moskiewskiego z patriarchatu konstantynopolitańskiego na jerozolimski. Teraz idea Nowej Jerozolimy na ziemi moskiewskiej stała się jak najbardziej realna. Dziś, zajęci własnymi błahymi problemami, nawet nie umiemy sobie wyobrazić, jaką moc w czasach, gdy nie było ani telewizji, ani radia, ani – dla większości – nawet możliwości wymiany informacji, miała idea przekształcenia Moskwy w Gród Boży. I Iwan Trzeci, i Iwan Groźny mają w tym swój udział. Zostawmy carów! Wszyscy i każdy z osobna, od cara po ostatniego smerdę, pracowali na rzecz stanowienia kraju jako Nowej Jerozolimy. Proszę tylko sobie wyobrazić! To tak, jakby w naszych czasach oligarchów i bezdomnych połączyło jedno marzenie i dążenie! Nasi przodkowie mieli w swoich średniowiecznych głowach precyzyjną i klarowną wizję: jeśli Moskwa stanie się Nową Jerozolimą, uzyska pierwszeństwo w osiągnięciu Królestwa Niebieskiego. A w następstwie – wszyscy osiedleni w niej chrześcijanie ze swoim carem na czele znajdą się na początku kolejki do raju. Dlatego do Moskwy zwożono z całego świata relikwie i świętości. I nie chodziło tu o osobistą pobożność cara, nie! Chodziło o politykę państwową jednoczącą cały kraj. Im więcej świętości zbierze miasto, tym bardziej „święte” samo się staje.

Gluzman ostrożnie odsunął filiżankę i cukierniczkę, żeby zrobić wystarczająco dużo miejsca dla starej, z początku dziewiętnastego wieku, książki. Przerzucał strony, całe w żółtych plamach, aż znalazł właściwą.

– To słynny plan Moskwy[24] z książki Sigismunda von Herbersteina *Zapiski o Moskwii*. Współcześni nazywali barona Kolumbem Rosji. Herberstein bywał w Moskwie w roku tysiąc pięćset siedemnastym i tysiąc pięćset dwudziestym szóstym, a plan jest datowany na rok tysiąc pięćset pięćdziesiąty szósty. A tu jeszcze jeden – z Atlasu Blaeu[25] z tysiąc sześćset trzynastego roku.

Innokentij i Masza pochyliłi się nad planem.

– Patrzcie! Stara Moskwa wpisuje się w krąg, symbol wieczności. W tym wiecznego Królestwa Niebieskiego. Zajrzyjmy teraz do Apokalipsy świętego Jana. – Gluzman, z braku miejsca położył Biblię na kolanach. – „Miało ono

mur wielki a wysoki, miało dwanaście bram... Od wschodu trzy bramy i od północy trzy bramy, i od południa trzy bramy, i od zachodu trzy bramy”[26]. Porównajmy: moskiewskie mury Skorodomu[27], starego pasa obronnego stolicy, w całości odpowiadają temu opisowi nie tylko liczbą bram, ale i zwróceniem ich na cztery strony świata. Tak samo były umiejscowione bramy we wcześniejszym, Białym – Carskim – Grodzie[28]: po trzy bramy skierowane w każdą stronę świata. – Uniósł wzrok na Maszę, żeby upewnić się, czy uważnie go słucha. – I co mamy, proszę pani? A mamy to, że Moskwa dwukrotnie była otoczona dwunastobramnymi murami Niebiańskiego Grodu, najpierw kamiennym, potem drewnianym. Patrzmy dalej: „A Miasto układa się w czworobok i długość jego tak wielka jest, jak i szerokość”[29]. Przypomnijmy: długość osi północ–południe twierdzy Skorodom to cztery kilometry osiemset metrów, a długość osi wschód–zachód – cztery kilometry siedemset metrów – praktycznie krzyż o równych ramionach, domniemany kwadrat. Zgodzi się pani, że to nie może być przypadkowe. A wysokość murów? W niebiańskim Jeruzalem ma „sto czterdzieści cztery łokcie: miara, którą ma anioł, jest miarą człowieka”[30]. Jeśli założymy, że łokiec to mniej więcej pół metra, i pomnożymy to przez sto czterdzieści, otrzymamy siedemdziesiąt metrów – taki mur był za wysoki dla średniowiecznej Moskwy. Ale Baszta Spasska ma właśnie tyle: sto czterdzieści cztery łokcie. To jeśli chodzi o strukturę, o kształt, że tak powiem. A co z kolorem? Przyjrzyjmy się kolorowi. Jaspis z niebiańskiego Jeruzalem, zielony kamień, symbolizuje wieczne życie świętych, granatowy (pamięta pani szafir z Niebiańskiego Grodu, Maszeńko?) – niebiosy, a złoto – pobożność. Moskiewskie kopuły mogły być tylko w trzech kolorach: złotym, granatowym i zielonym!

– W siedemnastym wieku – podchwycił Innokentij – wszystkie cerkwie były pokryte ornamentami; nie tylko rzeźbieniem w kamieniu i barwnymi kaflami zachowanymi do naszych czasów, ale również malowidłami kwiatów i traw. Obecnie można się o tym przekonać na podstawie fragmentów kafli ściennych w cerkwi Zaśnięcia Matki Bożej w Gonczarach, gdzie zostały wydobyte spod późniejszych warstw tynków i...

– Kientij – cicho upomniała go Masza. – Przejdź do sedna sprawy.

– Ależ my, Maszeńko, cały czas właśnie o tym mówimy! – Gluzman uśmiechnął się tryumfalnie. – Wszystkie pani krzyżki na planie mają swoje

wytłumaczenie. Jak najbardziej konkretne!

ANDRIEJ

Andriej trzymał w ręku słuchawkę, z której od kilku sekund dochodziły krótkie sygnały. Osadzony, ksywka Doktor, znany oficjalnie jako Cytman Oleg Lwowicz, po przedterminowym zwolnieniu za dobre sprawowanie wyjechał do Izraela. Ciekawe, jak mu się to udało? Andriej był przekonany, że dla otrzymania zgody na osiedlenie się lub nawet wizy pobyt w więzieniu jest pewną przeszkodą.

Kolejna wiadomość była jeszcze ciekawsza. Dobry doktor Ojboli^[31] zarabiał na tym, że jeździł po wsiach i miastach rosyjskich, czasami mołdawskich, ukraińskich, jak również po innych odległych częściach byłych republik radzieckich, i skupował w nich coś, co nie jest na sprzedaż – ludzkie organy. Nędza i beznadzieja zmuszały ludzi do sprzedaży organów. Najczęściej tych najbardziej potrzebnych: nerek. Tak jak dla mieszkańców Bangladeszu, zarobione w ten sposób piętnaście–dwadzieścia tysięcy w walucie to była dla nich ogromna suma. Dawni kołchoźnicy, pozostawieni przez państwo na pastwę losu, cieszyli się, remontowali domy, kupowali krowę, a doktor Cytman, podczas gdy lekarze i prawnicy z całego świata zastanawiali się – legalizować sprzedaż organów czy jej nie legalizować – powolutku się bogacił. Jednak światowa i rosyjska społeczność nigdy się nie dogadały. Dobrego doktora złapano i osądzono przy jęku mołdawskich chłopów, którzy mieli jeszcze po dwie nerki, natomiast pieniędzy – już nie.

I co się stało? Cytman siedział z Jelnikiem i oczywiście opowiedział mu, dlaczego znalazł się za kratami. Jaki wniosek wyciągnął z tego Jelnik? Taki sam, jak teraz Andriej: że sprzedaż organów to świetny interes. Ale Jelnik nie był lekarzem. Operować nie potrafił. I jeśli korzystał z noża, to tylko w jednym celu – żeby zabijać. Cytman i Jelnik połączyli swoje siły? Jeden zabijał, drugi zabierał organy?

Trzeba się dowiedzieć, kiedy Cytman był ostatni raz w Rosji i – jeśli się uda – kiedy rozmawiał po raz ostatni z Jelnikiem.

Andriej zadzwonił do działów bezpieczeństwa dużych operatorów telefonicznych obsługujących Moskwę i obwód moskiewski. Po półgodzinie otrzymał faksem billingi.

Najpierw szybko przejrzał listę, szukając numeru kierunkowego Izraela. Jednak kierunkowy 972 nigdzie nie figurował. Byłoby to zbyt proste – sam numer telefonu i lista połączeń nic nie znaczyły. Jelnik mógł mieć dowolną liczbę numerów na cudze nazwiska, mógł dzwonić z budki telefonicznej czy skądś indziej!

Zaraz też oddzwonili do niego z ambasady w Izraelu z informacją, że od momentu otrzymania nowego obywatelstwa pan Cytman nigdy nie przekroczył granic Rosji.

Drzwi, które tak zapraszająco otworzyły się przed Andriejem, ze zgrzytem się zatrzasnęły. Cytman nie mógł brać udziału w działaniach Jelnika, w każdym razie tych związanych z przeszczepem organów. Organy dawców trzeba przewozić wyjątkowo ostrożnie i szybko – jeśli doktora Ojboli nie było na miejscu, sam Jelnik z tym zadaniem nie dałby sobie rady. Ale opróżnione z organów ciało Jelnika potwierdzało hipotezę o możliwym związku pomiędzy śmiercią byłego kilerka i sprzedażą organów. Andriej przytrzymał drzwi nogą – skoro nie chodzi o Cytmana, to może o kogoś innego?

Znów wziął do rąk cholerne kartki. Miał tak zmęczony wzrok, że nieskończone wiersze liczb zlewały się ze sobą. Gdy nie wiesz, czego szukać, szukaj czegoś nietypowego: innego kraju, oddalonego regionu, zbyt długich rozmów, zbyt częstych połączeń, i sprawdzaj, sprawdzaj, sprawdzaj...

Andriej szukał – i znalazł. Kilka dziesięciosekundowych połączeń z okółomiesięczną przerwą między nimi. Podkreślił je na czerwono – połączenia z miejscowym numerem. Odwrócił się do komputera, żeby wyszukać bazę danych – jest! Numer należał do jakiejś państwowej instytucji przy Ministerstwie Obrony. Andriej odchylił się na krześle – coś zaczęło się rysować. Wojskowi odwiedzający Jelnika jeszcze przed jego osiedleniem się na wsi... Nie miał żadnych wątpliwości, że poszukiwany telefon znajduje się gdzieś w sekretariacie, więc z Jelnikiem mógł skontaktować się każdy. Prawie każdy. I można go namierzyć.

Jelnik, który został „*Herr* Doktorem”, i wojskowi. Andriej chrząknął,

przecież Ministerstwo Obrony i Ministerstwo Zdrowia miały zupełnie inne cele: w jednym wysyłano ludzi na śmierć, w drugim przed śmiercią ratowano. Ale to była już sofistyka, a za sofistyką Andriej nie przepadał.

W Moskwie zapadła noc, strasznie chciało mu się spać i jeść, musiał też pamiętać o karmie dla bezczelnego kundla. Coś w rodzaju obrzydliwych kulek Pedigree, które reklamowali w telewizji jako panaceum na namolne głodne psy.

Zamykając drzwi do gabinetu, rzucił ostatnie spojrzenie na biurko, przy którym siedziała dziś Masza, i nagle pomyślał – bez zwykłej złośliwości – że panienka pewnie dawno już śpi jak zabita.

MASZA

Masza spała jak zabita, ale wcale nie od tak dawna.

W drodze powrotnej z kliniki w samochodzie panowała cisza. Masza rozmyślała nad świeżo otrzymaną informacją, zupełnie szaloną, fantastyczną, niemożliwą. Ale, choć niemożliwa i fantastyczna, pasowała jak ulał do wszystkich zabójstw według jej schematu. I same zabójstwa po raz pierwszy zgodnie tworzyły łańcuszek według szaleńczej, ale jednak logiki. A Masza wystarczająco długo miała do czynienia – za pośrednictwem książek, dokumentów i artykułów – z maniakami, by wiedzieć, że logika to ich hobby. Bez logicznego wytłumaczenia i usprawiedliwienia się przed samym sobą seryjny morderca nie ruszy z miejsca. Wejść w jego skórę – myślała, patrząc na przebiegające za oknem Sadowoje Kolco[32]. – Kim jesteś, miłośniku Niebiańskiego Grodu? Drogie samochody mknęły przez miasto, które nigdy nie zasypia. Migąły restauracje, lśniły światła modnych klubów ze striptizem. Minęli ostatni trolejbus podobny do prehistorycznego roślinożernego gada na tle drapieźnych, szczerzących zęby bmw i jaguarów. W trolejbusie też byli ludzie – ale o zupełnie innych twarzach niż oblicze człowieka w stojącym obok na światłach otwartym porsche. Masza skrzywiła się na widok zadowolonej miny kierowcy.

– Wątpię, by stać go było na porsche – odezwał się Innokientij, jakby czytając w jej myślach. – Prawdopodobnie jeździ trolejbusem... I jeśli go do tej pory nie złapali, jest nie tylko dobrze wykształcony, ale i inteligentny.

Masza wzdrygnęła się na wspomnienie skulonego w pozycji embrionalnej architekta z medalem przyczepionym prosto do skóry. I do tego bardzo okrutny – pomyślała. – Widocznie wznosi się wokół niego lśniące czystością niebiańskie Jeruzalem. Słyszy rajskie pieśni i nie docierają do niego jęki ofiar, jest zimny i wyniosły niczym szmaragd i jaspis.

Innokientij wprowadził samochód, którego Masza używała do spótki z matką, do garażu i odholował dziewczynę do drzwi.

– Dobranoc – powiedział ciepło, patrząc na nią ze współczuciem.

Masza uśmiechnęła się, pocałowała go w policzek i uściskała – bardzo nie chciała spać dziś sama. Ale z Kientijem też nie!



Weszła do ciemnego mieszkania i rozebrała się, nie włączając światła w korytarzu, żeby nie obudzić matki i ojczyma. Ich równomierne, spokojne oddechy dobiegały z dalszego pokoju i Masza po raz pierwszy ucieszyła się, że w domu jest mężczyzna. Położyła się do łóżka i długo nie mogła się ogrzać. Skulona rozcierała stopy, odpędzając straszne obrazy. Ale sen, który ją nawiedził, był niespodziewanie piękny.

Śniła jej się średniowieczna Moskwa. Na wszystkich skrzyżowaniach stały cerkwie. Na ich ścianach widniały malowidła przedstawiające trawy, kwiaty i ptaki. Masza z uniesioną głową patrzyła na płonące w słońcu kopuły. Szła drewnianym chodnikiem, zachłannie rozglądając się dookoła – kwitły drzewa w sadach, piały koguty, krowy muczały i śpiewały ptaki, pachniało świeżo skoszoną trawą. Skądkolwiek by spojrzała, widziała łuki brązowo-czerwonych blanków Kremla wznoszącego się nad porośniętymi soczystą zielenią brzegami rzeki Moskwy. We śnie Masza z łatwością przenosiła się ze Wzgórza Borowickiego w dolinę Zamoskworiecza, a potem na Szwiwą Górkę. I wszystko, na czym spoczął wzrok, było piękne i nowe, świeże jak w dniu stworzenia świata, gdy nie istniał jeszcze człowiek, ale były już sady i świątynie z niezliczonymi kopułami. I wszystko wydawało się logiczne i prawidłowe – wszystkie ulice prowadziły do murów Kremla; im bliżej Kremla, tym wieże Kitaj-grodu[33], Białego Grodu i Skorodomu stawały się wyższe i liczniejsze. Zobaczyła siebie siedzącą na dzwonnicy Iwana Wielkiego, skąd rozpościerał się oszałamiający widok na rzędy prastarych monasterów. Na pierwszy, wąski, składały się: Aleksiejewski, Kriestowozdwiżenski[34], Nikicki, Georgijewski, Złatoustowski i Iwanowski. Za nimi, już szerzej, niestłoczone, stały na wysokich stokach Nieglinki Wysoko-Pietrowski, Roźdiestwienski[35], Srietieński... A dalej, gubiąc się w porannej mgiełce, wznosiły się już na polach monastyrystrażnice: Nowodiewiczy, Nowospasski, Simonowski, Andronikowski, Daniłowski, Donski.

Obudziła się z uczuciem błogości, jakiej nie doznała od czasów

dzieciństwa, gdy budziła się rano i wiedziała, że pod choinką czekają na nią prezenty i otacza ją ciepła i nieskończona miłość rodziców. Dopiero pod prysznicem trochę się otrząsnęła z tego uczucia: zawstydzona pomyślała, że taką cukierkową Ruś propagują przecież ideowi nacjonaści. U nich też jest błękitne niebo, pozłacane kopuły, rumiane dziatki, piękne dziewczki w kokosznikach. Ale w jej śnie – gdzie było tak pięknie, wspaniale, tak lekko się oddychało i daleko widziało – nic nie było naciągane, bo brakowało w nim człowieka.

Wyszła spod prysznic, zadając sobie pytanie: ciekawe, jak to wszystko wygląda w głowie zabójcy? Czyżby tkwił w niej taki cikliwy, ociekający słodyczą obraz świata? I sama sobie odpowiedziała – nie. Nie ma tam słodyczy. On nie jest idiotą, ten jej zabójca. On wszystko wie o człowieku. Ale nie wybacza, tylko zabija.

Wyszła z łazienki i usiadła przy stole. Ojczym puścił do niej oko znad filiżanki kawy, a mama łomotała garnkami, stojąc do niej tyłem. I co ona tak się tłucze od rana? Na kuchence chyba nic się nie pichciło. Masza uśmiechnęła się. Hałasując nadmiernie, Natalia dawała do zrozumienia, że chce, jak każda normalna matka, czegoś się dowiedzieć o życiu osobistym córki! To, że Masza wróciła do domu po północy, świadczyło w jej mniemaniu o romantycznej randce. Ach, mamó, mamó – myślała Masza, popijając zaparzoną przez ojczyma kawę, jak zwykle pyszną. Żebyś ty wiedziała, co to była za randka, co za rozmowy...

Mogła łatwo się wytłumaczyć, informując przy rodzinnym stole, że nie było romantycznie. Ale wtedy musiałyby coś opowiedzieć i jutro, i pojutrze, i każdego innego dnia. A ona nie lubiła o sobie mówić. Tata mówił o niej „cicha woda”, a mama tłumaczyła jej niechęć do szczerych rozmów „przekłętą, odziedziczoną po ojcu skrytością”.

– Świetnie wyglądasz, mamusiu! – powiedziała, wstając zza stołu i całując matkę w starannie ufarbowane włosy.

– Naprawdę? – Matka odwróciła się do niej i figlarnie uśmiechnęła.

– Przecież mówię ci to samo! – już w korytarzu Masza usłyszała głos ojczyma.

– A w czasie śniadania widziała w ogóle moją twarz czy tylko plecy? – zastanawiała się matka zamyślona.

Ale Masza zdążyła już wybiec na zewnątrz.

ANDRIEJ

Odpowiedzi na podstawowe zagadnienia egzystencjalne Andriej znajdował tam, gdzie większość ludzkości – w wychodku. Rozmyślał o tym, że Jelnik w tej zabitej dechami wiosce, która nie mogła się nawet równać z jego całkiem cywilizowanym osiedlem domków letniskowych, ma sedes z prawdziwą spłuczką i marmurową podłogę. A on zapadające się pod stopami deski, o spłuczce nie wspominając... Nawet statystyczny letnik – upomniał siebie Andriej – ma bioagregat. A on? Coś w stylu radzieckiej dbałości o higienę – kawałki gazety na gwoźdźniku! Fúj, co za paskudztwo! À propos gazetek, Andriej otworzył drzwi wychodka i przyjrzał się stronie. No tak – wszechobecny „MK”[\[36\]](#)!

Czasami, wracając kolejką podmiejską z pracy, kupował ją u ulicznych sprzedawców, żeby się zrelaksować. O, na przykład kronika kryminalna... Coś zadźwięczało mu w głowie – jakby pieniążek potoczył się pod kanapę, zapomniałeś o tym, ale on wciąż tam leży w królestwie kurzu. Już coś podobnego czytał, ale nie w analizach i nie w literaturze pięknej. Coś o matce żołnierza, która dostała ciało syna, a ono okazało się zadziwiająco lekkie. Nie bez powodu – nie miało serca, nerek, wątroby... Według oficjalnej wersji żołnierz popełnił samobójstwo. Monetki, monetki – czternaście sztuk w pustym ciele Jelnika.

Andriej pomknął do domu, gdzie czekał na niego psiak z tak wygłodniałą mordą, jakby nie połknął wczoraj zachwalanego w reklamach Pedigree, a potem jeszcze pięciu parówek kupionych przez Andrieja.

– Co z ciebie za pies?! – zapytał bezczelną mordę Andriej, wkładając dzinsy, buty i podkoszulek, jednocześnie popijając wystygłą kawę. – Drań z ciebie, nie pies! Wyrzucę na ulicę, będziesz zdychał pod płótem, zrozumiałeś? – Andriej sztorcował kundla w pełni świadomy, że tamten wcale się go nie boi. Poza tym, uśmiechnął się do siebie, wskazując do wozu, nawet intonację ma już jak mąż z małżeństwa o długim stażu. Jakkolwiek by

się pieklił, i tak są na siebie skazani.

Wbiegając po nieskończenie długim staniu w korkach do gabinetu, umyślnie nie zwrócił uwagi na sygnalizujący skrywaną tajemnicę wyraz twarzy stażystki i rzucił się do komputera, by wstukać „MK”. Specjaliści od marketingu powiedzieliby, że treść i stylistyka gazety znalazła swoje idealne – idealnie pozbawione gustu – odzwierciedlenie w wersji internetowej. Ale Andriej miał to gdzieś – szukał plotek sprzed prawie dwóch lat, wpisując w wyszukiwarce po kolei: organy – samobójstwo – żołnierz, wojskowi – kradzież organów, i dalej coś w tym stylu. I znalazł! No nie, sprawa zdecydowanie ruszyła z miejsca! Więc: bla-bla-bla, samobójstwo szeregowego D., ciało przywieziono na wieś, bla-bla-bla... Jest: generał Owczarow dementuje plotki o rzekomo skradzionych organach. Nazywa to podłą prowokacją... Dalej już nic ciekawego. Ale jest nazwisko. Andriej zapisał w notesie dane generała i autora artykułu.

Rozdzwonił się telefon na biurku. Andriej i Masza aż podskoczyli. Aniutin czekał na raport. Andriej był dzisiaj zadowolony z siebie. Na tyle zadowolony, że zaproponował Maszy, aby poszła razem z nim. Niech się uczy, niech patrzy, jak pracują prawdziwi zawodowcy, chłopaki gotowe zaharować się na śmierć – w odróżnieniu od smarkul ze stołecznych uczelni.

– Muszę z panem porozmawiać – powiedziała smarkula w windzie.

– Później – Andriej rzucił oschle w stylu twardego chłopaka zwycięzcy.

Smarkula zacisnęła zęby. Ale gdy, zastukawszy, weszli do pułkownika, to Andriej musiał zacisnąć zęby.

Aniutin nie był sam. Obok siedział Katyszew. Co, do diabła?! – zdążył pomyśleć Andriej, zanim jego szef w roli gościnnego gospodarza posadził Maszę po prawej stronie wszechwładnego prokuratora i zaproponował Andriejowi krzesło ciut dalej po lewej.

– I jak się wam pracuje w jednej drużynie? – zapytał Aniutin, a Katyszew prawie puścił oko do protegowanej panienki.

Andriej poczuł, jak znów rośnie w nim fala rozdrażnienia. Zwłaszcza po tym, jak panienka wyszczerzyła zęby i oznajmiła:

– Wspaniale!

– A wy, kapitanie, jak oceniacie wkład stażystki Karawaj?

– Na piątkę! – zameldował Andriej i ironii w jego głosie nie usłyszałby chyba tylko głuchy. – Dobrze się składa, że Nikołaj Nikołajewicz jest u pana. Właśnie chciałem się do niego zwrócić.

– Słucham. – Prokurator pochylił siwiejącą głowę.

– Otóż prowadzę teraz śledztwo w sprawie niejakiego Jelnika. Nie wiem, czy pan pamięta: oskarżony o zabójstwo i uniewinniony w sprawie Nungatowa. Był pan oskarżycielem.

– Tak, przypominam sobie. – Katyszew kiwnął głową. – Bardzo nieprzyjemna historia. W czasie śledztwa zebrano zbyt mało dowodów, a adwokat Tiszyn, jeśli mnie pamięć nie myli, wykorzystał je tak, że w końcu nie było wiadomo, kto kogo zabił. Jelnik dostał kilka lat za nieudzielenie pomocy. A o co chodzi?

Andriej wyprostował się.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Jelnika. O dziwo, po procesie i krótkim pobycie w więzieniu Jelnik się ustatkował. Skończył ze starymi koleżkami, wyjechał do wsi Toczynowka, gdzie zajmował się jakoby hodowlą kur i uprawą ziemniaków. Jednak jego wiejska siedziba, wyglądająca z zewnątrz jak nędzna chałupa, w środku urządzona jest wyjątkowo wystawnie...

– Miałeś nakaz rewizji? – szybko wtrącił Aniutin.

– Drzwi były otwarte. Prawie – prawie nie skłamał Andriej. – Ale co ciekawe, w czasie ostatniej odsiadki Jelnik miał w celi współwięźnia, niejakiego Cytmana o ksywce Doktor. Doktor był znany z tego, że znajdował w ekonomicznie zacofanych regionach dawców gotowych sprzedać, na przykład, swoją nerkę. Według światowych standardów prawie za grosze. Cytman wyszedł z więzienia i wyjechał do Izraela. Wiem od swojego informatora, że do Jelnika kilka razy przyjeżdżali jacyś wojskowi. Mało tego, w billingach są krótkie, kilkusekundowe rozmowy z instytucji przy Ministerstwie Obrony. – Andriej popatrzył na obecnych. Wszyscy uważnie słuchali. – Tymczasem kilka lat temu do odległych wiosek zaczęły wracać ciała młodych żołnierzy pozbawione organów wewnętrznych. Myślę, że Jelnik, natchniony przez Cytmana, postanowił uprościć sprawę. Zamiast jednej nerki, od razu dwie, do tego serce i wątroba. Krótko mówiąc, wszystko, co nadaje się do sprzedaży. Na jednym młodym zdrowym

żołnierzu można nieźle zarobić, nawet jeśli trzeba dzielić się z medykami i wojskowymi. Pamiętajcie, że kiler Jelnik specjalizował się właśnie w tym, że zabijał tak, by wyglądało to na samobójstwo. Wojskowi na miejscu prawdopodobnie wybierali ofiarę: sierotę albo kogoś z biednej, niepełnej rodziny, żeby uniknąć skandalu, i wysyłali informację do Jelnika. Jelnik ryzykował najmniej, a zarabiał najwięcej. Jednak z kimś się poróżnił i został zlikwidowany. Stąd ciało bez wnętrzności. Postanowili przy okazji zarobić na „dawcy”.

– „Z kimś”, „coś” – przedrzeźniał go Aniutin. – Łowicie w mętnej wodzie, kapitanie.

Ale jego rozpromieniona twarz świadczyła o tym, że szef jest raczej zadowolony. Zwłaszcza z tego, że sam Katyszew usłyszał, jakich to on ma pod sobą bystrych chłopaków.

– Towarzyszu pułkowniku – uśmiechnął się Andriej. – Ci „ktośie” nie są znowu aż tak liczni. Mam już nazwisko jednego generała i dziennikarza, który kilka lat temu napisał artykuł na ten temat. Rozpracować sprawę nie będzie tak trudno.

– To znaczy, jeśli dobrze zrozumiałem – wtrącił Katyszew – zabójstwo w żaden sposób nie jest powiązane z dawnym procesem Jelnika... Trochę się zaniepokoiłem, dlatego tu jestem. Wygląda na to, że to zupełnie inne przestępstwo!

– Przepraszam, ale ja tak nie uważam – rozległ się nagle wysoki głos.

No nie! – Andriej odwrócił się do Maszy. Patrzyła w podłogę z buńczuczным wyrazem twarzy.

– Co pani ma na myśli, stażystko Karawaj? – zapytał bardzo oficjalnym tonem Katyszew, a Andriej patrząc na kosmyk jasnych włosów spadający na pobladłą twarz stażystki, poczuł, że zaraz eksploduje ze złości. Ona tak nie uważa – też mi coś! Ta smarkuła, siusiumajtka z głową wypchaną książkami i maniakami!

– Mam na razie jedynie nierozpracowaną wersję... – zaczęła Masza. – Wydaje mi się mianowicie, że to są seryjne zabójstwa. I to od dawna, od pierwszego morderstwa w starej elektrociepłowni sprzed dwóch lat.

– Ach tak! Proszę o szczegóły – włączył się Aniutin.

– Przepraszam – Masza uniosła wzrok – ale nie jestem jeszcze gotowa do szczegółowej analizy.

To już prawdziwa katastrofa! Andriej nawet się ożywił, tak absurdalnie to zabrzmiało. Po prostu brak słów. Aniutina widocznie też zatkało. Jeśli zamiast panienki ze znajomościami siedziałyby tu teraz jakiś podwładny... A niech to! Andriej chrząknął, po wojskowemu krótko i sucho pożegnał się z Katyszewem i wyszedł. Żegnając się, zauważył spojrzenie, jakim prokurator obrzucił stażystkę. Spojrzenie uważne, oceniające. Ale... było w nim coś jeszcze.

Coś, co nazwiemy od razu, kapitanie Jakowlew, żeby mieć całkowitą jasność. Był to zachwyty.

MASZA

Masza dogoniła go na korytarzu. Postanowił zejść schodami, żeby, jak się domyśliła, nie daj Boże, nie spotkać się z nią w windzie.

– Andrieju! – zawołała i aż sama się wystraszyła, bo po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Odwrócił do niej czerwoną z wściekłości, po dziecięcemu obrażoną twarz. – Przepraszam, chciałam panu powiedzieć, ale pan...

– Nie jestem jeszcze gotowa do szczegółowej analizy?! – rozdarł się kapitan i Masza przestraszyła się, że zaraz ją uderzy. – Czy pani w ogóle zauważyła, że nie prowadzimy tu pensjonatu dla szlachetnie urodzonych panienek?! To Pietrowka, tu rządzą twarde reguły! Jeśli pani ma coś do powiedzenia, proszę bardzo, ale musi pani to uzasadnić, dostarczyć dowodów!

– Jestem gotowa – cicho powiedziała Masza.

– Słucham panią!

– Chciałabym włączyć do naszej rozmowy specjalistę. Czy zechce pan zjeść z nami obiad?

Ostatnie pytanie zadała tonem tak pełnym kurtuazji, że kapitan skrzywił się, jakby zjadł coś kwaśnego.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnął się nieszczercze i szyderczo stukając obcasami niczym huzar, ukłonił się z niespodziewaną gracją. Po czym oddalił się korytarzem.

Masza odczekała, aż zniknie za rogiem, wyjęła komórkę i wybrała numer telefonu Innokientija.

– Kientij, błagam: ratuj! – wyszeptała z przejęciem. – Potrzebuję twojego moralnego wsparcia, bez niego mój dzinsowy krokodyl mnie połknie.

– Na czym ma polegać ta pomoc, moja nieszczęsna Medeo? – padło pytanie. Pożałowawszy natychmiast swojej ironii, Kientij dodał

współczującym tonem: – Całkiem cię zadreczył?

– To nic takiego. Sama sobie jestem winna. Podzieliłam się swoimi domysłami z szefami, zanim poinformowałam jego. Musisz teraz wypowiedzieć się jako autorytet, przyszedł doktor habilitowany nauk historycznych, i potwierdzić wszystko, o czym rozmawialiśmy z Gluzmanem.

– Nie ma sprawy, tym bardziej że opisałaś mnie doskonale – stwierdził nieskromnie Innokentij. – Mam obok pracy cudowne miejsce.

– Byle niezbyt drogie – uprzedziła go Masza. – Dżinsowemu się nie przelewa.

– Jeśli wziąć pod uwagę jego miejsce pracy, to tylko dobrze o nim świadczy.

Pożegnali się i po dziesięciu minutach Kientij przysłał jej esemes z adresem lokalu. Podała Andriejowi nazwę, a ten tylko kiwnął głową, nie odrywając wzroku od papierów. Czuli się paskudnie, patrząc w jego kark i krótko ostrzyżone włosy, i wyrzucała sobie, że ją poniosło. Ale jej niesłychana, zupełnie szalona teoria wprost prosiła się, by o niej powiedzieć, parzyła w język i wyrывała się do świata. Zabójstwo Jelnika nie jest żadnym odosobnionym przypadkiem! Czy Andriej tego nie widzi! Po raz kolejny sprawdzając w myślach wszystkie wątki związane z zabójstwami, z trudem wytrzymała do przerwy obiadowej.

Razem opuścili gabinet, zeszli schodami i bez słowa ruszyli ulicą. Czuli się niezręcznie w swoim towarzystwie. Starając się dotrzymać Andriejowi kroku, Masza ze zdziwieniem zauważyła, że dziewczyny oglądają się za jej dżinsowym szefem. Zdumiona wytłumaczyła to sobie kryzysem demograficznym w kraju.



Kientij jak zawsze wybrał idealne miejsce: spokojne, ze stolikami stojącymi daleko od siebie i, sądząc po wystroju wnętrza i klientach, nierzucające się w oczy.

Gdy podniósł się, by ich przywitać, Masza zauważyła, że Andriej spochmurniał. Kientij ze swymi szerokimi barami, w drogiej marynarce, całkowicie przyćmiewał kapitana. Masza zdawała sobie sprawę, jak bardzo

oboje z Innokientijem muszą działać na nerwy temu wyraźnie prowincjonalnemu, niewysokiemu facetowi bez pieniędzy. Do diabła z nim! – pomyślała. Nie jestem czerwonce, żeby się wszystkim podobać. Nie odpowiadam za to, że ojciec był adwokatem, a nie robotnikiem, a mama jest lekarzem i kieruje prywatną kliniką. Jakbym cały czas musiała się przed nim usprawiedliwiać! A niby dlaczego? Nie jestem socjalistką, rewolucja próbowała wszystkich zrównać – nie wyszło! Więc niech patrzy i widzi, że jesteśmy inni!

Usiadła przy stoliku, wyzywająco powolnym, delikatnym gestem schowała kosmyk włosów za ucho i pewnym tonem złożyła zamówienie u kelnera, po czym wyniośle zwróciła się do kapitana:

– Andrieju, co pan zamawia?

Zasepiony Jakowlew zamówił pierwsze danie, jakie znalazł w karcie. Czekali teraz na Innokientija, który po długich wahaniach zamówił w końcu to samo co Masza. Wyciągnąwszy rękę, żeby oddać kelnerowi kartę dań, Innokientij nieumyślnie zademonstrował podwójny – muszkieterski – mankiet swojej koszuli z błyszczącą spinką.

Masza uśmiechnęła się i wyciągnęła z torby kopie akt dotyczące zabójstw.

ANDRIEJ

– Chciałbym przejść do faktów – powiedział Andriej.

Drażnił go ten goguś ze spinkami, rozprawiający w nieskończoność o średniowiecznym budownictwie.

– Pan to jak Mania. – Innokientij pokręcił głową. – Próbuję tylko wyjaśnić, że za tym wszystkim stoi realny system.

– Zaraz przedstawię fakty – włączyła się Masza. – Proszę popatrzeć. – Jej krótko obcięty paznokieć był nakierowany prosto na kwadrat placu Czerwonego. – Czy nie wydaje się panu dziwna taka koncentracja zabójstw wokół jednego z najbardziej chronionych zabytków w kraju? A ściślej mówiąc, nie zabójstw, tylko zwłok. Ktoś postanowił umieścić okaleczone ciała swoich ofiar właśnie na tym placu. Proszę spojrzeć, ten krzyżyk, Łobnoje Miasto przed soborem Pokrowskim: ręka znaleziona poprzedniej zimy. A tu Kutafja, gdzie znaleziono pijaka Nikołaja Sorygina. Tu, pod murem Kremla, całkiem niedawno wyłowiono ciało Jelnika.

– I co z tego? – obruszył się Andriej. – O ręce w ogóle nic nie wiadomo. Ciała przecież nie znaleziono.

– Uważa pan, że jej właściciel żyje? – W głosie Innokientija słychać było wyraźny sarkazm. – Proszę zrozumieć, Andrieju, podstawą, centrum idei budowlanej Nowej Jerozolimy był Kreml – kontynuował ściszym głosem. – A dokładniej, plac Czerwony ze świątynią Pokrowa Prieswiatoj Bogorodicy, czto na Rwu[37]. Współcześni Iwana Groźnego nazywali tę cerkiew właśnie Jerozolimą. U Jana Ewangelisty zostało powiedziane, że w niebiańskim Jeruzalem nie ma świątyni, jest tylko Jego tron. Plac Czerwony jest taką świątynią. W czasie wielkich świąt kościelnych cały plac wypełniał się ludem, a sobór Pokrowski stawał się ołtarzem ogromnej świątyni pod gołym niebem.

– Andrieju – Masza spojrzała na niego prawie błagalnie, tak bardzo chciała, by uwierzył w jej wersję – Łobnoje Miasto odpowiada Golgocie

w Jerozolimie; Kutafja to świątynia Grobu Pańskiego, rzeka Moskwa, w której znaleziono Jelnika, to symbol rzeki życia, czyli Jordanu.

Andriej chrząknął i wskazał na drugi brzeg rzeki, gdzie były trzy gwiazdki.

– To trzy osoby zabite na nabrzeżu Biersieniewskim – wyjaśniła Masza.

– Rejon Zamoskworiecza – dodał Innokientij. – W siedemnastym wieku powstały tu sto czterdzieści cztery fontanny na pamiątkę stu czterdziestu czterech tysięcy sprawiedliwych z Objawienia Jana Ewangelisty. „I ukazał mi rzekę wody życia... po obu brzegach, drzewo życia, rodzące dwanaście owoców – wydające swój owoc każdego miesiąca...”[38] – zacytował z zamkniętymi oczami, a Andriej się skrzywił. – Po obu brzegach rzeki mamy symbol drzewa życia w postaci ogrodów rosnących na tarasach Kremla, Wielkiego Carskiego Ogrodu czy Carskiej Łąki – śpiewał niczym słowik Innokientij, czując się w swoim żywiole. – Zostało to uwiecznione w słynnej ikonie Nikity Pawłowca...

Innokientij urwał gwałtownie i próbował niezauważalnie pomasować kopniętą pod stołem nogę. Masza zaś uśmiechała się i kontynuowała jak gdyby nigdy nic:

– Pamięta pan głośną sprawę żony tiumeńskiego gubernatora? Poćwiartowany kobiecy tułów?

– Pamiętam. Znaleźli ją w parku w Kołomienskim.

– Właśnie. – Masza kiwnęła głową. – W prawdziwej Jerozolimie na wschód od Getsemani, na jednej osi ze Złotą Bramą, znajduje się ośmioboczna kaplica zbudowana w miejscu Wniebowstąpienia Pana.

Dalej mówił Innokientij:

– W Moskwie oś od Spasskiej i Złotej Bramy po Carską Łąkę (Getsemani) zwrócona jest nie na wschód, a na południe. Ale gdyby ją przedłużyć, będzie nakierowana na cerkiew Wzniesienia Gospodnia[39] w Kołomienskim!

– Która również jest zbudowana w kształcie ośmiobocznej świątyni z dachem namiotowym. I choć odległości Moskwy nie odpowiadają tym w Jerozolimie, w swoim czasie cerkiew w Kołomienskim była świetnie widoczna z Kremla.

Podano gorące dania. Andriej zamówił coś podobnego do makaronu

i błyskawicznie zjadł wszystko, co miał na talerzu. Innokentij próbował kilka razy nawiązać towarzyską rozmowę, ale ani Masza, ani szybko przeżuwiający kapitan jej nie podtrzymali. Gdy przynieśli kawę, Andriej zwrócił się do Maszy:

– To wszystko?

– Nie – rzuciła pospiesznie dziewczyna. – Jest jeszcze architekt. Zginął w dziwny sposób, ale zostawiono go w jego mieszkaniu przy ulicy Leniwka.

– No i co? Tylko proszę się streszczać.

– Obok jest Muzeum Puszkina. Jeśli porównamy plany obu miast, na jego miejscu w Jerozolimie znajdziemy Bramę Jafy.

– Co jeszcze?

– Na razie tyle. Ale jestem pewna, że nie wszystko znalazłam! Są jeszcze inne dziwne zabójstwa, trzeba im się po prostu przyjrzeć.

– Stażystko Karawaj. – Andriej uśmiechnął się. – Wymyśliła pani teorię i dopasowuje do niej rzeczywistość. Specjalizuje się pani w seryjnych mordercach? Nie są pani obojętni? Więc widzi ich pani wszędzie. Nie realność trzeba dopasowywać do teorii, tylko na odwrót. Pani teoria powinna wynikać z rzeczywistości. Zadam pani podstawowe pytanie. Dlaczego właśnie ci ludzie? Jeśli mamy tu seryjnego mordercę, według jakiego schematu dobiera swoje ofiary: żonę gubernatora, pijaka, architekta, kilerę? Jako specjalistka od maniaków powinna pani wiedzieć, że mają oni swój niepodrabialny podpis, sygnaturę, tak zwany modus operandi. A gdzie on tu u pani?

Przy stoliku zapadła cisza.

– Kaźń – przerwał milczenie Innokentij. – Zabijano ich tak, jak karano w średniowieczu: ćwiartowanie gubernatorowej, wepchnięcie pod lód Jelnika, tortura kroplami w przypadku pijaka, obcięte języki...

– Cienko. – Kapitan nawet na niego nie spojrział. Wstał, zdjął swoją nieśmiertelną dzinsową kurtkę z oparcia krzesła, wyciągnął kilka banknotów i nonszalancko rzucił je na stolik. – I na koniec, stażystko Karawaj, jeśli to seria, to liczby też nie są przypadkowe. Więc co, do cholery, znaczą? – Zaczekał chwilę na odpowiedź, ironicznie spojrział na siedzących, kiwnął im głową. – Na razie. – I wyszedł z restauracji.

Był w świetnym humorze. Nieźle im przywalił! Koniec końców udało mu się efektowne wyjście, choć nieco później i nie z gabinetu Aniutina. Piękny spektakl psuło jedynie kilka okoliczności. Pierwsza – w tej szalonej teorii coś było. Druga – szeroki gest z banknotami będzie kosztował jego i psiaka tygodnie oszczędzania. I trzecia – Masza Karawaj idealnie pasowała do tego pięknisia-fircyka. I z tego powodu było Andriejowi, nie wiedzieć dlaczego, jakoś nieprzyjemnie.

MASZA

– Jestem pewna, że mamy rację! – gorączkowała się Masza, gdy zamyślony Innokentij przesuwiał na stoliku raz w prawo, raz w lewo pustą filiżankę po kawie. – Przed tą rozmową jeszcze miałam wątpliwości, ale teraz już nie! To nie jest przypadek. Nie ma takich zbiegów okoliczności, rozumiesz?!

– Maszo, ta zbieżność to jak dotąd najważniejszy argument w naszej teorii. Teorii dość wyszukanej, a zbiegi okoliczności to tylko brak konkretnych faktów. On ma rację, twój dzinsowy śledczy. Stworzyliśmy ciekawą hipotezę, ale na razie to tylko opowiadka, ponieważ nic nie wiemy o motywie. Rzeczywiście, dlaczego akurat ci ludzie?

– I liczby... – westchnęła Masza. – Są jeszcze te cholerne liczby! I bez tego wiadomo, że zabójca to typowy maniak misjonarz! Rozumiem też w ogólnym zarysie jego motyw: zabija w miejscach symbolicznie związanych z niebiańskim Jeruzalem, żeby pokazać nam, że ugrzęźliśmy w grzechu, czy nie mam racji?!

– Opowiedz mi – nagle poprosił Innokentij – o maniakach misjonarzach. Prawdopodobnie to rzeczywiście nasz przypadek.

– Jezu, a po co ci to?

– Nie mnie, choć też z ciekawością posłucham, tylko tobie. Postaraj się streszczać: nie trzeba przykładów, chcę, żebyś zbudowała system, w którym później punkt po punkcie będziesz sprawdzać swoje ofiary, rozumiesz?

Masza uśmiechnęła się.

– Zwykle wygląda to odwrotnie. To ty cały czas opowiadasz mi o swoich ukochanych raskolnikach. Ale nieważne. Zamów jeszcze kawę.

Innokentij zawołał kelnera. Póki składał zamówienie, Masza siedziała ze spuszczonego wzrokiem, jakby oglądała wzory na obrusie, ale jak tylko kelner odszedł, spojrzała na Innokentija i zaczęła mówić, nie zatrzymując

się:

– Maniak misjonarz nie słyszy głosów, ani boskiego, ani diabelskiego, i nie ma zwidów, które każą mu kogoś zabić i pchają do zbrodni. Misjonarz wychodzi na polowanie, by unicestwić konkretną grupę ludzi, żeby oczyścić ziemię z brudu. Brud jest pojmowany różnie. Mogą to być prostytutki, geje, Murzyni.

– Ale istnieje przecież tak zwana zgodność motywu? – wykazał się wiedzą Innokentij.

Masza kiwnęła głową.

– Zgodność motywu to jeden z głównych wyróżników każdego seryjnego mordercy. Ale tylko misjonarz szczerze wierzy, że to, co robi, jest jego świętym obowiązkiem. Jeśli weźmiemy cztery podstawowe przyczyny popychające człowieka do seryjnych zabójstw: manipulację, dominację, kontrolę i agresję seksualną, to w przypadku misjonarzy całkowicie brak tej czwartej, czyli podtekstu seksualnego, a pierwsze trzy rozkładają się w zależności od osobowości przestępcy. Ze skomplikowanej historycznej i religijnej teorii misjonarstwa oraz z tego, że ciała przenoszone są w inne miejsca, wynika, moim zdaniem – Masza uniosła oczy na uważnie słuchającego ją Innokentija – że w naszym przypadku przeważa kontrola. Wydaje mi się też, że mimo wyrafinowanych sposobów likwidacji ofiar sprawca, jak większość misjonarzy, popełnia tak zwane błyskawiczne morderstwa.

– Wyjaśnij – poprosił Innokentij.

Masza zamilkła, gdy kelner stawiał przed nimi dwie filiżanki. Niespiesznie wrzuciła do mocnej kawy dwie kostki cukru, zamieszała.

– Chodzi o to, że błyskawicznych zabójstw dokonują seryjni mordercy, którzy nie czerpią przyjemności z zabijania jako procesu. Oczywiście ćwiartowanie człowieka to nie jest coś, co robi się szybko i łatwo, ale dla misjonarza to tylko sposób na zlikwidowanie grzesznika, a nie na osiągnięcie przyjemności. Są też tak zwane powolne zabójstwa. Tam wszystko dzieje się powoli tylko dlatego, że zabójca rozkoszuje się cierpieniem ofiary. To, na przykład, „hedoniści”. Jedni z nich dorabiają się na zabójstwach, drudzy pobudzają się seksualnie i osiągają orgazm w czasie zabijania. Musimy o tym rozmawiać?

– Nie. – Innokentij też nie ruszył kawy. – Wygląda na to, że ze wszystkich typów seryjnych morderców nasz jest najprzyjemniejszy, nieprawdaż? Nie znęca się nad ofiarą, nie gwałci, zabija praktycznie bez przyjemności, po prostu dlatego, że tak trzeba. Wyłania się obraz prawie dzielnego wojaka.

Masza uśmiechnęła się gorzko.

– A wojaków wśród misjonarzy jest bardzo dużo. Cechują ich umiejętność podejmowania szybkiej decyzji i precyzja wykonania. Przyzwyczaili się do uporządkowanego życia w koszarach według regulaminu i nie zgadzają się na rozwiąłość panującą w świecie zewnętrznym. Poza tym wojskowi nie cenią chyba zbyt wysoko ludzkiego życia. Krótko mówiąc, gotowi są ponosić ofiarę w imię ratowania świata przed zarazą.

– Tak, ale weź pod uwagę, że nic na niego nie macie. Ani ty, ani śledczy, którzy prowadzili sprawy jego zabójstw. Jest nie tylko inteligentny. Musi wiedzieć, jak działacie, żeby nie zostawiać śladów. Mam rację? Odpowiedz! Przedstaw mi, jak to się u was, śledczych, mówi? Modus operandi.

Masza zrobiła smętną minę.

– Chyba za dużo ze mną przebywasz, Kientij! Przyswoiłeś sobie już nawet takie słownictwo... – Spoważniała i wsunęła kosmyk za ucho. – Mamy zbyt mało danych. Jak, na przykład, oni się spotykają: przestępca i ofiara? Czy zabójca atakuje błyskawicznie, urządza zasadzkę, czy też zwabia ofiarę werbalnie? Przesławia albo zabiera ze sobą jakiś przedmiot z miejsca zabójstwa? Poza tym modus operandi może zawierać składową leksykalną: wykorzystywanie niecodziennego słownictwa, sporządzanie tekstów, które ofiara ma powtarzać za przestępcą. Ten rytuał, tak zwana sygnatura, może się rozwijać, stawać coraz bardziej wyrafinowany. Wiemy tylko tyle, że on korzysta ze średniowiecznych metod zabijania. Ale one są różnorodne, te metody, Kientij! A my nie potrafimy odkryć, dlaczego właśnie ci ludzie, nie wiemy nawet, jak on ich znajduje, rozumiesz?

Innokentij milczał. A Masza mówiła dalej:

– Na przykład Sliwko, przyjrzyjmy się tylko rosyjskim maniakom, zabił siedmiu kilkunastoletnich chłopców. Był członkiem KPZR, zasłużonym nauczycielem RFSRR, przodownikiem pracy komunistycznej i kierownikiem młodzieżowego klubu turystycznego. Znajdował ofiary wśród członków

klubu. Czekało szukał swoich ofiar na przystankach autobusowych i dworcach, Piczuszkina w parkach. Były to głównie dzieci i prostytutki. Łatwa sprawa. A spróbuj zrobić coś podobnego w przypadku żony gubernatora okręgu, jednej z najbogatszych kobiet świata! Czy znanego architekta! Albo podejść niezauważenie do profesjonalnego kilerka... Nie, Kientij, nasz misjonarz nie tylko jest inteligentny i zna się na kryminalistyce, on także drobiazgowo planuje i starannie realizuje każde przestępstwo. Boję się, Kientiju, i nic już nie rozumiem.

Innokentij ścisnął dłoń Maszy.

– Wszystko zrozumiesz. Wierzę w ciebie. Uporządkujmy. Jeśli dobrze pojąłem, jedyną sygnaturą na razie są średniowieczne metody zabijania. Być może jeśli zdołamy je uporządkować, to do czegoś dojdziemy?

– Znasz się na kaźniach? – Masza upiła wreszcie łyk z filiżanki, i skrzywiła się: kawa była całkiem zimna.

Innokentij wzruszył ramionami.

– Ta kwestia, jak się domyślasz, nigdy mnie szczególnie nie interesowała. Ale jeśli nasz misjonarz kieruje się prawosławną ideą, to może szuka analogii w rosyjskiej historii również w przypadku kaźni? A na ten temat co nieco wiem.

Masza przysunęła się do Innokentija. Jakie to szczęście, że go mam! – pomyślała nagle. I leciutko ścisnęła jego dłoń, zachęcając, by mówił dalej.

Innokentij uśmiechnął się.

– Istnieje dokument, który regulował stosunek państwa rosyjskiego do przestępców. Nazywa się, jak zapewne pamiętasz, *Ułożenie soborowe*[\[40\]](#).

– Słabo. Ale nieważne, mów dalej.

– Ukazał się akurat w czasach, które nas interesują – w tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym roku. *Ułożenie* bardzo szczegółowo opisuje, kogo, za jakie przestępstwa i jak należy karać. Kary, co według mnie może być znaczące w przypadku naszego maniaka, miały odpowiadać męczarniom piekielnym, dlatego wykonywano je publicznie. Nie tylko dla rozrywki i odstraszenia. Nie, istotne było pokazanie wierzącemu, co go czeka w piekle. Ważna była symbolika: oszczercę karano w ten sam sposób, w jaki ukarano by uczciwego człowieka, na którego tamten rzucił potwarz. Oszpecając go:

wyrywając mu nozdrza, wydłubując oczy, wycinając wargi, po to, by nie mógł ukryć się w tłumie. Złodziej nigdy później nie mógł już udawać porządnego obywatela. W średniowieczu, nie tak jak w naszej demokratycznej epoce, różnych ludzi za takie samo przestępstwo karano inaczej. Na przykład diaka za przeciąganie sprawy batożono kijami lub różgami. Ale już skryba podlegający diakowi, można ich porównać do dzisiejszego zwykłego urzędnika i szefa departamentu w ministerstwie, dostawał knutem. A od tego umierali nawet najsilniejsi! Wystarczyło pięćdziesiąt uderzeń. Jeśli dobrze pamiętam, w feudalnej Rosji karę śmierci przewidywano w sześćdziesięciu przypadkach, w tym za palenie tytoniu.

– Co ty powiesz – westchnęła Masza. – A teraz uzbiera się może z pięć.

– Jakie to? – zaciekawiał się Innokientij.

– Zabójstwo – zaczęła wyliczać Masza – zamach na życie działacza państwowego lub społecznego, zamach na życie pracownika wymiaru sprawiedliwości lub prowadzącego śledztwo, zamach na życie pracownika organów ścigania oraz ludobójstwo.

– No cóż, dobrze wiedzieć. Nie potrafię wymienić sześćdziesięciu przewinień, powiem tylko, że egzekucje dzieliły się na „proste”, gdy od razu odrąbywali głowę albo wieszali, i „kwalifikowane”, jak ćwiartowanie, palenie, wlewanie do gardła roztopionego metalu...

Młoda para minęła ich stolik i usiadła przy sąsiednim.

– Może pójdziemy gdzie indziej? – zaproponował Innokientij. – Nie wypada mówić o takich nieapetycznych rzeczach w restauracji.

– Szkoda czasu, wszędzie korki – syknęła Masza. – Nie, dokończ w skrócie. – I przysunęła się bliżej.

– Wieszanie – poufale szeptał jej do ucha Innokientij – było sposobem najtańszym i najskuteczniejszym. Szlachetnie urodzonych nigdy tak nie tracono, ani u nas, ani w Europie. To było w złym guście. Że niby jeśli chcesz pozbawić życia człowieka majątnego, wykosztuj się przynajmniej na dobrego kata i zaostrenie topora.

ANDRIEJ

Andriej zauważył Maszę, gdy wchodziła do portierni. Złapał ją koło schodów.

– Maszo! – zawołał i zauważył, że jej ramiona lekko się napięły.

No i jak ja mam się do ciebie zwracać? Stażystko Karawaj? – pomyślał z rozdrażnieniem, widząc, że stażystka Karawaj trochę się go... boi.

Przedtem – do chwili gdy podczas dzisiejszego obiadu pełnym wdzięku ruchem poprawiła sobie kosmyk włosów – to odkrycie nie tyle by go ucieszyło, ile przyniosło mu pewną satysfakcję. Że niby wszystko toczy się na tym świecie utartym torem. Stażystki, nawet te po znajomości, boją się swoich przełożonych. Ale teraz prawie się obraził. Co ja ci zrobiłem, że tak się mnie boisz? A, do diabła z tym.

Masza odwróciła głowę i uśmiechnęła się zmieszana.

– Tak, Andrieju?

I nagle całe jego rozdrażnienie się ulotniło.

– Chciałem pani powiedzieć, że mimo mojej, jak mi się wydaje, obiektywnej krytyki pani wersja wydarzeń jest całkiem niezła. Niezła, ale trudna do przełknięcia, rozumie pani? Nie chodzi tylko o średniowieczne sztuczki. Jeśli to jednak rzeczywiście seryjny morderca, trzeba spojrzeć na to szerzej, utworzyć grupę. A do tego musimy mieć żelazne argumenty. W przeciwnym razie ani ludzi, ani dodatkowych środków nie otrzymamy.

– Właśnie chciałam panu powiedzieć... – I znowu, ale już w skupieniu, bez niespodziewanego kobiecego gestu, jak to było w restauracji, założyła jasny kosmyk za ucho. Andriej odruchowo prześledził jej ruch: malutkie ucho nie było przekłute, tylko trochę wyżej płatka przyczaiła się kropka pieprzyka. – Dobrze by było przesłuchać świadków w tych sprawach. Wydaje mi się, że to najprostszy sposób na zrozumienie, gdzie i jak maniak mógł zaczepić ofiary.

– To sprawa bardzo pracowita. – Andriej odwrócił wzrok od ucha.

Masza patrzyła prosto na niego. Oczy miała jasnozielone, spojrzenie spokojne, wyczekujące.

– Mogłabym sporo zdziałać, gdyby pan pozwolił mi pracować razem z Innokentijem – powiedziała niepewnym tonem.

Andriejowi pomysł się nie spodobał. Popatrzył w dół, na swoje znoszone tenisówki, przypomniał sobie fircyka z restauracji i jego eleganckie buty z wąskimi noskami.

– Czy on nie ma nic innego do roboty? – burknął.

– Jest historykiem, specjalistą od siedemnastowiecznych ikon – wyjaśniła szybko Masza. – Nie musi codziennie chodzić do pracy.

– Dobra, pracujcie razem – rzucił cicho Andriej, odwrócił się i odszedł bez słowa pożegnania.

Wiedział, że zachowuje się jak gbur. Sam nie rozumiał, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej. Czy dlatego, że – wiedział to doskonale – jakkolwiek by się starał, nigdy taki prostak jak on nie będzie miał takich eleganckich manier jak ten specjalista od ikon. Z siedemnastego wieku. A jeśli współzawodnictwo zostało przegrane już na początku, to po co się starać? Jakie współzawodnictwo, durniu? – zapytał siebie, otwierając drzwi starego forda. Może chcesz po prostu zrobić na złość Karawaj, jak uczeń pragnący wzbudzić w obiekcie pożądania choćby cień emocji?

MASZA

Zaskoczona Masza patrzyła za odchodzącym Andriejem. Co za dziwny typ! Ledwie pomyślała, że nareszcie zachowuje się jak człowiek, a tu proszę, odwrócił się do niej plecami i odmaszerował w sobie tylko znanym kierunku bez najzwyklejszego „do widzenia”. Cham! A jednak... Masza szła schodami i humor poprawiał jej się z każdym stopniem. Andriej Jakowlew obdarzył ją przed chwilą pierwszym komplementem, powiedział, że w jej teorii coś jest. Nie jestem więc zwykłą panienką ze znajomościami, mój drogi kapitanie, mam jeszcze głowę na karku! I musiałeś to przyznać. Nawet się zgodził, żeby Kientij pracował razem z nią – to już prawdziwy cud!

Pozostawało tylko zadzwonić do przyjaciela z dobrą wiadomością: w najbliższych dniach zamiast oceniać ikony, jeździć po targach staroci i spotykać się z kolekcjonerami, będzie przesłuchiwał z dziesięciu świadków w sprawie wydarzeń na nabrzeżu Biersieniewskim, zabójstwa w Kutafji, w Kołomienskim... Wybrała jego numer.

– Kientij – powiedziała cieniutkim głosem, nim usłyszała jego wielkopańskie „słucham”. – Ratuj! Muszę przesłuchać mnóstwo ludzi, ale nie mam dla wszystkich czasu. – W odpowiedzi zapanowało grobowe milczenie. – Wiem, że bezczelnie wykorzystuję najlepszego przyjaciela – kajała się. – Ale nie mam nikogo innego... To tylko trzy, cztery dni.

– Zgadzam się – rozległ się ironiczny głos. – Sprawdzalem, czy moge odwołać umówione na ten tydzień spotkanie.

– To świetnie. – Masza roześmiała się. – Musimy odkryć główne grzechy naszych ofiar. Zrozumieć, dlaczego zginęli. Kupię dla nas dyktafony.

– Ja mam, Maszo. Kup tylko sobie. Jutro po ciebie przyjadę. Teraz nie mogę dłużej rozmawiać, mam klienta.

– Przepraszam, do jutra. – I radośnie uśmiechnięta rozłączyła się.

Miała prawdziwą sprawę, prawdziwą, i mogła się nią zająć razem

z Kientijem, z dala od niesympatycznego szefa – czy to nie powód do radości?



Następnego dnia Kientij przyjechał o umówionym czasie. Masza czekała na niego na ławeczce przy bramie, dzwoniąc po kolei do osób z listy.

– Cześć. – Pomachała do Kientija ręką i wróciła do rozmowy telefonicznej.

Usiadł obok.

– Popatrz – powiedziała Masza, pożegnawszy się z ostatnim rozmówcą. – Udało mi się umówić z kilkoma. Wydaje mi się, że logicznie będzie zacząć od pierwszych zagadkowych cyfr. Na przykład ja biorę numer jeden: spotykam się zaraz z dziewczyną chłopaka, który został najmniej okaleczony w piwnicy na nabrzeżu Biersieniewskim. Co miał na podkoszulku jedynekę. Sława Owieczkin. Ty zajmiesz się sportowcem, pływakiem, pojedziesz do wioski olimpijskiej. Może opowiedzieć o trzecim: Aleksandrze Solance, byli kolegami i nawet rywalami. Potem mam najlepszą przyjaciółkę – rodzice zabitej są na daczce – Julii Tomiliny, ofiary numer dwa. Nazywa się Tatiana Szurupowa. I trzeba będzie jeszcze znaleźć koleżków tego Kolana. Do nich, z wiadomych powodów, się nie dodzwoniłam. Znajdziesz?

Innokentij kiwnął głową. Masza wręczyła mu listę z adresami i pierwsza zerwała się z ławeczki.

– Jedziemy!

NABRZEŻE BIERSIENIEWSKIE

1. MASZA

Luda z zaciekawieniem spojrzała na wchodzącą dziewczynę z Pietrowki. No, jeśli już TAKIE teraz pracują w policji... Nie potrafiła wyjaśnić znaczenia określenia „takie”. Skromny sweterek, czarne spodnie, ale gdy dziewczyna przeszła do kuchni i usiadła bliżej okna, Luda zrozumiała, że owa prostota jest złudna. Wygląd dziewczyny też był mylący. Świeżo umyte włosy, czysta cera bez makijażu, bardzo krótko obcięte paznokcie. Mogłaby być muzykiem – na przykład wiolonczelistką. Jeśli sądzić po jakości ciuchów, nawet laureatką konkursów międzynarodowych. A przedstawiła się jako pracownica prokuratury. Chciała dowiedzieć się czegoś nowego o Owieczkinie. No tak, przecież rodzice mało wiedzieli o własnym synu – zajęci swoją religią, wybac mi, Panie! Tylko raz natknęli się na Ludę – i to przypadkowo, w sklepie. Żebyście widzieli tatusia Owieczkina – bujna broda, kurteczka i butki takie, jakie nie tylko produkować, ale i nosić przestali jeszcze przed urodzeniem Ludy. Mamuśka nie lepsza – w chustce na głowie, brudną podłogę zamiata spódnicą – koszmar! Sławka wtedy się skrzywił, przedstawił przodków niewyraźnie: że oto niby moi rodzice. I Luda od razu zrozumiała, dlaczego Sławik nigdy nie zapraszał jej do domu – wstyd mu było! Mamuśka Ludki to też nic ciekawego, ale po niej przynajmniej nie od razu widać, że szurnięta, najpierw trzeba jej posłuchać, przypatrzeć się. A ci – od razu wszystko jasne! Jak ten tatusiek na nią spojrział – jakby chciał ją wykląć w tym supermarkecie. Sama wiedziała, że w minispódniczce i z wyzywającym makijażem nie ma żadnych szans, by spodobać się popowi i popadii. Popadia zresztą powiedziała jej wtedy na pożegnanie: „Niech Bóg ma cię w swojej opiece, dziecinko!”. A Ludka – chyba z nerwów – zachowała się bardzo niegrzecznie: roześmiała się i wyleciała ze sklepu jak oparzona.

No i Sławika już nie ma, i szczerze powiedziawszy, długo po nim nie płakała, tylko o tym swoim głupim śmiechu w odpowiedzi na „dziecinkę” nie mogła zapomnieć. I nawet pomyślała, że może by pójść do cerkwi, gdzie

ojciec Sławika jest popem? Ale dała sobie spokój – batuszka taki posępny, a z jego żoną w ogóle nie wiedziała, co i jak. I co powie, gdy ich spotka? Tamta przecież, jak to matka, oplakuje syna, a Ludka, wstyd się przyznać, wystraszyła się na początku i żal jej było oczywiście Sławika, ale bez przesady, przecież nie kochała go bez pamięci. Fajnie spędzała z nim czas i tyle...

I to właśnie próbowała wbić do głowy tej eleganckiej śledczej, gdy zaczęła ją wypytywać, jakim człowiekiem był Dobrosław Owieczkin. Luda nawet już zapomniała, że Sławikowi było na imię Dobrosław. Sławik to Sławik. Jego rodzice mają coś nie tak z głową. Luda westchnęła, zerknęła na panienkę z Pietrowki i palnęła pierwsze, co jej przyszło do głowy:

– Papla z niego!

– Co pani ma na myśli? – Panienka spojrzała na nią uważnie.

– Nie w sensie, że idealny dla szpiega! Komu on zresztą był tak w ogóle potrzebny! Mnie jego obecność nawet męczyła, rozumie pani? Zwykle jak jest? Ty papłasz, chłop słucha. A ze Sławikiem odwrotnie. Słowa nie można było wtrącić, tylko bla-bla-bla cały czas. Na każdy temat mógł rozprawić godzinami! Nie zdążysz powiedzieć: kupiłam sobie nowe buty koło metra, a on od razu: o czym ty myślałaś, tam samą tandetą handlują, obcasy ci odpadną już pierwszego dnia! Jakby sam potrafił chodzić na wysokich obcasach! Albo, na przykład, mówisz, że chcesz powiększyć biust do trójki. A ten znów swoje bzdury: nie myślisz o powikłaniach, obce ciało, lekarze ostrzegają...

– Może po prostu nie stać go było na taki prezent? – zapytała śledcza, a w oczach błysnęła jej ironia.

Ludka się roześmiała.

– Napije się pani herbaty? – I nie doczekawszy się odpowiedzi, postawiła stary, wielokrotnie spalony czajnik na gaz. – Nie – powiedziała, znów siadając naprzeciwko panienki. – Nie był sknerą ani kutwą. Jakby miał pieniądze choćby na jeden cycek, to by dał.

– Aż tak panią kochał? – zaciekała się śledcza.

– A gdzie tam! Zostaliśmy parą z głupoty. Miałam przed nim nieszczęśliwy romans z jednym ch... – tu Luda trochę przyhamowała: takie

słownictwo mogłoby usposobić panienkę nieprzychylnie, a ona, sama nie wiedząc dlaczego, bardzo chciała jej się spodobać – ...typkiem – zakończyła. – Obrzydliwym typkiem. A Sławik, według mnie, nikogo przede mną nie miał, tylko zmyślał! Posłuchać go, to sama Sophie Marceau podrywała go na Moskiewskim Festiwalu Filmowym. Zeszła do metra po gali i podrywała... Nie był zbyt przystojny, ani trochę. Mizerny, śmieszny, gadatliwy i słaby. Nie uwierzy pani, ale nawet w łóżku nie potrafił się zamknąć! Nie odczuwam potrzeby opiekania się chłopami, jakbym była ich matką. Sama potrzebuję opieki. A jemu jest potrzebna baba z jajami... Oj, przepraszam, była potrzebna...

Luda nagle poczuła, że zaraz się rozpłacze, ale powstrzymała się. W przerwie, gdy ściśnięte gardło nie pozwalało jej mówić, zaparzyła herbatę. Postawiła na stole ciasteczka. Panienska taktownie milczała, potem grzecznie upiła z filiżanki, popatrzyła na Ludę siedzącą naprzeciwko i nerwowo kiwającą nogą.

– Bardzo mi przykro – powiedziała cicho.

Widać było, że rzeczywiście jej przykro. Albo z powodu Sławika, albo – z jej, Ludki, powodu.

– A-a-a tam... – Ludka głośno wciągnęła powietrze nosem. – Dwa lata już minęły. Nic na Sławika nie znajdziecie. Był gadułą, ale nie swołoczą. Jedyne, co mi się w nim nie podobało, to że na rodziców wymyślał, kpił z ich „żywota”, jak to nazywał, wyśmiewał, że są oderwani od rzeczywistości. A jacy niby mieli być przy takiej pracy?

– A czym się zajmowali rodzice Dobrosława?

– To przecież pop i popadia!

Ręka śledczej zawisła nad ciasteczkami.

– Nie macie tego zapisanego w zeznaniach? – zdziwiła się Ludka.

– Mamy, tylko nie zwróciłam na to uwagi. Wtedy – przyznała się pobladła śledcza.

– Nic nie szkodzi, każdemu się zdarza. – Ludka wielkodusznie machnęła ręką. – Mnie też nie przypadli do gustu. Ale rodzice to jednak rodzice. Wie pani, co kiedyś Sławik zrobił? Podczas mszy, gdy ojciec „mamrotał w kółko jedno i to samo”, to jego słowa, wszedł i zaśpiewał głośno, a głos miał, wie

pani, paskudny, taki wysoki.

– Falset – wtrąciła śledcza w zamyśleniu.

– No tak, coś takiego. Więc zaśpiewał falsetem piosenkę: „Kochaj mnie, weź mnie”... No, zna pani...

Panienka z Pietrowki kiwnęła głową, ale jakoś tak niepewnie.

– Staruszki, opowiadał, o mało nie umarły, tatusiek zrobił się czerwony jak rak. A Sławik uciekł. Nawet nie wiem, co jeszcze o nim powiedzieć. Przesłuchiwaliście jego znajomych?

Śledcza pokręciła głową. Ludka nachmurzyła się – jeszcze przed chwilą panienka z Pietrowki była pochłonięta rozmową, aż tu nagle zamyśliła się, jakby zupełnie zapomniała o Ludce.

– Dziękuję, Ludo – powiedziała wreszcie, wyłączając dyktafon i chowając go do dużej, też czarnej, torebki. – Bardzo mi pani pomogła.

– Naprawdę? – Ludka uśmiechnęła się. – To świetnie. Tylko nie wiem w czym. No dobrze, łapcie w takim razie tego gada.

Śledcza kiwnęła głową, pożegnała się i wyszła. A w mieszkaniu, gdzie po wyjeździe matki na daczę nie pachniało nawet jedzeniem, jeszcze przez kilka godzin unosił się zapach drogich perfum panienki z Pietrowki. Ludka pożałowała, że nie zapytała, co to za perfumy...

NABRZEŻE BIERSIENIEWSKIE

3. INNOKIENTIJ

– Niech pan posłucha, już rozmawiałem z prowadzącymi śledztwo – z rozdrażnieniem oświadczył pływak, rzucając mokry ręcznik na ławkę. – Jeśli śledztwo, czy jak się to tam u was nazywa, stanęło w miejscu, nie znaczy, że trzeba wszystkich po raz dwudziesty przesłuchiwać.

Innokientij się nie odezwał. Przez godzinę czekał, aż pływak skończy trening, obserwując przez szklaną ścianę basenu, jak tamten bez żadnego wysiłku przecina nienaturalnie błękitną wodę. Jego idealnie aerodynamiczna główka, malutka na tle basenu, to zniknęła, to znów wynurzała się z wody w równych odstępach czasu. Innokientij, jak każdy pracujący umysłowo, był pod wrażeniem tak krańcowego skupienia i podporządkowania się Jego Wysokości Ciału.

Był jednak zmęczony po godzinie czekania w przesiąkniętej chlorem i potem szatni, nawet jeśli spędził ją z tomikiem Ryczkowa. Stali więc teraz naprzeciwko siebie – jeden w tweedowej marynarce i spodniach z miękkiej flaneli, drugi – prawie nagi, z barczystymi muskularnymi ramionami i z zaskakująco ostrą twarzą, jakby ściągniętą w spiczasty koniec nosa i wysunięty podbródek.

– Nie zajmę panu wiele czasu – powiedział Innokientij ściszo, ale zdecydowanym głosem.

Byli tego samego wzrostu, pływak próbował zmierzyć go wzrokiem, ale w końcu tylko potrząsnął głową jak pies wychodzący z wody. Kilka kropli spadło na koszulę Innokientija i ten z lekkim niesmakiem patrzył, jak wsiąkają w tkaninę.

– Przepraszam – skwitował to pływak i wyciągnął wreszcie dłoń. – Nikołaj Sniegurow.

Usiedli na drewnianych ławkach – w szatni było pusto.

– Interesuje mnie Solanko. Pan był jego przyjacielem i kolegą z drużyny.

Proszę spróbować podsumować, co pan wie o nim jako człowieku.

Sniegurow podniósł na Innokientija oczy, w których jakby zastygł błękit basenu.

– Wyjaśnijmy sobie coś – zaczął. – Solanko nie był moim przyjacielem. Przyjaźnią się ze sobą pisarze, naukowcy i poeci. Choć i w to wątpię. Ale sport to co innego. Tu trzeba być pierwszym, w najgorszym wypadku trzecim, czwarty już nikogo nie interesuje! Trzeba zostać mistrzem szybko. My, jak baleriny, czasu do emerytury mamy niewiele. Wypruwałeś sobie żyły przez dwadzieścia lat, zniszczyłeś doszczętnie zdrowie, to spadaj na śmietnik. Gdy słyszę o „zdrowym duchu współzawodnictwa”, rzygać mi się chce! Jesteśmy twardymi chłopami, a nie kadecikami ze szkoły morskiej, kurde! U nas, jak nic nie wywalczyłeś na igrzyskach, znów musisz ćwiczyć przez cztery lata, a w ciągu czterech lat duuużo może się zdarzyć. Dlaczego ci to mówię? Otóż Solanko był draniem. To bzdura, że o nieżyjących trzeba mówić albo dobrze, albo wcale! Przyszedłem pływać, jak byłem jeszcze pętakiem, nie miałem dziesięciu lat, i harowałem bez przerwy na obozach sportowych. Książek nie czytałem, dziewcząt nie obmacywałem. Życia nie posmakowałem, rozumiesz? A wszystko w jednym celu.

– Obawiam się, że na razie nie rozumiem, o co panu chodzi – wtrącił ostrożnie Innokientij.

– Nie połapałeś się? No dobrze. Nie zapisali za pierwszym razem, uznali za nieistotne. Albo moje alibi sprawdzili, a ono, raz w życiu się poszczęściło!, jest twarde jak beton. Szliśmy z Solanką w jednym zaprzęgu, dwie nadzieje komitetu sportowego, liderzy rosyjskiej kadry narodowej. Że niby jak nie Solanko, to Sniegurow na pewno zdobędzie medal i obroni honor naszego kraju. Nazywano nas nawet oddział „SS”, od pierwszych liter nazwisk. Przygotowywaliśmy się jak szaleni. A jak inaczej? Młodzi, u szczytu formy, kiedy wygrywać jak nie teraz? Z Solanką wtedy tylko czasami wymienialiśmy kilka słów, nie dlatego, że od razu mi się nie spodobał, po prostu nie było kiedy. I tu, proszę ciebie, pojawiła się plotka. Że niby Sniegurow bierze EPO.

– Jak, przepraszam?

– Erytropoetynę. Preparat zwiększający wytrzymałość, podwyższa ilość tlenu we krwi, czy coś w tym rodzaju. Chodzi o to, że zwiększa wynik

o piętnaście procent.

– Czyli doping.

– Wrrr! Szary wilk doping! – Sniegurow zrobił groźną minę.

Innokentij w głębi duszy ucieszył się, że nie ma z nim Maszy. Mina była naprawdę straszna.

– Ależ mi dopiekli! Wiesz czym? Tym, jak mu tam, słowa zapomniałem, obłudą. Nasze urzędasy z komitetów ze smętnymi mordami. „Nie dopuścimy, żeby nasze dzielne zuchy brały doping! Wykorzenimy zarazę!” Przecież wszyscy biorą! Wszyscy. Zawody odbywają się między sportowcami na dopingu. Furosemid, EPO, hormony wzrostu masy mięśniowej... O testach wszyscy jakimś cudem dowiadują się wcześniej, albo znikają próbówki z wynikami, albo przed zawodami zamieniają twoją krew na tę pobraną przed kilkoma dniami. I już żaden test nie wykaze dopingu. Do czego zmierzam? Każdy sportowiec, jak każdy nastolatek, choć raz spróbował! Przy czym Światowa Federacja Pływacka uważana jest za niezwykle wymagającą. No i nasze urzędasy... Z jednej strony bardzo chce się wygrywać, z drugiej... światowa opinia publiczna, nie można jej tak całkiem lekceważyć, trzeba pokazać, że my też, tak jak ci najwięksi, walczymy z dopingiem. A z trzeciej: zbliżały się igrzyska olimpijskie i prezydent powiedział, że jeśli nasi zhańbią się dopingiem, to... I akurat wtedy znajdują w mojej szafce w szatni paczuszkę. O paczuszce od razu dowiaduje się pewna sportowa gazetka i w artykule wyraża swoje oburzenie. Już nie dało się przymknąć na to oka i postanowiono zrobić z tego nie tylko skandal, ale pokazówkę. A u nas tu jak w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Domniemanie winności: póki nie udowodnisz, że nie jesteś wielbłądem, to jesteś wielbłądem i koniec. Odsunęli od zawodów na dwa lata. Oprócz dwuletniej dyskwalifikacji nie dopuścili do igrzysk. Nim adwokat udowodnił, że paczuszka nie była moja, złoty i srebrny medal przeleciały mi koło nosa.

– A paczuszka rzeczywiście nie należała do pana? – spokojnie zapytał Innokentij.

Sniegurow uśmiechnął się ponuro.

– Już nie mam po co kłamać. I tu dochodzimy do najciekawszej kwestii. Paczuszka nie była moja. Znam pewnego człowieka, któremu zależało na tym, by nakłamać o mnie w komitecie, puścić przeciek do gazety. On bez

problemu mógł podrzucić paczuszkę. Znam go, i ty go znasz, bo przyszedłeś o niego wypytywać. Tylko tak się składa, że Saszok olimpiady nie doczekał. Zabójstwo oczywiście nie było związane ze sprawą dopingu, ale chciałeś usłyszeć o nim jako o człowieku, to masz epizod rzucający światło na faceta.

Sniegurow wstał, Innokientij również się podniósł. Uścisnęli sobie ręce.

– Nie jesteśmy olimpijczykami – niedoszły czempion potrząsnął głową – tylko gladiatorami w pocie czoła walczącymi o przeżycie.

I Kientij zrozumiał, że kilka ksiązek Sniegurow jednak zdążył przeczytać.

– Kto wtedy wygrał? – zapytał, gdy szerokie bary wypełniły cały otwór drzwiowy.

– A taki jeden Chińczyk. – Sniegurow odwrócił się do Kientija i wyszczerzył zęby. – A niedługo potem na mistrzostwach świata przyłapano jego trenera z walizeczką hormonu wzrostu.

NABRZEŻE BIERSIENIEWSKIE

2. MASZA

Masza czekała na najlepszą przyjaciółkę Julii Tomiliny obok wejścia do budynku. Przyjaciółka spóźniła się. Wreszcie drzwi się otworzyły i w ciemnym korytarzu pojawił się różowy wózek. Masza rzuciła się do drzwi i przytrzymała je, aż Tatiana Szurupowa, krzywiąc się, przepchnęła dwuosobowy wózek przez wąskie przejście. Po jej sympatycznej twarzy spływał pot.

– Dziękuję – powiedziała, ciężko dysząc, gdy wyrwała się wreszcie na zewnątrz. – Uff! – Wytarła niewysokie wypukłe czoło i uśmiechnęła się do Maszy nieśmiało. – Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli porozmawiamy w parku? Dzieci dopiero co zasnęły, mamy mnóstwo czasu, ale trzeba je wozić, w przeciwnym razie obudzą się i będą beczeć.

Masza odwzajemniła uśmiech.

– Dziewczynki?

– Nie, chłopcy. – Tania zmieszała się. – Pani tak pomyślała, bo wózek różowy? Dostaliśmy od przyjaciół. Gdy brakuje pieniędzy, nie ma co wybrzydzać.

Przeszły przez ulicę, kierując się z różowym wózkiem do parku Jekatierynńskiego. Masza spoglądała na Tanię – koński ogon z gumką recepturką, sińce pod oczami.

– Nie śpią w nocy?

– No pewnie! To jeden się budzi, to drugi! Całkiem mnie wykończyli! Nie mam nawet czasu, żeby coś zjeść. Dziadkowie już nie żyją. A państwo uważa, że dopłaty skłonią nas do rodzenia.

– A nie skłonią? – zapytała nagle Masza, którą tego typu problemy zazwyczaj w ogóle nie interesowały.

– Do rodzenia? – Tania uśmiechnęła się. – Do rodzenia skłonią nas prawdziwi mężczyźni. Myślący.

– Takich trzeba najpierw wychować. – Masza ruchem głowy wskazała wózek z dwoma zawiniątkami z osobnikami rodzaju męskiego.

– Wychowam! – Tania ze złością zmrużyła oczy. – I co to da? Ogląda pani telewizję? U nas propagują poligamię. Nasze władze uważają, że jeśli na każdego chłopca wypadną po trzy baby, to zaczną rodzić jak opętane. A gdzie tam! Nerwy tracić – to tak. A rodzić chce się w społeczeństwie, gdzie we wszystkich mediach mówią do facetów: niedobrze jest skakać w bok, gówniany jesteś mąż i gówniany ojciec, jeśli zdradzasz żonę.

– I przestaną?

– Nie przestaną! – powiedziała zmęczonym głosem Tania. – Ale zdradzać będą mniej. W skali kraju taka pożyteczna polityka da tysiące szczęśliwych kobiet, które będą rodzić dzieci. Proszę nie patrzeć, jak teraz wyglądam. Pięć lat pracowałam w reklamie. Niech mi pani wierzy, gdyby w mass mediach i w poważnych artykułach w sieci każda opinia zawierała obronę rodziny jako najwyższej wartości, mówiła o konieczności jej zachowania za wszelką cenę, już za rok, dwa byłyby widoczne efekty. A co dopiero po pięciu czy dziesięciu latach! Rosyjski chłop jest leniwy i co drugi bierze sobie kochankę wyłącznie dla prestiżu. No i przez to, że nie potrafi sobie czegokolwiek odmówić. Jakżeby inaczej – kobiecie ciało jest dostępne i tanie. Nikt cię nie potępi, jeśli zaspokoisz swoją potrzebę seksualną. Społeczeństwo gnije: wszyscy trąbią o oligarsze, który rzucił żonę dla młodsiutkiej panienci. I o czym pisze prasa? O restauracjach, jachtach i samolotach, jakie daje w prezencie ukochanej. I żadna dziennikarska swołocz nie napisze, że rzucił kobietę, której zrobił pięciorko – proszę sobie wyobrazić! – pięciorko dzieciaków. Owszem, zostawi im kasę. Ale dzieci potrzebują nie tylko pieniędzy...

Tania urwała nagle i za chwilę dodała znużona:

– Przepraszam, że tym panią zamęczam. Jest pani młoda, pewnie nie ma pani jeszcze dzieci. Ten temat panią nudzi. Po prostu u nas najbardziej bezbronni są starcy, dzieci i matki tych dzieci zamknięte z nimi w domu. Mnie już nie obchodzi, że mój mąż codziennie szlaja się gdzieś do dziesiątej, jedenastej wieczorem. Chciałabym tylko, żeby chociaż raz w tygodniu zajął się dziećmi, rozumie pani? Ja już od trzech miesięcy nie mogę wyskoczyć do fryzjera, a potrzebuję maksimum czterdziestu minut, by się ostrzyć. I nie

mam tych czterdziestu minut. – Tania westchnęła i uśmiechnęła się smętnie. – Może porozmawiamy o Julce. Chociaż to też smutny temat. W jakiś sposób związany z tym, o czym mówiłam przed chwilą. Chciała pani wiedzieć, jakim była człowiekiem. Otóż zwyczajnym. Pracowałyśmy razem. Ja chciałam zrobić szybką karierę – wcześniej wyszłam za mąż, a Julka skupiła się na poszukiwaniu narzeczonego i utknęła na posadzie asystentki. Poszukiwanie narzeczonego to sprawa kłopotliwa i często prowadzi do rozczarowań. Zmierzam do tego, że Julka u mnie często bywała, nawet nocowała. Przychodziła z butelką martini wypłakać się, a o północy nie mogłam już puścić jej wstawionej do domu. Kładłam, ku niezadowoleniu małżonka, na kanapie w korytarzyku. Miewała okresy depresji, była zupełnie bez życia, na okrągło coś jej dolegało, wpadała do mojego gabinetu, żeby pomarudzić jak dziecko. Namówiłam ją nawet pewnego razu, by zaczęła brać lek, taki lekki antydepresant o optymistycznej nazwie Niegrustin[41]. – Tania znów smutno się uśmiechnęła. – Wymyślała dla niego różne nazwy: a to Pofigin[42], a to Nachrenin[43]. Z poczuciem humoru nie miała problemów. Ale czy pomagał jej ten lek, tego nie wiem.

Problem polegał na tym, że bardzo chciała się zakochać, po prostu nudziła się w życiu, nie miała czym się zająć. Zresztą, gdy czegoś bardzo się chce, wiadomo... Julka się zakochała. W żonatym mężczyźnie. Fakt, że jest żonaty i ma dzieci, jej nie zniechęcił. Wszyscy tak żyją. Wszyscy mają kochanki, więc czemu Julka nie może być jedną z nich? Tym bardziej jeśli i ją, i jego ogarnęła taka namiętność. Co do tego, na Boga, mają żona i dzieci? Pracował z nami w jednej firmie, tylko Julka w Moskwie, a on jako kierownik regionu północno-zachodniego często przyjeżdżał do Moskwy z Pitra[44] w delegację. Przyjemny facet, trochę po czterdziestce. Jeździł z Julką na urlop, zawsze zjawiał się z prezentami, krótko mówiąc, taki porządny kochanek, nie oligarcha, a jednak. Julka była nieziemsko szczęśliwa. Raz nawet słyszałam, jak na początku ich romansu śpiewała w toalecie jakąś piosenkę o miłości, coś o tym, że runęła zaporą i ich porwało. Wpadała do mnie, żeby się poradzić, i strasznie mnie zamęczała, demonstrując a to bieliznę, właśnie kupioną dla niego, a to perfumy: „Jak myślisz, spodobają mu się?”, a to nowe buty na takich obcasach, że można w nich wyłącznie siedzieć, bo chodzić się nie da. Cieszyłam się z tego oczywiście. Sama sytuacja, jak się zastanowić, nie wyglądała różowo, ale Julka była taka

szczęśliwa i już za to byłam wdzięczna naszemu dobremu samarytaninowi z Pitra.

Tania zamilkła, ale po chwili mówiła dalej:

– Pewnego razu zdarzyła im się wpadka. Jula przyszła do mnie z błyszczącymi oczami. Odruchowo poszukałam wzrokiem jakiegoś pakunku z ciuchami, ale nie, sprawa była o wiele poważniejsza. Z tryumfem pokazała mi test ciążowy. Pozytywny. „I co teraz?” – zapytałam ją ostrożnie, a ona siedziała na moim biurku i jak dziewczynka majtała nogami. „Jak to co? – Zrobiła wielkie oczy. – Powiem mu. Wiesz, czasami potrzebny jest impuls, żeby...” – „Julu, on ma dwójkę dzieci” – przypomniałam ostrożnie, ale Ostapa już poniosło[45]. „Wszystko układa się wspaniale! – powiedziała. – On przeniesie się do Moskwy, sprzedamy moje mieszkanie i kupimy nowe, większe, obok parku”. Miała już wielkie plany, a ja, szczerze mówiąc, pomyślałam: po co się wtrącam w jej sprawę? Może nie jestem na bieżąco, a oni rzeczywiście cały czas omawiają jego przyszłą przeprowadzkę do Moskwy? Pokiwałam tylko głową, usłyszawszy, że jej „przyjaciel z Pitra” przyjeżdża za tydzień, więc będzie miała czas, żeby przygotować romantyczno-erotyczny wieczór, w czasie którego ogłosi mu radosną nowinę.

Będę się streszczać, żeby nie zanudzać pani szczegółami, przygotowaniem, wizytami u różnych kosmetyczek i manikiurzystek. Kolejny komplet bielizny. Świece waniliowe. Piana do wanny. Bukiet róż. Przepis na wieprzowinę. Czasami czuję się winna – wydaje mi się, że gdybym trochę ostudziła jej zapał, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale znając powiedzenie „powiesz prawdę – stracisz przyjaciela”, do tego nie będąc pewna tej prawdy, milczałam, kiwałam głową, chwaliłam i dawałam jej przepis na ową wieprzowinę.

Nadszedł decydujący dzień. Kilka razy natknęłam się na kochanka Julii w firmowym korytarzu, potem na posiedzeniu, i próbowałam odczytać z jego twarzy, jak przyjmie informację, która spadnie na niego dzisiejszego wieczoru. Wydawał mi się poważnym facetem, więc myślałam: a nuż? Od dawna był nam potrzebny nowy dyrektor...

Tania w stałym rytmie kołysała różowy wózek i od czasu do czasu poprawiała chłopcom niebieskie czapeczki. Westchnęła. Popatrzyła skruszona na Maszę.

– Byłam głupia – powiedziała, wzruszając ramionami. – Miałam obawy, że wszystko się skończy nie tak radośnie, jak wyobrażała to sobie Julka. Ale żeby aż tak...

Najpierw, jak zaplanowała, była pieczona wieprzowina, potem namiętny seks. A potem osłabła z miłości Julka poinformowała go o swojej niespodziance. Wie pani, wszystkie zarzucamy mężczyznom, że są podstępni. Nie wierzę w męską podstępność w sprawach miłosnych, w odróżnieniu od kobiecej. Żeby być podstępnym, trzeba być wyrafinowanym, a u mężczyzn, jeśli już to wyrafinowanie jest, to przejawia się w innych dziedzinach: w polityce czy w interesach. Jeśli zaś chodzi o stosunki z kobietami, wszystko jest nieskomplikowane jak kiszenie kapusty. Kilka prostych składników i odczekać, aż się ukisi. Nie, to my same przypisujemy im najrozmaitsze cechy. Wymyślamy podstępność i różne uczucia, a w rzeczywistości te uczucia są nasze. Do czego zmierzam?

Do tego, że po tej nowinie kochanek Julki obnażył całe ubóstwo swoich uczuć. Tak naprawdę czuł tylko jedno: strach. Znieruchomiał na chwilę, potem szybko się ubrał, widocznie nago niezręcznie mu było mówić to, co zamierzał powiedzieć. I oznajmił mniej więcej coś takiego: A. On jej nigdy nie kochał. B. Wykorzystywał ją wyłącznie w celach seksualnych. C. Bardzo kocha żonę i dzieci i żadnych innych nie chce.

Po czym włożył buty, chwycił palto z wieszaka i już go nie było.

Proszę wyobrazić sobie teraz Julkę, z jej nie całkiem jeszcze rozmazanym wieczorowym makijażem, ale już w zmiętej jedwabnej pościeli i w koronkowej bieliźnie. W otoczeniu dopalających się wonnych świec. Poderwała się i zaczęła rozbijać wszystko wokół niczym Bułhakowska Małgorzata u krytyka Łatuńskiego. A potem ubrała się, podarła na sobie pończochy i poszła do rejonowego komisariatu policji. Zgłosiła gwałt. Rano już była po badaniu lekarskim. Później zjawiała się w pracy, jak potem tłumaczyła, tylko po to, żeby mi o wszystkim opowiedzieć. Historia ze zgłoszeniem gwałtu wystraszyła mnie: Julko, mówię, jak mogłaś to zrobić, będąc z nim w ciąży? Pamiętam, że odwróciła się ode mnie i powiedziała ostro, że dziecka w czasie rozprawy sądowej już nie będzie.

Bardzo to wtedy przeżyłam. Raz ją namawiałam, żeby wycofała zgłoszenie i urodziła dziecko, innym razem, by wycofała zgłoszenie, usunęła

ciążę i zapomniała o draniu. Ale szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy pójdzie na całość, czy nie chce go tylko postraszyć. Sama miałam wtedy mnóstwo spraw na głowie. Szukałam mieszkania, załatwiałam, zadłużałam się... Zauważyłam tylko, że Julka znów pogрузzyła się w depresję, ale Pofigin już jej nie pomagał. Kilka razy próbowałam porozmawiać z nią o dobrym psychiatrze. Nie chciała nawet o tym słyszeć, wciąż powtarzała, że gdy zemści się na draniu, humor jej się poprawi. Ale sprawa nie poszła po jej myśli. Faceta nie oskarżono. Znaleźli się ludzie, którzy poświadczyli, że mieli romans, przecież oni się z tym właściwie nie kryli. Kolega uczciwie zeznał, że Julka chwaliła się, że jest w ciąży. Adwokat stwierdził, że najpierw musi mieć wyniki badań medycznych; czy było w ogóle dziecko? Oskarżyciel oponował, że to nie ma znaczenia. Ostatecznie wszystko zepsuła sama Julka. Tak się starała, opowiadała z takimi szczegółami, że zeznając, wpadła w histerię. Nie uwierzyłyby jej nawet najbardziej ufny przysięgły. Gdy składała zeznania, doszło do nieprzyjemnego zdarzenia. Małżonka oskarżonego gwałtownie poderwała się z miejsca i zaczęła rzucać jakieś przekleństwa. Często myślałam o tym po tragicznej śmierci Julii. Nawet dowiadywałam się przez znajomych, jak on tam się ma w Pitrze. Odszedł z naszej firmy, ale koledzy z pracy utrzymywali z nim kontakt. Mówili, że dobrze mu się żyje: dzieci rosną, żona kocha i rozpieszca, widocznie wystraszyła się, że mogą jej odebrać taki skarb. No, dostał chyba nauczkę. Na skok w bok już sobie nie pozwoli, za gwałt mógł dostać piętnaście lat, to nie to samo, co oberwać w twarz od zdradzonej żony.

A Jula... Jula zwolniła się, znalazła pracę w jakiejś małej hurtowni jako zwykła sekretarka. Kilka razy dzwoniłam do niej, ale odbijałam się jak od ściany. A potem... – Usta Tani zadrżały. – Jezu, tak mi jej żal! Zagubiona dusza! Ponoć adwokat faceta chciał nawet pozwać ją o oszczerstwo. Nie wiem, jak to się skończyło. Chyba oskarżenie w końcu wycofano. – Tania uśmiechnęła się smutno. – Jakie my jednak wszystkie jesteśmy podobne: chcemy kochać, przemy do przodu, do przodu, a potem się cofamy. Jula po prostu znalazła się w strefie zakazanej. Nie wolno tam wchodzić, nawet jeśli bardzo cierpisz i pragniesz się zemścić. – Tania odruchowo przesunęła ręką po splątanych włosach. – Kiedy ja wreszcie pójdę do tego fryzjera?

– Jeśli pani chce – zaproponowała Masza – mogę pospacerować z chłopcami, jak pani będzie się strzygła.

– Naprawdę? – Tania spojrzała na nią roziskrzonymi oczami. Ale po chwili przygasła. – Nie, to niepoważne, pani jest bardzo zajęta, na służbie, jakoś dam sobie radę.

– Dzisiaj mam już wolne – uśmiechnęła się Masza. – I jeśli pani zaryzykuje i zostawi ze mną maluchy...

Tania pokręciła głową.

– Nie, dziękuję pani bardzo, ale chyba nie zaryzykuję. Boję się o panią. Wkrótce się obudzą. Ale ogromnie dziękuję za propozycję.

Ruszyły wolno do wyjścia z parku. Obie myślały o Julii. Tania – o kobiecej bezradności, która tak łatwo przeradza się w podłość. A Masza – o słowach Tani na temat strefy zakazanej. Ciemna strona. Julia weszła do niej tylko raz, zaślepiona nienawiścią, która wykiełkowała z miłości. I bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi.

Nawet nie zauważyła, że za jej plecami czai się zabójca...

KUTAFJA

INNOKIENTIJ

Innokientij siedział na stołku, ponuro myśląc o tym, że po tej wizycie będzie musiał oddać ubranie do czyszczenia. U koleżki Kolana było brudno. Innokientij nigdy jeszcze nie widział takiego brudu. To był Brud podniesiony do koncepcji filozoficznej. A przez ostatnie pół godziny Kientij rozmawiał z filozofem i bardzo z tego powodu cierpiał. Koleżka Kolana nie był po prostu pijakiem, był pijakiem „z zasadami”. To tacy, co różnią się od pijaków „z pojęciami” jak ziemia od nieba.

Według „pojęć” – jedna butelka powinna być na trzech i dobrze, jak jest czym zakąsić. A według „zasad” – picie jest uświęcone z góry i stanowi najszlachetniejsze zajęcie człowieka myślącego.

– Nikomu nie przeszkadzamy – głosił Leonid, młody człowiek z cofniętym podbródkiem i delikatnymi dłońmi pianisty. – Nie mieszamy się w te wasze zabawy w menedżerów, przesiadywanie w biurach, wszystkie te tanie sztuczki używane do usprawiedliwienia swojej egzystencji. My się nie usprawiedliwiamy, *in vino veritas!* – Wskazał paluchem z brudnym paznokciem na oblażły z farby sufit.

– Myślę, że źle pan zrozumiał sens tego zwrotu – zauważył Innokientij, bez powodzenia próbując stabilnie usadowić się na chwiejnym stołku w taki sposób, by zminimalizować powierzchnię styczną między swoim obleczonym w delikatną wełnę siedzeniem a lepkiem siedziskiem.

– Prawda jest w winie! – przetłumaczył mu urażony rozmówca.

– To nie całkiem tak. – Innokientij uśmiechnął się lekko. – Ściślej mówiąc, Rzymianie nie chcieli przez to powiedzieć, że da się rozwiązać tajemnicę wszechświata za pomocą wina. Mieli raczej na myśli, że pijany mówi prawdę, tak jak Rosjanie twierdzą, że „co u trzeźwego w głowie”...

– Poważnie? – Twarz Leonida przez kilka chwil wyrażała zdumienie.

Widocznie dygresja Kientija podkopała jedną z podstaw jego szkoły

filozoficznej.

– Porozmawiajmy o Nikołaju Soryginie, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu – ostrożnie przywołał go do rzeczywistości Innokientij.

– Kolan? Świetny chłop, ale to kwiat!

– Kwiat?

– Tak. Widzi pan, mam taką koncepcję. – Leonid potarł cienki nos cały w czarnych kropkach. A Innokientij z grzecznym zdziwieniem uniósł brew. – Pijacy bywają narwani, to tacy, co piją przez ciężkie doświadczenia życiowe. Założmy, żona odeszła albo wywalili z pracy, albo apogeum: najpierw wywalili z pracy, a potem żona odeszła... Są też stachanowcy, czyli tacy, co mają i żonę, i kochankę, i mnóstwo interesów, i biednych krewnych, i nikt nie chce zostawić ich w spokoju. Ci chcą się odstresować, biedacy. Idźmy dalej: wydziałowi – wymieniał Leonid niespiesznie – piją dla towarzystwa; jeszcze splinerzy, to od angielskiego słowa *spleen*. – Innokientij kiwnął głową z poważną miną, że niby coś tam słyszał o tym wyrazie. – Ci spożywają przez nadmiar wolnego czasu, na przykład nudzące się gospodynie domowe. Albo maminsynki... No i są jeszcze różne zuchy, dla których picie to jak pójście z babą do łóżka, dla udowodnienia własnej wartości, jako faceta, mam na myśli.

– A pan, przepraszam bardzo, do jakiej grupy się zalicza? – Innokientij chciał jak najszybciej wyrwać się z tego zakazanego miejsca i uwolnić od towarzystwa zadufanego w sobie pijaka. Ale doświadczenie, wyniesione z kontaktów z kolegami handlującymi antykami, nakazujące uważnie wysłuchać rozmówcy, podpowiadało mu, że trzeba człowiekowi dać się wygadać. Tylko z potoku słów może wyłowić ową złotą rybkę, której nie potrafili złapać zajmujący się tą sprawą przed nim. Dlatego życzliwie spojrział w wodniste oczy pijaczka. – Jak to jest z panem?

– O! – Leonid machnął delikatną dłonią z długimi cienkimi palcami. – Jestem filozofem. Badaczem dusz. Alkohol to sposób na poznanie świata. A Nikołaj z kolei był kwiatem. To znaczy, że picie było dla niego jak oddychanie. Dla niego wódka była niczym słońce, woda czy gleba, w której zapuścił korzenie. Niosło go z nurtem życia: swobodnie i płynnie.

– I dokąd tak niosło? – przerwał mu Innokientij, bojąc się, że zgubi blask złotej rybki w mętnej wodzie.

– Jak to dokąd? – zdziwił się coraz bardziej nietrzeźwy filozof. – Jak wszystkich, ku śmierci... Proszę mnie dobrze zrozumieć, on nie mógł nikomu zaszkodzić. Nie miał złych intencji ani silnych namiętności. Chciał tylko pić i cieszyć się! – Leonid spojrział na Kientija przez butelkę z wódką i skończył prawie biblijnie: – Jak ptak zdobywał pokarm swój lekko...

A potem gestem zaproponował Innokientijowi, by razem z nim dopił resztki stolicznej, którą Kientij przyniósł w nadziei na owocną rozmowę. Ale gość przecząco pokręcił głową i płyn z delikatnym bulgotem został przelany do brudnej szklanki Leonida.

– Niech pan już dalej nie szuka – zasypiając, pouczał go Lonia. – Kola był kwiatem, złamali go... A właściwie podlali go nie tą odżywką, co trzeba... – Jego głowa opadła na stół. Prawie od razu rozległo się żałosne, z pogwizdywaniem, chrapanie.

Innokientij wstał, próbując otrzepać spodnie, i gorzko westchnął. Stracił mnóstwo czasu i będzie musiał wykosztować się na pralnię. A wyników zero. Rybka się nie pokazała. I czy w ogóle pływała w tych zatrutych wodach? Kwiat – powtarzał, zbiegając schodami, zdecydowanie nie chciał dać się zamknąć w brudnej, śmierdzącej windzie. – Kwiat, powiadacie... – Przed jego oczami (jakby na przekór nieestetycznemu widokowi, który dopiero co zniknął sprzed jego oczu) zakwitły chryzantemy szkicowane tuszem, w stylu japońskich grawiur.

Znów unoszą się z ziemi

Zapomniane przez deszcz

Chryzantem kwiaty

– rozbrzmiało w jego głowie haiku Bashō, napisane mniej więcej w tym samym czasie, gdy powstawała Moskwa jako niebiańskie Jeruzalem. Już nigdy się nie uniesie – pomyślał o zmarłym tragicznie pijaku, wychodząc na świeże powietrze i z przyjemnością pozbywając się mdlącego zapachu mieszkania alkoholowego filozofa – oddychał tam, podobnie jak i siedział na stołku, ostrożnie.

Nie był z siebie zadowolony. Niczego się nie dowiedział i w niczym Maszy nie pomógł. Wsiadłszy do samochodu, włączył radio. „Przekwitły już dawno-o-o chryzantemy w ogrodzie-e-e...” – usłyszał głos Olega Pogudina. O Boże! – Innokientij poczuł się całkiem winny.

Pora była jechać i przyznać się Maszy do własnej niekompetencji.

ANDRIEJ

Andriej porządnie przycisnął tego dziennikarza. Wyciągnął z niego wszystko, w tym adres Almy Kutujewej. A teraz cierpiał, powoli przesuwał się w moskiewskich korkach. Cierpiał nie dlatego, że powoli. Cierpiał, ponieważ wiedział, że spotkanie z Alną Kutujewą, matką jednego z żołnierzy, którego ciało odesłano do domu bez wewnątrzności, będzie niełatwe. Andriej należał do tej licznej grupy ludzi, którzy nie potrafili wypowiadać słów współczucia – jękali się, czerwienili i rzeczywiście współczuli, mając mokre oczy i ściśnięte gardło, ale wykrztusić z siebie pasujących do okoliczności formułek nie umieli. Bo co tak naprawdę można powiedzieć matce, która straciła syna? Że zabił go profesjonalny zabójca, że nie cierpiał? Czy: pani chłopak został pomszczony, jego zabójca prawdopodobnie nie żyje, został zabity przez maniaka i zgodnie ze staroruskim obyczajem spławiony pod lód rzeki Moskwy?

Andriej w kółko wracał do rozmowy z Maszą i jej fircykowatym przyjacielem, próbując znaleźć niezgodność, jakąś lukę udowadniającą, że nie chodzi o średniowieczne brednie, tylko o brudne pieniądze, brudną politykę, brudne namiętności. Różne miłe dla profesjonalisty banały, na których, niczym na trzech wielorybach, opiera się logika każdego zabójstwa. Ale banały nie wpisywały się w historię z lodem, lodówką, rzeką Moskwą, obciętymi językami w starej elektrociepłowni, oderwanymi rękami koło soboru Pokrowskiego, poćwiartowaną gubernatorową w Kołomienskim... A Jan Ewangelista i Iwan Groźny się wpisywali. Tak mu się nie chciało wchodzić w to wszystko! Ale Masza już wciągnęła go razem z głową w przerębel, w głębiny, gdzie nie było ani ryb, ani roślin, tylko stojąca, gęsta, ścięta przez mróz martwa woda wypełniona czymś szaleństwem. I nie dało się już nie widzieć tego szaleństwa. Zabójcza logika zabójcy – popisał się niezgrabnym kalamburem, zjeżdżając z obwodnicy.



Alma Kutujewa mieszkała na odludziu. A właściwie mieszkali tam jej krewni – siostra zmarłego męża czy też brat samej Kutujewej. Mieszkanie przypominało obóz cygański – było tam mnóstwo ludzi, wszyscy kręcili się na niewielkiej powierzchni, głośno ze sobą rozmawiali. Alma zamknęła się z nim w łazience, która była oazą spokoju. W wannie moczyła się kolorowa bielizna. Czerwone fatałaszki pływały w szaroróżowej pianie i w pierwszej chwili Andriej aż odskoczył, ale potem dotarło do niego, że to puściła farba na tanich krwistych chustach. To tylko farba.

Alma wskazała mu stołek, a sama usiadła na brzegu wanny.

– Przepraszam – rzuciła, kiwnąwszy głową w stronę drzwi, zza których dobiegały głosy wielkiej hałaśliwej rodziny. – Śledczy już prowadzi sprawę w Chabarowsku. Po co pan przyszedł?

– Chodzi o to – Andriej wyciągnął z teczki papiery – że prowadzę śledztwo, które może być związane ze śmiercią pani syna.

– Kolejnego żołnierza pocięli? – Kutujewa uśmiechnęła się gorzko. – Czy przychodzi pan z pieniędzmi?

– Z jakimi pieniędzmi? – nachmurzył się Andriej.

– Proponowali mi już pieniądze. – Alma uniosła głowę. – Ale widocznie się rozmyślili.

Zmieszany Andriej milczał.

– Nie wie pan? – Alma sięgnęła do kieszeni starego zielonego szlafroka. – Był tu śledczy z prokuratury wojskowej. Z walizeczką. Prosił, żebym zapomniała o wszystkim, tak po dobroci. Wyrzuciliśmy go z bratem za drzwi. Nie sprzedajemy swoich zmarłych.

Andriej zauważył, jak ręce pod wystrzępioną flanelą zacisnęły się w pięść.

– Przywieźli mojego chłopca bez wnętrzości, jak kurczaka! Powiedzieli, że popełnił samobójstwo! Sądzili, że jak mieszkamy na wsi, to nie dotrzemy do Moskwy? Myśleli, że jeśli u nas ciało obmywają starcy, to matka o niczym się nie dowie?! I nikt jej nie obroni?! – Alma już krzyczała.

Za drzwiami zapadła dziwna cisza. Stoją obok i nasłuchują – pomyślał Andriej. I skrzywił się jak z bólu.

– Znalazłam inne matki! Ich synowie też służyli w tamtym rejonie! Żaden nie miał ojca! A już sierot w ogóle nie ma kto bronić! Teraz mamy dobrego

śledczego! Jest w Moskwie od pół roku!

Andriej wyciągnął zdjęcie Jelnika i pokazał je Kutyjewej.

– To ten śledczy? Z prokuratury wojskowej?

Alma nagle urwała, powoli wyjęła rękę z kieszeni, wzięła zdjęcie i od razu oddała je Andriejowi, jakby brzydziła się nawet patrzeć na tę twarz.

– To on – powiedziała zachrypniętym nagle głosem.

– Dobrze. – Andriej skinął głową. – Był ktoś jeszcze w mieszkaniu czy była pani sama?

– Sama. – Alma się zamyśliła. – A potem przyszedł brat. Wyrzuciliśmy go.

– Dobrze – powtórzył Andriej i znów skinął głową. A potem niespodziewanie dotknął ramienia kobiety. Jej dłoń wciąż tkwiła zaciśnięta w pięść w kieszeni szlafroka. – Jest mi bardzo przykro.

Alma zerwała się na nogi, gwałtownie uwalniając się od jego dotyku, i Andriej zrugął się w duchu – przecież ona jest muzułmanką. A on mężczyzną siedzącym z nią sam na sam. W łazience z namoczoną bielizną. Też się podniósł i schował zdjęcie.

– Przepraszam. Dziękuję. Chyba już pójdę.

Bez słowa wyszła z nim z łazienki, przeprowadziła przez szereg krewnych na korytarzu i pożegnała się suchym jak trzask zamka w drzwiach „do widzenia”.

Andriej zapalił i usiadł na ławeczce przy bramie. Oto kolejny fragment łamigłówek znalazł się na swoim miejscu – szkoda, że to nie jego łamigłówka, tylko chabarowskiego śledczego. Jelnik przychodził sam – nie chciał ujawnić swoich przyjaciół z wojska? Chciał osobiście przekonać się o skali problemu? Nie – doszedł do wniosku Andriej, patrząc, jak kołysze się na wietrze zielona ściana przekwitłego już w tym roku bzu rosnącego wokół śmietnika na podwórku. Przyszedł, by zabić, jeśli matka odmówi przyjęcia pieniędzy. Ale zjawił się jej brat. Jelnik chwilowo zrezygnował z realizacji swoich zamiarów. A potem jego samego „zrealizowali”. Alma uniknęła śmierci dzięki miłośnikowi mistycznych łamigłówek. Andriej wrzucił niedopałek do kosza.

Pora, już najwyższa pora wracać do domu, do psiaka aktorzyzny.

SOBÓR POKROWSKI

INNOKIENTIJ

Masza i Innokientij stali pod drzwiami i oboje czuli się niezręcznie. Masza dlatego, że wykorzystywała znajomych Innokientija z jego ukrywanego „kolekcjonerskiego” świata, żeby pomówić z nimi o sprawie dosyć nikczemnej i nieprzyjemnej – kradzieży. Innokientij z kolei nie wiedział, jak dzisiejsza wizyta odbije się na jego dalszych stosunkach z właścicielem mieszkania.

Drzwi wreszcie się otworzyły i w progu stanął chudy stary człowiek w wypłowiałym podkoszulku na ramiączkach i wyświechtanych spodniach. Gdy otworzył usta, żeby przywitać się z gośćmi, widać było, że jego sztuczna szczeka została zrobiona w przychodni rejonowej.

– Piotr Arkadjewicz Kokuszkin – przedstawił się kolekcjoner, z jego ust zalatywało tanią kiełbasą.

Masza z trudem się powstrzymała, by nie spojrzeć ze zdumieniem na Innokientija, ale on jakby nagle stracił swój wysublimowany węch. Serdecznie uścisnął zniekształconą przez artretyzm rękę z widocznymi ciemnymi żyłami i przedstawił Maszę. Kokuszkin wymamrotał coś na powitanie i wpuścił ich do środka. Było tu całkiem ciemno, słyszeli jedynie, że starzec zamyka drzwi na co najmniej dziesięć zamków. Potem Masza poczuła lekkie pchnięcie w plecy i prawie po omacku ruszyła długim korytarzem.

W mieszkaniu pachniało starczą niemocą: walerianą, kurzem, naftaliną. Wreszcie Kokuszkin zapalił światło – pojedynczą żarówkę zwisającą pośrodku korytarza, i Masza wydała okrzyk zachwyty. Na wszystkich ścianach wisiały obrazy, jeden przy drugim, tak że nie było widać, jakiego koloru są tapety – litografie, akwarele, szkice ołówkiem i gwaszem. Podpisane przez Dobużyńskiego, Somowa, Baksta. Masza znieruchomiała przed szkicem do *Baletów rosyjskich*, ale znów poczuła lekkie pchnięcie w plecy. Obejrzała się.

– To przecież szkic do *Popołudnia fauna* Niżyńskiego!

– Tak, tak – potwierdził gderliwie Kokuszkin, a idący za nim Innokentij puścił do Maszy oko; że niby świetnie, nie zbłąźniła się, pokazała ślady dobrego wykształcenia.

Pomieszczenie, do którego przeszli, było prawie całkiem pozbawione światła – okno z kratami wychodziło na ślepą ścianę. Nie było tu widać żadnych starań, by pokój wyglądał choć trochę przytulnie – żadnych zasłon ani kwiatów na parapetach. W pokoju stały szafa z książkami poświęconymi historii sztuki, dwa krzesła i fotel ze stołem z lat siedemdziesiątych. Wnętrze prowincjonalnego hotelu z odległych czasów dla przebywających w delegacji jeszcze sprzed pieriestrojki. Ale ściany! Ściany całe były zawieszane obrazami, jak w korytarzu. Zachwycona Masza przeszła wzdłuż nich. Były tu fotomontaże Rodczenki, klasyczna martwa natura Falka, Altmana i Dejneki oraz oryginały ilustracji do książek autorstwa Lebediewa i Lisickiego. Nawet Masza, nie bardzo znająca się na rosyjskiej awangardzie i pseudorealizmie, miała świadomość, że wiszą tu prawdziwe skarby. Innokentij, wyraźnie rozbawiony, obserwował ją z kąta pokoju. Właściciel mieszkania poszedł tymczasem do kuchni, gdzie gwizdał już czajnik.

Szybko wrócił, szurając filcowymi kapciami, i rozlał herbatę do filiżanek z poszczerbionymi brzegami. Masza upiła łyk prawie przezroczyściego płynu i doszła do wniosku, że esencja jest „przedpotopowa”, jak mawiał jej ojciec, i pachnie słomą. Innokentij – i gdzie on je chował? – wyciągnął, niczym czarodziej, pudełko czekoladek.

– Wiśnia z alkoholem? – Zadowolony Piotr Arkadjewicz pospiesznie rozerwał błyszczącą folię na pudełku.

Innokentij uśmiechnął się.

– Pana ulubione.

– Pamiętasz, pamiętasz o staruszkę! – Kokuszkin z pożądlivym wyrazem twarzy, zupełnie niepasującym do jego pomarszczonego oblicza, chwycił czekoladkę i włożył do ust. – A ja nawet na cukierki nie mogę sobie pozwolić. Przez całe życie miałem dwie pasje: sztukę i słodycze. Tę drugą musiałem poświęcić na rzecz pierwszej. I nie tylko słodycze. Wszystko poświęciłem! – Jego grdyka poruszyła się, gdy przełykał słodką ślinę. Po czym spojrział na Maszę już bardziej życzliwie. – Pani z racji swojej młodości

pewnie myśli sobie, że staruszek siedzi na pieniądzach, a nawet cukierka sobie nie kupi? Skąpy rycerz, co? A do mnie tylu ludzi przychodzi! Nawet fircyki z banków: amatorzy szybkiego wzbogacania się na „inwestycjach w sztukę”. Fuj! Ani rozumu, ani honoru, ani gustu za grosz nie zostało w tej Rosji! Była sztuka, ale krótko. Rozbłysła wraz z miriskustnikami[46], a zgasła dzięki Ojcu Narodów, który był miłośnikiem realizmu, wszystkich tych Riepinów, Surikowów, pieriedwiżników[47]! Ja tych idiotów z banków do nich odsyłam – idźcie, inwestujcie w swojego Ajwazowskiego, Makowskiego, pożał się Boże! Ale moich – moich! – nie ruszajcie! Myślą, że dziatkami swymi będę handlował, oddawał w ich brudne łapy? A takiego! – Kokuszkin pokazał kościstą figę.

Wystraszona Masza pokręciła głową, zmieszana gwałtownym wybuchem staruszka, figą, pryskaniem czekoladowej śliny... Starzec zakrztusił się. Innokentij musiał postukać go po chudych zgarbionych plecach, podać herbaty. Piotr Arkadjewicz głośno łyknął gorącego płynu, odchylił się na starym fotelu – tapicerka w drobne kwiatuszki była cała powyciągana – dochodząc do siebie.

– Odwiedzał mnie tu jeden taki kuglarz. Nazywają siebie psychologami. Że niby pisze doktorat o zmienionej osobowości kolekcjonerów. Nawet klasyfikację wymyślił, bałwan!

– Naprawdę? – Innokentij uśmiechnął się, przypomniawszy sobie klasyfikację, którą niedawno słyszał w brudnej kuchni pijaka.

– Uważa, że zbieramy, ponieważ doznaliśmy w dzieciństwie traumy. Musimy więc koniecznie coś kolekcjonować. Przy czym, uchowaj Boże, nie pozwól mnie, staremu, dożyć czasów, kiedy tacy idioci będą bronić swoich doktoratów! – niby jest mi wszystko jedno, co zbieram. Mogę znaczki, mogę papierki po cukierkach czy ceramiczne figurki. Ceramiczne figurki! Może osłów, powiedziałem mu, ale ten nie zrozumiał mojej delikatnej aluzji. Dla pana, panie Kokuszkin, powiedział ten osioł, zbieractwo jest psychologiczną potrzebą podyktowaną strachem przed śmiercią – a to widocznie zaczerpnął ze starego szarlatana Freuda. Zbierając, pan broni się przed przyszłością i zachowuje przeszłość. Rany boskie, jaką to ja mam przeszłość, że tak chcę ją zachować? Rozstrzelani rodzice? Kilka lat w łagrach? A przyszłość... W przyszłości, powiedział do mnie ów cholerny profesorek, coraz bardziej będzie powszechny „inwestycyjny” typ kolekcjonera. A o nich już wam

opowiadałem.

Zmieszana Masza siedziała i słuchała. Perorując, Piotr Arkadjewicz nie zapominał o pudełku z czekoladkami. A gdy zjadł wszystko, Innokentij puścił oko do Maszy i zdjął gofrowany papierek, pod którym znajdowała się kolejna warstwa czekoladek. Staruszek wyraźnie się ożywił, już spokojnie wziął jedną do ręki, obejrzał i uśmiechnął się czule.

– Mówił też przygłup o typie kolekcjonerów, dla których najważniejsze są więzi społeczne, udział we wspólnych interesach. Jak w dzieciństwie: jeśli masz taki model samochodziku, będę się z tobą przyjaźnił. Mówił, że gdy małżonkowie mają wspólne kolekcjonerskie hobby, rzadziej się rozwodzą. Bzdury! Miałem tylko jedną romantyczną przygodę, pod koniec lat czterdziestych. Byłem wtedy jeszcze młody i nie uwierzycie! – dość przystojny. Panienska była z mniej więcej poważnych. W każdym razie nie zarzucała mi braku prezentów w postaci jedwabnych pończoch. Ale gdy chciałem kupić manierystyczną i dość pikantną miniaturę Somowa, wściekła się i powiedziała, że ubóstwiam burżuazyjną sztukę. Głupia krowa! – Piotr Arkadjewicz odwrócił się do Maszy. – A pani, kochaniutka, lubi Somowa?

– Bardzo – szczerze przyznała się Masza, choć nie była pewna, czy odważyłaby się powiedzieć prawdę, gdyby, jak panienska-głupia krowa, uważała Somowa za drobnomieszczańskie.

– No proszę. – Kokuszkin poruszał wargami. – Wyrosło nowe pokolenie, może będzie miało lepszy gust. No i na koniec o klasyfikacji... – Kolejna czekoladka opuściła swoje gniazdko w pudełku wyłożonym gofrowanym papierem. – Uczony osioł stwierdził, że ludzie zaczynają kolekcjonować, gdy mają już wszystko: i dom, i ogród, i garnitury uszyte na Savile Row[48]. Wie pani, kochaniutka, co mnie wkurza? Właśnie taka pewność, że sztuka służy upiększeniu ich kiczowatych domów na Rublowce. A wiecie, jak kupowałem swoje pierwsze obrazy? Jako doktorant, pracownik naukowy, miałem śmieszne wynagrodzenie. Nie starczało nawet na buty, a co dopiero na posiadłość pod Moskwą. Kupowałem wtedy Lebiediewa za grosze i nie jadłem przez dwa tygodnie. Piłem sam kefir i wpraszałem się w gości. Skarpetki nosiłem różne, z dwóch przetartych par wychodziła jedna dobra. Miałem brodę – oszczędzałem na goleniu. Odpoczynek? Wyjście do kina? Nawet o tym nie myślałem – obchodziłem tylko antykwariaty i galerie, byłem chłopcem na posyłki u staruszek, od których kupowałem potem

bezcenne rysunki po dobrej cenie. Życie towarzyskie? Wszyscy mnie wkrótce znali i nazywali – wiecie jak? – Szalony Pierro... A teraz co chwila wydzwaniamy z Tretiakowki[49], zapraszają na te swoje spotkania. Myślą, że jeśli napiję się z nimi taniego szampana, zapiszę im swoją kolekcję... A przecież to są moje dziatki. Umrę niedługo, do kogo trafią?

To przejście ze złośliwego tonu na sentymentalny, ze starczą łezką kręcącą się w oku, robiło duże wrażenie. Nadawałby się do teatru. Oczywiście szkoły klasycznej Stanisławskiego – pomyślała Masza, a na głos powiedziała:

– Ma pan, Piotrze Arkadjewiczu, jeszcze czas do namysłu. Jest pan w doskonałej formie. Przyszliśmy z Innokientijem, żeby porozmawiać o skradzionym pół roku temu Chagallu.

– Proszę za mną – powiedział, wstając ze stęknieniem, i wyszedł z pokoju.

Innokientij i Masza wymienili się spojrzeniami i ruszyli korytarzem.

Kokuszkin otworzył drzwi małej łazienki i Masza z Innokientijem zaniemówili na widok sedesu z tandetną, poźółkłą plastikową deską.

– Nie tam patrzycie – zakrakał starzec, pokazując na wewnętrzną stronę drzwi, na których na poziomie oczu siedzącego na sedesie wisiał pejzaż Chagalla – widok białoruskiej wsi. Po intensywnym akwamarynowym niebie nie latali jeszcze zakochani, ale był to bez wątpienia Chagall. Masza, która cenila Somowa, ale Chagalla uwielbiała, wydała cichy okrzyk zachwytu. Piotr Arkadjewicz był wyraźnie zadowolony z efektu.

– Hm, panowie oligarchowie być może i załatwiają potrzeby na złotym sedesie, za to przed moim wisi Chagall. I z wiekiem, proszę mi wybaczyć moją starczą szczerłość, mam zaszczyt i szczęście podziwiać mojego Markuszę kilka razy dziennie, i to długo. – Kokuszkin zamknął drzwi. – O ten obraz wam chodziło?

– Ten – potwierdziła Masza.

Kokuszkin przeszedł z powrotem do pokoju i ciężko opadł na fotel.

– Skradli go. Tak w ogóle często mnie okradają – to utrapienie wszystkich kolekcjonerów. Zeszłego roku skradli mi Chagalla, po miesiącu policja mi go zwróciła. Pomyślałem nawet: czyżby nauczyli się pracować? O nic ich nie pytałem. Oddali obraz i dzięki Bogu. A kilka lat temu nawet zeznawałem

przeciwno jednemu takiemu łotrzykowi. Okradł mnie i jeszcze kilku moich kolegów kolekcjonerów. Nie uwierzycie, ale wyszedł z tego bez szwanku! Siedział, drań, z kamienną twarzą. No, myślę, ja cię za moją Zinoczkę – podprowadził mi piękny szkic Zinaidy Sieriebriakowej – zgnoję w więzieniu, łajdaku! Mnie potem Ardow powiedział – ten to bardziej ucierpiał, z dziesięć obrazów mu przepadło na zawsze! – że złodziej został wynajęty przez bogaczy, chcieli powiększyć swoją kolekcję. Dlatego nie brał, co popadnie. Wiedział, czego potrzebuje klient. No i sąd też o niego zadbał...

Kokuszkin pokiwał głową sam do siebie, a Masza, wykorzystując przerwę, wyciągnęła z torby teczkę ze zdjęciami.

– Piotrze Arkadjewiczu, mam do pana dość niezwykłą prośbę. Ale liczę na pańską wyćwiczoną pamięć wzrokową... – I położyła przed nim kilka zdjęć. Sama przed spotkaniem z kolekcjonerem powiększyła i wydrukowała na dużych kartkach zdjęcie ręki znalezionej koło soboru Pokrowskiego.

– No, no. – Staruszek założył wiekowe, sklejone taśmą okulary i przez kilka minut oglądał rękę z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Poznają oczywiście. To jego. Tego, co podprowadził mi Zinoczkę.

Masza zaniemówiła – ot tak, po prostu, ustalili, do kogo należy ręka znaleziona zimą w pakunku na placu Czerwonym? Dlaczego w takim razie nikomu nie przyszło do głowy odwiedzić staruszka?

– Jest pan pewny, Piotrze Arkadjewiczu? – zapytała, wciąż nie wierząc własnemu szczęściu.

Kokuszkin urażony zwrócił jej zdjęcie.

– Młoda damo, cierpię na artretyzm, niewydolność serca, mam kruche naczynia krwionośne, wysokie ciśnienie, ale nie mam jeszcze demencji starczej! Nie mam! Ten paskudny typ nazywał się Samojłow czy Samujłow. Miał dwa tatuaże na palcach: w czasie procesu ciągle dłubał w uszach! Sądząc z pani zdjęcia, nie ma już takiej możliwości.

– Tak – potwierdziła cicho Masza, pomyślawszy o jednoręcznych zwłokach od dawna gnijących w jakimś podmoskiewskim jarze. Zebrała zdjęcia i włożyła je do torby. – Bardzo panu dziękuję, Piotrze Arkadjewiczu. Nawet nie wyobraża pan sobie, jak nam pan pomógł.

– Wyobrażam sobie, wyobrażam – zagderał wyraźnie zadowolony

Kokuszkin.

Po krótkim zamieszaniu w przedpokoju i wymianie uprzejmości pożegnali się wreszcie z gospodarzem i wyszli.

– Niezwykły staruszek! – mówił zachwycony Innokientij, idąc z Maszą schodami. – Poznałem wielu kolekcjonerów, ale o tym krążą legendy. Mógłby mieszkać jak krezus, a oszczędza na prądzie, jedzeniu i słodyczach. Rozstaje się ze swoimi obrazami tylko wtedy, gdy wymienia je na inne, uznane za bardziej wartościowe. Opowiadał, jak po wojnie zbierał niedopałki, wtedy jeszcze palił, żeby zaoszczędzić na jakąś akwarelę. Nie widziałaś jeszcze jego pokoju i komórki. Tam obrazy stoją w rzędzie, twarzą do ściany, a on pamięta każdy i bez wahania może po niego sięgnąć, żeby odwrócić do światła, wytrzeć olejną powierzchnię szmatką i powiesić na przykład w toalecie, jak Chagalla.

– On naprawdę bardzo nam pomógł, Kientiju – odpowiedziała zamyślona Masza. – Teraz już wiemy, że ręka znaleziona ze skradzionym Chagallem, to ręka złodzieja recydywisty.

– Tego i tak można było się domyślić, biorąc pod uwagę fakt, że obraz został skradziony.

– Tak, ale teraz możemy powęszyć wokół tego człowieka i...

– Być może, duszko moja – Kientij wzruszył ramionami – ale wydaje mi się, że twoja ręka to coś w rodzaju materialnego symbolu kradzieży. Zastanawiałaś się niedawno, dlaczego zabito właśnie te osoby. Jeśli chodzi o Samojłowa czy Samujłowa, rozwiązanie wydaje się prostsze niż w przypadku innych, nie uważasz?

Masza w zamyśleniu kiwnęła głową.

MASZA

Przerażona wiadomością Masza bez słowa odłożyła słuchawkę. Rita Wiktorowna, mama Katii, powiedziała jej zdławionym głosem, że Katia nie żyje. Uderzyła z dużą prędkością w betonowe ogrodzenie na ulicy Nikolskiej. Zginęła na miejscu. Pogrzeb w środę. Do pokoju weszła matka i stanęła za jej plecami, pytając z rozdrażnieniem:

– Mario, gdzie znów zostawiłaś samochód?

Masza obejrzała się na nią i matka zeszywniała, widząc twarz córki.

– Co się stało? – Szybko podeszła do dziewczyny, ujmując ją za zimną, bezwładną rękę.

Masza milczała, patrząc na nią, jak patrzyła w dzieciństwie na ojca: proszę, zrób coś, żeby mój żuk w pudełku po zapałkach ożył! Proszę, wymyśl do *Rusalki* Andersena inne zakończenie! Proszę, powiedz, że nigdy nie umrzesz! Proszę!

– Maszeńko, co się stało? Córeczko, co...

– Katia zginęła. – Masza poruszyła zbielełymi wargami, nie zauważywszy, że mówi szeptem. To stąd on się bierze – ze ściśniętego gardła, z próby powstrzymania łez.

– Jezu, jak to się mogło stać? – Jej elegancka matka machnęła rękami jak prosta chłopka i ciężko opadła na kanapę. – Kiedy?

– Wczoraj – głucho odpowiedziała Masza. – To moja wina.

– O czym ty mówisz, córeczko?

– Mamo, ty nic nie wiesz. – Uniosła na matkę spojrzenie pełne cierpienia. – Katia pożyczyła ode mnie samochód na jeden dzień. Wpadła tu, by wziąć kluczyki... Uderzyła w mur. Przepraszam, ale nie masz już samochodu...

Matka machnęła ręką i odwróciła twarz do okna.

Katia... Katia stała przed nimi jak żywa. Malutka, z zachwytem

oglądająca zabawki Maszy i książki z ilustracjami; nastoletnia, nieśmiało próbująca dołączyć do „intelektualnej” paczki Maszy; Katia studentka, przymierzająca ubrania Maszy i świetnie udająca swoje sąsiadki z podwórka... Natalia Siergiejewna bezgłośnie się rozpląkała, wycierając łzy. Masza podeszła do niej, usiadła na podłodze, położyła głowę na jej kolanach. Nagle uświadomiła sobie, że Katia była jej najstarszą i najbliższą przyjaciółką, prawie siostrą. Śmieszna, ograniczona, nieoczytana, tak różniącą się od innych. Ale znała jeszcze tatę. Pamiętała Maszę taką, jaka była, zanim go zabili. Zupełnie inną Maszę, z wypiekami na twarzy czytającą pod kołdrą *Dziwne losy Jane Eyre*. Masza śmiała się w jej towarzystwie więcej niż w jakimkolwiek innym, ponieważ tylko z nią i z Kientijem odpuszczała sobie, zapominała o nieustannej pogoni za nieznanym, który ukradł jej ojca, dzieciństwo, inne życie.

- Pogrzeb w piątek – powiedziała do matki, nie unosząc głowy z jej kolan.
- Biedna Rita – usłyszała smutny głos Natalii – biedna Rita...



W dzień pogrzebu padał deszcz. W krematorium – Katię postanowiono pochować w grobie dziadka na cmentarzu Wostriakowskim[50] – Masza poczuła nagłą lekkość w całym ciele, ale nie przyjemną, jak po kieliszku szampana, tylko jakby miała zaraz zemdleć. Nie zaryzykowała siadania za kierownicę – samochód prowadził ojczym – i przez całą drogę do krematorium nie powiedziała ani słowa. Próbowwała zrozumieć dlaczego? Dlaczego Katia nie dała sobie rady z takim łatwym w obsłudze damskim samochodem? A jeśli to samobójstwo? Niemożliwe – Masza uparcie odrzucała tę myśl, kręcąc głową na tylnym siedzeniu i nie widząc współczującego spojrzenia ojczyma we wstecznym lusterku. Może Katia winna była komuś pieniądze? Albo cierpiała z powodu nieodwzajemnionej miłości? Masza była z jakiegoś powodu pewna, że Katia nie zalicza się do osób, które są zdolne dobrowolnie odejść z tego świata w cudzym mercedesie. A może chodzi o Innokientija? Może akurat w nim była szalenie zakochana? I znów pokręciła głową – nie, to było tak dawno temu! Zachciało jej się nagle zobaczyć Kientija, popłakać na jego ramieniu, wysłała więc do niego esemes: „Katia nie żyje. Jadę na pogrzeb. Możemy się zobaczyć wieczorem?”.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie: „Oczywiście. Wyślij adres, podjadę po ciebie”. Masza wysłała adres Katii – adres „moich robotniczych peryferii”, jak mówiła Katia – tam miała odbyć się stypa. Masza nigdy tu nie była. Bo po co? Skoro Katia zawsze chętnie ją odwiedzała.

W krematorium nie było ani szczególnie smutno, ani strasznie. Wszystko odbywało się jak w urzędzie, na przykład w urzędzie stanu cywilnego: kwiaty, tłumy krewnych; palono jedne zwłoki, przychodziła kolej na następne. Zabrzmiał pogrzebowy fragment z Beethovena, rozpląkały się koleżanki Katii z podwórka, wszystkie w króciutkich czarnych sukienkach. Natalia Siergiejewna i Masza trzymały się na uboczu. Nie znały nikogo z dalekich krewnych i przyjaciół rodziny. Masza położyła wiązanekę stokrotek na polakierowaną pokrywę zamkniętej trumny, powiedziała coś do Rity Wiktorowny. Ale z tyłu czekała już kolejka składających kondolencje, więc Masza szybko wyszła z matką na zewnątrz.

Natalia wróciła do kliniki, gdzie jak zwykle czekało na nią wiele spraw, a Masza wzięła taksówkę i pojechała do Katii, gdzie miała odbyć się stypa. Zaproponowała swoją pomoc w jej urządzeniu. Nie znała się za bardzo na gotowaniu, więc zamówiła sporo dań w restauracji. Otworzyła obite dermą skromne drzwi, odstawiła ciężkie torby i rozejrzała się po mieszkaniu, nawet powąchała, czy pachnie tu jeszcze Katią. U nich w domu zapach Katii mieszał się z zapachem jej własnego pokoju, jej kuchni, jakby Katia chciała wtopić się w otoczenie. A tu wszystko było obce – brzydkie z powodu i biedy, i braku gustu, który często jest wynikiem braku miłości do życia. Nie zdając sobie sprawy, że robi dokładnie to samo, co Katia w jej mieszkaniu, nieśmiało zwiedziła wszystkie pokoje – jakby Katia, jak niegdyś w dzieciństwie, bawiła się z nią w chowanego. Zasłony były zaciągnięte, lustra zasłonięte. W zamyśleniu dotykała zdjęć, na których śmiała się razem z Katią, były tu też znajome, zrobione jeszcze przez tatę, czarno-białe fotografie. U niej przechowywane w albumach, schowane, tutaj stały latami na widoku. W ten sposób była obecna w tym domu, ale czuła się w nim zupełnie obca. Zdziwiłaby się pewnie, gdyby zza drzwi wyszła Katia – o wiele bardziej na miejscu wydawała się w przedpokoju u Maszy.

Włożyła fartuch i energicznie zabrała się do dań, które miały stanąć na nakrytym już stole. Wykładała sałatki, gotowała na prośbę Rity Wiktorowny jajka, wyjęła z lodówki i postawiła na gaz ogromny spotniały gar rosołu.

Stała na stołku, żeby wyciągnąć z kredensu rosnące w cieple pod sufitem drożdżówki, i włożyła je do podgrzanego piekarnika, jak uczyła ją mama. Zauważyła, że oddychało jej się już znacznie łatwiej – zniknęło mdlące uczucie nieważkości, odpuściło ściśnięte gardło i zniknął ciężar na sercu. Tylko w głowie wciąż tłukło się jak żaloszny metronom: Katia, Katia, Katia...

Przyszli z cmentarza goście i Masza przez jakiś czas wносиła z Ritą dania i częstowała ludzi, których nie znała. Czasami chwytiała zdziwione, pytające spojrzenia: dlaczego właściwie ta dziewczyna wszystkich obsługuje niczym młoda gospodyni? Ale i Masza, i Rita uważały to za rzecz naturalną. Katia była jedynym dzieckiem Rity. A Masza była dla Katii więcej niż przyjaciółką, prawie siostrą. I owo iluzoryczne – poprzez Katię – pokrewieństwo wydawało się jak najbardziej na miejscu tu, na stypie. Choć obie rozumiały, że ten związek, niczym kryształowa nić, urwie się z cichym brzękiem, jak tylko Masza wróci do domu. Na razie zaś zanosila do kuchni brudne naczynia, słuchała nieuważnie, jak pili za spokój duszy zmarłej, myła i wycierała do sucha kieliszki, których brakowało. A nawet wzięła się do mycia blachy po drożdżówkach, choć dobrze wiedziała, że to może poczekać do jutra. Chciała czymś się zająć, żeby uciec od dręczących ją myśli, szorowała więc zawzięcie metalową blachę, póki do kuchni nie weszła Rita i nie odebrała jej gąbki, mówiąc: „Zostaw trochę dla mnie...”. I Masza zrozumiała, że matka Katii też by chciała czymś się zająć, a ona, egoistka, odbiera jej taką możliwość.

Nie zakręcając wody, usiadły na stołkach przykrytych tkaniną podobną do chodniczków – jak konspiratorki. Żadna z nich nie chciała wracać do pokoju, do ludzi.

– Nie ustrzegłam Katii – powiedziała nagle Rita. A Masza wzdrygnęła się, nie chciała słuchać dalszego ciągu. – Nie ustrzegłam. Wiedziałam, że siedzi w niej zawiść, pociąg do tego, czego nie posiada. Ciągnęło ją do ciebie, do twojego zadbanego mieszkania. Do rzeczy w waszych szafach, samochodu... Do twojej wiedzy, inteligencji, twojego skupienia na sprawach zawodowych. Do przyjaciół, chłopców. Widziałam to i było mi jej żal. A nie trzeba było żałować! Trzeba było wybić jej to z głowy jeszcze w dzieciństwie... – Rita przymknęła oczy, na chwilę zamilkła. – Ale czułam się taka winna. Urodziłam dziecko bez ojca. Tak chciałam, żeby moja dziewczynka była szczęśliwa!

Masza podeszła do kobiety i objęła ją, czując jej ostre łopatki. Rita szlochała, zakrywając rękami twarz.

– Wybacz mi, Maszeńko!

– Rito Wiktorowno, to moja wina! – Łkanie ścisnęło jej gardło. – To ja pożyczyłam jej samochód, gdy chciała się przejechać!

– I samochód! – zawołała Rita przez łzy. – I rzeczy! Przecież ona ani jednej swojej rzeczy na sobie nie miała. Wszystko, nawet majtki, było z twojej szafy! Co się z nią stało? Dlaczego?

Masza nie wiedziała, co powiedzieć.

– Tylko to. – Rita sięgnęła do kieszeni luźnej czarnej sukienki i wyciągnęła bransoletki. – Tylko to należało do niej, zwrócili na policji. Kupiła sobie te bransoletki z pierwszego stypendium i nigdy nie zdejmowała. Chcę je dać tobie. Na pamiątkę po Katii. – Wręczyła dziewczynie srebrne cieniutkie bransoletki.

– Dziękuję – wykrztusiła Masza.

– Jest jeszcze coś. – Masza zauważyła, jak szyja Rity napięła się, a na twarzy wystąpiły czerwone plamy. – Wstyd mi o tym mówić, Maszeńko. Ale wzięła od ciebie nie tylko ubrania. Znalazłam to w pokoju Katii. – Podała jej małe zawiniątko.

Masza zajrzała do środka i zobaczyła bransoletkę i pierścionek matki z dmuchanego złota. Podobały się matce w młodości, ale przez ostatnie dziesięć lat wolała nosić, jak to mówiła, „szlachetne” kosztowności. Co w rzeczywistości oznaczało mniej rzucające się w oczy, ale o wiele droższe ozdoby z brylantami i platyną. Mama jeszcze nie zauważyła kradzieży pierścionka i bransoletki – pomyślała. – Trzeba będzie ostrożnie odłożyć biżuterię na miejsce. Uniosła spojrzenie na Ritę.

– Margarito Wiktorowno – powiedziała spokojnie. – Nie ma pani racji. Katia pożyczyła te ozdoby ode mnie, wzięła je za moją zgodą.

I zauważyła, jak matka Katii oddycha z ulgą, a jej spięte plecy rozluźniają się.

Rita wstała, pogładziła Maszę po policzku, otarła grzbietem dłoni zaczerwienione oczy i ciężkim krokiem wyszła z kuchni. Masza usiadła na jej miejscu i wystukała w komórcę: „Przyjeżdżaj”. Wydawało jej się, że po tym,

jak nawzajem wyznały swoje grzechy i winy: Masza – że nie przypilnowała i pożyczyła samochód na przejażdżkę, Rita – że źle wychowała córkę i Katia kierowała się w życiu wyłącznie zawiścią, a ona nic z tym nie zrobiła – poczuły do siebie niechęć. Masza wiedziała, że jej pobyt w tym miejscu nie ma już sensu i trzeba je natychmiast opuścić. Wyłączyła lejącą się niepotrzebnie wodę, narzuciła płaszcz i z nikim się nie żegnając, wyszła z mieszkania. Zjeżdżając windą, automatycznie przeliczyła bransoletki Katii – było ich dziesięć.

– Idiotka! – powiedziała na głos, czując się jeszcze gorzej. Przeklęte liczby stały się jej obsesją. Odruchowo liczyła wszystko i we wszystkim widziała znaki. – Dość! Przestań! Katia nie żyje i to nie ma nic wspólnego z cyframi na ciałach zabitych.

Czekała na dole na ławeczce, patrząc prosto przed siebie, póki obok nie zatrzymał się samochód Innokientija. Bez słowa otworzył drzwi i Masza wsiadła do środka. W radiu rozbrzmiewał głos Niny Simone.

– Jedziemy – rzuciła głucho.

Ruszyli i Innokientij zaczął zadawać pytania, na które dotąd nie odpowiadała chociażby dlatego, że nie chciała rozmawiać przez telefon.

– Ulica Nikolska... – powtórzył przeciągle, dowiedziawszy się, gdzie zdarzył się wypadek. – Via Dolorosa.

– Via Dolorosa – i co? – nie od razu zrozumiała Masza. A zrozumiawszy, odsunęła się. – Przestań! – powiedziała do Innokientija, tak samo jak kilka minut temu do siebie.

– Przepraszam... – Wyglądał na autentycznie skruszony. – To jak dziecięca zakazana zabawa. Pada nazwa miejsca: w telewizji, radiu czy w rozmowie, a ja nie mogę się powstrzymać, by nie pomyśleć, czy ma ono coś wspólnego z niebiańskim Jeruzalem, czy ziemską Jerozolimą.

– I co? Ma? – zapytała podejrzliwie Masza.

– Zwykle nie. – Kientij zamyślony potarł nasadę nosa. – Ale w tym przypadku ma. Jeśli porównamy plany centrum obu miast, to ulica Nikolska przebiega akurat tam, gdzie w starej Jerozolimie znajduje się słynna Via Dolorosa. To nią prowadzono Jezusa na ukrzyżowanie. Trasa zaczyna się pod Bramą Lwów i prowadzi na zachód przez starą Jerozolimę do świątyni Grobu

Pańskiego. A nasza Nikolska, jak wiesz, biegnie od placu Czerwonego do Łubiańskiej. Natomiast przed powstaniem placu Czerwonego (czyli do końca piętnastego wieku) ulica prowadziła bezpośrednio do Bramy Nikolskiej Kremla... Boże, co za bzdury! Po co ja ci o tym opowiadam?

Zapadło milczenie i Masza pomyślała, że pewnie po to buduje się niedorzeczne mgliste konstrukcje z historycznych i religijno-mistycznych aluzji, aby łatwiej było pozbyć się winy. Ale dopiero teraz, zdziwiona nutą gorzkości w jego głosie, zrozumiała, że Innokientija też dręczą wyrzuty sumienia. Wyrzuty sumienia jako kara za brak innego uczucia – przecież gdyby odwzajemnił miłość Katii, może ta zapomniałaby o swojej dziecięcej zawiści. I nie wzięłaby samochodu Maszy, żeby zginąć na swojej Via Dolorosa.

Może każdy ma swoją Via Dolorosa?

ANDRIEJ

Andriej siedział, wpatrując się w komputer i próbując sobie przypomnieć, dlaczego w jego głowie zapaliła się czerwona lampka na dźwięk nazwiska „Katia Fierzina”, które przed chwilą padło z ust Jury Danowicza siedzącego przy sąsiednim biurku. Kontekst był następujący: zginęła dziewczyna w cudzym samochodzie, wypadek zdarzył się w samym centrum Moskwy i to w dość dziwnych okolicznościach – zamiast wjechać w jakiś dziup innej niepanującej nad kierownicą panią, Jekatierina Fierzina uderzyła ze śmiertelnym skutkiem prosto w betonowe ogrodzenie wokół remontowanego banku Rusicz. Jednak technicy znaleźli szereg dowodów wskazujących, że nie był to wypadek, tylko skrzętnie zaplanowane zabójstwo. Gdyby samochód się zapalił, nie zostałyby żadne ślady, ale taki już jest problem z drogimi brykami, że palą się gorzej od tanich. Zresztą ani poduszka powietrzna, ani świetny system bezpieczeństwa nie pomogły siedzącej za kierownicą Fierzynie. Tylko gdzie on już słyszał to nazwisko?

Jakaś myśl z tym związana kołatała mu się w głowie, ale do niczego nie prowadziła. Próbował wstukać „Katia Fierzina” w komputerze. Intuicja nic mu nie podpowiedziała, więc nie widział tego nazwiska ani w sprawozdaniach, ani w żadnych innych papierach, tylko słyszał. Ale od kogo? Siedział tak i nie mógł na niczym się skupić, mamrocząc pod nosem na różne sposoby: „Katia? Katia Fierzina? Katia! Fierzina! A niech to szlag!”.

– A gdzie podziała się twoja stażystka? – zapytał wtedy Jura, patrząc na pustą część biurka kontrastującą z połową Andrieja, gdzie panował chaos. Masza Karawaj miała idealny porządek.

Andriej wzdrygnął się – coś mu w głowie zaświtało i wypłynęło wreszcie wspomnienie, które powitał z ulgą. Telefon od stażystki Karawaj kilka dni temu. Zmarła jej przyjaciółka i Masza prosiła o dzień wolny na pogrzeb. Andriej się zgodził i był nawet zaskoczony, słysząc jej nagle zmieniony,

głuchy głos w słuchawce.

– Słuchaj! – Poderwał się z krzesła i podszedł do Danowicza. – Do kogo należało auto, w którym zginęła Fierzina?

Danowicz rzucił na niego zdziwione spojrzenie i zerknął do dokumentów.

– Do Karawaj N.S. – odparł i natychmiast zapytał: – Do twojej stażystki?

Andriej z kamienną twarzą skinął głową – Karawaj N.S. Sądząc po inicjałach, samochód należał do kogoś z członków rodziny. To po pierwsze. Ginie przyjaciółka Maszy. To po drugie. A Masza Karawaj zajmuje się teraz wyłącznie sprawą niebiańskiego Jeruzalem. Spokojnie! – powiedział do siebie. – Tylko spokojnie!

– Daj no mi te materiały – poprosił Danowicza, a ten, spojrzawszy na oszołomioną twarz Andrieja, szybko podał mu teczkę.

Andriej przeglądał kartki, póki nie dotarł do zeznań Margarity Fierziny, matki zmarłej. Fierzina twierdziła, że córka miała na sobie cudze rzeczy. I dodała, że rzeczy, jak również samochód, należały do przyjaciółki ofiary, Marii Karawaj. Niejakiej Marii... Niejakiej.

– Andrieju! Andrieju! – Danowicz ciągnął go za rękaw już od pewnego czasu, ale Andriej nic nie słyszał. – Może uprzedzisz ją na wszelki wypadek?

– Oczywiście, że tak – warknął Andriej i wzdrygnął się na lodowatą myśl wypełzającą z podświadomości. Czy to był przypadek? Andriej wierzył w przypadki, ale przypadków nie lubił. Zwłaszcza takich. Zwłaszcza dotyczących stażystki Karawaj. Gwałtownym ruchem zdjął kurtkę z oparcia krzesła i rzucił do Danowicza: – Wychodzę.

I prawie wybiegł z pokoju.

MASZA

Masza siedziała obok Innokientija w samochodzie przed bramą. Nic już nie mówił, tylko trzymał ją za bezwładną rękę, a ona chciała wypłakać się właśnie teraz, właśnie na ramieniu Innokientija, przecież dawno temu – od pogrzebu ojca – zabroniła sobie płakania w ramionach matki. Żeby jej nie wystraszyć, nie pogłębić rozpacz, uchronić. Ale nie miała łez, więc połykając gorzką ślinę, delikatnie wyswobodziła rękę i sięgnęła po torbę na tylnym siedzeniu.

– Pójdę już.

– Wszystko w porządku? Odprowadzić cię do drzwi? – Innokientij spoglądał na nią zatroskany.

– Nie zadawaj idiotycznych pytań jak z amerykańskiego filmu – ofuknęła go. – Ze mną jest źle. Ale nie tak źle jak z Katią. I drzwi też znajdę sama.

Wysiadła z samochodu, pomachała do niego, weszła do bramy i zatrzymała się przy windzie. Drzwi windy otworzyły się i wyszedł... Andriej Jakowlew, jej bezpośredni przełożony.

Masza zdziwiła się, ale nie zaniepokoiła – pan tutaj? A właściwie dlaczego? Zauważyła, z jakim współczuciem na nią patrzy, i odwróciła wzrok. Tak, oczywiście, nie spała przez całą noc, ma podpuchnięte oczy i jest blada. Tak, chciała zachwycić go swymi detektywistycznymi zdolnościami, a teraz on patrzy na nią oceniająco i ze współczuciem, jak na babę w metrze, zanim ustąpi jej miejsca.

– Dobry wieczór – powiedziała i aż sama się zdziwiła, jak bezbarwnie zabrzmiał jej głos.

– Maszo, byłem u pani ojczyma, powiedział, że jest pani na stypie. Próbowałem się dodzwonić...

– Wyłączyłam telefon – potwierdziła. – Ma pan do mnie coś pilnego?

– Tak. – Andriej złapał jej spojrzenie. – Możemy porozmawiać?

– Oczywiście. Zapraszam do mnie.

– Hm... – zawahał się Jakowlew. – Wolałbym porozmawiać na neutralnym gruncie, jeśli można.

Masza obojętnie skinęła głową, może być neutralny. I wychodząc z bramy, gestem wskazała Andriejowi miejsce na ławeczce. Andriej niezgrabnie usiadł obok niej i patrzył zmieszany na jej jaśniejący w letnim zmroku profil z gorzko opuszczonymi kącikami ust. Nie wiedział, od czego zacząć, a Masza milczała, myśląc o tym, że dziś już siedziała na ławeczce – pod domem Katii. Do którego przyjechała po raz pierwszy i chyba ostatni.

– Za późno – powiedziała cicho.

– Co? – Andriej nie zrozumiał.

– Jestem złą przyjaciółką. – Odwróciła do niego twarz i uśmiechnęła się.

Andriej spuścił wzrok, nie wytrzymałszy jej żalnego, prawie dziecięcego spojrzenia, mimo że się uśmiechała.

– Wszyscy czujemy się winni, gdy umierają bliscy – powiedział, patrząc na jej delikatne dłonie włożone między kolana. Na jednym z nadgarstków pobłyskiwały w zapadającym zmroku cienkie srebrne bransoletki. – Kto po śmierci matki powie, że był dobrym synem? Albo dobrym rodzicem po śmierci dziecka, jeśli coś takiego na niego spadnie. Czy nie mam racji? Jestem pewny, że była pani dobrą przyjaciółką. – Andriej uniósł na nią wzrok, jego oczy wydawały się całkiem czarne.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Miał wrażenie, że rzeczywiście oczekuje od niego pocieszenia, odpowiedzi na pytania, na które tak naprawdę nie ma odpowiedzi. Biedna bogata dziewczynka. Andriej westchnął.

– Ponieważ, gdyby to była nieprawda, nie przeżywałaby pani tego tak bardzo, zgadza się? – Zamilkł na chwilę. – Przepraszam, Maszo, właśnie przychodzę do pani w związku ze śmiercią pani przyjaciółki.

Masza się zasępiła.

– A o co chodzi?

Andriej kolejny raz westchnął i zezłościł się na siebie za swoje niezdecydowanie.

– Jekatierina Fierzina nie zginęła w wypadku. Oględziny ciała nie wyjaśniły wszystkiego. Pozostał szereg pytań. Późniejsze badania techniczne samochodu potwierdziły powstałe wątpliwości.

Nie odezwała się.

– Pani przyjaciółka została zamordowana.

Masza poczuła się tak, jakby nagle znalazła się pod wodą – jak ten nieszczęsny Jelnik. Nie mogła oddychać, czuła, jak ciemna gęsta krew w powolnym tempie – jak na zwolnionym filmie – płynie w jej żyłach, by nagle jak szalona zadudnić w uszach.

– Maszo! – usłyszała dobiegający z oddali głos swojego szefa.

– Via Dolorosa... – wyszeptała, zanim zapadła się w całkowitą ciemność.



Gdy oprzytomniała, czuła ból w zdrętwiałej szyi. Uniosła się i jęcząc, próbowała obrócić głowę. Jej spojrzenie padło na niebieskie dzinsy pachnące papierosami.

– Lepiej ci? – rozległ się z góry głos Andrieja. – Wybacz, ale musiałem cię parę razy uderzyć w policzek.

Masza uniosła dłonie i przycisnęła je do twarzy, która rzeczywiście płonęła. Powoli się podniosła, przytrzymywana przez Andrieja w pasie.

– Przepraszam. – Miała zachrypnięty głos.

– Może to nie wypada, żeby mężczyzna pierwszy proponował przejście na ty – powiedział Andriej, a ona zobaczyła, jak błysnęły w ciemności jego zęby – ale po tym, jak cię spoliczkowałem, moja ty stażystko, nie mogę już zwracać się do ciebie per „pani”.

– Tak, oczywiście – rzuciła odruchowo.

– Maszo – Andriej spoważniał – spróbuj mnie teraz wysłuchać. Nie jesteś winna śmierci Katii. Jednocześnie nie można wykluczyć, że jest ona w jakiś sposób powiązana z maniakiem, w którego istnienie jeszcze całkiem niedawno nie wierzyliśmy. – Kaszlnął zmieszany. – Sądzę, że miałaś rację, choć wątpię, czy cię to ucieszy w tych okolicznościach. Coś mówiłaś, zanim straciłaś przytomność?

– Nigdy przedtem nie zemdlalam – powiedziała zamyślona.

– Zawsze jest ten pierwszy raz – stwierdził filozoficznie Andriej. – A co powiedziałaś?

– Via Dolorosa. Wie pan... – zaczęła, ale poprawiła się: – Wiesz, my z Innokentijem zaczynamy już wariować na punkcie Niebiańskiego Grodu i jego ziemskiego odpowiednika. Ulica Nikolska, według Innokentija, odpowiada Via Dolorosa w Jerozolimie.

– Aha – tylko tyle zdołał powiedzieć.

– Jest jeszcze coś. Ale to chyba nie ma znaczenia. – Masza uniosła na niego wzrok. – Chodzi o to, że Katia miała na sobie wyłącznie moje rzeczy. – Westchnęła.

– Wiem o tym. – Andriej kiwnął głową i wziął ją za rękę.

Ten gest był tak naturalny, że Masza nie odsunęła ręki, ale wręcz przeciwnie, mocno ścisnęła dłoń swojego szefa.

– Katia bardzo często pożyczala ode mnie jakieś rzeczy. Ale tym razem wszystko, rozumiesz, wszystko – włącznie z bielizną – było moje. I to jest trochę dziwne, zgodzisz się ze mną? I... – Masza zawahała się.

– Mów, słucham cię.

– Dziesięć bransoletek. Należały do niej. – Wyciągnęła do przodu rękę i bransoletki cicho zabrzęczały. Andriej rzucił na nie roztargnione spojrzenie. – Jest jeszcze coś dziwnego: wzięła kosztowności mojej mamy. – Masza sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej woreczek, który dała jej dziś Rita. – To bransoletka i pierścionek z dmuchanego złota. Nic nadzwyczajnego, mama nawet tego jeszcze nie zauważyła. Ale nie o to chodzi. One nie pasują.

– Co?

– Nie pasują, a Katia zawsze tego pilnowała. Białe złoto nie komponuje się z żółtym, kolczyki i pierścionki muszą stanowić komplet, i tak dalej. Często się z tego śmiałam, a ona odpowiadała, że nie noszę biżuterii, więc nie znam się na tym. Ale tyle to i ja wiem.

Andriej ze zdziwieniem uniósł brew. Masza cierpliwie wyjaśniła:

– Biały metal. Srebro. Nie pasuje do złota. Żółtego.

– Aha – mruknął Andriej.

– Poza tym... – Masza w zamyśleniu przebierała bransoletki. – Pamiętam te bransoletki. Katia kupiła je jeszcze na pierwszym roku i mama Katii to potwierdziła. – Masza podniosła wzrok na Andrieja. – Jest ich teraz dziesięć. Ale... – Zacięła się. – Było więcej.

ANDRIEJ

Andriej siedział na werandzie w uprzątniętym z rupieci fotelu i czytał. Czytał książkę, którą polecił mu Innokientij – niejakiego M.P. Kudriawcewa. Chodziło w niej o architekturę Moskwy. Z trudem przedzierał się przez tekst, raczej specjalistyczny niż beletrystyczny. Oprócz przemądrzałych wynurzeń przeszkadzały mu chroniczne zmęczenie i słaba żarówka zwisająca z sufitu, z powodu której oprócz mózgownicy musiał wysilać zmęczony wzrok.

Zresztą być może winien był pies. Leżał w kącie i od czasu do czasu rzucał na swego pana błagalne spojrzenia – wyraźnie wyczuł kilogram mortadeli, którą Andriej dzisiaj przyniósł. Pora na kolację, ale Andriej, mimo burczenia w brzuchu i niewyartykułowanych wyrzutów psiaka, nie miał siły, żeby podnieść się z fotela. Chwilami, oderwawszy się od obrazków, których na szczęście w książce było sporo, gapił się na zewnątrz przez dawno niemyte romby werandy.

Na dworze panowała już mleczna, mglista noc. Lekki wiaterek szeleścił listowiem, słychać było krzyk nocnego ptaka. Andriej westchnął i zmusił się do wstania z fotela. Pies od razu zerwał się z miejsca i potruchtał z nim do lodówki. Otworzywszy z głośnym mlaśnięciem rzęzącą ze starości ZIŁ-Moskwę, Andriej przez chwilę przeglądał jej zawartość, podsumowując, co tam ma: mortadela, nie bardzo nadająca się do jedzenia na noc. Kilka wyschniętych ze starości parówek, kawałek twardego jak kamień sera, kilka przeterminowanych jogurtów – jeszcze z czasów, gdy zamierzał zdrowo się odżywiać. Zamierzał, robiąc zakupy, a w domu już o tym zapominał. Jogurty pora wyrzucić, ale postanowił, że zrobi to potem. Wstyd mu było wywalać jedzenie, dlatego czekał, aż całkiem się zepsuje, żeby już nikt nie mógł mu zarzucić, że postępuje niewłaściwie, nawet własne sumienie.

Posępnie pokręcił głową, odsunął nogą nieznośnego psa i wyciągnął parówki i mortadele. Kiedy gotowała się woda, pokroił chleb i posmarował każdą kromkę grubą warstwą masła. Wrzuciwszy do wody parówki-

emerytki, ugryzł pierwszą kanapkę. Psiak całkiem już się zaślinił i gdyby spojrzenie bezczelnych psów przybłądów mogło zabijać, Andriej dawno by padł trupem. Przesłanie: „I co ty robisz, gadzie?” – jakie w nim wyczytał, było tak wyraziste, jakby nakreślono je dużymi literami w książce Kudriawcewa. Andriej, przekonany, że kundel od dawna zasługuje na baty i że tak w ogóle trzeba psu wpoić pokorę i szacunek do właściciela – mającego prawo do kanapki po ciężkim dniu pracy – jak zwykle wycofał się ze swoich pedagogicznych zapędów gdzieś w trzeciej minucie i rzucił natrętowi pachnący, oszałamiająco różowy kawałek mortadeli. W tym czasie gotowe już były parówki, którymi również się podzielił. Pies spojrzał na parówkę krzywo, ale Andriej, nie myśląc o dobrych manierach, wsadził swoją za jednym zamachem do ust, grożąc, że weźmie także tę leżącą w psiej misce, ponieważ nie wolno niczego oceniać po wyglądzie, nawet jeśli chodzi tylko o wyroby wędliniarskie! Psiak uwierzył i zmiótł „staruszkę”, aż miło było patrzeć. Potem uczciwie dzielili się kiełbasą, dopóki mortadela się nie skończyła. Pies, ze względu na koniec mięsnego przedsięwzięcia, zaległ w kącie, a Andriej zaparzył sobie herbatę.

Dopijając gorzki napój i czując przyjemny ciężar w żołądku, pomyślał o tym, co robi teraz Masza. Pewnie je na kolację sałatkę z tej, jak jej tam... rukoli. Całkiem możliwe, że nawet nie sama, a w towarzystwie swojego przyjaciela elegancika. I popijają sobie wino – myślał Andriej, zasypiając. – Jakieś sauvignon. I słuchają muzyki. Jakiejś orkiestry... Nie zauważył, kiedy zasnął.

Śniła mu się, nie wiadomo czemu, sala balowa, podobna do tych, jakie widział, będąc jeszcze chłopcem, w pałacu Jekatieryninskim podczas wycieczki do Puszkina[51]. Pary krążyły przy dźwiękach powtarzającego się w nieskończoność walca i Andriej nie od razu zauważył wśród nich Maszę i Innokientija. Masza miała na sobie jedwabną wydekoltowaną niebieską suknię odbijającą światło, jej włosy były upięte w kok. Odchyliwszy się w tańcu do tyłu, cały czas się śmiała, nie spuszczać oczu z partnera... Andriej zaczął nerwowo przypatrywać się innym parom. Był przekonany, że też jest obecny na balu, ale mimo że przyglądał się bardzo uważnie, nie mógł siebie wypatrzeć. Za to twarz Maszy miały już wszystkie kobiety wirujące w tańcu z odchyłoną w upojeniu głową, w malinowych, granatowych, czarnych aksamitnych sukniach...

Andriej obejrzał się i zauważył, że jest przy drzwiach, a stojący na baczność po drugiej stronie lokaj z łotrzykowską miną puszcza do niego oko. I wtedy zrozumiał, że nie ma go wśród tańczących, bo należy do służby. Zmieszany uniósł rękę, żeby dotknąć głowy, i poczuł pod palcami twarde włosie taniej upudrowanej peruki...

Przerażony otworzył oczy – jak się okazało, twardy włos należał do psa, który przyszedł, żeby pan go pogłaskał.

– Do diabła z tym! – powiedział głośno do siebie Andriej, skrzywił się, ruszając zdętwiałą szyją, i odrzucił paskudną myśl o freudowskich snach wywodzących się z podświadomości.

Wstał, żeby położyć się w normalnej – horyzontalnej – pozycji. A Karawaj – przyszło mu do głowy, gdy ściągał buty – mimo że po znajomości, nie jest wcale głupia. Wręcz przeciwnie. I po tej mętnej konstatacji zapadł w sen. Już bez koszmarów.

MASZA

Masza siedziała w kuchni obłożona książkami. Nie bardzo wiedziała, gdzie szukać, ale poddawanie się nie leżało w jej naturze. Po pierwsze, Biblia. Potem Bierdiajew, Łosiew, *Róża świata* Daniła Andriejewa, a nawet *Martwe dusze* Gogola. Lubiła wieczorami pracować w kuchni, gdzie było przytulniej niż w pokoju. Obok książki Gogola stała miseczka z precelkami. Nie patrząc, wyławiała precelek za precelkiem i z chrzęstem go przełamywała. „Niebiańska Rosja – ze skupieniem czytała u Andriejewa – to obraz symboliczny: biało-różowe miasto z wieloma świątyniami na wysokim brzegu błękitnego zakola rzeki... Niebiańska Rosja albo Święta Ruś, jedna ze sfer struktury trójwarstwowej, kształtem zbliżona jest do konturów naszego kraju. Jej ośrodki pokrywają się z niektórymi naszymi miastami; między nimi rozciągają się obszary pięknej przyrody. Największy z ośrodków to Niebiański Kreml, wznoszący się nad Moskwą. Nieziemskim złotem i nieziemską bielą błyszczą jego świątynie...” Blisko, pomyślała Masza, ale to nie to, nie to!

Do kuchni wszedł ojczym, spojrzał na stosik książek na stole. Przez chwilę przyglądał się tytułom na grzbietach, z szacunkiem chrząknął i nastawił czajnik. Masza miała wrażenie, że właśnie umknął jej, przez nieuwagę, jakiś wątek. Przeczytała z rozdrażnieniem jeszcze raz: „Największy z ośrodków to Niebiański Kreml wznoszący się nad Moskwą...”. Ojczym wyciągnął z lekkim brzękiem filiżanki z kredensu. Masza zerwała się z miejsca, zebrała książki i skierowała się do drzwi.

– Przeszkodziłem? – zapytał ojczym.

– Nie – głucho rzuciła Masza już z pokoju. – Po prostu jestem śpiąca.

Czytała dalej w łóżku, gdy nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Odruchowo spojrzała na zegar. Jedenasta. Kto to może być o tej porze? Z przedpokoju dobiegały niewyraźnie dźwięki – głos matki i jakiś baryton. I gdy gość z Natalią przechodzili korytarzem obok jej pokoju, Masza rozpoznała ten

głos – to był Nik Nik.

– Przepraszam, że tak późno. Jak zwykle dużo pracy...

– Ach, daj spokój, wcale nie późno. Przepraszam, że cię ściągnęłam, po prostu bardzo się niepokoję o... – Drzwi do kuchni zamknęły się i Masza nie dosłyszała ostatniego wyrazu, ale była przekonana, że padło jej imię.

No tak! – pomyślała. – Mama wezwała na pomoc „ciężką artylerię”!

Tymczasem w kuchni Natalia zaparzyła świeżej herbaty, wyciągnęła pudełko czekoladek – kolejny mało oryginalny prezent od wdzięcznych pacjentów – i usiadła obok Nik Nika. Spojrzał na nią z uśmiechem spod zaczynających siwieć szerokich brwi.

– Wciąż kwitniesz... – powiedział ściszym głosem, a ona, jak za dawnych czasów, roześmiała się i poklepała go po dłoni.

– Wciąż żartujesz.

– Nie, wcale nie żartuję. Jak Masza?

– Zginęła jej przyjaciółka. Do tego ta praktyka, którą jej załatwiłeś na Pietrowce. Kola, proszę cię, wyrzuć ją.

Katyszew spojrzał na nią zdumiony.

– Nataszo, o czym ty mówisz? Dziewczyna od dawna o tym marzyła...

– No właśnie! – wybuchnęła Natalia. – Od dawna! Od śmierci Fiodora! Chcę, żeby to się skończyło! Wciąż czekałam, kiedy zacznie normalne studenckie beztrioskie życie! Tymczasem wkrótce otrzyma dyplom, a w głowie wciąż to samo: maniacy, zabójstwa, krew! A ty zachowujesz się tak, jakbyś tę patologię popierał?!

– Nataszeńko – Katyszew wymówił jej imię z taką samą czułością w głosie, jak w swoim czasie Fiodor – zrozum wreszcie, dziewczynka jest zafiksowana na tym punkcie. Żeby wrzód pękł, trzeba znaleźć przestępcę, uratować, jeśli nie ojca, to życie kogoś innego... Lepiej, żeby stało się to jak najszybciej, wtedy pojawią się jakieś inne pragnienia. Poza tym dzięki tej obsesji jest lepsza od doświadczonych śledczych, profesjonalistów. Więc pozwól jej doprowadzić sprawę do końca, a potem możesz szukać jej odpowiednich narzeczonych.

Natalia Siergiejewna milczała, jakby nie zauważając, że Nik Nik

delikatnie, czule dotyka jej palców, jednego po drugim, raz ściskając, raz rozluźniając dłoń.

– Nie wiem. – Pokręciła głową ze zmęczonym uśmiechem. – Dziękuję ci.
– Ostrożnie wysunęła dłoń z jego ręki. – Zawsze byłeś naszym najlepszym przyjacielem. – I podniosła się, by znów nastawić czajnik, w którym woda już wystygła.

– Nie kłopotz się. – Katyszew, wysoki, kościsty, z nieprzeniknioną twarzą, również wstał. – Pora na mnie. Ty też musisz rano iść do pracy.

Smętnie skinęła głową i delikatnie musnęła dłonią jego ramię, jakby strącała niewidoczny pyłek.

Katyszew uśmiechnął się i szybko ruszył korytarzem do wyjścia, tylko na moment zwalniając pod drzwiami pokoju Maszy.

WARWARKA[52]

INNOKIENTIJ

Innokientij siedział grzecznie i słuchał, choć wszystko było już jasne. Młoda kobieta o bladej twarzy i wyłupiastych jak u Krupskiej oczach opowiadała swoją historię po raz drugi. Kilka miesięcy temu znaleziono jej męża zachłostanego różgami na śmierć i żona, wyglądająca jak obrażone dziecko, uważała, że należało mu się. Mąż, sądząc po zdjęciach, twardy syberyjski typ z kaczym nosem i głęboko osadzonymi oczkami, dość długo nosił swoją żonę Larisę na rękach.

– Na początku był bardzo dobry i troskliwy – pochlipywała Larisa, a Innokientij rzucał podejrzliwe spojrzenia na zdjęcie. – A potem zaczął się zabawiać... No, rozumie pan...

Innokientij należał, jakkolwiek to paradoksalnie zabrzmiało, do tej części rosyjskiego społeczeństwa, dla którego słowo „zabawiać się” w odniesieniu do małżonki oznaczało raczej jakieś oryginalne seksualne praktyki albo – coś bardziej banalnego – skok w bok. Na jego twarzy pojawił się więc wyraz konsternacji, gdy Larisa spuściła głowę i ciągnęła już szeptem:

– Bić mnie zaczął, ot co! A ja mam dwunastoletnią córkę z pierwszego małżeństwa, nie jesteśmy z Moskwy i nie mamy dokąd pójść! Prosiłam go nawet, żeby nie bił przy córce! Ale gdzie tam! Jak tylko miał zły humor, od razu z pięściami. A ja pracowałam jako główna księgowa, zarabiałam więcej od niego! Codziennie musiałam maskować sińce... Nawet taką fryzurę sobie wymyśliłam – jak zarośnięty pudel, żeby nie było widać ani czoła, ani szyi. Bił, jakby ćwiczył na mnie jak na worku treningowym. Mówię do niego: Sierioża, za co? A on, gdy był trzeźwy, naukowo mi wszystko wyjaśniał: nie jestem, Laroczko, złym człowiekiem, przecież mnie znasz! Po prostu jestem wybuchowy. Nie mogę powstrzymać złości – jakby diabeł we mnie siedział...

Uniosła na chwilę oczy na Innokientija, ale wyczytawszy w jego spojrzeniu strach i współczucie, znów spuściła wzrok.

– Przecież to się często zdarza – próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie.
– Mówią, na początku trzeba pocierpieć, może się uspokoi. Poza tym kochałam go. Więc cierpliwie to znosiłam. Ale pewnego razu wezwałam policję. Oni, jak tylko zobaczyli moją twarz całą we krwi, od razu powiedzieli: sami swoje sprawy wyjaśniajcie, obywatelko! Nie będziemy się do tego wtrącać... Po tym zdarzeniu bił z namysłem – w brzuch, w pierś, żeby nie było widać. No, myślę, może dziecko mu urodzę, wtedy się uspokoi? Zaszłam w ciążę. I rzeczywiście, jakby się uspokoił. Urodziłam. Synek był nerwowy, nie dawał spać, płakał całymi nocami, mieszkanko mamy malutkie, nie ma gdzie się ukryć. Co miał zrobić? Był ciągle zmęczony. Chodził zły, no i... znów zaczął mnie bić, a ja nawet krzyczeć nie mogłam, bałam się synka obudzić. – Mówiła bardzo szybko, jakby chciała jak najprędzej opowiedzieć o najgorszym. – Raz tak mnie pobił, że zaczęłam krwawić, bardzo mocno – chyba byłam w ciąży. Pomyślałam później, że może to i lepiej. Jak dziecko by żyło w takim koszmarze? A potem... potem zostawiłam synka w łazience pod jego opieką. Zabawki wyciągnęłam, wszystko, żeby tylko posiedział przy nim, popilnował. Sama poszłam do kuchni przygotować kolację. I wtedy... – Kobieta zacięła się i spuściła głowę jeszcze niżej. – Chwileczkę. Proszę zaczekać. – Wyjęła chusteczkę i przycisnęła ją do ust.

– Źle się pani czuje? – Innokentij wstał zza stołu i pochylił się nad nią.

Larisa tylko pokręciła głową. Otworzył szafkę kuchenną, znalazł szklankę, nalał do niej wody z plastikowej butelki stojącej na stole i podał kobiecie. Wypiła, z trudem przełykając wodę przez ściśnięte gardło.

– To do kwiatów – powiedziała wreszcie.

– Nie rozumiem?

– Dał mi pan wodę, którą trzymam do kwiatów.

– A... Przepraszam.

– Nic nie szkodzi, nie zatruję się. Zabił mojego syneczka, ot co!

Innokentij wzdrygnął się, a Larisa popatrzyła na niego z dołu ciężkim, posępnym wzrokiem, jakby nie trzęsła się przed chwilą w bezgłośnym łkaniu.

– Sama już nie wiem, jak to się stało. Czy mały mu się wysliznął i poszedł

pod wodę, czy on go przytrzymał. Ale na pewno mu nie pomógł. Widocznie nie mógł ścierpieć krzyku, a bić takiego ośmiomiesięcznego to nie to samo co babę, nawet jeśli jest drobna jak ja – nie wiadomo, czy trafisz od razu. Wtedy to już całkiem straciłam głowę, pobiegłam na policję, złożyłam zeznania, przeprowadzili ekspertyzy. Sąd się odbył. – Zamilkła. Potem znów popatrzyła Innokientijowi prosto w oczy pustym, nic niewyrażającym spojrzeniem. – Uniewinnili go. Z powodu braku znamion przestępstwa. I od razu zwolnili... Próbowałam nie wpuścić go do domu – do tego czasu zamki już wymieniłam. Ale on sąsiadowi z dołu, ślusarzowi, rzucił setkę i wyłamał drzwi. A potem zaczął mnie bić jak nigdy przedtem. Wtedy już krzyczałam, nie było kogo obudzić. Sąsiedzi zadzwonili na policję – zabrali go. Mieli następnego dnia wypuścić. Spakowałam rzeczy – myślałam o powrocie do mamy na wieś. Żeby przeczekać. Ale się nie pojawił. A tydzień później znaleźli go w rowie gdzieś pod miastem. – I po raz pierwszy szeroko, szczerze uśmiechnęła się do Innokientija. – Zdechł jak pies.

ŁUBIAŃSKI PROJEZD[53]

MASZA

Masza po raz pierwszy trafiła do prawdziwego impresaria. Prawdziwy impresario nazywał się Koninow, miał jedwabną koszulę i buty z ostrymi czubkami, na których widok skrzywiła się jak od czegoś kwaśnego.

– Nie zrozumiałem... Prowadzicie jeszcze sprawę Ławrientija? – zapytał piskliwym głosem i Masza ze zdumieniem pomyślała: jak on, z takim historycznym falsetem, pracuje z piosenkarzami? Przecież dla nich, zawodowców, tembr i intonacja powinny być bardzo ważne.

– Tak, szukamy zabójcy – potwierdziła, nie zauważywszy, jak odruchowo zmienia głos – mówi niskim kontraltem z przesadną intonacją. –

Przepraszam, że zabieram panu czas. Chciałabym jak najwięcej dowiedzieć się o Ławrientiju – nie o piosenkarzu, ale o człowieku, jeśli można.

– Ach, mój Boże, znowu to samo – rzucił znudzonym tonem Koninow i westchnął, kładąc nogi na stole. – No co ja mogę powiedzieć o Ławriuszy? Nie jestem jego kochanką, przyjaciółmi też nie byliśmy, utrzymywaliśmy wyłącznie kontakty biznesowe. Dużo mu pomagałem, ale było jasne i dla mnie, i dla Ławrika, że jak tylko pójdzie w odstawkę, nasza przyjaźń się skończy. Miał zadatki na wielką gwiazdę. – Koninow machnął ręką, wskazując na jeden z licznych błyszczących plakatów zdobiących ściany jego gabinetu. Na dole plakatu widniały wielkie żółte litery: ŁAWRIENTIJ. Na górze lśniła srebrna marynarka, a nad nią – delikatna męska twarz z cofniętym podbródkiem. – Baby szalały na jego widok, jakby był Magomajewem[54] – poinformował ją konfidencjonalnie Koninow, a Masza ze zrozumieniem kiwnęła głową. – Zaraz pokażę. – Koninow nacisnął jakiś guzik na pulpicie i biała ściana naprzeciwko zamieniła się w ogromny ekran. – Taki projekt przesr... O, przepraszam, przegapili!

Masza chciała go zapytać, czy mówiąc „przegapili”, ma na myśli śmierć popularnego śpiewaka Ławrientija w błocie powstałym w wyniku pęknięcia rury na ulicy Łubianski Projezd, ale powstrzymała się. A na ekranie już

występował Ławrientij, w czarnej koszuli zdobionej szklanymi imitacjami kamieni, rozpiętej seksownie na pozbawionej owłosienia klatce piersiowej.

„Wydzwaniałem do ciebie cały dzień i cały dzień chodziłem niczym cień” – zawodził Ławrientij słabiutkim tenorem i Masza oburzyła się na porównywanie go do Magomajewa. Chociaż publiczność w pierwszych rzędach, głównie kobiety, była rzeczywiście bardzo podekscytowana – coś wykrzykiwała, nuciła i przebierała nogami, a kamera wychwyciła nawet dziewczę całe we łzach, ze spływającym czarnym tuszem.

– Mógłbym z niego zrobić Dimę Malikowa[55], niech pani spojrzy, co za uśmiech! – Koninow prawie z uwielbieniem patrzył na film ze swoim protegowanym.

Ławrientij rzeczywiście miał piękny uśmiech – równe białe zęby, dołeczki w policzkach, zalotnie błyszczące, lekko podmalowane oczy. Masza przyłapała się na tym, że śpiewak mierzi ją jako mężczyzna.

– Ma pan może jakieś wywiady z Ławrientijem? – zapytała i Koninow się ożywił.

– Oczywiście, że mam, proszę pani! Oczywiście! Polecę, żeby zaprowadzili panią do sali kinowej, tam będzie mogła pani wszystko obejrzeć.

Wyraźnie chciał się jej pozbyć. Uściskawszy ciut wilgotną, miękką dłoń impresaria, Masza udała się za długonogą sekretarką do sali kinowej i odmówiła uprzejmie zaproponowanej kawy.

Patrzyła na ekran, na którym zmieniały się klipy i krótkie pytania zadawane po zakończeniu koncertów:

– Jak pan ocenia niżnonowogrodzką publiczność?

– O, uważam ją za najbardziej wdzięczną publiczność Rosji...

Pytania zadawane w charakteryzatorni przed wyjściem na scenę:

– Czym pański nowy program różni się od poprzedniego?

– Śpiewam tylko najlepsze piosenki – nowe i stare!

Pytanie w studiu w walentynki:

– Proszę powiedzieć, jest pan zakochany?

– Nie, wciąż czekam na tę jedyną.

Masza traciła cierpliwość. Zaczęła oglądać z nadzieją, że Ławrientij poda w wywiadach, chociażby z powodu skłonności celebrytów do wyjawiania swoich sekretów, choć jedną informację na swój temat. A ona wczepi się w nią jak pies myśliwski i wyciągnie z lisiej nory powód, dla którego nieznany zabójca wybrał właśnie tego popowego piosenkarza, żeby w tak nietypowy sposób skończyć z nim w miejscu odpowiadającym Górze Oliwnej w Jerozolimie.

Ale nic z tego. Na idiotyczne pytania padały banalne odpowiedzi. Przypominało to grę w ping-ponga, a piłeczka wzajemnej ograniczoności latała od dziennikarza do gwiazdy i z powrotem. Przesiedziała w ciemnej sali z półtorej godziny i chciała już wyjść na świeże powietrze, niedobrze jej się robiło na sam widok Ławrientija z jego złotymi i srebrnymi marynarkami, aż tu nagle w jakimś programie na żywo zadano mu pytanie o rodziców. Siedząc w swobodnej pozie w fotelu, piosenkarz opowiadał o swoich korzeniach. Były oczywiście szlacheckie (któż zresztą miałby wątpliwości, widząc jego arystokratyczne rysy!). Rodzice zmarli, gdy był jeszcze małym dzieckiem, zostawiwszy tylko srebrną papierošnicę z monogramem, z którą nigdy się nie rozstaje (papierošnica została wyciągnięta z kieszeni i zademonstrowana publiczności). Pokazał również akwarelę malarza Polenowa, na której uwieczniono rodzinną posiadłość pod Moskwą utraconą w wyniku bolszewickiej ekspropriacji (ostatnie słowo piosenkarz wypowiedział z trudem). Dziennikarz lekko ironicznym tonem zadał jeszcze kilka pytań dotyczących szlachetnie urodzonych przodków, miejsca ich pochówku (jak się okazało, spoczywają na Nowodiewiczym[56]), po czym, wyraźnie zadowolony, zaproponował widzom i gwieździe obejrzenie pewnego materiału. Nawet nie materiału, tylko materialiku.

A materialik był bardzo ciekawy. Pokazano czteropiętrowy blok z epoki Nikity Chruszczowa. Wyglądał zwyczajnie – mało prestiżowe miejsce dla mało prestiżowych obywateli. Przed domem kwitły wiśnie, co w połączeniu ze specyficznym błękitnym odcieniem nieba pozwalało wywnioskować, że blok stoi gdzieś daleko na południe od Moskwy. Na ławeczce przed nim siedziało dwoje staruszków. Nieśmiało patrzyli na siebie, a kamera powoli zbliżała się, wychwytyjąc detale: wypłowiałą niebieską jedwabną sukienkę staruszki, jej nogi z opuchniętymi stawami wbite w jasnobrązowe sandały z lat osiemdziesiątych, piaskowego koloru chesuczowe spodnie staruszka,

jego znoszone sandały, workowatą marynarkę... I białą, wyraźnie odświętną koszulę, z której kołnierzyka sterczała pomarszczona szyja z wystającą grdyką. Kamera bezlitośnie zmniejszała dystans, póki nie zatrzymała się na twarzach. Staruszkowie byli podobni do siebie jak brat z siostrą – jednakowe duże nosy, zaciśnięte usta i delikatna siateczka naczyń krwionośnych na dobronoskich twarzach. Kamera odjechała trochę w bok i w polu widzenia znalazł się moskiewski dziennikarz, który wyglądał w swoich wąskich dżinsach nedorzecznie, jak pasikonik.

– Kapitolina Sawieljewna i Wiktor Sawwicz – rozpoczął przymilnie – przez całe życie pracowali razem na budowie jako malarze-tylnkarze. Kapitolino Sawieljewno – zwrócił się do staruszki – proszę opowiedzieć o swoim synu.

Staruszka uśmiechnęła się nieśmiało i z miękkim ukraińskim akcentem opowiedziała całemu krajowi o tym, jak kochają Ławruszeńkę i jacy są z niego dumni. Przecież stał się znamienitością, mieszka w Moskwie, śpiewa w telewizji. Kapitolina wyciągnęła wytarty na krawędziach rodzinny album – przed uważnym okiem kamery przesuwają się zdjęcia Ławrika bobasa, kędzierzawego chłopczyka, przyszczatego nastolatka. Staruszka czule komentowała poza kadrem każde ze zdjęć. Potem wyciągnęła drugi album, w którym Ławrientij był już gwiazdą pop – wycinki z „Karawana Istorii”, „Komsomołki”, „Rabotnicy”... Ranking najseksowniejszych rosyjskich piosenkarzy, laureat konkursu „Mister Uśmiechu”, nagroda „Tryumf” – nie wiadomo za co...

– Tylko że już go nie widzimy, naszego Ławruszeńki – poskarżyła się korespondentowi Kapitolina. – Jak wyjechał do Moskwy, nawet jego telefonu nie mamy. Widzimy go tylko w telewizorze, wygląda na zdrowego. I dziewczyna się pojawiła, sympatyczna taka, też śpiewa. Ale nie wiadomo, czemu się rozstali. A my tak na wnuka czekamy...

Wzruszający reportaż zakończył się zbliżeniem na staruszka-ojca – w kątku jego oka pokazała się mętna starcza łza. Przy idiotycznym wybuchu owacji wracamy do studia i kamera, szybko przeleciawszy nad zachwyconymi fanami, zatrzymuje się na Ławrientiju.

– To wszystko kłamstwa! – krzyczy piosenkarz i nawet jego złota marynarka stroszy się z oburzenia. – Kłamstwa i prowokacja! Do sądu was

podam! – Jego przyjemny tenor przechodzi w pisk, spod scenicznego makijażu przeświecają czerwone plamy.

To dziwne, ale patrząc na niego, trudno było uwierzyć, że jest synem swoich rodziców. Krzywiąc się z obrzydzenia, Masza wyłączyła program i wyszła z sali kinowej. Żegnając się z asystentką, powiedziała, że nie będzie już niepokoić pana Koninowa i sama znajdzie wyjście.



Z Kientijem zobaczyli się dopiero wieczorem. Przyjechał po nią po ostatnim spotkaniu ze świadkiem w sprawie niebiańskiego Jeruzalem, żeby oddać kasety z przesłuchań. Wsiadła do samochodu, patrząc prosto przed siebie na powoli zapadający nad miastem zmrok. W jej głowie wciąż rozbrzmiewał piskliwy głos, a przed oczami miała twarze staruszków.

– Nigdy nie będę miała dzieci – powiedziała nagle.

Innokientij zeszywniał.

– To zabawne, ale ja po dzisiejszym spotkaniu doszedłem do tego samego wniosku.

Masza spojrzała na ładny profil jego bladej twarzy o regularnych rysach.

– Nieciekawa historia?

Innokientij nie odpowiedział, tylko wykrzywił usta i Masza zrozumiała, że historia, której miała wysłuchać, jest rzeczywiście nieciekawa. Innokientij był niezwykle milczący, a spojrzenie... Spojrzenie miał nawet nie zmęczone, tylko całkiem zgaszone. Przez chwilę zrobiło jej się go żal. Mól książkowy całe życie badający dawne dzieje, których ciężki odór rozwiał stulecia temu wiatr historii... A teraz zostało po tych epokach tylko to, co najpiękniejsze – cerkwie z pięcioma lśniącymi w słońcu kopułami i ikony z delikatnymi twarzami świętych. Biedny Kientij – pomyślała ze skrucą. – Nie miałeś szczęścia z przyjaciółką z dzieciństwa. Z wyrefinowanego świata kolekcjonerów trafiłeś w sam środek ludzkiego bagna. Zawstydzona dotknęła jego dłoni trzymającej kierownicę – cudowne są przyjaźnie nawiązane w dzieciństwie. Nic nie trzeba mówić. Wszystko i tak jest jasne. Głęboko westchnęła i opuściła szybę – mijali właśnie Leninowskie Wzgórza[57] i wieczorne powietrze było zadziwiająco świeże. Masza przymknęła oczy i – zasnęła.

Nie widziała, jak zatrzymując się na światłach, Innokentij odwrócił do niej twarz przypominającą maskę karcianego jokera, oświetloną niebieskawym światłem ulicznej latarni z jednej strony i czerwonym odbłyskiem sygnalizacji świetlnej na drugim policzku. Patrzył na Maszę i jego oczy wydawały się ciemne. Co w nich było? Czułość? Dawne uczucie, którym był już zmęczony? Czerwony odbłysk na policzku zmienił się na zielony, potem znów na czerwony...

A Innokentij wciąż patrzył na Maszę i nie mógł się napatrzeć.

ANDRIEJ

Andriej zadzwonił do obitych porządną brązową skórą drzwi i nie zdziwił się, gdy zamiast zwykłego dzwonka rozległy się słowicze trele. Niech diabli wezmą tego miłośnika pięknego życia! Oraz jego przyjaciółkę Maszę, która jednocześnie była stażystką Andrieja. Innokentij otworzył prawie od razu i stanął na progu swego mieszkania niczym bohater dwunastego roku[58] uwieczniony na obrazie w pełnej krasie. Miał na sobie niebieską koszulę i dżinsy – widocznie chciał przypodobać się gościowi. A masz – ze skrywanym uśmieszkiem pomyślał Andriej. W ostatni weekend wybrał się do GUM-u i kupił sobie portki. Klasyczne, ciemnogrnatowe, sztruksowe. Kosztowały kupę forsy, złościł się więc na siebie, gdy wyjmował portfel z kieszeni. Złościł się, ale wyjmował, bo wiedział, że nie zjawi się przed tym gogusiem w starych dżinsach. Jednak stojąc tu teraz, od razu zrozumiał, że godzina jego tryumfu odsuwa się w nieokreśloną przyszłość. Po pierwsze, gospodarz zachował się rzeczywiście bardzo porządnie, porzucając swój codzienny elegancki styl, żeby gość czuł się lepiej w jego domu. Po drugie, dżinsy Innokentija były takiego gatunku, że jego własne porcięta momentalnie straciły cały swój urok. Dlatego Andriej wpadł jak zwykle w rozdrażnienie i zauważywszy na korytarzu Maszę, też w dżinsach (zmówili się czy co?), tylko skinął głową. I wydało mu się, że tych dwoje wymienia za jego plecami spłoszone spojrzenia, co jeszcze bardziej go wkurzyło.

– Przejdźcie do pokoju, a ja coś pokombinuję w kuchni. – Innokentij wskazał kierunek i Andriej ruszył za Maszą korytarzem, próbując nie rozglądać się na boki.

Też mi coś, idealnie gładkie białe ściany, na których pociemniałe stare ikony wyglądały bardzo elegancko. I meble – powalająca mieszanka nowoczesnego stylu z antykami. Jaskrawoczerwona sofa w kształcie kropli, stalowy zakrętas świecznika i obok – prosty, bez złocień, sekretarzyk w stylu empire ze skórzanym blatem, za nim fotel o opływowych kształtach z epoki Ludwika XVI z taką samą czerwoną tapicerką, jak sofa w stylu modern. Na

ścianie w pokoju ikon już nie było, wisało tylko ogromne czarno-białe zdjęcie szeroko otwartego oka, które wydało się Andriejowi dziwnie znajome. A salon – był tego pewny – nadawał się na okładkę jakichś modnych magazynów wnętrzarskich... których nigdy nie brał do ręki.

Zatrzymał się obok sekretarzyka ze zdjęciami, nie chciał pierwszy zaczynać rozmowy. Ale przypatrzwszy się czarno-białym fotografiom, zmieszał się – na wszystkich był gospodarz, i to nie sam. Z Maszą Karawaj. Masza dziesięcioletnia, w stroju sportowym, nie wiadomo czemu z floretem – z młodziutkim Innokientijem naprzeciwko; Masza nastoletnia z rozpuszczonymi włosami, patrząca gdzieś w dal, Masza w sukni wieczorowej, z Innokientijem, na jakimś bankiecie, niepewnie uśmiechająca się do obiektywu. Andriej speszył się, kaszlnął, odwrócił się do Maszy siedzącej w fotelu obok niskiego stolika, na którym stało kilka różnych butelek i trzy kieliszki. Masza pochwyciła jego spojrzenie i zaczerwieniła się.

– Innokientij chciał, żebyśmy wypili za pomyślność...

– Nie tylko wypili, ale i zakąsili. – Innokientij wszedł z tacą, na której leżały w rządkach ptifurki pachnące apetycznie świeżym ciastem. – Od razu uprzedzam, że ich nie robiłem, tylko wsunąłem do piekarnika. Więc oszczędźcie sobie komplementów!

Masza roześmiała się i pierwsza wzięła z tacy wykwintną babeczkę z łososiem.

– Dziękuję, Kientiju. Jestem głodna jak wilk!

Andriej poszedł w ślady Maszy. Wymyślne babeczki okazały się smaczne i poczuł się jak jego pies, który trafił do psiego gastronomicznego raj. Wkładał do ust po kilka babeczek naraz i połykał, mając cichą nadzieję, że przynajmniej nie wydaje przy tym gardłowych dźwięków. Innokientij tymczasem otworzył butelkę wina – rozległo się przyjemne cmoknięcie – i nalał najpierw Maszy, potem spojrzał pytająco na Andrieja. Andriej, który przez te cholerne babeczki nie mógł wydusić z siebie nic zrozumiałego, skinął tylko głową na butelkę whisky i Innokientij napełnił masywną rżniętą szklanę, wrzucając do niej kilka kostek lodu. Andriej ostrożnie ujął szklanę w dłoń, bojąc się znowu naruszyć zasady dobrego wychowania, ale potem olał to, trącił się szklanką z Innokientijem (który też pił whisky) i z Maszą, pijącą wino, i łyknął johnniego walkera, którego lubił, ale nie pił zbyt często.

– No cóż – powiedział i po raz pierwszy ciepło uśmiechnął się do tych dwojga, czując, jak złocisty płyn zmiękcza jego serce i humor mu się poprawia. – Znaleźliście coś nowego?

Innokentij wymienił z Maszą znaczące spojrzenie. Ale Andrieja to już nie drażniło – znają się od dzieciństwa i oczywiście rozumieją bez słów. Przecież są przyjaciółmi. Przy-ja-ciół-mi. Może humor mu się poprawił wcale nie dzięki whisky.

Jakby czując zmianę jego nastroju, Masza odwzajemniła uśmiech, sięgnęła do torby i wydobyła z niej plik zapisanych kartek.

– Założyłam oddzielne dossier każdemu z poszkodowanych. Wydaje mi się, że dobrze by było zaprowadzić porządek i jakoś poklasyfikować ich grzechy.

Andriej skinął głową i łyknął whisky.

– Otóż – wciąż trochę się krępowała, ale powoli jej głos krzepł, więc zaczęła spokojnie przytaczać argumenty, nie zdając sobie sprawy, że naśladuje styl wystąpień adwokata Karawaja. – Co mamy? Mamy cyfry „jeden”, „dwa” i „trzy” – troje zabitych na nabrzeżu Biersieniewskim. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta.

– Numer jeden – wtrącił się Innokentij – to całkiem nieszkodliwa postać. Oprócz gadulstwa niczego nie można mu zarzucić. Ale mamy jeden ciekawy szczegół – jego ojciec jest popem i Sława się z nim nie dogadywał. Wygłupiał się w cerkwi w czasie nabożeństw. Krótko mówiąc, bluźnił. Ale to tylko głupie wybryki, nic takiego.

– Druga ofiara – Masza spojrzała na Andrieja – oskarżyła swojego kochanka o gwałt.

– Czemuż to? – zdziwił się Andriej.

– Zaszła w ciążę, a on nie chciał się rozwieść i...

– Wszystko jasne. Skazano go?

– Nie, uniewinniono. Dziewczyna sama o mało nie została oskarżona o składanie fałszywych zeznań, ale postanowiono jej darować. Chociaż żona siedziała w sali sądowej i ponoć w obecności wszystkich przeklinała kochankę.

– No, no. Można ją zrozumieć. Mam nadzieję, że jej nie podejrzewamy?

– Nie sprawdzałam tego. – Masza zagryzła wargę. – Ale wydaje mi się, że nie jest to związane z naszą wersją wydarzeń.

– Właśnie o tym mówię: trzeba dostosowywać fakty do wersji, a nie wersję do faktów. No dobra. Idziemy dalej.

Masza lekko się zaczerwieniła i Innokientij od razu przyszedł jej na pomoc.

– I wreszcie numer trzy: Solanko. Zawodowy sportowiec, pretendent do złotego medalu olimpijskiego. Podejrzewają go, że podrzucił narkotyki swojemu konkurentowi Sniegurowowi.

– Podejrzewają?

– Podejrzewa go właśnie ów Sniegurow. Twierdzi, jak to się mówi, *cui prodest*: szukajcie, komu przyniosło to korzyść.

– Właśnie tak powiedział? – Andriej uśmiechnął się.

Innokientij odpowiedział uśmiechem.

– Mniej więcej.

– No i co mamy?

– Mamy – cicho powiedziała Masza – trzy trupy w Carskim Ogrodzie w średniowiecznej Moskwie, praobrazie ogrodu Getsemani. Jeden ubliżał cerkwi, druga składała fałszywe świadectwo, trzeci szkalował kolegę. I wszystkim zostały obcięte języki.

Zapadła cisza.

– Zgrabnie... – Andriej nie mógł się nie zgodzić. – Proszę kontynuować, stażystko Karawaj.

– Numer cztery: pijak znaleziony w Kutafji, na miejscu świątyni Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Cyfra w postaci świeżego tatuażu na ramieniu. Dzielnicowy twierdzi, że wcześniej tego nie widział.

– Tu dałem plamę. – Innokientij rozłożył ręce. – Straciłem tylko czas i porządne ubranie... – Urwał, natrafiwszy na ironiczne spojrzenie Andrieja. – Krótko mówiąc, niepotrzebnie gadałem z tamtejszym alkoholowym guru. Oprócz tego, że Nikołaj Sorygin był człowiekiem-kwiatem, niczego się nie dowiedziałem.

– A co to znaczy?

– Że żył jak roślina, pił wódkę tak, jak wdychał powietrze, i tak dalej. Niczym się nie interesował. Niczego złego nie robił. Zresztą, niczego dobrego też. Taki archetyp pijaka. I chcę zauważyć, że został zabity właśnie za pomocą wódki, pradawnym, jak to u naszego posępnego Robin Hooda, sposobem.

– Kolejny – powiedziała Masza – jak mi się wydaje, był architekt Gebelai.

– Czy to nie ten, co doprowadził do śmierci wielu ludzi? Zaprojektował stację metra, która się zawaliła?

– Ten. – Masza spojrzała Jakowlewowi w oczy i nie wytrzymała. – Andrieju, ja naprawdę jestem przekonana, że to sprawka naszego seryjnego mordercy! Nawet nie roztrząsaliśmy grzeszków Gebelaiego, to jest jasne jak słońce. Były setki ofiar. Winę architekta udowodniono. Ale został ułaskawiony. Znalezione go w mieszkaniu na Leniwce...

– Brama Jafy w Jerozolimie – włączył się Innokientij. – Zmarł z wycieńczenia, a był zasłużonym architektem, laureatem wielu nagród, bogatym i dopieszczanym przez władze. Miał order przyczepiony do skóry. –

Kientij pokazał Andriejowi zdjęcie orderu znalezione w internecie. – To order trzeciego stopnia „Ach’dz-apsza”, wręczany w Abchazji za szczególne zasługi. Ma osiem promieni. Trzy z nich zostały ułamane.

– I zostało pięć – posępnie podsumował Andriej i potarł nasadę nosa, jak to zwykł robić. – Dobrze. Idźmy dalej.

– Dalej zidentyfikowaliśmy rękę.

– Jaką rękę?

– Pamięta pan sprawę odciętej ręki pół roku temu i sprawę kradzieży Chagalla? Znaleźliśmy kolekcjonera, któremu skradziono ten obraz. Rozpoznał rękę.

– Rozpoznał rękę? – Andriej spojrzał na nich sceptycznie.

– Ten człowiek ma wyjątkowo dobrą pamięć wzrokową – potwierdził Innokientij. – Rozpoznał tatuaż na ręce, zetknął się wcześniej ze złodziejem, Samujłowem, w czasie składania zeznań. Chodzi o to, że ten nie po raz pierwszy okradał tych samych kolekcjonerów.

– Wydaje mi się, że ręka to symbol – powiedziała Masza. – Zabójcy było wszystko jedno, którego złodzieja zabije, byleby był to złodziej.

– Zgadzą się. – Innokentij skinął głową. – Ręka to dla niego znak. Jak wiecie, jest to hieroglif oznaczający kradzież. Do tego ręce odrąbują złodziejom od czasów średniowiecza po dziś dzień.

– Gdzie? – zapytał Andriej.

Ale Innokentij go zrozumiał.

– Sobór Pokrowski – góra Syjon. Pamiętajcie, w czasach Iwana Groźnego ten sobór nazywano Jerozolimą.

Andriej oczywiście ni cholery nie pamiętał. Ale poczuł nagle zimny oddech zaświatów. I ucieszył się, gdy Innokentij dolał mu whisky do szklanki.

MASZA

Masza nie miała pojęcia, dlaczego twarz zaszępionego na początku Andrieja się rozchmurzyła. Pomyślała, że to zasługa dobrego alkoholu. Trzeba będzie nosić ze sobą flaszkę na Pietrowkę – zażartowała w duchu. Ale musiała przyznać, że taki dobrodusznie rozluźniony Andriej bardziej jej się podobał. W dodatku nie miał na sobie dżinsów, a cienki sweterek podkreślał jego szczupłą sylwetkę. Widocznie ćwiczy jak zwariowany – pomyślała, wstydząc się, że nie wykorzystwała swojego abonamentu na siłownię. Podobały jej się również jego ręce. Dłonie trzymające szklanę z whisky były zaskakująco – zaskakująco dla niej, nieprzepadającej za niesympatycznym szefem – nieduże, palce – delikatne i szczupłe. A oczy – gdy spoglądały na nią bez zwykłego rozdrażnienia – przenikliwe, mimo ich nieciekawego, według niej, niebieskiego koloru. Musiała przyznać, że kapitan Jakowlew, chociaż był w jej oczach osobnikiem jakby z innej planety, człowiekiem z obcego jej kręgu, miał jednak jakiś swój ponury... czar czy co? I Masza spojrzała na niego ze zwykłą nieufnością, ale i zaciekawieniem. Pewnie miał wiele kobiet – doszła do wniosku i zaczerwieniła się. Dzięki Bogu, nikt na nią nie patrzył. Innokentij w roli gościnnego gospodarza podlewał Andriejowi whisky. A Masza postanowiła więcej nie pić, skoro już po jednym kieliszku miała niegrzeczne myśli.

– Zuchy! – pochwalił ich tymczasem Andriej. – Zuchy, że znaleźliście ofiarę – łatwiej będzie odszukać ciało. Choć powiem wprost, bez ręki zdarzają się nieczęsto.

– Widzisz, Maniu. – Kientij puścił oko do Maszy. – No to masz pierwszy komplement od szefa.

– Jestem zaszczyczona. – Uśmiechnęła się do Andrieja, a ten odwzajemnił jej się czarującym uśmiechem. Muszę natychmiast przestać pić, pomyślała Masza, a na głos powiedziała: – Przechodzimy do gubernatorowej Turiny. Nie wiemy, jaki miała numer, ale też została zabita w średniowieczny

sposób: poćwiartowano ją i zawinięto w gazetę z demaskatorskim artykułem niejakiego A. Szyszygina na temat wręczanych przez nią licznych łapówek. Znalaziona w Kołomienskim, które odpowiada kaplicy w miejscu Wniebowstąpienia Pańskiego w Jerozolimie.

– Jasne. – Andriej kiwnął głową już bez uśmiechu.

– Jest jeszcze piosenkarz Ławrientij. – Masza zasepiła się. – Obrzydliwy, oślizły typ. Nie wiem, za jakie grzechy utopiono go w bloku, ale jestem pewna, że powód był. Koło Muzeum Techniki pękła rura. Leżał twarzą do ziemi, zegarek zatrzymał się na godzinie jedenastej wieczorem, choć śmierć, według techników, nastąpiła o szóstej rano.

– A co my tam mamy?

– Wzniesienie ciągnące się od muzeum do stacji metra Kitaj-gorod, idealnie odpowiadające Górze Oliwnej w Jerozolimie.

– No tak. – Im dalej posuwali się na liście, tym poważniejszy robił się Andriej.

Uwierzył, zrozumiała Masza. Wreszcie uwierzył! I wystraszył się. Kto by się nie wystraszył na jego miejscu? Od zabójcy zalatuje śmiercią na tysiąc wiorst – on nie tylko wie o naszych grzechach, ale i numeruje je według tylko sobie znanego katalogu i wybiera odpowiednie miejsca. Jakby plótk pajęczynę, precyzyjną i regularną niczym excelowska tabela.

– Jakoś zimno mi się zrobiło – powiedziała Masza do Innokientija i ten pobiegł do innego pokoju po rozpinany sweter dla niej.

– To oko wydaje mi się dziwnie znajome – zauważył Andriej, jak tylko Innokientij wyszedł. – I nie wiem skąd. Nie znam się na współczesnej fotografii.

– To moje oko – szepnęła zmieszana Masza.

– Jak to?

– Moje. Kientij sfotografował je jakieś dziesięć lat temu. Fascynował się wtedy powiększaniem. To było okropne – mógł powiększyć do monstrualnych rozmiarów na przykład mój nos. Bardzo to przeżywałam – groziłam, że nigdy więcej do niego nie przyjdę, jeśli będę wisieć tu w takiej formie na ścianach. Ale oko to nie jest jeszcze najgorszy wariant, prawda?

– Prawda – przyznał Andriej i jakoś bardzo uważnie popatrzył na

wchodzącego z obszernym wełnianym swetrem Innokientija.

– Trzymam ten sweter specjalnie dla Mani, jest zmarzluchem – oznajmił, narzucając go jej na ramiona.

– Rozumiem. To na czym się zatrzymaliśmy?

– Jest jeszcze Katia – cicho powiedziała Masza, otulając się swetrem. – Ale to już same domysły.

– To nie domysły, Maszo – miękko zaprotestował Innokientij. – Wypadek był zaplanowany. To fakt. Zginęła na ulicy Nikolskiej, odpowiedniku Via Dolorosa w Jerozolimie. I sama mówiłaś, że miała bransoletki. Dziesięć.

Masza odwróciła się bez słowa. Andriej spojrzał na twarz Innokientija – malowało się na niej współczucie. Ten pochwycił jego spojrzenie i smutno się uśmiechnął.

– Mamy jeszcze mężczyznę zachłostanego różgami na śmierć. Często bił żonę i być może jest winny śmierci swojego małego synka.

– Miejsce? – chciał wiedzieć Andriej.

– Warwarka albo Getsemani.

– Liczba?

Innokientij wzruszył ramionami.

– Rozmawiałem tylko z wdową, która uważa, że mężowi się należało: za zbyt dużą wybuchowość, jak to ujęła. Krępowałem się pytać o liczby. Ale być może znajdzie pan coś w aktach sprawy.

– Jest jeszcze jeden – podsumował Andriej. – Zabójca Jelnik, którego długo trzymano w lodówce po utopieniu w przerębli, a potem wyrzucono na brzegu rzeki Moskwy.

Innokientij szeroko otworzył oczy.

– Wiem, wiem. – Andriej machnął ręką. – Rzeka życia, odpowiadająca – jak mu tam – Jordanowi? I wygląda na to, że Jelnik, jak również znaleziony przez was złodziej, występują u zabójcy jako przykład.

– Czternaście – powiedziała Masza. – Jest co najmniej czternaście osób. Nie o wszystkich jeszcze wiemy.

– À propos liczb – ożywił się Andriej. – Doszliście do czegoś?

Masza spojrzała zawstydzona na szefa, wyglądała znów jak nieśmiała studentka.

– Nie wiem, Andrieju – przyznała się. – Im więcej czytam fachowej literatury, tym mniej rozumiem. Chcę powiedzieć, że musimy odkryć system, który obejmie – najlepiej według numerów – wszystkie zabójstwa. Coś w rodzaju hierarchii grzechów. Ale nic mi nie wychodzi. Na przykład, jeśli trzymać się Biblii, grzesznikami byli celnicy, ladacznice, faryzeusze... Nie wszystkie ofiary odpowiadają tym kategoriom! Albo weźmy *Boską Komedię* Dantego: krąg pierwszy – nieochrzczone niemowlęta i zaci ni chrześcijanie; krąg drugi – lubieżnicy; krąg trzeci – obżartuchy...

– Dante był katolikiem – cicho powiedział Innokentij. – Opierał się na pojęciu grzechu śmiertelnego. A w prawosławiu nie ma pojęcia grzechu śmiertelnego.

– Czyli wszystkie grzechy są nieśmiertelne? – zapytał Andriej.

– Albo odwrotnie – wszystkie istniejące są śmiertelne. A nasz maniak ma bzika na punkcie średniowiecznej prawosławnej idei Nowego Jeruzalem. W tamtym czasie spór między katolicyzmem i prawosławiem był o wiele ostrzejszy niż dzisiaj. – Innokentij nie wytrzymał, znów dosiadł ulubionego konika. – Katolików nazywano latynistami, a ich wiarę przyrównywano do herezji. Wielebny Teodozjusz Pieczerski jeszcze w jedenastym wieku mówił, że nie ma życia wiecznego dla wyznawców wiary łacińskiej. A w bliżej interesującej nas epoce, w szesnastym wieku, wielebny Maksym Grek demaskował wszelką herezję łacińską i wszelkie bluźnierstwo judejskie i pogańskie... I obu nienawidzono tak samo jak starowierców. Chociaż nie, swoich zwykle nienawidzi się bardziej.

Andriej już chciał mu przerwać, ale nagle zrozumiał, że historyczna dygresja to tylko krótka przerwa w ich niekończącym się krążeniu wokół nieznanego maniaka. I nic nie powiedział.

– A wiecie, jaki był główny dogmat, o który spierali się prawosławni i katolicy w średniowieczu? – zapytał Innokentij.

Masza i Andriej jednocześnie unieśli brwi.

– Chlebny!

– W jakim sensie? – zapytał zdumiony Andriej.

– Chodzi o to, że święci ojcowie Cerkwi prawosławnej uważali, że chleb używany w czasie komunii powinien być zakwaszony, czyli na drożdżach. A katolicy – że praśny. Każdy piekł po swojemu. Nasi, bardziej skłonni do lirycznych uniesień, przekonywali, że zakwas to coś żywego, z bąbelkami, co symbolizuje Boga żywego. Dlatego nasz chleb jest żywy, a katolików – martwy. I nieszczęśni katolicy otrzymują w czasie komunii świętej martwego Chrystusa.

– I kto ma rację? – Andriej niespodziewanie zainteresował się teologicznym tematem.

– Myślę, że niestety katolicy. Przecież Ostatnia Wieczerza wypada w czasie żydowskiej Paschy. A żydzi w czasie Paschy nawet nie śmiały myśleć o drożdżach. Pascha przypomina im wyjście, błądzenie po pustyni, a chleb na drożdżach się psuje. Dlatego na drogę bierze się wyłącznie suchary, u żydów macę. Co jeszcze? Prawosławni, i słusznie, odrzucają ideę namiestnika Boga na ziemi, papieża. A co najważniejsze – Innokentij znów spoważniał – i jak mi się zdaje, istotne dla naszego maniaka: w prawosławiu nie ma czyścica. Czyli istnieje tylko białe i czarne – raj i piekło. Żadnych półtonów.

– Ostro – uśmiechnął się, wzdrygając, Andriej.

– Nasz rosyjski maksymalizm. – Innokentij również się uśmiechnął.

Andriej odstawił pustą szklanekę i podniósł się.

– Dziękuję za gościnę, na mnie już pora.

Innokentij i Masza odprowadzili go do drzwi i długo stali nad nim, póki, zmieszany, nie uporał się ze sznurowadłami. Wreszcie się wyprostował, poczerwieniały od wysiłku, uścisnął rękę Innokentijowi, skinął głową Maszy.

– Zuchy z was. Świetna robota.

– Niech pan zaczeka! – Innokentij wyciągnął z kieszeni kartkę. – Proszę. – Podał ją Andriejowi. – Sporządziłem listę miejsc związanych z niebiańskim Jeruzalem. Mam nadzieję, że się nie przyda, ale na wszelki wypadek...

– Złudne marzenia. – Andriej przebiegł listę wzrokiem i wsunął ją do kieszeni. – Obawiam się, że się przyda, i to bardzo.

ANDRIEJ

Andriej nigdy nie potrafił długo sam siebie oszukiwać. Jeśli z rana nakarmił do syta swoją Raniewską, włożył nowe spodnie i świeżą koszulę, prowadził samochód jak szalony, słuchając nie wiadomo czemu Radia Klasyka, to tylko dlatego, że miał spotkać się ze swoją stażystką Marią Karawaj i nie mógł się już tego doczekać.

Ale, tłumaczył sobie, tylko z tego powodu, że szykuje się poważna sprawa i gdyby nie Karawaj, prawdopodobnie nie udałoby się połączyć wszystkich tych nierozwiązanych spraw w jeden łańcuszek. Jak się okazało, stażystka Karawaj miała głowę na karku, co zauważył nie tylko on, Andriej Jakowlew, ale i anonimowy zabójca. W przeciwnym razie po co by wybierał na ofiarę przyjaciółkę Maszy? Prowadzi z nią grę – pomyślał Andriej. Prowokuje. Wyzywa na pojedynek.

Zalała go gwałtowna fala instynktownego lęku o Maszę. Szlag by trafił tego maniaka! Jakbym go, gada, spotkał... – myślał gorączkowo. – Na młodziutką dziewczynę polujesz, a z facetem boisz się zadzierać? Nie, nie boi się. Po prostu Andriej go nie interesuje. A Masza – owszem.

Jakowlew wysiadł z samochodu i mocno trzasnął drzwiami, ogarnięty drczącym uczuciem żalu i – czy to możliwe? – zazdrości. Coś ich łączyło – inteligentną dziewczynę i bezwzględnego zabójcę. Związek mentalny bywa czasami silniejszy od cielesnego. Ale jak dotrzeć do mordercy w przepelnionej ideami głowie Maszy? Jak uchronić ją przed strasznym zderzeniem ze zbrodniarzem? Andriej otworzył drzwi do pokoju, przywitał się skinieniem głowy z kolegami i skierował szybkim krokiem do Maszy.

– Maszo! – zaczął ostro.

Masza uniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. Ale jej uśmiech szybko zgasł, gdy zobaczyła oschły i zdecydowany wyraz twarzy szefa. Oddychał ciężko, jakby przebiegł właśnie stumetrówkę. I tak rzeczywiście było, jeśli wliczyć schody i korytarze Pietrowki.

– Maszo! – powtórzył, siadając naprzeciwko i próbując złapać oddech. – Zamierzam odsunąć cię od sprawy!

Nie trzeba jej było tłumaczyć jakiej. Pobladła tak, że aż jej oczy z długimi rzęsami wydały się ciemniejsze.

– Dlaczego? – zapytała cichym głosem. – Co zrobiłam źle?! Dlaczego pan mnie tak nie lubi?

– Głupia! – szepnął Andriej. – Głupia, choć taka inteligentna! Myślisz, że to zabawa w piaskownicy?! Zabił twoją przyjaciółkę, rozumiesz?! Wszedł do twojego mieszkania, ubrał ją w twoje rzeczy, wsadził do twojego samochodu i nakierował prosto na mur! Wie, kim jesteś! Nie chcę cię narażać! Nie masz doświadczenia ani „profesjonalnego strachu”, czyli intuicji, która pozwala wyczuć zagrożenie. Nabywa się jej latami...

– Za to potrafiłam zrozumieć, jaką logiką się kieruje, zabijając! – syknęła z wściekłością. – Mam do tego, jak się okazuje, wystarczającą wiedzę i intuicję, a wam tego zabrakło! Jeśli zabił moją przyjaciółkę, widocznie chciał mi coś przekazać, to przesłanie! Maniacy bardzo często podświadomie pragną, by ich złapano! Jeśli się wycofam, jeśli nie rozwiążę tej łamigłówki, śmierć Katii będzie nadaremna!

– Właśnie o tym ci mówię! – wrzasnął, bo nie mógł już wytrzymać. – To nie zabawa! Zabije cię za jakieś twoje tylko jemu znane grzechy! Zabije w sposób perwersyjny, ze średniowiecznym fasonem! I to ja będę temu winny!

– Proszę się nie martwić – sucho odparła Masza, chowając papiery do torby. – Nikt pana nie obarczy winą. Chyba że za niewdzięczność. – I szybko wyszła z pokoju.

– Karawaj! – ryknął Andriej w ślad za nią, ale nawet nie zwolniła kroku.

Ta idiotka jest uparta jak osioł – pomyślał. I tak będzie węszyć wokół zabójcy, nawet jak jej tego oficjalnie zabroni.

Chwycił kurtkę i rzucił się za nią. Nawet nie zauważył, że obecni w pokoju zamilkli i odprowadzają go zdziwionymi spojrzeniami. Masza już wychodziła z budynku, gdy ją dogonił, chwycił za rękę i bez słowa pociągnął do swojego samochodu. Nie opierała się, szła przy nim, patrząc w bok. Otworzył drzwiczki, popchnął ją na siedzenie pasażera, sam wszedł i ruszył

ze złością z kopyta.

– Jedziemy do prosektorium – wycedził przez zęby, choć o nic go nie pytała. – W weekend zginęła kolejna kobieta.

Usłyszał cichutkie „och!”.

– Może nie jest „nasza”, ale mieszkała pod adresem wskazanym przez twojego przyjaciela z dzieciństwa jako miejsce związane z niebiańskim Jeruzalem.

– Gdzie?

– Na placu Puszkina.

– Wszystko się zgadza – westchnęła Masza. – Biały Gród. Trzeci mur obronny po Kremlu i Kitaj-gorodzie. Wybudowany w szesnastym wieku, na wzór niebiańskiego Jeruzalem miał dwanaście bram. Srietieńska znajdowała się w miejscu dzisiejszego placu Puszkina.

– Posłuchaj – rozwścieczony Andriej zajechał drogę samochodowi po lewej – mam wrażenie, że według was w Moskwie, gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie jest niebiańskie Jeruzalem!

– Takich miejsc jest wiele. W zasadzie w większym czy mniejszym stopniu dotyczy to całego centrum historycznego – zgodziła się Masza. – Na początku morderca bardziej się starał i ryzykował, zostawiając ciała w znaczących miejscach – takich jak sobór Pokrowski. A teraz, myślę, już wie, że jesteśmy na jego tropie, i po prostu wykorzystuje odpowiednie punkty, bliżej ofiar...

– Skąd?! – Andriej gwałtownie zahamował. – Skąd możesz wiedzieć, że on wie, że my wiemy? Cholera! Ale rozumiesz, o co mi chodzi!

Masza wzruszyła ramionami.

– Tak mi się zdaje.

– No właśnie! – wrzasnął Andriej. – Skoro ci się zdaje, to wiesz, co trzeba zrobić?

Andriej i Masza już stali po przeciwnych stronach samochodu, rzucając sobie wściekłe spojrzenia. Andriej splunął – do czego to doszło, że taki ateista i bezbożnik jak on cały czas gada tylko o żegnaniu się, grzechach i symbolach Niebiańskiego Grodu!

– No bardzo ci dziękuję, ba-a-a-rdzo! – mamrotał pod nosem, wchodząc do prosektorium i nawet nie patrząc, czy Masza idzie za nim.

MASZA

Komu on tak dziękuje? – myślała Masza. – Naszemu zabójcy czy co? Jeszcze nie doszła do siebie po porannym wstrząsie, gdy o mało nie wyrzucił jej z Pietrowki, odsuwając od sprawy. Wariat! Ograniczony cham. Chociaż sama już rozumiała, że maniak nie trafił na Katię przypadkowo. W drodze do jej mieszkania. Więc wie o niej, zna ją... Na myśl o tym ogarniał ją strach, a jednocześnie czuła, niczym pies myśliwski, podniecenie, od którego aż mrowiły ją opuszki palców. Dopadnę cię – po raz tysięczny powtarzała swemu niewidzialnemu przeciwnikowi. – Sam tego chcesz, prawda? Znudziło ci się udowadniać bezdusznemu światu, że masz rację... Zrzucić z barków ten ciężar, no, pokaż się, potworze!

Rozejrzała się na boki – na wypadek, gdyby faktycznie się pojawił. Nic z tego, przed nią wznosił się budynek prosektorium, Andriej przytrzymał przed nią drzwi. A za plecami rozbrzmiewały odgłosy moskiewskiej ulicy.

Póki szli korytarzem wyłożonym wesołym żółtym linoleum, Masza starała się nie myśleć o tym, co zaraz zobaczy. Najpierw ujrzała imponującą postać Pawła, który właśnie wybierał się na papierosa. Andriej przedstawił ich sobie i patolog z galanterią się uklonił.

– Jakowlew, zawsze masz takie szczęście ze stażystkami? – zapytał, rezygnując z wyjścia.

– Nie zawsze – burknął Andriej. – Na szczęście.

– Cham. – Paweł nachylił się poufale do ucha Maszy. – Ale w tym niepozornym ciele bije dobre i szlachetne serce.

– Dlaczego tak jest? – poskarżyła się, błyskawicznie podejmując jego grę. – Jak dobre serce, to niepozorne ciało. Gdzie tu sprawiedliwość?

– W bajkach Charles’a Perraulta – poważnym tonem odpowiedział Paweł. – Właśnie je czytam po raz kolejny swojemu najmłodszemu. Tam potwór o dobrym sercu w końcu zawsze zamienia się w księcia. Trzeba go tylko

pocałować – mam na myśli potwora. Choć jest taki paskudny. – Pasza ironicznie się uśmiechnął. – Niech pani go pocałuje, Maszo, co? Może wtedy się odmieni? Będzie chociażby od czasu do czasu dostarczał przyjemnych estetycznych wrażeń, bo przecież wokół tylko trupy, trupy, i wszystkie, wie pani, takie obrzydliwe... Faj!

Masza roześmiała się, a Andriej odwrócił do nich czerwoną, zagniewaną twarz.

– Skończ już z tymi bredniami, Rudakow! Co z naszą denatką?

– Wasza denatka, trzeba przyznać, stała się naszą celebrytką. Bardzo specyficzny sposób zabójstwa... Ale proszę do mojej samotni.

Paweł szerokim gestem zaprosił ich do prosektorium, gdzie pod białym prześcieradłem leżała „ich” denatka, i kątem oka spojrzał na gwałtownie pozieleniałą Maszę.

– Hm... Niech wam będzie, nie będę pokazywał wszystkiego. Widok nie należy do najprzyjemniejszych nawet dla przyzwyczajonych. Co dopiero dla tak młodej dziewczyny... Pokażę tylko rączkę. – Dyskretnie uniósł brzeg prześcieradła w miejscu, gdzie była ręka. Ale co to była za ręka! Nie miała skóry, a w niektórych miejscach nawet mięsa – sama kość. Masza krzyknęła i wczepiła się w pobladłego Andrieja.

– Co to jest? – Jakowlew uniósł wzrok na Paszę.

– Nie odważę się wypowiadać, nie jestem entomologiem.

– Kim?

– Specjalistą od żuków i innych owadów. To mrówki. Całkiem, według mnie, zwyczajne. Zebrałem tu z dziesięć sztuk, włożyłem do słoika. Jak się okazuje, mrówki wcale nie są wegetarianami...

– Chcesz powiedzieć, że zmarła od ukąszeń mrówek?

– Nie. – Paweł zdjął rękawice i znużony przesunął ręką po czole. – Zrobiłem sekcję zwłok: jej serce nie wytrzymało. Chłopcy, którzy przyjechali na wezwanie, mówili, że tam aż roiło się od tych bestii. Żywcem ją zjadały i nikt nie słyszał jej krzyków. Wygląda na to, że ściany były dźwiękoszczelne. Kobieta zarabiała jako medium czy wróżka. Przyjmowała klientów w domu. Dlatego miała wyciszone mieszkanie – nie chciała, żeby sąsiedzi słyszeli. No i nic nie słyszeli. Więcej wam powiedzieć nie mogę,

więc może pójde jednak na papierosa, dobrze?

Masza i Andriej zgodnie kiwnęli głowami i ruszyli do wyjścia. Masza pędziła przodem. Wybiegła na ulicę, schowała się za rogiem i zwymiotowała.

Andriej znalazł ją kilka minut później, gdy zachłannie wdychała zanieczyszczone spalinami powietrze. Podał jej staromodną chusteczkę – ogromnych rozmiarów, w kratę. Masza z wdzięcznością kiwnęła głową.

– Idziemy – rozkazał Andriej. – Właśnie dlatego nie chciałem, żebyś się zajmowała tą sprawą. Tak w ogóle patrzeć na trupy to nie jest jeszcze najgorsza rzecz. Ale nasz facet zostawia je w takim stanie, że nawet patolog z nerwami ze stali nie wytrzyma.

– Nie pożegnałam się z Pawłem – odezwała się cicho Masza.

– Nic nie szkodzi. Zrozumie. Wsiadaj do samochodu.

Ruszyli w milczeniu. Stojąc w korku, Andriej spojrzał na Maszę. Jej twarz była jeszcze wciąż blada, pod oczami pojawiły się sińce. Ogarnęło go ogromne poczucie winy.

– Wybacz, że chciałem odsunąć cię od sprawy – powiedział wreszcie. – Bardzo się boję... – Zaciął się. – O ciebie. Nie powinno się zaczynać od takiej sprawy, rozumiesz? Najlepiej nigdy na taką nie trafić, a ty jesteś dopiero stażystką. – Chciał jeszcze dodać, że absolwentką prestiżowego kierunku, z inteligenckiej rodziny, rozpieszczoną dziewczynką, która o mrówkach wie tyle, ile wyczytała w bajce o koniku polnym Iwana Andriejewicza Kryłowa.

– Nie miałam aż tak radosnego dzieciństwa, jak sądzisz – szepnęła, jakby czytała w jego myślach.

– Jasne – zgodził się Andriej, ale widać było, że nie uwierzył. Jego rozumienie beztroskiego dzieciństwa nieco różniło się od rozumienia Maszy.

Podwiózł ją do domu i nawet odprowadził do mieszkania, za co Masza była mu bardzo wdzięczna. Miała nogi jak z waty i kręciło jej się w głowie.

– To wszystko na dziś – oznajmił. – Odpoczywaj. Jutro czeka nas dużo pracy i... No właśnie! Poproś rodziców, żeby zmienili zamki, dobrze?

I szybko zbiegł po schodach. Masza chciała go zawołać, powiedzieć... Co? Dziękuję, że tak się o mnie troszczysz, choć nie musisz i w ogóle cię nie obchodzi? Dziękuję, że jesteś lepszy, niż myślałam? Albo coś bardziej

bezsensownego: wiesz, czuję się przy tobie tak bezpiecznie, jak od dawna z nikim się nie czułam. Od dawna – chyba od czasu, gdy tata jeszcze żył...

Zamiast tego przekręciła klucz w zamku i weszła, pogrążając się w ciszy i znajomym półmroku przedpokoju.

PLAC PUSZKINA

MASZA

Masza uśmiechnęła się, ale natychmiast skarciła się w duchu – ironia na miejscu zabójstwa nie uchodzi. Nie mogła się jednak powstrzymać – mieszkanie Ałły Kowalczyk albo Adelajdy, jak sama siebie nazywała, było kwintesencją kiczu. Wszędzie pozłota, wymyślne zawijasy – taki noworosyjski barok. Andriej oglądał pokój, w którym Adelajda przyjmowała klientów i gdzie została zabita. Maszy tam nie wpuścił, nawet zamknął drzwi. Ale ona i tak poczuła zapach rozkładu – potworny, słodki – i nie protestowała. W ogóle postanowiła nie sprzeczać się z Andriejem. W miarę możliwości. I kłócić się też z wyjątkowo ważnych powodów, na przykład udowadniając, że ma rację.

Przesunęła ręką po aksamitnej poduszce na kanapie i usiadła. Kanapa miękko zapadła się pod jej ciężarem – gospodyni wyraźnie sobie pobłażała, widocznie nawet w meblach nie znosiła żelaznej dyscypliny, żadnych prostych oparc ani twardych siedzeń, preferując rzeczy przyjemne w dotyku, ciepłe i delikatne. Leżące na niskich stolikach romansidła miały cukierkowe okładki, tak jakby Adelajda chciała, żeby pokarm dla umysłu współgrał z wnętrzem, żeby różowa, lekka papka była dla duszy tym, czym kanapa dla ciała. Masza nagle pomyślała, że Ałła Kowalczyk nie miała słodkiego dzieciństwa ani młodości, skoro tak łaknęła słodczy w dojrzałym wieku.

Dziewczyna oparła czoło o szybę i wyrzała na plac Puszkina. Przez potrójne szyby nie dobiegał z zewnątrz żaden dźwięk. Tłumy ludzi i samochody pędzące Twerską wydawały się zupełnie nierealne, niczym zjawy w bezsensownym korowodzie. Masza usłyszała kroki z tyłu, ale się nie obejrzała. Andriej stanął obok, też spojrział w dół i mruknął:

– Jak mrówki.

Oboje wzdrygnęli się, przypomniawszy sobie objedzoną do kości rękę.

– Plac Puszkina nazywał się kiedyś Strastny – cicho powiedziała Masza.

– Nie wiedziałem – przyznał się Andriej i spojrział na nią wyczekująco.

– Strastny – wyjaśniła – od mąk Chrystusa. *Strasti* w starosłowiańskim to „cierpienia”, „męki”. – Pokręciła głową, próbując odegnąć nieskończony łańcuszek przewijających się w głowie skojarzeń, uzasadnionych i nieuzasadnionych.

– Chodźmy do kuchni, coś ci pokażę. – Andriej wyszedł z pokoju.

Na kuchennym stole leżało zniszczone krzesło odwrócone do góry nogami, zupełnie niepasujące do kompletu z ciemnego drewna. Zrobione prawdopodobnie w jakichś zakładach meblowych na Białorusi wyglądało na biurowe. Andriej odwrócił je, żeby Masza mogła zobaczyć metalową tabliczkę z liczbą 15 z tyłu na oparciu. Krzyknęła, a Andriej uśmiechnął się posepnie.

– Idziemy stąd.

Prawie biegiem opuścili mieszkanie i zatrzasnęli za sobą ciężkie drzwi.

– Wiesz co... – Masza schodziła za Andriejem, próbując iść w tym samym tempie co on, ale nie nadążała o parę stopni. Jej spojrzenie wciąż natrafiało na jego krótko ostrzyżony czubek głowy, co ją rozpraszało. – Sprawdziłam w kontekście liczb *arma Christi*, narzędzia Męki Pańskiej.

Andriej trochę przyhamował i Masza pospiesznie wyjaśniła:

– To są narzędzia cierpienia Chrystusa: słupek, bicz, korona cierniowa... Jeśli chodzi o liczbę, to pasuje, ale...

Andriej mruknął:

– Ale Chrystus nie grzeszył.

Piętro niżej otworzyły się drzwi i z mieszkania wyszła dziewczyna w różowym płaszczu.

– Tak – zgodziła się Masza. – Ale miejsce cierpienia Chrystusa to Jerozolima, więc pomyślałam...

Andriej nagle się zatrzymał i Masza z rozpędu wpadła na jego plecy.

– Przepraszam.

Chwyciła się poręczy, żeby utrzymać równowagę. Na moment przyłgnęła piersiami do pleców Andrieja i zaczerwieniła się. Ale on nie odpowiedział, nawet się nie obejrzał, a Masza zorientowała się, że dziewczyna w różowym też się zatrzymała i patrzy na kapitana. Oszołomienie na jej delikatnej, prawie

jak u lalki, twarzą przesyłało w ironiczny uśmiech.

– Cześć, Andriusza! Kopę lat! – zaśpiewała przeciągłym wysokim sopranem.

Andriej nie odpowiedział, a gdy Masza, cicho schodząc dwa stopnie niżej, zajrzała mu w twarz, wystraszyła się – taki był blady.

– Cześć – rzucił wreszcie oschle.

Masza miała nadzieję, że Andriej ją przedstawi, ale zrozumiała, że nie ma teraz do tego głowy.

– Nie myślałam, że też trafisz do Moskwy z naszej pipidówki – powiedziała nieznajoma, bezceremonialnie lustrując go od stóp do głów. – Może nie powinnam była cię rzucać po szkole, co? – I figlarnie puściła do niego oko.

Andriej wciąż milczał nabzdyczony, jakby język połknął. A Masza nagle spontanicznie wzięła go za rękę, czego on jakby w ogóle nie zauważył.

Zauważyła natomiast dziewczyna i po raz pierwszy spojrzała na Maszę. Patrzyła z góry, choć stała pół piętra niżej. Przez chwilę – tylko przez chwilę – Masza pożałowała, że nie włożyła dziś jednego z tych drogich ciuchów kupowanych przez Natalię w nadziei, że córka któregoś dnia stanie się bardziej wyczulona na modę. Ale natychmiast wyprostowała się i nie puszczając ręki Andrieja, zeszła te pół piętra niżej, wyciągając do panienki dłoń.

– Dzień dobry, nazywam się Maria. Maria Karawaj.

Panienka nie spodziewała się uścisku dłoni. Widocznie tam, gdzie mieszkała i pracowała, witano się krótkim skinieniem głowy.

– Raja – powiedziała i słabo ucisnęła palce Maszy.

– Bardzo mi miło – uśmiechnęła się Masza. Tak uśmiechała się jej matka, gdy wcale nie było jej miło, ale nie chciała tego okazać. – Jestem bardzo pani wdzięczna, przecież gdyby nie rozstała się pani z Andriejem – tu Masza gestem posiadaczki przyciągnęła zszokowanego szefa do siebie i wzięła go pod rękę – nigdy nie bylibyśmy tak szczęśliwi. Bardzo pani dziękuję! A teraz przepraszam, idziemy zamawiać nową kuchnię. Sama pani wie, jak się nie przypilnuje tych z salonu, to znów przyślą z Włoch coś z zeszłorocznej kolekcji! – Masza promiennie uśmiechnęła się po raz kolejny. – Wszystkiego

dobrego!

– Do widzenia – wyszeptała panienska, nie ruszając się z miejsca i już się nie uśmiechając.

– Na razie! – prawie normalnym tonem odezwał się Andriej. Zbiegli w dół schodami, tym razem w milczeniu i z Maszą z przodu. Trzymała Andrieja za rękę i puściła dopiero w samochodzie.

Ruszyła, nawet nie spojrzawszy na Andrieja.

– Zeszłoroczna kolekcja? Z Włoch? – Uśmiechnął się krzywo.

– Wszystko jedno! – Wzruszyła ramionami. – Musiałam na gwałt zademonstrować twoje szczęśliwe życie rodzinne.

– Po co? – Andriej z udawanym zainteresowaniem gapił się w okno.

Masza spojrzała na niego gniewnie.

– Wydawało mi się, że tego potrzebowałeś.

– Lipnego życia rodzinnego?

– Nie – powiedziała Masza twardo. – Szczęścia.

– No tak. No tak... – wymamrotał Andriej. – Dziękuję, nawiasem mówiąc.

– Nawiasem mówiąc, nie ma za co. – Uśmiechnęła się. – Zjemy coś?

– Obowiązkowo, stażystko Karawaj. – Andriej odwzajemnił uśmiech. – Na koszt firmy, za wykazany refleks!

ANDRIEJ

Andriej nie wiedział, jak się zachować, mało tego – nie wiedział, co się z nim dzieje. Z jednej strony to, że stażystka Karawaj była świadkiem jego słabości, wydawało się upokarzające. Z drugiej – jej reakcja, gdy błyskawicznie stanęła po jego stronie, do tego występując w roli małżonki, nie mogła go nie wzruszyć. I mu nie pochlebić. Patrzył na nią z ukosa przy stoliku w niedrogiej kawiarni, którą wybrała, wyraźnie nie chcąc puścić go z torbami. I doszedł do wniosku, że gdyby taka panienska została jego żoną, wątpliwe, by był tak żaloszny dziś na schodach. Ci, za których wychodzą za mąż dziewczyny w typie Maszy – przed oczami od razu stanęła mu okazała postać Innokientija – nie peszą się jak nastolatki, spotykając duchy z przeszłości.

Masza złożyła u kelnera zamówienie, a Andriej tknął palcem w pierwsze lepsze mięsne danie z karty i zawołał w ślad za odchodzącym już wyniosłym kelnerem:

– I wódki! Dwieście gramów!

Odwracając się do Maszy, wyjaśnił, jakby usprawiedliwiając się z zamówienia alkoholu:

– To była moja pierwsza miłość. – I puścił do niej oko, co miało znaczyć: ależ to zabawne, prawda?

– Właśnie tak pomyślałam. – Masza uśmiechnęła się niepewnie.

– Planowaliśmy razem zdobyć Moskwę. Ona chciała dostać się do Instytutu Literackiego, a ja miałem nadzieję stworzyć jej warunki, by mogła pisać.

Po jaką cholerę jej to mówię? – przemknęło mu przez głowę, ale nie umiał już się zatrzymać. Patrzył w bordowy obrus i kątem oka na drugim końcu stołu widział złożone ręce Maszy – z krótko obciętymi paznokciami bez śladów lakieru.

– Myślałem, że jeśli się nie dostanę na studia, pójdę do pracy. A ona pisała wiersze. Chyba słabe, ale nie znałem się na tym ni cholery. – Znów się uśmiechnął. – I teraz też się nie znam. – Uniósł na nią wzrok. – Lubisz wiersze Asadowa?

– Nie – szczerze przyznała Masza i lekko się zachmurzyła.

– No widzisz, a Rajeczka bardzo lubiła.

Kelner przyniósł oszronioną karafkę i chleb. Andriej rzucił spojrzenie na Maszę, proponując jej wódkę, ale odmówiła. Wzięła natomiast kromkę i zaczęła coś lepić. Andriej wypił i dziarsko powąchał skórkę. Niech patrzy, jak naród – do narodu oczywiście zaliczał siebie, prowincjusza! – pije i nie zakąsza. Zorientował się, że Masza czeka na ciąg dalszy, i kontynuował – a co tam!

– Rzuciła mnie. Tak po prostu. Zdradziła z najlepszym przyjacielem. Przez pewien czas – krótko – jemu również podobały się wiersze Asadowa. –

Andriej znów się uśmiechnął i dolał sobie z karafki. Wódka zapiekła w przełyku i zniknęła w pustym żołądku. Humor mu się nie poprawił, ale postanowił dokończyć opowieść. – Chodzi o to, że rzuciła mnie, gdy mój ojciec nagle zmarł na zawał. Nawet nie dotrwałem do końca żałoby, tak chciałem się z nią zobaczyć. Żeby, no wiesz, pocieszyła, pomogła zapomnieć o koszmarze, jaki w domu przeżywała mama. No i nie da się ukryć, zapomniałem o wszystkim! – Andriej wyszczerzył zęby i z uczuciem wyrecytował:

*Nie znam swojego końca,
Powiem bez zbędnych słów:
Śmierć jest silniejsza ode mnie,
Lecz miłość wygra znów.*

*A gdy godzina wybije,
I skończę swój ziemski bieg,
Moja miłość nie minie,
Zostanie z tobą na wiek.*

Wychylił kolejny kieliszek.

– Mając lat siedemnaście, dostałem potrójny cios w splot słoneczny, to, Karawaj, nie żarty! Zwłaszcza gdy głowa pełna jest rymowanych bzdur. Siedzi przed tobą – jeśli miałaś jakiegokolwiek wątpliwości – absolutnie unikatowy osobnik, taki Żelazny Feliks[59]. Leciał z czwartego piętra – skończyło się na zadrapaniach. Przedawkował środki nasenne – zaordynowano mu płukanie żołądka. Nawet pod pociąg się kładł, ale ten, zaraza, zdążył wyhamować, a mnie wsadzili do pierdła za głupotę. Mógłbym jeszcze poeksperymentować, ale szkoda mi było matki, no i skończyły się pomysły. – Spojrzał na wstrząśniętą Maszę. – Tak, stażystko, a jak myślałaś? W taki oto sposób trafiają do służby ojczyźnie ludzie szczerze oddani sprawie!

Masza poruszyła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu nic nie powiedziała, tylko w jej oczach, które nagle rozbłysły – nie z zachwytu, tylko z poniżającej babskiej litości – tliło się uczucie, jakiego szukał dawno temu u Rajeczki – chęć pocieszenia, pogłaskania po główce.

To już musztarda po obiedzie – pomyślał z niespodziewaną złością. – I nie trzeba się nade mną litować, głupia! Sam się nad sobą wspaniale zlitowałem!

– Rozumiem to – odezwała się nagle Masza, chowając ręce pod stół, jakby próbowała powstrzymać się przed dotknięciem jego dłoni. – To jakby człowiek nagle całkowicie stracił orientację. Czujesz nie tylko ból, ale i strach przed życiem.

– Rozumiesz? – Andriej uśmiechnął się krzywo, a wstyd z powodu swojego taniego ekshibicjonizmu, napuszonego ironicznego tonu romantycznego bohatera przerodził się we wściekłość. Tak potworną, że aż się zakrztusił. – Naprawdę? Rozumiesz? A co ty możesz rozumieć oprócz swoich maniaków? Nawet z nimi cackasz się jak z lalkami Barbie! Jesteś wypaczona, Karawaj! Straciłaś kiedyś kogo? Tak od razu – i miłość, i przyjaźń, i ojca? A może wiesz, jak się człowiek czuje, lecąc z czwartego piętra? Czego ci w życiu brakowało? Trufli? A, już wiem! – Roześmiał się głośno, aż obejrzeli się siedzący przy sąsiednim stoliku. – Nie dowieźli tegorocznej kolekcji z Włoch!

Masza bez słowa wstała, położyła na stoliku banknot i wyszła z kawiarni.

– Głupia! – krzyknął w ślad za nią Andriej, choć wiedział, że pewnie go już nie słyszy. – Głupia! – rzucił do ludzi przy sąsiednich stolikach, którzy

pospiesznie zajęli się tym, co mieli na talerzach.

Kelner przyniósł zamówienie – sałatkę dla Maszy i duszone mięso dla Andrieja.

Ale on stracił już apetyt. Dopił swoją wódkę i też rzuciwszy na stolik jakieś pieniądze, wyszedł.



Tak w ogóle właścicielowi nie wypada kajać się przed domowym zwierzakiem. Zwierzak może dojść do wniosku, że jego pan też popełnia błędy, a to absolutnie niedopuszczalne, bo psuje image właściciela i szkodzi tresurze. Ale oprócz tej psiny nie miał się komu wyżalić.

– Jestem osłem! – mówił rankiem do wszystko rozumiejącego czworonoga, smażąc jajecznicę. – Zachowałem się jak ostatni głupek. Najpierw wykonałem na bis arię powiatowego męczennika, a gdy doczekałem się spodziewanej reakcji, to na dziewczynę nawrzeszczałem! No powiedz, czy nie jestem kretynem?!

Na pysku najlepszego przyjaciela człowieka malowało się jednocześnie: „Masz rację, panie” i „Wcale, panie, nie jesteś kretynem, wręcz przeciwnie – jesteś najlepszym z ludzi”.

Andriej przypomniał sobie, że lizus nie dostał jeszcze jedzenia, westchnął i odkroił mu kawałek kiełbasy. Oddany swojemu panu od razu przeniósł spojrzenie i całą swoją uwagę na zawartość miski.

– A co najgorsze, Masza zachowała się jak... – Andriej zamyślił się, dojadając jajecznicę.

Jak prawdziwy przyjaciel – pomyślał, ale nie powiedział tego nawet psu. Prawdziwy przyjaciel w odniesieniu do Maszy Karawaj brzmiało odpowiednio, ale jakoś... niestosownie. Andriej westchnął i odsunął filiżankę z resztkami rozpuszczalnej kawy. Poklepał pochłoniętego kiełbasą kundla po szorstkim kudłatym grzbiecie i wyszedł z domu z zamiarem szybkiego dotarcia na Pietrowkę. No i, cholera jasna, do Maszy!

Gdy półtorej godziny później wszedł do pokoju i zobaczył pustą – dosłownie i w przenośni – połowę biurka, przy której zwykle siedziała, znów poczuł dojmujące uczucie winy. Rzucił się do telefonu i już miał dzwonić do

Maszy – w nieskończoność, póki nie odbierze – aż nagle przypomniał sobie, że żadnego numeru telefonu do stażystki Karawaj nie ma. Masza zawsze dzwoniła sama i Andriejowi nawet do głowy by nie przyszło, że może potrzebować jej numeru. Na chwilę znieruchomiał, a potem zaczął przeszukiwać kieszenie letniej kurtki. Gdzieś miał wizytówkę z grubego białego kartonu z wytwornym napisem „Innokientij Aleksiejew. Antykwariusz”.

A antykwariusz Innokientij Aleksiejew na pewno ma wszystkie numery telefonów Maszy. Mało tego, coś podpowiadało mu, że Innokientij Aleksiejew zna je na pamięć.

Poszukiwana wizytówka została wreszcie znaleziona.

– Tak, słucham – rozległo się w słuchawce.

– Dzień dobry. Mówi Andriej Jakowlew. Maszy eee... szef.

– Tak?

Czy Andriejowi tylko się wydawało, że w głosie antykwariusza zabrzmiała ironia?

– Pamiętam. Maszy szef. Słucham pana.

Andriej zezłościł się i powiedział sucho:

– Masza nie przyszła dziś do pracy. W świetle ostatnich wydarzeń... – urwał.

– Rzeczywiście. – W głosie Innokientija też wyczuł niepokój. – To dziwne. Nie ma pan jej telefonów? Już panu podaję.

Andriej zapisał numery, pospiesznie pożegnał się z Innokientijem i już wyciągnął rękę, by wybrać jeden z nich, gdy telefon rozbrzmiał dźwiękiem wskazującym na połączenie wewnętrzne. Aniutin wzywał Andrieja na dywanik. Natychmiast.

W gabinecie pułkownika siedział Katyszew, demonstrując całą swoją postawą, by nie zwracać na niego uwagi, i Andriej przyjął reguły gry. Zaczął raportować, nie patrząc na prokuratora, o sytuacji na placu Puszkina. Brak jakichkolwiek śladów w strasznej scenerii zabójstwa – makabryczne połączenie będące swoistą sygnaturą. Nie ma żadnych wątpliwości, że w Moskwie grasuje seryjny morderca. Aniutin i Katyszew wymienili się spojrzeniami.

– Przypuszczenia? – zwrócił się do niego Aniutin.

I Andriej się zdecydował.

– Stażystka Karawaj zaproponowała wersję nieco egzotyczną, ale całkiem dobrze wpisującą się w obraz wydarzeń.

– Słuchamy pana – włączył się Katyszew, przechylając łysiejącą głowę na bok.

– Niebiańskie Jeruzalem. – Andriej po raz pierwszy sam wymówił magiczne słowa, które w gabinecie pułkownika zabrzmiały dziwnie.

– Co? – zdumiał się pułkownik, a Katyszew bez słowa wbił wzrok w Jakowlewa.

– Niebiańskie Jeruzalem, coś podobnego do legendy z *Pisma Świętego*. Święte miasto w niebiosach – wyjaśnił Andriej i od razu poczuł się jak idiota.

– W Moskwie istnieją punkty symbolicznie związane z tą legendą – szybko mówił dalej. – Właśnie w tych miejscach znajdujemy ciała. Przedtem nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego zabójca przenosi ciała lub ich części. Myśleliśmy, że próbuje zatrzeć ślady, chodzi oczywiście o czas popełnienia zbrodni. Ale czas nie ma z tym nic wspólnego! On chciał nam wskazać konkretne miejsca. Wszystkie te rejony są związane ze średniowieczem i przestępca zabija średniowiecznymi metodami. Korzystamy z pomocy historyka. – Andriej odważnie spojrzał Aniutinowi prosto w oczy. – Przewidział miejsce, gdzie możemy znaleźć kolejne zwłoki.

– Co za bzdury! – zagrzmiał pułkownik, ale Katyszew powstrzymał go gestem.

– Kontynuujcie – poprosił.

I Andriej kontynuował.

Gdy po godzinie wrócił do swojego gabinetu, z ulgą skonstatował, że szefostwo mu uwierzyło. Albo przynajmniej próbowało. I Andriej szefostwa nie winił. Sam nie potrafił w to tak całkiem uwierzyć. Trzeba było szukać dalej i namówić Aniutina, żeby przydzielił mu grupę śledczą – pomoc była konieczna, wsparcie antykwariusza zdecydowanie nie wystarczało. Pamiętał o telefonie do Maszy, ale jego poczucie winy nieco się przytępiło – w gabinecie Aniutina kilka razy podkreślał, że śmiała hipoteza pochodzi od stażystki Karawaj. I choć trochę raniło to jego ambicję, to jednak nieco

rehabilitowało go we własnych oczach.

A spraw się zebrało co niemiara.

MASZA

Masza siedziała na podłodze w swoim pokoju i bez końca odsłuchiwała nagrania przesłuchań. Te zrobione przez nią i dostarczone przez Innokientija. Książki leżały w stosie obok łóżka, na krześle, piętrzyły się na stole. Książki, książki, książki... Nie miała już sił na czytanie, ale mogła jeszcze słuchać. Słuchała więc głosów świadków i bliskich ofiar, słuchała, jakby w ich intonacji, przerwach, ledwie zmieniającej się modulacji był ukryty jakiś kod. Szyfr, który umożliwi jej dostęp do tych cholernych liczb. Napisanych krwią, wypalonych na skórze, wygolonych na karku, zaszyfrowanych na różne sposoby – od wyłamanych promieni po bransoletki na przegubie martwej przyjaciółki. Raz, dwa, trzy, wychodź ty, jak nie ty, no to ty... – jakby szeptał stojący za nią zabójca. Potrząsnęła ciężką głową jak koń odganiający natrętnego owada i znów przewinęła nagranie na sam początek. „A Sławik, według mnie, nikogo przede mną nie miał – tylko zmyślał! Posłuchać go, to sama Sophie Marceau podrywała go na Moskiewskim Festiwalu Filmowym – zesłała do metra po gali i podrywała...”

Masza uniosła spojrzenie na wiszące na ścianie zdjęcie – ojciec patrzył na nią z niezmienną spokojną czułością.

– Minął kolejny rok, tato – wyszeptała Masza. – A ja do tej pory nic nie zrobiłam. Jestem do niczego, do niczego! A tak się starałam!



Od kiedy skończyła dwanaście lat... Kiedy rzuciła lalki i zajęła się maniakami, zwyrodnialcami, seryjnymi morderstwami. Mała dziewczynka z dziewięćdziesięciosześciokartkowym zeszytem w linie. A w nim – nie śpiewnik, nie zdjęcia gwiazd, nie zasuszone kwiaty ani ankiety dla rówieśniczek z sakramentalnym pytaniem: czy chciałabyś zostać moją przyjaciółką na całe życie? Nie, nie. Niby podobnie, ale jednak inaczej.

Podobizny gwiazd – proszę bardzo. Rycina z piętnastego wieku – Gilles

de Rais. Pierwszy odnotowany w historii maniak zabójca, ochroniarz Joanny d'Arc i pierwowzór Sinobrodego, który zamęczył w swoim mrocznym średniowiecznym zamczysku od osiemdziesięciu do sześćuset ludzi – w zdecydowanej większości chłopców. A pod ryciną kopia półprzezroczystej delikatnej akwareli, a na niej Sałtyczycha w koronkowym czepku, pobożna wdowa, miłośniczka szczypców do układania włosów. Dalej Ted Bundy, amerykański maniak seksualny, który gwałcił, torturował i zabijał kobiety w latach 1974–1978. Dzięki niemu termin *serial killer* stał się prawie modny. I milutki David Berkovitz, grasujący w latach 1975–1977.

Twarze Czikały, Sliwki, Gołowkina, przerażające swoją normalnością. Wycinki z gazet, wydruki z internetu, typy psychoz w starannie sporządzonej tabeli, analizy dotyczące geograficznego profilowania sprawcy...

Wspomnienia pracownika FBI specjalizującego się w rozpracowywaniu właśnie takich zabójstw, z którego książki Masza w punktach wypisała, mając czternaście lat: 1. Postawić się na miejscu myśliwego 2. Zostać psychologiem, żeby odgadnąć psychologię ofiary 3. Sporządzić idealny plan przetransportowania ofiary na bezpieczny teren – myśliwy nie może sobie pozwolić na błąd. Prawie jak zwrotki piosenki! I cytaty, cytaty, cytaty... Z przesłuchań Czikały, z Roberta Pessleya – pierwowzoru Jacka Crawforda w *Milczeniu owiec*, Richarda von Krafft-Ebinga, autora głośnej, wydanej w 1886 roku książki *Psychopathia Sexualis*, a nawet z takich pogodnych i niewinnych na ogólnym tle książek o Sherlocku Holmesie Arthura Conan Doyle'a: Wyjątkowość zawsze jest kluczem. Im bardziej pospolita i banalna jest zbrodnia, tym trudniej ją wykryć. Oto gdzie leży rozwiązanie...

Dwie wersje. Istniały dwie wersje śmierci taty. Pierwsza i najbardziej prawdopodobna – zabójstwo na zlecenie. Fiodor Karawaj, nazywany przez przeciwników Plewaką na pamiątkę imiennika, znanego adwokata Fiodora Nikiforowicza Plewaki[60], był elokwentny, błyskotliwy i miał poczucie humoru, co pozwalało mu wygrywać nawet najtrudniejsze sprawy. Na adwokackim firmamencie świeci zwykle kilka gwiazd, ale Karawaj bez wątpienia był gwiazdą najjaśniejszą. Z łatwością cytował Szekspira, broniąc zazdrosnych mężów; przywoływał antyczne rzeźby, żeby udowodnić możliwość tego czy innego kąta uderzenia nożem...

„Oświecał” przysięgłych, rozśmieszał, zdumiewał. Ale przede wszystkim uczył ignorować poglądy urzędników pośrednio lub bezpośrednio

popierających oskarżenie. Uczył etyki Temidy. I udawało mu się. Po całkiem banalnych przestępstwach, gdy na procesy Karawaja ściągaly tłumy studentów jak na wykłady, przekwalifikował się – zaczął bronić dziennikarzy oskarżanych o oszczerstwa; rodzin, w których dzieci były ofiarami skinheadów; pracowników ministerstw, którym inkryminowano szpiegostwo i rozgłaszanie tajemnic państwowych.

Tak, Plewaki nienawidzono i wielu mogło zlecić jego zabójstwo. Takie zabójstwo – niezdarnie udające napad – było w tamtych czasach ulubionym wyjściem możliwych tego świata z niewygodnej sytuacji. Masza podsłuchiwała pod drzwiami, gdy Nik Nik próbował wyjaśnić jej matce, że dotarcie do zleceniodawcy jest praktycznie niemożliwe – nawet jeśli znajdą człowieka, który zadał adwokatowi Karawajowi trzy kłute rany (dwie z nich okazały się śmiertelne), i tak nie trafią do zleceniodawcy, ponieważ kryminalistów często wybiera się w ciemno. A przestępców, którzy nie domyślają się swojej roli najemnych zabójców, nie ma co się obawiać, nawet jeśli wpadną w ręce wymiaru sprawiedliwości. Nic nie wiedząc, nikogo nie wydadzą, no i policji jest to na rękę. W policji też nie są głupi – po co im problemy związane z interesami wielkich szczy?

Wersja numer jeden prowadziła w ślepią uliczkę – zabójcy nie da się znaleźć. A jeśli nawet to się uda, nie da się znaleźć tego, kto za nim stoi. Co czyni poszukiwania prawie bezsensownymi. „Jest i druga wersja?” – bezbarwnym głosem zapytała mama, a mała Masza aż do bólu przycisnęła ucho do drzwi. „A tam – Nik Nik chyba machnął w tym momencie ręką – bzdurna. Nie warto jej nawet brać pod uwagę. W ciągu kilku lat w Moskwie dokonano pięciu zabójstw z podobnymi ranami. Na Pietrowce rozpracowywana jest wersja maniaka”. Za drzwiami, jak pamiętała Masza, zapadła cisza, a potem rozległo się szurnięcie odsuwanej w pośpiechu taboretu, pobrząkiwanie szklanki i na korytarz przedostał się słodkawy, taki znajomy w tamtym okresie, zapach corvalolu.

Kilka miesięcy później Masza zapytała Nik Nika – wtedy jeszcze często do nich przychodził, bezskutecznie próbował bawić mamę rozmową, w końcu siadał pograć z Maszą w szachy:

– Jak złapać maniaka?

Nik Nik spojrział na Maszę spode łba.

– Trudno. Ponieważ problem seryjnych morderców to sprawa nie tylko kryminalna, ale i antropologiczna. – I zobaczywszy zdziwioną twarz Maszy, uśmiechnął się. – Co oznacza, że do tej pory nie potrafimy zrozumieć, jak w ogóle człowiek może czerpać przyjemność z zabijania. Przecież w większości przypadków seryjni zabójcy są poczytalni, czyli nie są wariatami. Mało tego, maniacy nie wyróżniają się spośród normalnych ludzi – chodzą do pracy, czule kochają żony, wychowują dzieci... W takim razie dlaczego? Dlaczego pewnego wieczoru albo pewnego ranka taki oto przykładowy ojciec rodziny odkłada na bok krzyżówkę i idzie zabijać? A jak nie wiadomo dlaczego, to jak można go znaleźć? Po jakich oznakach? I najważniejsze dla śledczych pytanie: jak zgadnąć, kto będzie jego kolejną ofiarą, jeśli trzeba brać pod uwagę miliony takich samych normalnych ludzi?

Masza już nie pamięta, kto wtedy wygrał partię szachów. Ale pamięta, że tamten dzień można oznaczyć jako „numer jeden” z nieskończonego szeregu dni ciągnących się do dzisiaj. Tamtego dnia pojawił się cel. Z dwóch wersji zabójstwa ojca Masza wybrała drugą, mniej prawdopodobną. Zabójstwo na zlecenie było w latach dziewięćdziesiątych czymś prawie banalnym. A rzadkość zabójstwa dokonanego przez maniaka przydawała mu wyjątkowości, na podstawie której, zgodnie z teorią Conan Doyle’a, dawało się zabójstwo wykryć. Czyli pozostawała nadzieja na znalezienie sprawcy. Trzeba było tylko go zrozumieć. Zrozumieć po to, żeby w końcu uwolnić się od straszliwego obrazu utrwalonego w pamięci na amen (co za odpowiednie do sytuacji słowo!), przez który jeszcze długo budziła się w nocy złana zimnym potem, mówiąc sobie, że to tylko sen. By po chwili znów pogrążyć się w koszmarze, przypomniawszy sobie, że jest prawdziwy.

Oderwała wzrok od zdjęcia ojca, wstała, do wielkiej torby na zakupy zebrała książki z biblioteki, wzięła kluczyki do samochodu ojczyrna i już miała wychodzić, gdy nagle rzuciła się z powrotem do pokoju, do komputera, żeby sprawdzić pewien adres. Był, był człowiek, który mógłby jej pomóc! Dlaczego od razu o nim nie pomyślała?!



Nadciągała burza, czuło się to zwłaszcza w szpitalnym parku. Ptaki zamilkły, stare drzewa wyprostowały się wzdłuż alei wjazdowej, jakby szykowały się do walki, a jasnożółty budynek kliniki na jej końcu trochę

pojaśniał, kontrastując z ciemną chmurą idącą od południa. Masza wysiadła z samochodu i nie zdążywszy odczuć duchoty, wbiegła do chłodnego holu, gdzie z cichym szumem pracowała klimatyzacja.

Przywitała się z dziewczyną w rejestracji.

– Chciałabym się zobaczyć z profesorem Gluzmanem.

– Jest pani umówiona? – srogo zapytała dziewczyna.

– Nie.

Dziewczyna wybrała numer wewnętrzny, porozmawiała z kimś chwilę i odłożyła słuchawkę.

– Niestety, to nie jest możliwe. Profesor Gluzman jest w nie najlepszej formie i...

– Muszę się z nim zobaczyć – powiedziała twardo Masza, wyciągnęła swoją przepustkę stażystki ze stosownymi pieczętkami GUWD[61] i pokazała ją dziewczynie. Ta spochmurniała, Masza zaś cała się spięła – po raz pierwszy posłużyła się tą legitymacją.

– Zaraz ktoś po panią przyjdzie – rzuciła sucho recepcjonistka.

Do pokoju Gluzmana Maszę zaprowadziła milcząca pielęgniarka. I dzięki Bogu, bo sama nie potrafiłaby znaleźć właściwych drzwi w ciągnącym się bez końca korytarzu, białym i bezosobowym jak w jakimś fantastycznym thrillerze. Pielęgniarka zapukała i usłyszawszy: „Proszę wejść!”, odsunęła się, przepuszczając Maszę. W pokoju panował półmrok. Gluzman z kocem na kolanach i w bluzie od piżamy siedział twarzą do okna, nerwowo gładząc koc, wyraźnie zafascynowany tym, co się działo na dworze. Deszczu jeszcze nie było, ale wiatr wirował na ścieżce biegnącej wokół szpitala, unosząc letni kurz i puch z topoli.

– Dzień dobry – przywitała się, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Gluzman odwrócił do niej twarz i Masza wystraszyła się na widok pustego spojrzenia profesora.

– Witaj! – powiedział i uśmiechnął się, odsłaniając białe jak śnieg sztuczne zęby.

Uśmiech był nieco upiorny i Masza odwzajemniła go z wysiłkiem. Nie była pewna, czy Gluzman ją poznał.

– Iljo Jakowlewiczu – zaczęła ostrożnie. – Jestem Masza, przyjaciółka Innokientija. – Gluzman skinął głową. Milczenie przeciągało się, więc zaryzykowała: – Ostatnio rozmawialiśmy o niebiańskim Jeruzalem, pamięta pan? Miał pan rację, ten maniak rzeczywiście zabija tylko w miejscach związanych z Niebiańskim Grodem. Szuka grzeszników i znajduje. Ale chodzi o to, że nie mogę zrozumieć, według jakiej zasady. I póki nie odkryjemy, jaki system numeracji stosuje, nie złapiemy go... – Zamilkła, czekając na reakcję profesora.

Gluzman nagle uśmiechnął się i przywołał ją palcem do siebie. Masza ostrożnie podeszła, pochyliła się i usłyszała cichy chichot.

– Jak myślisz – wyszeptał jej do ucha – jakie fantazje seksualne związane z tobą ma Innokientij?

Masza odskoczyła i powiedziała, zacinając się:

– Iljo Jakowlewiczu, jesteśmy z Innokientijem przyjaciółmi z dzieciństwa. Jakie fantazje?

Gluzman znów zachichotał, odchyliwszy się na fotelu.

– Ach, no tak, przyjaźń z dzieciństwa! Ów niewinny kwiatek często kryje potworności! – Spojrzenie Gluzmana nie było już puste: szaleństwo wzbierało w nim, potężniejąc.

Masza cofała się w stronę drzwi, ale on toczył się za nią na wózku, nie spuszczać z niej oczu i chichocząc.

– A czy panienka fantazjuje? – Jego głos brzmiał przymilnie, prawie czule. – A może pokolenie panienki pozbawione jest wyobraźni, jak również elementarnej logiki i intelektu? Jesteś po prostu idiotką!!! – wrzasnął.

Ale Masza już otworzyła na oścież drzwi, przez które wbiegli pielęgniarzka i sanitariusze, jakby czekali w pogotowiu na korytarzu.

Widocznie mają tu wszędzie kamery – odnotowała Masza, obserwując obojętnie, niczym w złym śnie, jak personel medyczny przytrzymuje Gluzmana, pielęgniarzka próbuje trafić igłą w żyłę, a chory zaczyna kwilić, nie odrywając od niej straszego wzroku.

– Mytnicy – krzyczy i Masza, jakby oprzytomniawszy, wybiega z pokoju i mknie korytarzem. – Myt-ni-cy! – słyszy za sobą. – Nie łajdaczyć się, tylko cierpieć[62]!

Otworzyła trzęsącymi się rękami drzwi samochodu, zatrzasnęła je za sobą i siedziała przez parę minut, próbując uspokoić oddech i patrząc, jak na zewnątrz, przy akompaniamencie grzmotów, lunął letni deszcz, zmywając kurz, zginając gałęzie z błyszczącym pod strugami wody listowiem, bębniąc po przedniej szybie samochodu. Przymknęła oczy – już drugi człowiek w ciągu ostatniej doby nazwał ją głupią. To swoisty rekord – pomyślała. Prawdopodobnie mają rację. Tak samo jak miał rację jej szef, mówiąc, że jest zepsuta. Wszystko się zgadza. Ale ponieważ jest zepsuta, potrafi zrozumieć innego zepsutego – przestępcę. To, czego Andriej nie może pojąć jako normalny doświadczony śledczy, potrafi ona, Masza. Wejść na ciemną ścieżkę cudzego szaleństwa i znaleźć go tam, nawet jeśli zapłaci za to pobytem w sali obok Gluzmana. Musi to zrobić. Musi. W przeciwnym razie tata zginął na próżno.

Już spokojnym gestem zebrała włosy w koński ogon i ruszyła przez ścianę letniej ulewy. A gdyby się obejrzała, zobaczyłaby w oknie sylwetkę owiniętego niczym niemowlak Gluzmana odprowadzającego ją tęsknym spojrzeniem.



Gdy nadeszła kolej Maszy, podała bibliotekarce zamówienia z kilkoma odszukanymi w katalogu tytułami. Oczekwała, aż kobieta uważnie je przeczyta, i dodała:

– Interesują mnie książki o średniowiecznej literaturze rosyjskiej, a najlepiej oryginały średniowiecznych tekstów.

Kobieta spojrzała na nią spode łba.

– Nie mamy wszystkiego w czytelnicy podręcznej. Na książki trzeba poczekać.

– Dobrze.

Bibliotekarka skinęła głową.

– Interesują panią teksty starowierców?

– Być może – powiedziała z wahaniem Masza. – Choć pewnie nie są już aktualne.

– Aktualność średniowiecznych tekstów to w ogóle pojęcie dyskusyjne –

zauważyła bibliotekarka nie bez racji. – Ale w przedrewolucyjnej Rosji starowiercy stanowili trzydzieści procent ludności kraju. To dużo. Jest ich zresztą trochę do tej pory, mają własne cerkwie, parafie...

Masza uniosła na nią podkrążone oczy.

– Naprawdę? A ja uważałam ich za relikw przesłości.

Bibliotekarka coś mruknęła, a Masza dodała:

– To poproszę również ich teksty.

I odeszła nastawiona na długie czekanie. Siadła obok pań z trwałą na głowie, z wyglądu poważnych naukowców. Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła przy stole. Obudziła się, gdy ktoś trącił ją w ramię. Bibliotekarka położyła przed nią stos książek: *Knyha pro wiru jedynu*[63] Zachariasza Kopysteńskiego[64], *Czasosłow*[65], coś jeszcze... Masza machinalnie potwierdziła podpisem odbiór każdej książki i bibliotekarka odeszła, patrząc na nią z politowaniem, widocznie wzięła ją za maturzystkę. Masza mocno przetręła oczy i sięgnęła po pierwszą książkę z góry. Przeczytała tytuł.

Miała wrażenie, że śni, a ogromna czytelnia kołysze się pod jej stopami.

ANDRIEJ

Andriej nie zauważył, jak po burzy nadciągnął zmrok. Pokój stopniowo pustoszał, telefony umilkły i na Pietrowce nastał czas upragniony przez pracoholików – w ciszy lepiej się myślało, lepiej się analizowało wyniki ekspertyz i protokołów przesłuchań, które napłynęły w ciągu dnia. Andriej głośno wypuścił powietrze z płuc, otworzył lufcik, skąd natychmiast wdarło się świeże po deszczu powietrze, nastawił czajnik. Woda zaczynała już się gotować, gdy krzątanie Andrieja (wrzucał właśnie do niedomytej filiżanki herbatę i kostkę cukru) przerwał telefon.

– Jakowlew, słucham – odezwał się, zalewając herbatę wrzątkiem.

– Dzień dobry – rozległ się znajomy, grzeczny aż do przesady głos Innokientija. – Przepraszam, że niepokoję, ale martwię się o Maszę.

Andriej niespiesznie odstawił czajnik prosto na papiery.

– Tak?

– Nie dodzwonił się pan do niej?

Andriej poczuł, że się czerwieni.

– Nie. – Odkasznął.

– Nie? – zmartwił się Innokientij. – Ja też dzwoniłem przez cały dzień, ale nie odbiera. To nierozsądne z jej strony, że ciągle gdzieś rzuca komórkę albo zapomina ją naładować. Ale jak pan absolutnie słusznie powiedział dziś rano: biorąc pod uwagę okoliczności... Poza tym Masza ma w tym tygodniu rocznicę i my... – Odchrząknął. – Mam na myśli rodzinę i przyjaciół. Staramy się tego dnia nie zostawiać jej na dłużej samej.

– Jaka rocznica? – Andriej zdrętwiał, przeczuwając coś niedobrego.

Innokientij odezwał się po chwili milczenia:

– Nie wie pan? Masza pewnie nie chciałaby, żebym o tym wspominał, ale myślę, że pan powinien wiedzieć. Jest córką adwokata Karawaja. Został

zabity, gdy miała dwanaście lat. To ona znalazła ciało.

Andriej usiadł.

– K... mać – zaklął.

– Co pan powiedział? – Goguś po drugiej stronie nie zrozumiał.

– Nic. Przepraszam. Muszę już iść. – Andriej rozłączył się, o mało nie zrzucając filiżanki, i w biegu ściągnął kurtkę z wieszaka.

Póki mknął schodami, póki wyjeżdżał z parkingu i zanim utknął w beznadziejnym moskiewskim korku, poczucie winy było jeszcze do zniesienia. Ale gdy stanął za masywnym tyłem jakiegoś dżipa, przyłapał się na tym, że zaciska szczęki do bólu, by nie wyć z wściekłości i potwornego obrzydzenia do siebie. Masochista, który siedzi w każdym z nas, zmuszał go do przypominania sobie w nieskończoność szczegółów tamtych obraźliwych pijackich okrzyków i jej odejścia bez słowa. Uderzył pięścią o kierownicę, rozległ się głośny dźwięk klaksonu. Dżip z przodu wciąż stał nieruchomo niczym pomnik amerykańskiego przemysłu samochodowego. Andriej gwałtownie obrócił kierownicą i zjechał na pobocze. Gdzieś niedaleko musi być stacja metra.

Pojedzie do Maszy metrem – byle tylko przemieszczać się, podążać w kierunku – ewentualnego – wybaczenia.

MASZA

Mytarstwa świętej Teodory – głosił tytuł na okładce. Był to reprint. W słowie wstępnym podkreślano, że błogosławiona Teodora, mniszka żyjąca w dziesiątym wieku, za pośrednictwem mnicha Grigorija opowiedziała o własnej śmierci, mękach piekielnych i rajskiej rozkoszy. Co najważniejsze, w objawieniu zanotowanym przez Grigorija opisała dwadzieścia mytarstw powietrznych – pośmiertnych cierpień – jakie przeszła. W literaturze grekosłowiańskiej, pisano w przedmowie, *Mytarstwa* są najpełniejszymi i najbardziej malowniczymi opisami przejścia z życia doczesnego do wiecznego. W ten sposób – czytała Masza, drżąc z przeczucia, że jest blisko, a zabójcę ma na wyciągnięcie ręki – po śmierci dusza ludzka, kierowana przez aniołów, wchodzi po „drabinie” mąk. Na każdym stopniu czyhają na nią chytre biesy nazywające się mytnikami. („Mytnicy! – przypomniał jej się krzyk Gluzmana. – Nie łajdaczyć się, tylko cierpieć!”). Mytnicy sprawdzają duszę, czy popełniała grzechy. Dusze prawych są przepuszczane, dusze grzeszników biesy strącają swymi płonącymi włóczniami w mrok całkowity. Poeta Batuszkow, pisano w przedmowie, nazwał *Mytarstwa* epopeją śmierci, mającą nastraszyć średniowiecznego czytelnika potwornymi obrazami zaświatów. Ale zostawmy Batuszkowa! Masza niecierpliwie przekartkowała wstęp i zachłannie rzuciła się na tekst główny: „...I oto przyszła śmierć, rycząc jak lew, a jej widok był straszny...”. Masza szybko przerzucała strony, przebiegając wersy wzrokiem, i poczuła, że cała drży. Od tego starodawnego tekstu, z postrzępionej książki z literami „jat”^[66] wiało chłodem.

„...Gdy wznosiliśmy się z ziemi do wyżyn niebieskich, spotkaliśmy najpierw duchy niebieskie pierwszego mytarstwa, gdzie dręczy się za grzech pustosłowia, tzn. nierozważnego, złego gadania”. „Papla z niego! – przypomniało jej się. – Nawet w łóżku nie potrafił się zamknąć!” Wyciągnęła zeszyt i zaczęła kreślić tabelę:

Męczarnia 1. Pustosłowie. W rubryce „kto”: Dobrosław Owieczkin; gdzie:

nabrzeże Biersieniewskie; w stosunku do niebiańskiego Jeruzalem: dawny Carski Ogród. Praobraz ogrodu Getsemani.

Wróciła do książki.

„Zbliżyliśmy się do drugiego mytarstwa – kłamstwa, gdzie dręczy się za każde kłamliwe słowo, tzn. wiarołomstwo, nadaremne wzywianie imienia Bożego, fałszywe świadectwo”. „Do końca upierała się przy swoim – Masza ujrzała przed sobą matkę bliźniaków na spacerze – nawet złożyła zeznania w sądzie...” Przełknęła ślinę.

„Dotarliśmy do trzeciego kręgu mytarstw – osądzania i oszczerstw”. Masza przypomniała sobie głos pływaka Sniegurowa z nagrania: „Paczuszka nie była moja. Znam pewnego człowieka, któremu zależało na tym, by nakłamać o mnie w komitecie, puścić przeciek do gazety. On bez problemu mógł podrzucić paczuszkę. Znam go, i ty go znasz, bo przyszedłeś o niego wypytywać...”.

„Dotarliśmy do czwartego kręgu mytarstw – obżarstwa, i natychmiast wybiegły nam na spotkanie złe duchy. Ich twarze były podobne do twarzy pożądliwych żarłoków i paskudnych pijaków...” Kolan, zapisała Masza. Kutafja. Świątynia Grobu Pańskiego.

„Tak rozmawiając, dotarliśmy do piątego mytarstwa – lenistwa, gdzie dręczy się grzeszników za wszystkie dni i godziny spędzone w lenistwie. Tu zatrzymywani są darmożjady żyjący na koszt innych i najemnicy biorący zapłatę, ale niewypełniający swoich zobowiązań”. Masza zamyśliła się na chwilę – kto to może być? No jasne! – ulica Leniwka w miejscu Jafy, zachodniej bramy Jerozolimy. Gebelai! Architekt, który zbudował stację metra, gdzie na ludzi spadły tony betonu. Najemnik biorący zapłatę, ale niewywiązujący się ze swoich zobowiązań.

Tabela zapełniała się, w jej przejrzystości kryło się swoiste, makabryczne piękno. Oto ósmy krąg mytarstw – zdzierstwa i lichwiarstwa, gdzie „... dręczą wszystkich bogacących się kosztem innych, łapówkarzy i przywłaszczycieli”. Wszechmocna gubernatorowa znaleziona w kawałkach w Kołomienskim... I dalej: złodziejstwo, zabójstwo, buta i nieposzanowanie rodziców, zawiść. Ręka Maszy drżała, gdy kreśliła imię Katii. Rzeka Moskwa, Łubianka, Warwarka... Jordan, Góra Oliwna, Getsemani... Już nie było jej zimno – wręcz przeciwnie. Na policzkach rozkwitły czerwone plamy,

długopis fruwał nad kartką. Czuła się tak, jakby biegła śladem zabójcy.

Ciemna postać już majaczyła gdzieś z przodu, wskazując drogę do tylko sobie znanego miejsca przeznaczenia.

ANDRIEJ

Andriej siedział pod bramą, patrząc raz w ciemne niebo, raz na wjazd na podwórko, gdzie powinna pojawić się Masza. Jej matka, której godzinę temu przerwał kolację, zlustrowawszy go uważnie od stóp do głów, powiedziała, że córka, sądząc po mniejszej liczbie książek w jej pokoju, poszła do biblioteki. Nie, nie wie, do której. Tak, zostawiła komórkę w domu. Andriej zadzwonił do Innokientija, żeby go uspokoić. Że zapomniała komórki z domu, prawdopodobnie ślęczy nad książkami. Ale tak naprawdę chciał się upewnić, czy Masza nie siedzi u niego. Innokientij podziękował za telefon. Maszy u niego nie było. Wiadomość, nawet jeśli niepewna, była pocieszająca.

Wreszcie podjechał samochód i wysiadła z niego stażystka Karawaj. Andriej poderwał się z ławeczki, stanął przed nią nagle i nie wiedział, co powiedzieć. Wyglądało jednak na to, że nie zdziwiła się na jego widok. Skinęła tylko lekko głową. Andriej zwrócił uwagę na jej podkrążone oczy i litość przeważała w nim nad wstydem, który dręczył go przez ostatnie dwie godziny. Miał ochotę objąć ją i obiecać, że wszystko będzie dobrze, że złapią tego podłego typa. To pragnienie było tak mocne, że odruchowo wsunął ręce głębiej do kieszeni dzinsów, żeby przypadkiem, nieumyślnie nie...

– Dobrze, że jesteś – chłodno rzuciła Masza. – Mam nowe informacje. Ja chyba...

– Czekaj! Poczekaj z tym – przerwał jej zdenerwowany Andriej i nagle poczuł, że ma mokre kark i szyję. – Przyjechałem, żeby cię przeprosić. Zachowałem się wczoraj po chamsku, bez żadnego powodu. To znaczy... – Przesunął ręką po karku i posepnie się uśmiechnął. – Powód jest. Wkurzasz mnie.

Masza spuściła wzrok, jej twarz skamieniała, a on ciągnął pospiesznie:

– I bardzo mi się podobasz. Ale chyba bardziej wkurzasz. Dlatego właśnie, że się podobasz. Nie pasuję do ciebie, nie myśl, że jestem za głupi,

żeby to zrozumieć. Należymy, jakby to powiedział Innokentij, do różnych światów...

– Przestań – poprosiła cicho Masza.

– Nie, daj mi skończyć! Ciągnie mnie do ciebie i chcę z tobą... wszystkiego! Tymczasem nic mnie z tobą nie łączy i łączyć nie będzie! Dlatego się wściekam!

A Masza nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, radośnie się uśmiechnęła i nim zdążył się obrazić, objęła go za szyję i zaczęła całować w czoło, oczy, policzki, powtarzając:

– Boże, co za głupek! Widział kto kiedyś takiego głupka?!

Andriej stał oszołomiony. Wreszcie przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. A ona wcale się nie sprzeciwiała, tylko przyłgnęła do niego całym ciałem.

Ostatnie, co przemknęło mu przez głowę, zanim całkiem przestał myśleć, to: jak dobrze, że są tego samego wzrostu!

MASZA

Siedzieli na parapecie na klatce schodowej z jej zeszytem rozłożonym na kolanach i Masza była niezmiernie szczęśliwa. Wczoraj myślała, że nie będzie mogła wrócić na Pietrowkę po tym, jak powiedział jej w kawiarni, że nią pogardza. Ból, jaki wtedy poczuła, uświadomił jej, że jest po uszy zakochana w kapitanie o banalnie niebieskich oczach.

To nic – powiedziała do siebie – to nieważne. Ważniejszy od jej głupich uczuć jest maniak spacerujący ulicami Moskwy, a widzący przed sobą niebiańskie Jeruzalem. I już prawie przekonała o tym samą siebie... Ale na widok niewysokiej postaci pod domem ścisnęło się jej biedne serce, a jego łomotanie czuła wszędzie – w skroniach, brzuchu, gardle. Słabo jej się zrobiło, gdy zaczął rozwodzić się nad tym, jak ona go wkurza. A potem, gdy wreszcie nasycili się pocałunkami – najpierw stojąc, potem siedząc na ławeczce – gdy zwilgotniały im oczy i zaczęły piec wargi, Andriej przycisnął jej głowę do swego ramienia i siedzieli tak bez słowa obok siebie... Póki nie spłoszył ich sąsiad z dołu. Jego ogromny nowofundland uwielbiał Maszę i nie wiedział, że trzeba zachować się delikatnie. Zmieszany właściciel ciągnął psa za sobą, odwracając wzrok, aż Masza parsknęła i podeszła, by pogłaskać psa po ogromnym łbie. Romantyczny nastrój prysł. O zabójcy nie chciało im się rozmawiać, ale oboje wiedzieli, że muszą. Postanowili więc urządzić nieplanowaną naradę roboczą na parapecie na drugim piętrze.

– Lubisz psy? – zapytał Andriej, gdy szli na górę.

– Tak, bardzo. A co?

– Mam jednego takiego dla ciebie. Wabi się Raniewska.

– Sunia?

– Pies. Do tego bezczelny. Musisz trzymać go krótko... Gdy przyjdiesz do mnie w gości. – I uśmiechnął się takim nieśmiałym i szczęśliwym uśmiechem, że Maszy zachciało się znów go pocałować, ale się powstrzymała.

– Wszystko już wiem, jeśli chodzi o liczby – powiedziała, otwierając zeszyt na stronie z tabelą. – Mieliśmy rację. Jest w tym logika, która sięga średniowiecza, jak cała historia z niebiańskim Jeruzalem. Istnieje taki prawosławny tekst religijny *Mytarstwa świętej Teodory*. Pamiętasz, mówiliśmy o tym, że dogmat o czyścicu został przyjęty wyłącznie przez katolików na soborze florenckim?

Andriej coś mruknął i Masza trąciła go w bok.

– Przestań! To jest ważne, żeby zrozumieć, co dzieje się w głowie przestępcy. Wygląda na to, że męki to jedyny sposób prawosławnych jeśli nie na oczyszczenie się z grzechów, to na ich odkupienie.

– Jak to?

– Za pomocą dobrych uczynków. Męczona dusza musi odpokutować za wszystkie czyny, słowa i zamysły. Póki nie zostanie skierowana albo do raju, albo do piekła. To, żebyś łatwiej zrozumiał, jak przeciąganie liny. Tylko konsekwencje są o wiele poważniejsze. Popatrz. – Podsunęła Andriejowi tabelę. – Wszystko się zgadza! Wszystko wreszcie się zgadza! „Męki” to dla zabójcy instrukcja działania, a Moskwa – wciąż jeszcze święte miasto, Nowa Jerozolima, gdzie grzeszne dusze nie mają prawa istnieć! Nie znamy wszystkich ofiar, ale mam całkowitą pewność, że zabójca doszedł już do piętnastego kręgu mąk! Czytaj.

I Andriej przeczytał: „Przeszli obok piętnastego mytarstwa – czarów, uroku, trucizny, przywoływania biesów...”. Przecież to o Adelaidzie!

– Świetnie – powiedział posępnie. – Ile nam jeszcze zostało?

– Pięć – padła odpowiedź.

ANDRIEJ

Nie trzeba było długo czekać. Artiom Minajew – rozerwany na pół w miejscu zburzonej cerkwi Froła i Ławra na Miasnickiej – mieszkał w pobliżu, w Bobrowym zaułku. Póki zdejmowano zwłoki z drzewa, póki pracowali technicy, Andriej zastanawiał się nad realizacją planu w praktyce – trzeba było wybrać dwa drzewa. Nie za stare – żeby się nie złamały, ale i nie za młode – zbyt wiotkie, by wyprostować się pod ciężarem ciała. Minajew był drobny – maksimum sześćdziesiąt kilogramów, i Andriej wzdrygnął się na myśl, że waga i wzrost ofiary mogły okazać się decydujące przy wyborze jego kandydatury na „grzesznika”.

A to, że grzeszył, i to bardzo, nie ulegało żadnej wątpliwości. Dotarli do ostatnich mytarstw, gdzie biesy czepiały się nie o jakieś tam gadanie, tylko o poważniejsze sprawy. Ale jakkolwiek ciężkie byłyby grzechy Minajewa, Andriej nie wyobrażał sobie winy, za którą żywego człowieka można rozerwać na pół. Zresztą rozumiał już, że przegrywa z przestępcą, jeśli chodzi o wyobraźnię. Wchodząc ze świadkami na górę do mieszkania denata, zdążył zauważyć wystraszone, ale ciekawskie mordki dwóch chłopców piętro niżej. Ze środka rozległ się histeryczny, nietrzeźwy głos kobiety – i mordki błyskawicznie zniknęły za solidnymi, obitymi skórą drzwiami. Andriej zanotował w pamięci, by porozmawiać z nimi później – chłopcy w tym wieku są bardzo spostrzegawczy.

Minajew mieszkał w typowej kawalerskiej norze. No, może trochę bardziej zadbanej niż inne – przyznał Andriej, pomyślawszy o bałaganie na swojej daczy, i obiecał sobie, że na pewno posprząta. I ze względów higienicznych, i na wypadek możliwej wizyty Maszy (w którą nie bardzo wierzył, ale pomarzyć zawsze można, nawet w takich tragicznych okolicznościach). W lodówce Minajewa było wszystko, co jest potrzebne do typowej obiadowej kolacji dla jednej osoby na kilka dni – w każdym razie nie oczekiwał żadnych gości. W pokoju od wieczora stał talerz z resztkami wędzonej ryby, której zapachem przesiąkło całe pomieszczenie. Andriej

zgodził się z chłopakami z grupy technicznej, że zdarzało się już wdychać gorsze zapachy, i niespiesznie obejrzał pokój.

Nic niezwykłego nie znalazł oprócz solidnego komputera z zewnętrznym twardym dyskiem. Na wielkim płaskim ekranie powoli pływały rybki. Andriej spojrzawszy pytająco na technika i ten skinął głową, że może. Andriej ruszył myszką. Ekran ożył. Było otwarte okienko z wideo. Andriej powiększył je na cały ekran i kliknął „play”.

Rozległa się rytmiczna muzyka, a to, co działo się na monitorze, też odbywało się bardzo rytmicznie. Wokół Andrieja zebrali się koledzy i z zaciekawieniem patrzyli w ekran. Od pierwszych ujęć stało się jasne, że to porno w wersji dla gejów, ale mężczyzna stojący tyłem i miarowo ruszający pośladkami wyglądał na zbyt dużego w porównaniu do swego partnera. Kamera przesunęła się w bok i Andriej zawołał:

– Przecież to jeszcze chłopiec!

Szybko wyłączył film. Twarz chłopca wydała mu się jakaś znajoma i Andriej stłumił mdłości. Mały sąsiad z dołu – pomyślał. Zamknął okienko z wideo, na monitorze były jeszcze dwa o podobnej treści. Postanowił zgrać wszystko i przejrzeć później.

Zrzucając filmy na dysk, zauważył kątem oka, że każdy z nich trwa osiemnaście minut. Co wczoraj mówiła Masza? Coś o tym, że zatrzymali się na piętnastym mytarstwie. Nie chciał do niej dzwonić z takiego powodu. Ale wiedział, że i tak będzie musiał, i lepiej zrobić to teraz. Potrzebował jej mądrej rady i uporządkowanej tabeli w zeszycie.

– Cześć! – czule wyszeptwała do słuchawki zaspanym głosem.

Nie wytrzymał i uśmiechnął się – zalała go fala ciepła. Wygląda na to, że nie śnił. Wygląda na to, że to, co stało się wczoraj, działo się naprawdę.

– Cześć! – rzucił. I z góry pozałował tego, co za chwilę powie. – Mamy kolejne ciało koło Miasnickich Worot[67].

Masza krzyknęła.

– Przeczytaj, jak tam było z szesnastym mytarstwem.

Po drugiej stronie zaszeleściły kartki.

– Grzech rozpusty. Rozpustne marzenia, zamiary, napawanie się w myślach doznaniem rozkoszy, występne doznania, namiętne dotyki...

Pasuje?

– Pasuje – zgodził się Andriej. – Ale nie całkiem. Co z siedemnastym?

– Cudzołóstwo, zdrada małżeńska, gwałt – przeczytała Masza tonem prymuski.

– Dalej – poprosił Andriej.

– Ile ty masz tych trupów? – zdziwiła się, ale posłusznie kontynuowała: – Grzech sodomii, kazirodztwo, samogwałt, zoofilia, grzechy przeciwne naturze.

– Jest! – powiedział Andriej z zadowoleniem. – O to chodzi.

– Ale to znaczy... – zaczęła Masza niepewnie.

– To znaczy, że nie znaleźliśmy dwóch ciał – posępnie potwierdził Andriej.

– Jadę. Podaj adres.



– Tylko niech pan nie mówi mamie – zastrzegł Pietia, młodszy z chłopców (starszy, któremu nerwowo drgnęła twarz, gdy Andriej powiedział o śmierci Minajewa, nie chciał rozmawiać).

– Nie powiem – obiecał Andriej.

– Nasza mama pije – ufnie wyznał Pietia. – Niech pan nie myśli, że jest pijaczką, to po rozwodzie z tatą. Tata zostawił jej mieszkanie – mówił smarkacz poważnie. – Samochód. Czego chceć więcej? Samochód sprzedała. – Pociągnął nosem, widać było, że szkoda mu auta. – Fajowy był! Hyundai, mocny silnik, trzylitrowy – opowiadał, a Andriej rozglądał się po mieszkaniu, które przeszło kiedyś porządny remont, ale z licznych drobiazgów – jasnych kwadratów na wyblakłych tapetach, tam gdzie wisały niegdyś obrazy, pustego stolika pod telewizor – wynikało, że w tym domu żegnają się już z dobrobytem.

– Opowiedz o Minajewie – poprosił Pietię.

– Jest najlepszym przyjacielem Koli. Moim też – oznajmił chłopiec z dumą. I dodał, znów pociągnawszy nosem: – Był. Kolka chodził do niego oglądać filmy i książki pożyczał, o wojownikach ninja. To tacy Japończycy.

– Wiem.

– Nawet jedzenie nam dawał. Gdy mama wpadnie w ciąg, zapomina robić zakupy – powiedział z rozbrajającym uśmiechem. – Chowaliśmy je. Wesoło było. Raz poszliśmy do planetarium. Kolka przyjaźnił się z Artiomem. Biegał do niego codziennie, czekał pod drzwiami.

– A wczoraj? – zapytał Andriej, próbując nie reagować na słowa o bliskiej „przyjaźni” pomiędzy Minajewem i Kolką.

– I wczoraj. Artiom zostawił nam jedzenie i Kola powiedział: trzeba podziękować. I poszedł. Mnie tam nie zabiera – dodał obrażonym tonem. – Za to zjadłem wszystkie cukierki! – Wyciągnął z kieszeni garść kolorowych papierków.

– Muszę porozmawiać z twoim bratem – powiedział Andriej, wstając.

– Ale on przecież nie chce! – zdziwił się Pietia.

– To nic, namówię go – obiecał Andriej.

– Ko-o-ola! – Pietia z krzykiem pobiegł do kuchni, skąd słychać było niewyraźne mamrotanie.

Andriej poszedł za nim. W kuchni kobieta z zaczerwienionymi oczami i kołtunem na głowie smarowała kanapki masłem i nie wiadomo po co, jeszcze majonezem.

– Niech pan zostawi dzieci w spokoju – zwróciła się do Andrieja, dysząc na niego przetrawionym alkoholem. – Przecież powiedział, że nic nie wie!

– Kola! – Andriej nie zwracał uwagi na kobietę. – Zadam ci tylko jedno pytanie: co widziałeś wczoraj wieczorem? Jeśli nie masz nic do powiedzenia, to nigdy nie znajdziemy zabójcy twojego sąsiada.

Kola milczał, patrząc w okno.

– Niech pan stąd idzie! – Matka popchnęła go w stronę drzwi. – No już! Wynocha mi stąd!

Andriej odwrócił się i wyszedł. Mógł się uprzeć i przesłuchać chłopca, ale na duszy było mu ciężko i wstyd. Wstyd, że nie namierzył pedofila wcześniej. Ale jeszcze bardziej – z powodu parszywego życia, w którym pedofil zostaje najlepszym przyjacielem samotnego chłopca. Wyszedł na ulicę i zapalił. Masza powinna podjechać lada chwila.

Trzasnęły drzwi i z bramy wybiegł Kola. Najwyraźniej spieszył się do szkoły. Minał Andrieja, który patrzył na niego uważnie, odszedł ze dwadzieścia kroków, nagle się obejrzał i wrócił biegiem do Jakowlewa.

– Nikogo nie widziałem – powiedział. – Ale słyszałem. Miał taki... cienki głos. I mówił bardzo dziwnie. Niby po rosyjsku, ale nic nie można było zrozumieć.

– Spróbuj sobie przypomnieć – poprosił Andriej.

Kola się nachmurzył.

– Coś o biesach skażonych gnojem i odorem. Wie pan, co to jest odór?

Andriej skinął głową.

– Wiem. Paskudny zapach.

– Aha... – Kola skinął głową ze zrozumieniem. – Niby, że śmierdzi?

Andriej uśmiechnął się.

– Coś w tym rodzaju. – I dodał: – Poznałbyś go po głosie?

Kola przytaknął z poważną miną.

– Tak. Bardzo piskliwy, jakby go kroili. No dobrze, idę już, bo spóźnię się do szkoły!

Andriej zamyślony odprowadził małą postać wzrokiem – tak naprawdę nie szkoły mu potrzeba teraz, tylko dobrego psychologa. I obiecał sobie, że zadzwoni do kilku znajomych lekarzy, żeby wskazali dobrego specjalistę. Podjechała Masza. Otworzył drzwiczki samochodu, przyciągnął dziewczynę do siebie i objął. Stali tak bez ruchu, przytuleni do siebie, próbując ogrzać się resztkami ciepła. Ale czuli przenikliwy wewnętrzny chłód. I nie chodziło tylko o zabójstwa czy bezwzględność mordercy.

Chodziło o świat, który stawał się coraz okropniejszy.

MASZA

Popatrzyła na chłopaków, których Aniutin przydzielił im do sprawy. Teraz nazywali się grupą śledczą zajmującą się sprawą Mytnika i Masza nie pozbyła się jeszcze obawy, że zostanie wyśmiana za swoje szalone pomysły. Dlatego poprosiła Andrieja, żeby to on opowiedział o wszystkim, co dotyczyło Jeruzalem. Nie wiadomo, dlaczego w jego ustach całe szaleństwo wyglądało na logicznie uporządkowane i nikt nie zamierzał się śmiać, nikt nawet nie uniósł brwi z niedowierzaniem. Słuchali uważnie, a niektórzy z nich nawet notowali, co Maszę trochę peszyło. Mało tego – budziło strach. Jakby przedtem, gdy nie nadano mu jeszcze takiego abstrakcyjnego przydomka, przestępca, mimo makabrycznej konkretności zabójstw, był tylko wymysłem Maszy. Jak z wampirami albo yeti – pomyślała. – Jeśli widzi go jeden człowiek, to znaczy, że jest on wariatem. Ale gdy grupa poważnych facetów z Pietrowki zaczyna notować dane o nim, sprawa robi się poważna.

– Sądzę – ciągnął Andriej – że musimy wrócić do pierwszych ofiar – logicznie założyć, że przynajmniej jedna z nich znała mordercę i natchnęła go do całej serii zabójstw. Myślę, że szczególną uwagę trzeba poświęcić Dobrosławowi Owieczkinowi. Jego ojciec jest kaznodzieją w cerkwi starowierców w zaułku Basmannym. A *Mytarstwa*, jak wiecie – uśmiechnął się przekonany, że nikt z siedzących tu, łącznie z nim samym, nie miał o tym najmniejszego pojęcia – to książka starowierców. No i sami starowiercy to fanatycy religijni. Żeby wspomnieć choćby tę, jak jej tam, bojarową Morozową... – Zająknął się, spotkawszy ironiczne spojrzenie Maszy. –

A teraz – Andriej, niczym konferansjer zapowiadający kolejny numer, szerokim gestem wskazał na dziewczynę i ironiczny uśmiech Maszy błyskawicznie się ulotnił – stażystka Maria Karawaj opowie nam o profilu przestępcy.

Masza nerwowo ścisnęła w dłoni kartki z przygotowanymi notatkami.

– Rozdam wam zaraz – powiedziała lekko drżącym głosem – tabele z punktami geograficznymi odpowiadającymi miejscom zabójstw. – Przekazała kartki łysiejącemu śledczemu siedzącemu po prawej stronie. – Jeśli chodzi o profil przestępcy... Nasz maniak prawdopodobnie zalicza się do typu zabójcy zorganizowanego. Jak wiecie, taki typ ma zdolność kontrolowania swoich pragnień, ma dokładny plan, według którego śledzi i wabi swoją ofiarę. – Przełknęła ślinę. Wszyscy słuchali uważnie. – Gdy plan zawodzi, taki zabójca odkłada jego realizację. Nie jest socjopata. Prawdopodobnie mieszka z partnerką. Może stosować w rodzinie przemoc. Mobilny. Śledzi wiadomości. Wraca na miejsce zbrodni, by obserwować pracę policji. Jeździ dużym samochodem, w którym przewozi ciała. – Masza zatrzymała się, żeby zaczerpnąć powietrza, spojrzała na Andrieja. Stał oparty o ścianę i patrzył na nią z nieskrywaną czułością. I prawie rodzicielską dumą. Z trudem się powstrzymała, by się do niego nie uśmiechnąć, i skierowała wzrok na siedzących wokół mężczyzn. – Chciałabym razem z wami przejrzeć kolejno wszystkie punkty profilowania. Być może coś przepuściliśmy.

– Sądzi pani, że to naprawdę nam pomoże? – rozległ się przeciągły głos zza pleców szpakowatego. Podniósł się młody chłopak. – Gierasimow – przedstawił się. – Po co nam ta triada MacDonalda[68]? Jaka różnica, czy zabójca moczył się w dzieciństwie, czy nie, jeśli większe problemy ma teraz z głową? To jakiś intelektualny onanizm, daję słowo! Małpowanie Zachodu!

Andriej już się wyprostował, żeby przyjść Maszy z pomocą, ale ta go wyprzedziła.

– Ten onanizm, jak pan się wyraził, być może nie przyda nam się bezpośrednio. Ale zgodność z modelem psychologicznym sprzyja zdemaskowaniu przestępcy, a rozbieżność pozwala uwolnić z podejrzeń niewinnego. Proszę sobie przypomnieć, ilu niewinnych ludzi zostało skazanych, zanim złapano Czikałkę.

– U nas w MSW też nie głupcy siedzą i stosują profilowanie – wsparł ją szpakowaty. – Niech pani kontynuuje.

– Mytnik to maniak misjonarz. – Masza omiotła grupę spojrzeniem. – Starannie wybiera swoje ofiary, ponieważ dla niego ważne jest nie samo zabójstwo, a przesłanie dla ludzkości, które to zabójstwo niesie. Zacznijmy od ogólnej charakterystyki osobowości: co możecie dodać, opierając się na

specyfice zabójstw?

– Pedantyczny – zaczął Andriej i Masza podziękowała mu spojrzeniem za wsparcie.

– Takie skomplikowane zabójstwa wymagają nieustannego przygotowywania. Potrzebny jest wysoki poziom organizacji – dodał szpakowaty.

– Komenderuje na miejscu zabójstwa, ponieważ czuje frustrację? – włączył się rudy chłopak po lewej.

– Nie, to nie frustracja, raczej kontrola – poprawiła go Masza. – Kontrola nad grzechem i zemstą.

– Jakby brał na siebie funkcję Pana Boga?

– Nie. – Masza znów pokręciła głową. – Stawia się nie na miejscu Boga, a na miejscu biesa, mytnika. Co znaczy, że nie uważa się za bezgrzesznego.

I nagle urwała. Przechwyciła spojrzenie Andrieja i wyczytała w jego oczach, że przysłała mu do głowy ta sama myśl.

– Może siedział? – wypowiedział ją Andriej na głos. – Stąd wiedza o tym, jak działa system od wewnątrz? Znajomość z Jelnikiem? Okrucieństwo?

Masza skinęła głową. Musiała zastanowić się nad tym, poukładać wszystko w głowie.

– Teraz przyzwyczajenia, nawyki – kontynuowała. – Ma ktoś jakiś pomysł?

– Musi utrzymywać sterylny porządek w domu i w samochodzie. Ponieważ ma bzika na punkcie czystości, na pojęciu czystości w ogóle. W tym czystości duszy – wypowiedział się Gierasimow i Masza kiwnęła głową.

– Zgadzam się.

– Świetnie zna się na kryminalistyce, nie zostawia śladów.

– Silny fizycznie, wysportowany – inaczej nie dałby rady z ćwiartowaniem!

– Grupa wiekowa – prawdopodobnie wiek średni, od czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu lat, pewność siebie, doświadczenie, łatwość wzbudzania zaufania!

– Rejon zamieszkania? – zapytała Masza i sama odpowiedziała: – Nie da się niestety ustalić, mimo wyraźnie określonego obszaru zabójstw – wewnątrz murów Białego Grodu. Innymi słowy, wewnątrz Bulwarneho Kolca[69]. Jednak nie ma sensu budowanie algorytmu profilu geograficznego po to, by wykalkulować miejsce jego zamieszkania na podstawie grafiku i szlaków komunikacyjnych w rejonie. Jak już wiecie, wybór ofiary i miejsca zabójstwa bazuje nie na łatwości realizacji, tylko na znanym już nam systemie religijnym. Jednak uważam, że przestępca mieszka i najprawdopodobniej pracuje w centrum. I świetnie je zna.

– Poziom wykształcenia – przypomniał Andriej.

– Bez wątpienia wyższe. Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą. Intelkt – ponadprzeciętny. Jeśli chodzi o zawód – Masza uniosła wzrok znad swojego konspektu – musi być związany z podejmowaniem decyzji, przekonaniem o własnej nieomylności. Istnieje szereg zawodów dających poczucie władzy absolutnej...

– Nauczyciel! – krzyknął z tyłu Gierasimow.

– Fizyk lub matematyk!

– Nie, historyk!

– Może lekarz? – wtrącił rudy po lewej. – Chirurg! Wie, jak prawidłowo ciąć!

– Stary wojak, daleki od uczuć i nawykły do rozkazywania!

Andriej uniósł ostrzegawczo rękę.

– Według mnie istnieje duże prawdopodobieństwo, że pracuje w organach.

– Jeden z naszych?

– Niemożliwe! – Na twarzach obecnych malowało się niedowierzenie. I strach.

– Łatwo dobiera się do gubernatorowych i innych możliwych tego świata – dodał Andriej jakby sam do siebie, ale w gabinecie zapadło milczenie. – Zbyt mało dowodów. Tak naprawdę – żadne. Same domniemania. Być może ma granatowy samochód. Być może ma wysoki głos...

– Nie sądzę. – Masza zasępiła się. – Wygląda na to, że czyta ofiarom

przed śmiercią fragmenty z *Mytarstw*. Ale to część podpisu, powiedzmy, słowny rytuał. W czasie wykonywania tego rytuału może się czuć innym człowiekiem. Ściśle mówiąc – poprawiła się – biesem. I jeśli biesy, według niego, piszczą, mimowolnie mówi wysokim głosem.

ANDRIEJ

Andriej zostawił Gierasimowa koło tablicy ogłoszeń i wszedł do cerkwi na Basmannej. Masza powiedziała mu, że cerkiew została zbudowana niedawno. Ale według Andrieja nie różniła się wcale od tych zabytkowych – taka sama połączona kopuła, taka sama dzwonnica, pobielone ściany...

Zdążył zrobić nie więcej niż dwa kroki, gdy drogę zagroził mu brodacz w zwykłym szarym garniturze i koszuli na wzór rubachy. I całkiem przyjaźnie zapytał, kim jest. No oczywiście – pomyślał dobrodusznie Andriej. Przecież w oczach starowierców jest niepoważną osobą o gładko ogolonej twarzy. Andriej pokazał legitymację i brodacz skinął głową, proponując rozmowę w kawiarni obok.

Andriej ze zdziwieniem dowiedział się, że starowiercy otworzyli w pobliżu świątyni kawiarnię. Wchodząc, rozejrzał się ciekawie – ceglane ściany, proste stoły z ławami z ciemnego drewna, ikona Matki Boskiej.

Brodacz zamknął drzwi na klucz i usiadł przy stole w kącie naprzeciwko nieproszonego gościa.

– Jakow – przedstawił się.

Oczy Jakowa, wbite głęboko pod krzaczastymi brwiami niczym gwoźdźdiki, patrzyły na śledczego uważnie i życzliwie, niewielkie delikatne ręce leżały na kolanach.

– Owieczkina nie ma teraz w świątyni – wyjaśnił. – A ja gospodarzę i tu, w kawiarni, i w sklepie z pamiątkami. I kawiarnia, i sklep stoją w miejscu starych łaźni. Więc może potrafię jakoś pomóc.

Andriej rozejrzał się po pogrążonym w półmroku pomieszczeniu pachnącym świeżością i trochę kadzidłem, i nie wytrzymał (straszenie zgłodniał tego ranka).

– A czym karmicie?

Jakow uśmiechnął się w brodę i przeprosił – kawiarnia na początku

tygodnia jest zamknięta i nie ma czym gościa poczęstować. Zwykle można tu zjeść niedrogo i zgodnie z cerkiewnymi wymogami. W czasie postu dań mięsnych, oczywiście, nie podają, a poza postem jedzenie jest, nic szczególnego – tradycyjne pierogi, barszcz, łapszennik[70]...

Andriej skinął głową i choć nie wiedział, co to jest łapszennik, przełknął ślinę.

– Przejdźmy do sprawy. – Bał się, że zacznie mu burczeć w brzuchu. Jakow przechylił głowę na bok gotowy do słuchania. – Mamy podejrzanego – Andriej od razu przeszedł do sedna. – Przypuszczamy, że jest związany ze starowiercami...

– Podejrzanym, jak przypuszczacie, jest związany z nami? Czy mogę wiedzieć, na jakiej podstawie?

– Nie. – Odmowa zabrzmiała za ostro, ale Andriej zdawał sobie sprawę, że jego argumenty, jeśli zdecyduje się je przedstawić Jakowowi, nie wypadną przekonująco. Innych jednak nie miał. – Jest to mężczyzna w średnim wieku, silny fizycznie, dobrze wykształcony: lekarz, nauczyciel, wojskowy albo... –

Andriej zaciął się – policjant. Prawdopodobnie jeździ granatowym samochodem. Proszę wymienić wszystkich wiernych pasujących do mojego opisu. Zwłaszcza tych skłonnych do religijnego fanatyzmu.

Jakow westchnął i zasępił się.

– Przyszedł pan do nas, bo uważa pan, że wszyscy starowiercy to fanatycy religijni, tak? – Andriej nic nie powiedział, Jakow też zapadł w ciężkie milczenie, postukał starannie obcięzonymi paznokciami o ciemne drewno blatu. – Wie pan, w latach siedemdziesiątych radzieccy geologowie znaleźli pole kartofli w środku głębokiej tajgi. Starowiercy, którzy je uprawiali, mieszkali tam od pięćdziesięciu lat zupełnie oderwani od świata. Żyli i byli zadowoleni. Otóż dla mnie „rodzinni” – tak też nas nazywają – są jak to pole kartofli. Oznaka cywilizacji pośrodku dzikiego lasu pełnego bestii. Jeśli ten wasz człowiek coś zrobił – podniósł na Andrieja maleńkie, ale wcale nie głupie oczka – coś strasznego, to znaczy, że nie jest przyzwyczajony do bestii, reaguje na nie. Te ludzkie bestie go przerażają. A my – my nie jesteśmy strachliwi, rozumie pan? Wokół nas świat zmienia się już od tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego roku – diabelskiego roku. I wszystkie te wasze reality show, wulgarne gęby, rozpusta, rozpowszechniane na milionach

ekranów w każdym domu, nie są dla nas groźniejsze od nowości Nikonowskich, Piotrowych czy „czerwonych” komisarskich – nie takie rzeczy widzieliśmy. I proszę zauważyć: palono w chałupach nas, a nie my paliliśmy. My tylko trzymaliśmy się swojego.

– I co – uśmiechnął się Andriej – nie przychodzą do was nowicjusze? Tacy nie z dziedzicznych starowierców, tylko, powiedzmy, neofici?

– Przychodzą – spokojnie potwierdził Jakow. – Tylko kto przychodzi i po co? To ci, co szukają własnych korzeni. Przecież tyle Rosję męczyli, tyle manipulowali duszami ludzkimi, ciemnotę wciskali: a to skreć w lewo – do komunizmu, a to w prawo – popatrz, jak kapitalizm kwitnie! – Jakow pokręcił głową. – A młodzi... Oni chcą powrotu do głębokiej tradycji. Przecież głębiej niż starowiercy kopać już się nie da. Pan wie, że rosyjski naród zgina się i zgina... Niczym pręt, którym go chłuszczą. I niech pan tylko pomyśli: w całej historii tylko raz się zdarzyło, że odpowiedział „nie” państwu i „nie” większości! Zachował swoją godność w czasie różnych prześladowań, kaźni, tortur – i od tych, i od tamtych. Tak jest już czwarte stulecie... I jaką ślepotę Pan zesłał! Prócz opętania religijnego nikt w tej historii, pełnej męstwa i odwagi, niczego nie dostrzega! – Jakow uderzył ręką w stół i nagle się uspokoił, pogłaskał brodę. – Idźcie z Bogiem i nie szukajcie swojego fanatyka wśród starowierców. Nasi od dawna już nie walczą, tylko idą do pustelni albo żegnają się z życiem. To już jak tam komu wyjdzie.

– Wygląda na to, że o czystość też nie walczą? Nie zostają, powiedzmy, „sanitariuszami lasu”? – Andriej zmrużył oczy.

– Pan jest młody – powiedział cicho Jakow – i nie pamięta pan znaczenia słowa „godność”. Nie winię pana za to. Krótka pamięć stała się w Rosji cechą narodową. – I odwrócił się do ikony na ścianie.

Andriej wstał i pożegnał się z brodaczem – wprowadzie tamten go nie przekonał, ale wybór tego człowieka na informatora był wyraźnie chybiony. Na ganku zapalił i przypomniał sobie, jak przedostatniej nocy, siedząc na parapecie w jego czułych objęciach, Masza opowiedziała mu – dzięki Kieszy, który wbił jej w młodości do głowy swoich starowierców – że raskolnicy nie palą i nie piją ani kawy, ani herbaty, nie mówiąc już o alkoholu. „W domu – mówiła Masza – trzymano pełną butelkę wódki na znak, że gospodarz nie pije”.

W jego rodzinie byłoby to dobrym wyjściem – pomyślał – może i ojciec dłużej by żył. I nie tylko w jego rodzinie. Miał przed oczami blade twarzyczki chłopców, Pietii i Koli.

Papieros nagle wydał mu się gorzki, wyrzucił go do najbliższego kosza na śmieci.

INNOKIENTIJ

Innokientij nie wytrzymał. Rozwinął miękki lniany ręcznik, wyciągnął deseczkę pociemniałą ze starości i wypolerowaną w ciągu wieków setkami rąk. Przesunął palcami po nierównej powierzchni ciemnych śladów – ikonę chyba podpalano, a może wynoszono z płonącej izby jako coś najcenniejszego w domu. Najwyraźniej potrzebowała restauracji. Wyłaniała się z niej, jak z dna głębokiego leśnego jeziora, delikatna twarz Nikołaja Cudotwórcy. Lewą ręką przyciskał do piersi Biblię, a tam, gdzie powinna znajdować się prawa, brakowało całej górnej warstwy i można było się tylko domyślać, jak ułożone były cienkie palce – w znak krzyża dwoma czy trzema palcami[71].

– Wandale! – wyszeptał Innokientij do nieznajomych żyjących w dwudziestym, a może w osiemnastym wieku.

Postanowił, że nie będzie odnawiał tej części, niech tak pozostanie – na pamiątkę ludzkiej nienawiści. Odda obraz do naprawy Danieczce – młodemu, ale mającemu już świetną opinię wśród antykwariuszy malarzowi ikon. Trzeba zauważyć, że oprócz zainteresowania ikonami z twarzy Danieczka też przypominał postać nie z tego świata – miał czyste czoło bez młodzieńczych pryszczki, niebieskie, obramowane jasnymi długimi rzęsami oczy, które, jak się zdawało, patrzyły przez człowieka i ożywiały się tylko na widok ikon takich jak ta.

Innokientij zamarł na kilka minut, wpatrzony w twarz Cudotwórcy. Jego też od dzieciństwa fascynowały takie twarze – wysokie czoło, idealny zarys brwi, oczy w kształcie rybki (to oczywiste, przecież ryba to symbol Chrystusa!). Prosty, piękny nos, niespodziewanie pełne usta schowane w kędzierzawej brodzie – każdy pukiel wymalowany w kształcie cieniutkiej spirali. I uciekające pod powieki źrenice, patrzące na widza srogo i obojętnie.

Rozmyślenia Kientija przerwał władczy dźwięk dzwonka u drzwi. Wzdrygnął się, odłożył ikonę na bok i poszedł otworzyć. Na progu stał

barczysty mężczyzna koło pięćdziesiątki, sprawiający wrażenie potężnego w swoim ciemnym długim płaszczu. Z krótką, ale prawie sięgającą oczu szpakowatą brodą. Młodzieńczy, zdrowy rumieniec zdobił wystające kości policzkowe, przymrużone oczy patrzyły uważnie. Przepuścił swego towarzysza – mężczyznę o wiele niższego i wątlego, z długą, prawie już siwą brodą – i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Dopiero po tym podał Innokientijowi ogromną jak pół łopaty dłoń.

– No, witaj, synku! – Z szacunkiem popatrzył na starca i powiedział raczej twierdząco: – A starszego gminy już znasz.

Innokientij lekko się uklonił stojącemu obok spokojnie gościowi.

– Herbaty? – zaproponował i zmieszał się. – Eee... może owocowej?

Starzec kiwnął głową – że niby czemu nie, owocowa może być. I niewzruszony rozejrzał się powoli, lustrując spod wespółzrymniętych ciężkich powiek korytarz, ciemne ikony na pobielonych ścianach, żyrandol w stylu modern w kształcie wodospadu z kryształowych kropel. Innokientij zawstydził się własnego dobrobytu, zauważył, jak starzec zacisnął usta, ale jego twarz pozostawała nieprzenikniona.

Kientij posadził gości w kuchni i krzątał się, nakrywając do stołu. Wyparzył biały czajniczek z grubej porcelany, starannie wytarł go ściereczką, wsypał herbacianej mieszanki owocowej. A w głowie kręciła się myśl: po co przyszli? Nawet ojciec bywał u niego w domu rzadko, a co dopiero taki ważny gość. Po co ojciec go przyprowadził? I odpowiedział sam sobie: nie, to nie ojciec przyprowadził starca. Jest na odwrót: ojciec znalazł się tu z nakazu człowieka najważniejszego w gminie starowierców. Więc i powód musi być poważny. Tylko dlaczego on? – zachodził w głowę Innokientij, nalewając do filiżanek intensywnie czerwony napój i nie przestając mimowolnie się uśmiechać.

– Twoja przyjaciółka – zaczął ojciec i Innokientij wzdrygnął się, o mało nie rozlawszy esencji na obrus. – Ta, za którą chodzisz ostatnie piętnaście lat...

– Masza? – Pytanie było retoryczne. Za kim innym mógłby „chodzić” ostatnie piętnaście lat?

Innokientij starannie odstawił czajnik na miejsce, uważnie obserwowany przez dwie pary oczu.

– Maria Karawaj – uściślił cichym głosem starszy gminy i zrobił przerwę, w czasie której, złożony wargi w kółeczko, podmuchał na herbatę jak prosty chłop – praktycznie stoi na czele grupy tropiącej jakiegoś maniaka. Dzisiaj przychodzili z pytaniami do cerkwi na Basmannej. Diaka nie było, rozmawiał z nimi Jakow... Wiadomo, że ludzie z Pietrowki będą dalej węszyć wokół naszej gminy i nic dobrego z tego nie wyniknie. Wręcz przeciwnie... – Starzec oderwał się od filiżanki i wlepił przenikliwe spojrzenie w Innokientija. Jego nabrzmiałe powieki nie opadały tym razem na oczy, tylko jakby skryły się w oczodołach, przez co nie wyglądał już na sennego, spojrzenie starca było teraz młode, ostre. – Wręcz przeciwnie, będą z tego same nieszczęścia.

– To twój obowiązek, bronić swoich, Innokientiju – dołączył ojciec. – Ludzie są źli. Niewiele brakuje, by zaczęło się kolejne „polowanie na czarownice”. Wystarczy jeden artykuł w bulwarówce o maniaku starowiercy i wszystko, co próbowaliśmy odbudować w ostatnich latach, pójdzie na marne, jak to już nieraz bywało! Mało tego, że będą przeszkadzać robić interesy... – Ojciec westchnął. Był znanym biznesmenem, produkował wyroby z drewna, od mebli po schody z ozdobnymi poręczami, i „polowanie na czarownice” bezpośrednio mu zagrażało. – Przecież posuną się dalej: odeślą starowierców, którzy dopiero co wrócili na północ z Ameryki Południowej, wstrzymają zwrot naszych cerkwi...

– Niepotrzebne nam to – cicho powiedział kapłan, nie spuszczając z Kientija uważnych oczu – by wszyscy dowiedzieli się, ile gmin mamy, ilu naszych ludzi jest wśród świeckich. Nie dlatego, że to nielegalne, ale dlatego, że trąbiąc wszędzie o wierze naszych przodków, zdradzamy ją. Nasza prawda w milczeniu, które powstało przed słowami.

– Nie jestem pewny, czy potrafię przekonać do czegoś Maszę. – Innokientij potrząsnął głową. – Jest samodzielna, uparta i prawie zawsze osiąga cel.

– I niech osiąga. – Starzec pogładził brodę. – To święty cel złapać zabójcę. Tylko szuka go nie tam, gdzie trzeba, a gdy zrozumie swój błąd, zło już się dokona. A przecież nie wolno szukać dobra, idąc złą drogą...

Zapadło dłuższe milczenie.

– Postaram się – powiedział wreszcie Innokientij. – Ale nie mogę nic

obietcać.

– Dobrze. – Starzec statecznie kiwnął głową.

– Postaraj się – dodał ojciec.

Goście wstali i ruszyli do przedpokoju. Tam starzec zrobił nad Innokentijem znak krzyża i wyszedł, a ojciec bez słowa ścisnął jego ramię swoją ciężką łapą. Zamykając za nimi drzwi, Kientij pomyślał, co by powiedzieli ojciec i starszy gminy, gdyby wiedzieli, że osobiście brał udział w śledztwie, które teraz może zdyskredytować gminę starowierców. Wrócił do kuchni. Trzy filiżanki z czerwonym wystygłym płynem stały na stole. Jak trzy chrzcielnice pełne krwi. Innokentij odchrząknął i wylał napój.

Jedno zdanie kapłana nie dawało mu spokoju: „Nie wolno szukać dobra, idąc złą drogą... Nie wolno...”.

ANDRIEJ

Stali już pod bramą domu Maszy.

– Może chcesz – powiedział Andriej, wydmuchując z obojętną miną dym papierosa w otwarte okno forda – pojechać do mnie?

Nawet się jeszcze nie całowali – po drodze, jak na złość, mieli „zieloną falę” i Andriej tylko ścisnął wilgotną dłoń Maszy, chwytając drugą ręką to za kierownicę, to za dźwignię zmiany biegów.

Jedźmy do mnie – mógłby powiedzieć – przedstawię ci swojego psa, tego aktorzynę z marnego teatrzyku... Zobaczysz, jakie lokum wynajmuje glina niebiorący łapówek. Pokażę ci wytartą ceratę na okrągłym stole na werandzie, skrzypiące krzesła nie od kompletu, wyświechtany ręcznik obok źle działającej działkowej umywalki, wyrzuczone – po zimowych przymrozkach – tapety. Mam ci dużo do pokazania – coś tak konceptualnego, że w głowie się nie mieści! Nie są to na pewno rzeczy z eleganckiego antykwariatu.

Dlaczego – zadawał sobie nieraz retoryczne pytanie – żeby zaciągnąć dziewczynę do siebie, trzeba obiecać jej pokazanie czegoś zupełnie nieodnoszącego się do sprawy, jakiejś kolekcji płyt z bluesem albo japońskich miniatur? Przecież można obiecać mnóstwo ciekawych rzeczy dotyczących „sprawy”, czy nie? Spojrzał z ukosa na Maszę i poczerwieniał.

– Jeśli tylko dasz słowo, że się nie przestraszysz mojego bałaganu – dodał na głos.

Masza odwróciła do niego bladą jak u elfa twarz z oczami, które w ciemności wydawały się przezroczyste.

– Jedź, nie gadaj – rzuciła i do bólu ścisnęła mu dłoń.

Z piskiem opon (to do tego, jak się okazuje, służy silnik w sportowym samochodzie!), póki się nie rozmyśliła, ruszył z kopyta, wyleciał na prospekt i pomknął nim, pustym w nocy, tam, gdzie w zmroku zatrą się wszelkie

różnice między nimi. Szybciej, szybciej. Czuł, jak na myśl o wspólnym spędzeniu reszty nocy krew uderza mu do głowy. Zrobiło mu się gorąco mimo wiatru wpadającego przez dwa otwarte okna.

Prowadził samochód po mistrzowsku, jakby znalazł się w innym wymiarze albo grał w grę komputerową, albo był pod wpływem narkotyków – i rzeczywiście był pobudzony, ale z innego powodu. Euforia sprawiała, że jego wzrok stał się ostrzejszy, reakcja szybsza; chociaż cały skupiony był na drodze, czuł na rękę, gdy zmieniał biegi, lekki dotyk jej gołego kolana – Masza siedziała skulona i też ze skupieniem wpatrywała się w drogę – szybciej, szybciej!

Wjechali na obwodnicę, skręcili na drogę lokalną, i oto byli już na centralnej ulicy osiedla letniskowego, po bokach migąły milczące ciemne domy, a powietrze stawało się świeższe, pachnące trawą i mokrym piaskiem... Wreszcie zatrzymał samochód przy furtce, wyłączył silnik, odetchnął i powtórzył jak zaklęcie:

– Tylko nie wystrasz się mojego bałaganu.

Ale Masza już wysiadła z samochodu, przeciągnęła się jak kotka, głęboko zaczerpnęła powietrza i uśmiechnęła się do niego, biorąc za rękę. Andriej otworzył furtkę. Skierowali się w stronę domu i weszli na ganek. Z wewnątrz, z werandy, wrywał się na wolność uradowany psiak, szczekając i popiskując. Gdy Andriej otworzył drzwi, rzucił się na niego, o mało go nie przewrócił, wykonał obowiązkowy taniec szczęśliwego psa, który nie może się doczekać kolacji i spaceru po ciemnej działce. Andriej głaskał go trochę dłużej niż trzeba, powtarzając:

– Głuptas z ciebie, popatrz, to Masza, Masza!

Kundelek i bez niego zauważył Maszę i bezceremonialnie włożył jej pod spódnicę, wpychał twardy łeb w dłonie, drapał łapami gołe kolana.

Wreszcie Andriej nakarmił biedaka i wypuścił do ogrodu. Biegaj, biegaj! I po raz pierwszy od momentu, gdy otworzył drzwi, odwrócił się do Maszy, na którą starał się nie patrzeć, ponieważ w ślad za euforią przyszło zdenerwowanie. Gdzie on, do cholery, ma miłosne akcesoria – świece, butelkę dobrego wina? Jakąś jedwabną pościel ostatecznie? Kientij wszystko pewnie miałyby przygotowane...

– Chcesz herbaty? – zapytał. – Z tym że nic do niej nie mam...

Masza bez słowa pokręciła głową, zrobiła krok w jego stronę i Andriej mocno przytulił ją do siebie, przyciągnął za kark, przylgnął ustami do szyi obok ucha, łapczywie wciągnął jej zapach i od tego naturalnego, takiego kochanego zapachu nagle o wszystkim zapomniał, razem z niejedwabną, a nawet nieświeżą pościelą. I komu jest potrzebne to wino? I świece, jeśli w okno zagląda uliczna latarnia...

Do diabła, Maszo Karawaj, jakaś ty delikatna i subtelna wszędzie, gdzie sięgają moje spragnione ręce i usta. Jak każdy łuk idealnie układa się w mojej dłoni – czy to gładkie kolano, czy jedwabiste ramię, miękka i sprężysta mała pierś, zapadnięty brzuch. Jak mógł myśleć, że jest obca, skoro została stworzona dla niego? Nie boli cię, kochana, gdy mocno ściskam wszystko, czego dotkną moje nienasycone ręce? Maszo, Maszo, co ty ze mną robisz?! Patrz, Maszo, patrz mi w oczy! Ale ona już mocno je zacisnęła, wzdrygnęła się z lekkim jękiem w finalnym dreszczu i przylgnęła do niego rozgrzanym ciałem. On też nie wytrzymał, zamknął oczy i pogrążył się w dzwoniącej pustce.



Strasznie chciało mu się palić, ale głowa Maszy spoczywała na jego ramieniu i bał się poruszyć. Za półotwartym oknem cicho padał nocny deszczyk. Andriej pomacał prześcieradło – było wilgotne, pot powoli wysychał na jego piersi, w którą wtulała się nosem, a w pokoju wyraźnie się ochłodziło. Andriej naciągnął jej kołdrę na plecy – jeszcze się, nie daj Boże, przezięb. Nasłuchiwał szumu deszczu, odgłosu psich łap na mokrej ziemi pod oknem – to jego kundel rozkoszował się długo wyczekiwany spacerem. Andriej czuł się bezgranicznie szczęśliwy, szczęście wypełniało go całego, tak jak deszczówka wypełniała po brzegi stare cynowe wiadro wystawione za drzwi wczoraj wieczorem.

Obudziło ich nie skrzypienie desek podłogowych pod łapami psa, nie promień słońca, który wdarł się przez nieosłonięte okno, i nawet nie głośna rozmowa sąsiadów po lewej i prawej stronie sześcioakrowej działki Andrieja, tylko delikatny dźwięk komórki. Andriej z ulgą odetchnął – nie jego, Maszy, więc to nie z pracy. Dziewczyna przechyliła się przez niego, pokazując smukłe piękne plecy (Andriej zdążył zachwycić się tym, że miała jakby dodatkowe kręgi) i zaczęła grzebać pod stertą ubrań na podłodze.

– Tak, mamusiu – odezwała się zaspanym głosem, znalazłszy wreszcie telefon. – Dostałaś mój esemes? Tak, oczywiście, wszystko w porządku. – W komórce coś zbulgotało i Masza gwałtownie usiadła, przyciskając kóldrę do siebie. – Mamo, co się stało? Ty płaczesz?! – Słuchała, ściągając brwi i potakując, a w końcu powiedziała: – Mamo, wiele rzeczy mogło się zdarzyć, ale niekoniecznie coś strasznego! Zgubił telefon, postanowił zostać u przyjaciela! Albo gwałtownie pogorszył się stan zdrowia pacjentki. No i co? Zawsze jest kiedyś ten pierwszy raz. Dziś wolne, chciał się zrelaksować i... – W komórce znów rozległo się bulgotanie. – Mamusiu – szepnęła Masza błagalnie. – Zaczekaj trochę, wkrótce przyjadę, dobrze? – Rozłączyła się i odwróciła do Andrieja zmartwioną twarz. – Ojczym zaginął. Muszę wracać do Moskwy.

Andriej ujął jej twarz w dłonie – wyglądała jak dziewczynka, wystraszona i zmartwiona. I pocałował – w czoło, w nos, w ciepłe zaspane oczy, w policzek, na którym został ślad po poduszce.

– Dzień dobry! – powiedział. – Ubieraj się, zaparzę kawy.

Wyciągnął ze sterty ubrań na podłodze wczorajszy podkoszulek i powąchawszy go, obiecał sobie, że po nastawieniu wody na kawę wymyje się zimną wodą z umywalki. I zmieni podkoszulek na czysty, żeby Masza Karawaj ucieszyła się, widząc go takim świeżym i ładnie pachnącym. Pytanie tylko – zasępił się Andriej, wchodząc do kuchni – czy znajdzie w tym bałaganie czysty podkoszulek. I kolejne: czy ma jeszcze zmieloną kawę, żeby poczęstować Maszę? Chociażby na dwie filiżanki. Albo na jedną. Odsunął nogą natrętnego psa i zaczął wyciągać wszystko z szafki wiszącej nad stołem. I dowiedział się o sobie wiele nowego. Jak się okazuje, używa cynamonu – tak przynajmniej było napisane na wyblakłym papierowym opakowaniu. Ciekawe, czy można dodać cynamonu do kawy? Obracał w zamyśleniu opakowanie w rękach. Albo pić zamiast? Do tego znalazł na dolnej półce paczkę spaghetti, zardzewiały otwieracz, metalową puszkę z niezidentyfikowaną zawartością (data ważności do października zeszłego roku) i sucharki do piwa. Ale nie kawę, do cholery! Nie kawę! Kawy, oprócz rozpuszczalnej, nie miał. Z rozpaczy wrzucił do śmieci metalową puszkę z tajemniczą zawartością, choć w zwykłych okolicznościach zaryzykowałaby i otworzył, i być może podzielił się po bratersku z psem, który patrzył na niego z wyrzutem. W rondelku niepewnie stojącym na gazowym palniku

zagotowała się woda na kawę, której nie było, i ronderek przechylił się na bok, z sykiem zalewając palnik. Andriej chwycił za aluminiowy uchwyt, krzyknął, zaklął i... ujrzał przed sobą gotową do wyjścia Maszę, patrzącą na niego z wyraźną ironią.

– Eee... – powiedział Andriej. – Wybacz, ale kawy do łóżka nie będzie. A nawet nie do łóżka, chyba że rozpuszczalna? – I jak idiota wziął ze stołu puszkę Nescafé i potrząsnął nią.

– Może herbata? – niewinnie zapytała Masza, co bardzo go ucieszyło: liptona na pewno miał.

Przylgnęła z uśmiechem do jego junackiej piersi w nieświeżym podkoszulku i potarła nosem o szyję. Ostrożnie odstawił puszkę na miejsce i delikatnie objął swoją stażystkę.

– Jestem spocony i nieumyty – szepnął jej do ucha zmieszany.

– To nic. – Podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się. – Dla herbaty gotowa jestem pocierpieć. – Pierwsza zaczęła go całować, namiętnie i do utraty tchu, mimo potępiającego spojrzenia psa, który wciąż nie tracił nadziei na śniadanie. Wtedy nieubłagane zadzwonił telefon, tym razem Andrieja. Oderwali się od siebie z zamglonymi oczami, a on warknął do słuchawki:

– Tak! – i zastygł, Masza też znieruchomiała.

Znów? – można było wyczytać w jej wystraszonej spojrzeniu, już całkiem przytomnym. Nie wiem – odpowiedział jej spojrzeniem Andriej i instynktownie ścisnął jej delikatne ramię, jakby chwycił się jedynej podpory niepoddającej się temu koszmarowi.

W samochodzie nie rozmawiali. Masza patrzyła przez okno z nic niemówiącym wyrazem twarzy, Andriej, zmrużywszy oczy, nie spuszczał wzroku z umykającej drogi. Przed chwilą poleciał stażystce Karawaj, by jechała do domu i zajęła się sprawami rodzinnymi – pocieszyła matkę, poszukała ojczyma, który gdzieś zabalował – nie ma co sterczeć przy zwłokach w dni wolne od pracy. Obraziła się (i miała całkowitą rację), ale mimo wszystko nie mógł jej wziąć ze sobą. Dlatego że chłopak z dochodzeniówki, rudy, obsypany piegami Kamyszow, który jako pierwszy zjawił się na miejscu zabójstwa, stwierdził, że to „coś potwornego, nigdy czegoś takiego nie widziałem”, i dlatego że głęboko ukryta intuicja już nie szeptała, a wręcz wrzeszczała mu do uszu: nie przyprowadzaj tam Maszy!

W milczeniu podjechali pod jej dom i Masza już pociągnęła za klamkę u drzwiczek, żeby z godnością wysiąść bez słowa, gdy chwycił ją za ramiona, obrócił do siebie i pocałował, łagodząc oburzenie małej dumnej ptaszyny. Jak to! Do zabójstwa jej nie wzięli! I pocałował – czuł to – po raz ostatni w ciągu tego zapewne długiego i męczącego dnia. Biedna mała – pomyślał, odprowadzając ją wzrokiem – gównianego masz kawalera, ani świec, ani kawy w domu, ani nawet herbaty na werandzie. Pokochał i rzucił – dla nieznanego trupa.



Gdy przyjechał na miejsce zabójstwa, do wynajętego mieszkania wewnątrz oznaczonego już dla niego krwawą, ognistą linią Białego Grodu, na schodach nie dało się przepchać. Mimo weekendu przyjechali wszyscy z grupy dochodzeniowej, palili papierosy i cicho rozmawiali między sobą, czekając, aż technicy skończą pracę. Andriej poprosił Kamyszowa o papierosa i ten podnieconym szeptem zaczął opowiadać:

– Ciało znajduje się w jakiejś trumnie, jakby ogromnej wydrążonej drewnianej lalce z ponabijanymi od środka ostrymi gwoździami. Zabójca włożył do niej ofiarę i zamknął, tak że gwoździe wbiły się nieborakowi w rękę, nogi, brzuch, oczy i pośladki. Na truposza – porucznik wytrzeszczył oczy – nie da się patrzeć! Krwi morze! Cały pokiereszowany za życia, do tego, biedak, wił się na próżno! Gwoździe wchodziły tylko jeszcze głębiej i kaleczyły... – Kamyszow głęboko zaczerpnął powietrza, widocznie bardzo to przeżywał.

– Kto wezwał policję? – Andriej oderwał go od koszmarnych obrazów.

– A ze trzech sąsiadów, każdy osobno! Zabójca prawdopodobnie najpierw uderzył go w głowę i schował do tej swojej lalki. A ten, jak się ocknął, zaczął wrzeszczeć. – Kamyszow znów pobladł, wyobrażając sobie nieszczęsnego faceta, który obudził połowę chruszczowki^[72] z cieniutkimi ścianami.

– Wypytajcie sąsiadów – polecił Andriej Kamyszowowi i Gierasimowowi i przeszedł do mieszkania.

Nachylił się nad ciałem obok lekarza sądowego. Trudno było patrzeć na zalane krwią ciało, a na twarz... Na twarz zniekształconą skurczem po prostu nie dało się patrzeć.

– Co jest w kieszeniach? – zapytał zachrypniętym głosem, oderwawszy wzrok od wyszczerzonych w przedśmiertnym grymasie zębów, białych jak u Amerykanów.

– Zdjęcie. – Pracownik podał mu fotografię w przezroczystej koszulce.

Jakimś cudem nie było na niej śladów krwi. Na zdjęciu mężczyzna uśmiechał się radośnie, przytulając do siebie kobietę w średnim wieku. Bez wątpienia był nim wstydlawie przykryty teraz prześcieradłem człowiek. Andriej dał znak, że ciało można już zabrać. A kobieta – kobieta wydała mu się znajoma. Zdażył tylko pomyśleć, że ma usta podobne do ust Maszy, i sam siebie zgańił. Też coś, młody Werter się znalazł, szlag by cię trafił! – wszędzie widzi ukochaną! – ale aż się zachwiał, przypomniawszy sobie twarz w uchylonych drzwiach. „Maszy nie ma w domu! Sądząc po mniejszej liczbie książek w jej pokoju, poszła do biblioteki...” A ojczym Maszy nie wrócił na noc! Jest nim zapewne człowiek, który spędził tę noc we wnętrzu drewnianej lalki. Masza! Poczował, że kolana robią mu się miękkie, i usiadł na krześle pod nieprzychylnym spojrzeniem technika kryminalnego. Znów wszystko prowadzi do niej! Czy to przypadek? Samo pytanie wydało mu się śmieszne. Zabójca wybrał ofiarę dlatego, że była blisko Maszy. I oczywiście również dlatego, że jej ojczym pasował do tej bezlitosnej tabeli, którą Masza skserowała dla Andrieja przedwczoraj wieczorem.

Wyciągnął kartkę z tylnej kieszeni dżinsów. Ojczym zniknął niedawno – więc i grzech musi mieć cięższy niż pedofil Minajew. Ale w spisie zostały tylko dwa mytarstwa – herezja oraz okrucieństwo i brak miłosierdzia. Ojczym Maszy, o ile zrozumiał z fragmentów jej rozmowy dziś rano, pracował jako psychoterapeuta. Czy to możliwe, że był grubiański wobec któregoś ze swoich podopiecznych? Nie dostrzegł, jak bardzo pacjent jest chory? Pacjenta łatwiej znaleźć niż nieznanego starowiercę. Wersja była niezła, ale niedopracowana. Ojczym Maszy równie dobrze mógł być baptystą, co dla prawosławnego jest herezją. I pasować do tego mytarstwa. Trzeba zapytać Maszę. Musi zadzwonić do niej, żeby przerwać męczące i upokarzające telefony do szpitali, znajomych i krewnych: czy nie nocował u was? Czy taki a taki jest wśród przywiezionych do was w nocy? Ale takie upokorzenie to nic w porównaniu z bezlitosną prawdą – straszliwie poranionymi zwłokami ze zdjęciem jej matki w kieszeni! Nie, Andriej chciał dać sobie jeszcze kilka minut, zanim wybierze numer, który znał na pamięć.

Jeszcze tylko kilka minut, żeby się zastanowić. Znów przejrzał tabelę i nazwiska przy każdym mytarstwie. I nachmurzył się. W sekwencji zabójcy już od dawna były pewne luki i powtórzenia. Jakby przekonawszy się, że śledczy pojęli logikę jego działania, nie zawracał już sobie tym głowy – w łańcuszku zabójstw, jak w dziecięcej zabawie, mógł przesunąć się parę kroków do tyłu. I jeszcze coś: dlaczego maniak podłożył do kieszeni ofiary rodzinne zdjęcie? Czy dlatego, że matka Maszy również w jakiś sposób była wplątana w tę grę? Andriej głośno wypuścił powietrze z płuc i z ciężkim sercem wyciągnął komórkę, rozumiejąc, że bez Maszy nie potrafi posunąć się dalej w swych rozważaniach. Bądź co bądź stała się w tej sprawie nie tylko śledczym, ale i świadkiem. Jakby zabójca przymierzał swoją ulubioną uczennicę do odegrania wszystkich ról: od teorii – do praktyki, od śledztwa – do świadectwa, od świadectwa... Andriej wzdrygnął się, ale nie mógł nie dokończyć ciągu – do współdziałania?



Kamyszow siedział naprzeciwko sąsiadki z dołu, kobiety w średnim wieku o twarzy w niezdrowym kolorze. Kolor ten był prawdopodobnie skutkiem zarówno wieloletniego palenia papierosów, którymi przesiąknięte było całe jej malutkie mieszkanko, jak i uprawianego zawodu – pani była tłumaczem technicznym. W kuchni (będącej również pokojem do pracy) stał stary notebook i leżała sterta instrukcji obsługi różnych sprzętów gospodarstwa domowego: mikrofalówek, urządzeń do gotowania na parze i pieczenia chleba, blenderów i frytownic. Sąsiadka przekładała nerwowo te akcesoria cudzego, wyposażonego w ostatnie osiągnięcia techniki, życia. W jej własnej kuchni trzęsa się w egzaltowanych podrygach stareńka lodówka. Zajmując się wyłącznie tłumaczeniem tekstów, sąsiadka, z racji specyfiki zawodu, rzadko miała okazję z kimś porozmawiać i aż rwała się do kontaktów z innym człowiekiem, nawet jeśli był to przedstawiciel organów ścigania. Kamyszow już zrezygnował z pomysłu zadawania pytań – po co, skoro kobieta sama o wszystkim opowiada? Opowiada dobrze, nie zbaczając z tematu i ze wszystkimi szczegółami. Można powiedzieć, że rudy miał szczęście. Rudym Kamyszow nazywał sam siebie i rozmaite życiowe sytuacje komentował na dwa sposoby – miał rudy szczęście albo go nie miał. Może zabrzmieć to dziwnie, ale przez dwadzieścia sześć lat życia te dwie

kategorii całkowicie mu wystarczały. Pojawiła się dziewczyna – rudy miał szczęście; nie ma mieszkania na założenie rodziny – szczęścia zabrakło; dziewczyna odeszła do innego – raczej się udało, bo co z nią robić bez mieszkania? I tak dalej.

Rozmowa z sąsiadką zeszła akurat na lokal na górze, który, jak powiedziała, wynajmowano już od pięciu lat i nikt tam na stałe nie mieszkał. Jest wykorzystywany wyłącznie do uciech miłosnych. Tak właśnie powiedziała: uciech.

– Skąd taka pewność? – zapytał Kamyszow.

– Nie sposób się pomylić – powiedziała tłumaczka. – Tu wszystko słychać. Ludzie wynajmują mieszkanie i potem przyjeżdżają – w czasie przerwy obiadowej czy wieczorem. I uprawiają... seks. – Słowo „seks” wymawiała, jakby nim sfluwała. – Wreszcie jakiś rok temu mieszkanie wynajęła para inteligentów. On wyglądał na profesora (Kamyszow wzdrygnął się, przypomniawszy sobie, jak wyglądał wyciągnięty z lalki inteligent), ona – na jego studentkę, dużo młodsza od niego, ładna. Banalna historia – staruszkowi zachciało się młódki.

Tłumaczka chrząknęła i skrzywiła się pogardliwie, czekając na reakcję śledczego, ale Kamyszow nie zareagował, jedynie spokojnie skinął głową – że niby niech obywatelka mówi dalej.

Otóż inteligentni ludzie oddawali się miłości w zupełnie nieinteligentny sposób – jęczeli, krzyczeli, prawie charczeli i przeszkadzali sąsiadce z dołu (jak również sąsiadom po lewej, zauważyła) gotować zupę, kąpać się pod prysznicem i oglądać wieczorne wiadomości. Od miłosnych debat na górze u tłumaczki kołysał się żyrandol z czeskiego kryształu, a ona sama nerwowo paliła papierosy i zastanawiała się nad swoją smutną babską dolą. I co najzabawniejsze, spotykając ich czasami na ciemnych schodach albo w windzie, nawet nie potrafiła powiedzieć im czegoś złośliwego – co znaczy inteligentki wygląd. Zresztą w zasadzie nie warto było się kłócić. Spotykała tych dwoje nie tak znów często, nie więcej niż raz w tygodniu, i łatwiej było znieść ich stękania z góry, niż, na przykład, pogodzić się z sąsiedztwem młodego małżeństwa z małym dzieckiem – ci bez przerwy się kłócili i już trzykrotnie zalali mieszkanie Aliny z drugiego piętra. Tu przynajmniej potajemna namiętność i jakiś suspens, a tam studencka łódź miłości

rozbijająca się o rafy codziennego bytu – sami w takich pływaliśmy, wiemy, jak to jest.

– Ale wczoraj... – sąsiadka aż się wzdrygnęła – wszystko zaczęło się nie tak jak zawsze. ON przyszedł wcześniej niż zwykle, gdzieś o czwartej. Słyszałam, jak obracał się klucz w zamku i zamykały drzwi wejściowe. A ONA nie pojawiła się wcale – nie było słyhać ani kroków, ani windy zatrzymującej się piętro wyżej.

Kamyszow uśmiechnął się – widocznie historia skrywanej miłości zajmowała sąsiadkę bardziej, niż chciała to pokazać. Minęło z pół godziny. Tłumaczka, według jej słów, zdążyła już przekąsić, gdy drzwi znów trzasnęły. Pomyślała, że amant wyszedł, nie doczekawszy się ukochanej, ale nie – ktoś wszedł do mieszkania.

– I nie była to „studentka” – upewnił się Kamyszow.

– Nie! – z przejęciem powiedziała sąsiadka. – Przecież na schodach nic nie było słyhać. No i winda u nas jeździ z takim zgrzytem – nie da się przegapić! Nie. Ten ktoś zszedł z górnego piętra.

– Wychodzi na to, że czekał? – Kamyszow zamyślił się.

– Może i czekał. – Skinęła głową i sięgnęła po paczkę papierosów.

Poza tym po głośnych trelach dzwonka usłyszała chyba męski głos. Kamyszow wlepił w sąsiadkę wzrok. Tłumaczka wydmuchała dym papierosa w stronę wykrzywionego lufcika z łuszczącą się farbą i odczekała chwilę.

– Wydaje mi się, że powiedział...

– Tak? – Kamyszow pochylił się do przodu.

Sąsiadka uniosła na niego spojrzenie, w którym po raz pierwszy pojawił się strach.

– „Otwórz! To ja!”

MASZA

Masza trzymała matkę w objęciach, ale okazało się to niewystarczające. Albo miała za krótkie ręce, albo to nie Masza powinna była mamę pocieszać. Tylko nie było już komu – nie miała obok ani taty, ani ojczyma, a matka wymykała jej się, spadała jak Alicja w Krainie Czarów do swojej głębokiej studni. I Masza wiedziała, że tam, na dnie, dopadną Natalię tragiczna śmierć taty, ból, strach i samotność. Andriej zadzwonił dopiero pięć minut temu, ale przez cały ten poranek spędzony przy telefonie Masza wiedziała, czuła, jak czuje się oddech w ciemności, że wszystko to nadaremnie. Nie ma go ani u przyjaciół, ani u kolegów, ani w sali któregoś ze stołecznych szpitali. Za późno. Jest już tam, gdzie nie sięgnie go małżeński osąd. Nagle zrozumiała, że ojczym, jego nienatrętna obecność w jej życiu – dobrze zaparzona kawa o poranku, łagodne spojrzenie powstrzymujące matkę, kiedy rzucała się na Maszę z nietaktownymi pytaniami, nawet jego „psychoterapeutyczne” (jak je nazywała) rozważania – wszystko to wcale nie trafiało w próżnię, tylko cienkimi, lecz mocnymi nićmi utrzymywało ją na powierzchni. Przywiązała się do tego dużego delikatnego człowieka. I sama, wciąż z jego powodu rozdrażniona, nie zauważyła, jak mocno.

Natalia tymczasem nie mogła się uspokoić mimo uderzeniowej dawki valocordinu. Jej palce mocno ściskające ramię Maszy były zimne jak lód. I Masza zdecydowała się. Wybrała numer telefonu pracującej w pobliżu koleżanki mamy ze studiów i przyjaciółki i krótko opowiedziała o zdarzeniu – zginął ojczym, mama w szoku, czy Nadieżda Witaljewna nie podpowiedziałyby, jak można jej pomóc?

– Maszeńko – usłyszała przejęty głos. – Zaczekaj, zaraz przyjadę. Nie odchodź od mamy, jesteś mądrą dziewczynką... Połóż ją do łóżka, jeśli się uda.

Masza odwiesiła słuchawkę i odwróciła się do matki.

– Chodź mamusiu, połóżysz się, dam ci tabletki nasenne. Zaraz przyjedzie

ciocia Nadia. – Matka wlepiła w nią nieobecne spojrzenie i Masza na moment się wystraszyła. Poklepała matkę po ręce, próbując wstać i podnieść ją. – Idziemy – powtarzała miękkiem głosem – położę cię do łóżka.

Matka wstała i obie małymi kroczkami, jak ciężarówka z przyczepą – pomyślała Masza – wyszły na korytarz. Tam przyszło jej do głowy, że zaprowadzenie matki do sypialni będzie błędem, więc popchnęła drzwi do swojego pokoju.

Natalia stanęła na progu jak wryta, a jej spojrzenie nagle się ożywiło i zatrzymało na czymś znajdującym się prosto przed nią. Masza wyciągnęła szyję, żeby zrozumieć, na co matka patrzy w takim skupieniu, i zakłęła w myślach – jej pokój też nie był najlepszym wyborem. Ze ściany naprzeciwko, z czarno-białego zdjęcia spoglądał na nie Fiodor, a żona i córka patrzyły na niego. Wydawał się bardziej żywy niż one razem wzięte. Stały tak kilka sekund, zanim matka odwróciła twarz do córki i cicho powiedziała:

– To twoja wina!

I chwyciwszy się za serce, powoli, jak w filmie, osunęła się na podłogę.

– Mamo, co ci jest?! Serce?! – zawołała Masza i rzuciła się do kuchni po niezastąpiony valocordin.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Masza, z kieliszkiem do leków w jednej ręce i buteleczką w drugiej, pobiegła do przedpokoju, potknęła się o dywanik i, prawie lecąc do przodu, otworzyła drzwi.

– Ciocia Nadia! – Nie próbowała się hamować, jakby wracając do okresu, gdy miała dwanaście lat i stała mała i zagubiona obok ciała ojca. – Mama źle się czuje... Serce!

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała do niej łagodnie Nadieżda i szybko zrzućwszy buty, przeszła do pokoju.

– Taszo! – Usiadła obok Natalii, szybkim ruchem wyciągnęła z torebki i włożyła jej pod język jakąś tabletkę, ściskając długimi palcami przegub matki i licząc puls. – Taszo, musisz być twarda, trzeba się trzymać, Taszo – mówiła do przyjaciółki cichym, jakby kołyszącym do snu głosem, a Masza w milczeniu stała za nią i próbowała się nie rozplakać. – Zaraz zrobię ci zastrzyk i zabiorę do kliniki. Przyjechałam samochodem. Poleżysz kilka dni, dojdiesz do siebie, Masza cię spakuje.

Zerknęła na Maszę, która poszła do łazienki, szybko zebrała trzęsącymi się rękami kosmetyczkę matki, zdjęła wiszący na drzwiach szlafrok. Co jeszcze? Zmiana bielizny? Idąc korytarzem w stronę pokoju matki, zobaczyła, jak Nadia wprawnym ruchem profesjonalistki wstrzykuje matce lek do żyły, powtarzając przy tym:

– Świetnie, zawsze zazdrościłam ci żył, żadnych problemów z trafieniem!

A Natalia patrzyła gdzieś w górę, w sufit. Masza szybko weszła do pokoju, wysunęła szufladę w szafce, chwyciła leżącą na górze bieliznę, wciągnęła zapach perfum matki. Ścisnęło ją za gardło – byle się nie rozbeczeć! Kątem oka zauważyła pustą srebrną ramkę na zdjęcie. Ale nie zatrzymała się, nie obejrzała, przeszła z powrotem na korytarz – matka już stała ubrana przed drzwiami wejściowymi. Nadieżda odebrała od Maszy pakunek z rzeczami i pogłaskała ją po policzku.

– Zabieram mamę na kilka dni. Dasz sobie radę?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Świetnie. Możesz odwiedzić ją jutro z rana. Zadzwoń do ciebie i podam numer sali.

Masza kolejny raz skinęła głową, nie spuszczać wzroku z bladej, nieruchomej twarzy matki. Nadieżda otworzyła drzwi, wzięła przyjaciółkę pod ramię i obie wsiadły do windy. Masza pomachała im na pożegnanie, drzwi windy zamknęły się ze zgrzytem. Powoli cofnęła się do mieszkania, zamknęła drzwi na wszystkie zamki i odwróciła się do lustra w przedpokoju.

Naturalne światło mieszało się ze sztucznym, a ona czuła się jak duch nienależący do żadnego ze światów. Dopiero teraz dotarło do niej, CO powiedziała matka, zanim osunęła się na podłogę – że to jej wina. I wcale jej to nie zdziwiło – mama zawsze miała rację.

Wszystko, co przydarzyło się ich rodzinie, było jej winą. Jej i nikogo innego...

ANDRIEJ

Andriej po raz pierwszy był w Centrum Konsultacji Psychologicznej i mimo paskudnego humoru nie mógł się nie uśmiechnąć. Otaczał go świat takiego psychicznego komfortu, że po prostu, jak mawiała jego babcia: „Jezusie słodki!”. Grała cicha, spokojna, urzekająca muzyka, kojąco działały na nerwy pływające w akwariu rybki, na podłodze leżały miękkie dywany zagłuszające ciche i bez tego kroki personelu medycznego. Przez duże okna świeciło słońce i Andriej zamknął oczy, zapragnąwszy znaleźć się chociażby na chwilę na miejscu którejkolwiek z siedzących tu ze swymi problemami psychologicznymi osób.

Jego własny dylemat psychologiczny polegał dziś na zawieszeniu pomiędzy obowiązkiem a uczuciem. Obowiązek nakazywał mu natychmiast mknąć do Maszy i wyciągnąć od niej i Natalii wszystko o nieżyjącym ojczymie i małżonku. Uczucie natomiast popiskiwało jak jego kundel – daj im dojść do siebie, złapać oddech... A za kulisami tych szlachetnych pobudek skomlało jeszcze cichsze – ona cię znienawidzi i jej matka cię znienawidzi, i nawet jeśli to pomoże znaleźć zabójcę, stracisz Maszę na zawsze, mój biedny prowincjonalny Yoryku.

Żeby uwolnić się od tego wewnętrznego natrętnego dialogu, Andriej chwycił ze stolika w foyer broszurkę i skupił się na czytaniu: „...psycholog pomaga pacjentowi spojrzeć na swój problem z innej strony; przy pomocy naszych specjalistów dowiedzie się o sobie czegoś nowego (Andriej chrząknął – tak, on osobiście bardzo liczy na to, że dowie się czegoś nowego, ale nie o sobie, tylko o jednym ze specjalistów, który leżał przez jakiś czas w drewnianej lalce) ...wyciągniecie inne wnioski z tego, co działo się w waszym życiu, inaczej zrozumiecie problem i wreszcie znajdziecie sposób jego rozwiązania...”.

Nieźle – pomyślał Andriej. Może skorzystam? Odwrócił broszurkę i znalazł cennik: Bielów Jurij Arkadjewicz, jego zdjęcie było na okładce

broszurki (w końcu Jurij Arkadjewicz kierował Psyche), cena za indywidualną konsultację 200 euro. I 250 – za indywidualną konsultację VIP-a. Andriej się skrzywił. Ciekawe, co wchodzi w konsultację VIP-a. Indywidualny masaż dla pełnego relaksu pacjenta? Stracił ochotę na dalszą lekturę broszurki, nie wierzył w konsultacje dla VIP-ów. Poza tym jeśli nawet za takie pieniądze otrzyma „pełne zrozumienie” swojego psychologicznego problemu, to wkrótce staną przed nim inne problemy – finansowe.

Tymczasem do poczekalni weszła wysoka postawna kobieta z ładnie ufarbowanymi na złocisty kolor włosami, zebranymi na karku w kok. Rozejrzała się po zamartwych w oczekiwaniu pacjentach o lekko spiętych (mimo Mozarta i rybek) twarzach, błyskawicznie wyłuskała wzrokiem Andrieja i podeszła do niego niespiesznym krokiem.

– Tatiana Aleksandrowna. – Wyciągnęła do niego pulchną ciepłą dłoń z manikiurem w blad różowym kolorze. – Jestem zastępcą... – Odkaszlnęła, spuszczaając wzrok. – To znaczy byłam zastępczynią Jurija Arkadjewicza. Proszę do gabinetu.

Andriej posłuchał i przeszedł korytarzem do drzwi z tabliczką: „T.A. Krotowa, dr n. psych.”.

Za drzwiami znajdował się przestronny gabinet z przepisową kanapą dla pogubionych w życiu pacjentów i Krotowa miękkim gestem wskazała na nią Andriejowi.

– No cóż. – Uśmiechnęła się smętnie i usiadła przy swoim solidnym biurku. – Rozumiem, że chce pan zadać mi pytania w związku... dotyczące Jurija Arkadjewicza. Ale ja... hm... nie jestem pewna, czy potrafię pomóc. Tutaj wszyscy go bardzo lubili, i koledzy, i pacjenci. Był świetnym specjalistą w swoim fachu i bardzo bolejemy nad tym, co się stało.

Andriej zaczął wiercić się na specjalistycznej kanapie – i jak oni tu się zwierniają, przecież jest niewygodna? Westchnął głęboko. Wątpliwe, by doktor nauk psychologicznych pani Krotowa zwierzyła mu się, co jej leży na sercu – przecież nie siedzi na kanapie. Miał zamiar zacząć od standardowych pytań, ale niespodziewanie dla siebie nagle palnął:

– Proszę powiedzieć, czy pani szef utrzymywał pozamałżeńskie związki w pracy?

Tatiana Aleksandrowna lekko zacisnęła usta.

– Nie, Jurij Arkadjewicz bardzo kochał swoją rodzinę.

Andriej się zmieszał. Dlaczego postanowił zapytać złotowłosą damę o cudzołóstwo? Z powodu rodzinnego zdjęcia w kieszeni? Czy też luki na liście mytarstw? W każdym razie błyskawicznie wrócił do standardowych pytań.

– Od jak dawna zna pani poszkodowanego? Czy miał konflikty z kolegami z pracy? A z pacjentami? Nie zauważyła pani, żeby był ostatnio zdenerwowany? – I tak dalej, według listy.

A Tatiana Aleksandrowna niby nie odpowiadała monosylabami, ale – co znaczy profesjonalistka – nie wskazała mu żadnego punktu zaczepienia, nic, czego mógłby się chwycić.

Zresztą nie bardzo na nią liczył – koniec końców Mytnik nigdy nie zostawiał po sobie śladów. Skąd by się wzięły tym razem? Poczł się nagle bardzo zmęczony. Niepokój o Maszę nie opuszczał go przez cały ten cholerny dzień, pełny bezradności, strachu i krwi. Miał ogromną ochotę usłyszeć jej głos, żeby przywołać wspomnienia poprzedniej nocy. Ale niczego nie potrafił sobie przypomnieć oprócz ostatniego pocałunku koło jej domu tego ranka, a potem były już tylko obrazki w czerwonych barwach krwi. Szybko pożegnał się z Krotową, jeszcze raz ściskając jej zadbaną, delikatnie różową rączkę, i prawie biegiem wy dostał się z tego ogromnego akwarium, gdzie hipnotyzująca muzyka powinna była uciszyć wszystkie te jego lęki.

Na ulicy było już chłodnawo, zmierzchało się, pachniało deszczem i benzyną. Andriej sięgnął do kieszeni džinsów po papierosa, gdy nagle zobaczył przed sobą kościstą rękę wyciągającą do niego pudełko. Obejrzał się. Obok stał przygarbiony chłopak o pociągłej twarzy, na oko dwudziestoośmioletni, w palcie narzuconym prosto na biały kitel.

– Dziękuję – powiedział Andriej, biorąc zaproponowanego papierosa, i pochylił się nad elegancką złotą zapalniczką, zupełnie niepasującą do tego faceta o twarzy Duremara[73]. Chłopak wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Timofiejew, psychiatra i seksuolog tutejszego centrum.

Andriej starannie uściskał dłoń – miał nikłe wyobrażenie o tym, czym

zajmują się seksuolodzy.

– Seksuolodzy – ujrawszy lekki strach w jego oczach, wyjaśnił Timofiejew – to nie to, co ginekolodzy. Albo – uśmiechnął się – urolodzy. Zajmują się tym, co znajduje się powyżej, a nie poniżej pasa. – I spojrzawszy na Andrieja, dodał: – Mam na myśli głowę.

– Mm... – mruknął Andriej, zadowolony z tego, że dzięki zaciąganiu się papierosem może uniknąć śliskiego tematu.

– Jest pan śledczym? – Andriej potwierdził, a seksuolog mówił dalej: – Widziałem, jak wchodził pan do nory naszej żmii.

– Żmii?

– Tak, to czuły przydomek naszej ukochanej Tatiany, nadany jej przez kolegów. – Zatoczył w powietrzu kółko palącym się papierosem i z uczuciem wyrecytował: – „Na imię było jej Tatiana”[74]. I jeszcze nazywa siebie doktorem nauk. To już nie jest śmieszne.

– A w rzeczywistości nie jest doktorem nauk? – Andriej zdziwił się. Krotowa wyglądała mu na osobę posiadającą stopień naukowy.

– Jest, jest – wycofał się Timofiejew. – Może kupiła gdzieś, może tyłkiem zapracowała. Psychologia to nie matematyka, jeśli pan rozumie, o czym mówię! Ale coś panu powiem – przysunął swoją pociągłą twarz do Andrieja – ona nie posiada się z radości, że Arkadjicza[75] już nie ma. Przecież on jako jedyny w tym przytułku rzeczywiście na czymś się znał, a nie tylko naczytał się Junga i Yaloma! Jedyny rzeczywiście troszczył się o pacjentów! Nawet – tu seksuolog krzywo się uśmiechnął – czasami za bardzo.

– Co pan ma na myśli? – ożywił się Andriej.

– Prosta sprawa! Wszystko jasne jak słońce na niebie. On – lekarz, car, bóg, ona – pacjentka znękana własną psychiką. Do tego piękna pacjentka. Chociaż sprawa dość niebezpieczna: etyka lekarska i tak dalej. No, powiedzmy, chrzanić to. Co ważniejsze, pacjentka miała męża. Policjanta. Ale o takim wyglądzie, że ubierz go w skórę i głowę ogol, a masz wykapanego bandziora, jak to u waszych czasami się zdarza, proszę mi wybaczyć. I oczy takie... delikatnie mówiąc, niedobre. Wiadomo, że dla takiego typu zadźgać człowieka to jak dla filantropa przeprowadzić staruszkę przez jezdnę.

Andriej spał się, jeszcze nie wierząc we własny fart.

– Zna pan może nazwisko pacjentki? – zapytał cicho, bojąc się, niczym myśliwy, spłoszyć zdobycz choćby drzeniem własnego głosu.

– Nie znam. – Timofiejew wyrzucił niedopałek. – Ale mogę znaleźć w bazie danych. Ma zwyczajne nazwisko, coś jak Iwanowa, oczywiście po mężu. Ona po prostu nie mogła mieć takiego nazwiska panińskiego. Sprawa sprzed dwóch lat, widziałem, jak po konsultacji wsadził ją do samochodu i pojechali. A potem ona odwołała wszystkie swoje wizyty.

– I dlatego myśli pan, że mieli romans? – z udawanym niedowierzaniem zapytał Andriej, już otwierając przed Timofiejewem drzwi kliniki.

– O! – Seksuolog uniósł długi, lekko zakrzywiony palec. – Żeby pan widział, jak on na nią patrzył. A ona na niego. Proszę mi wierzyć, nie miałyby pan żadnych wątpliwości.

Pacjentka nazywała się Kuzniecowa, adres też był, i Andriej już w gabinecie Timofiejewa wybrał numer jej telefonu. W słuchawce odezwał się stłumiony kobiecy głos:

– Słucham.

– Anna Aleksiejewna? Dzień dobry, niepokoi panią starszy oficer śledczy Jakowlew. Chciałbym porozmawiać z panią o Juriju Arkadjewiczu Bielowie. Możemy teraz się spotkać?

– Oczywiście – powiedziała cicho Kuzniecowa. – Niech pan przyjeżdża. Ma pan adres? Kod do bramy siedemset sześćdziesiąt dziewięć.

– Jadę – szybko rzucił Jakowlew i odłożył słuchawkę, póki kobieta się nie rozmyśliła.

I dopiero wyjeżdżając z parkingu Psyche, zrozumiał, dlaczego po tak krótkiej rozmowie miał poczucie pewnego dyskomfortu, jakby usłyszał coś dziwnego. Anna Kuzniecowa nie wydawała się zdumiona ani wystraszona. Co jest bardzo nietypowe u człowieka, do którego ni z tego, ni z owego dzwoni śledczy z propozycją spotkania.

INNOKIENTIJ

Innokientij odłożył słuchawkę i ciężko opadł na ciemnozieloną skórzaną otomanę na korytarzu. Dzwonił Jakowlew, dzinsowy szef Maszy. Powiedział, że zginął ojczym dziewczyny. Szczegółów nie podał, dzwonił z samochodu i wyraźnie bardzo się spieszył, ale Innokientij był już dostatecznie wprowadzony w sprawę, żeby zrozumieć – Jurij Arkadjewicz został zabity w bardzo nieprzyjemny średniowieczny sposób. Nie zadawał żadnych pytań. Poza tym tak samo jak Jakowlew był przekonany, że śmierć ojczyma Maszy nie jest przypadkowa. Maniak stoi tuż za plecami dziewczyny. I to, że Masza jeszcze żyje, może być albo niedopatrzaniem zabójcy, co jest mało prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę jego sposób działania, albo pokrętną grą. Radosnym uczuciem pełnej kontroli nad wydarzeniami, gdy może odebrać życie dziewczyny wyłącznie z własnej woli i w każdej chwili. Jakowlew poprosił Innokientija, by zabrał Maszę z matką do siebie.

– Na pewien czas – uściślił.

Innokientij usłyszał w jego głosie niepokój i zmęczenie. I jakieś nowe, błagalne tony.

– Oczywiście, że zabiorę zaraz Maszę z Natalią Siergiejewną – szybko zgodził się Kientij i dodał: – Proszę się nie bać, mam mieszkanie jak sejf. Będą tu stosunkowo bezpieczne.

– Otóż to, stosunkowo – posępnie odpowiedział Jakowlew, ale natychmiast dodał z uczuciem: – Dziękuję.

– Nie ma za co – machinalnie odparł Innokientij, ale w głębi serca poczuł jakiś niepokój: kiego diabła ten dzinsowy dziękuje mu za to, że troszczy się o Maszę Karawaj?

On, Innokientij, troszczy się o nią przez ostatnie piętnaście lat i bez próśb ze strony osób trzecich! Ale natychmiast się zreflektował. Maszka rzeczywiście miała szczęście z tym zasępionym bossem. W zasadzie to

porządny chłop i martwi się o nią. Innokientij zszedł na dół do samochodu i ruszył w stronę domu Maszy, nawet nie dzwoniąc wcześniej.

Wzdrygnął się, gdy otworzyła mu drzwi. Wyglądała na chorobliwie wychudzoną, obojczyki sterczały jej w wycięciu szlafroka, łokcie stały się spiczaste, a twarz... Twarz miała zmizerniałą, kości policzkowe zarysowane jeszcze wyraźniej, ciemne kręgi pod oczami, zapadnięte policzki. Włosy zwisały strąkami wzdłuż twarzy, oczy wydawały się bardzo jasne, jakby cały kolor z nich wyparował i została tylko bezbarwna szklana powłoczka. Bez słowa wpuściła go do środka. Poszła przodem, lekko powłócząc nogami, do kuchni, usiadła twarzą do światła. I uśmiechnęła się krzywo.

– Mama w szpitalu – powiedziała. – Miała problemy z sercem. Pewnie już wiesz, co się stało?

Innokientij kiwnął głową i próbował wziąć ją za rękę, ale odsunęła się i zaczęła ze skupieniem odrywać zadziore koło paznokcia. Ta się poddała razem z dużym kawałkiem skóry. Masza nawet się nie skrzywiła, tylko zlizwała krew i jej usta znów rozciągnęły się w pustym uśmiechu.

– Maszo – zaczął miękko. – Nie powinnaś tu zostać. To zbyt niebezpieczne. Można było jeszcze się łudzić, że twoja przyjaciółka zginęła przypadkiem...

– Miała na imię Katia – cicho poprawiła go Masza.

– Wiem. Ale teraz wiadomo, że z Katią to nie był przypadek i twój ojczym znalazł się na liście ofiar też nieprzypadkowo.

– Tak. – Masza zgodnie kiwała głową. – Chodzi o to, że wszystko to moja wina.

– Co za głupoty! Po co siebie...

– Nie, Kientij, nie! Przecież to oczywiste – mówiła szybko, a jej palce gorączkowo zdzierały zadziore przy innym paznokciu. – Mama powiedziała mi to samo!

Innokientij pochwycił jej ręce, ale poczuł, jak poduszeczki jej palców ruszają się w jego dłoniach, próbując się wyrwać.

– Mama tak ci powiedziała?!

– Tak, tak, mama! Gdybym się w tym nie grzebała, nikt by do niczego nie doszedł! Jestem tego pewna! A on może nawet przestałby zabijać, znudziłoby

mu się. A teraz... Teraz to zrobiło się takie fascynujące! Pojawiła się publiczność, ma z kim prowadzić grę, rozumiesz? To tak jak w lesie – przecież nie będziesz jak głupi chować się, kiedy jesteś sam. A jeśli po lesie chodzą dziesiątki niegłupich ludzi i wszyscy krzyczą: „Auuu! Auuu!”? Ja jestem najbliżej. Ze mną jest mu jeszcze zabawniej. I wokół mnie jest dużo grzeszników, to chce mi pokazać. Że jestem ślepa! Idę jego śladem, a tego, co mam pod nosem, nie zauważam!

– Maszo! – Innokientij jeszcze mocniej ścisnął jej dłonie. – Musimy się zbierać. Weź najpotrzebniejsze rzeczy, żebyś mogła pomieszkać u mnie przez kilka dni.

– Po co, Kientij? Mamę już wyprawiłam, a teraz sama mam uciekać? Myślisz, że u ciebie mnie nie znajdzie?

– U mnie jest bezpieczniej – uparcie powtórzył Innokientij, wstał, poszedł do jej pokoju i otworzył szafę.

Masza zatrzymała się w drzwiach z niewyraźnym uśmiechem.

– Kientij – powiedziała miękko – nic nie zrozumiałeś. Nie mnie trzeba chronić, tylko ciebie. Ciebie, mamę... Każdego, kto ma jakiś związek ze mną. Wy wszyscy jesteście teraz w niebezpieczeństwie.

Kientij, nie odwracając głowy, wyciągał i układał w torbie jej dzinsy, jakieś swetry, ulubione czarne podkoszulki. Masza westchnęła. Trochę żywszym głosem, w którym słychać było cień zwykłej ironii, powiedziała:

– Majtki też mi spakujesz?

– A tak, gdzie leżą? – Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

A ona – dzięki Bogu – też się uśmiechnęła. Już bardziej naturalnie.

Wyszli z mieszkania dziesięć minut później ze spakowanymi rzeczami i Innokientij sam zamknął drzwi na cztery spusty.

ANDRIEJ

Andriej doszedł do wniosku, że nigdy jeszcze nie widział tak pięknej kobiety. Nie w dzisiejszym pojmowaniu tego słowa, gdy często jakaś nieproporcjonalność nadaje twarzy pewien *charme*, czyniąc z gwiazdy ekranu uznaną piękność. Nie. Było w niej coś z dziewiętnastowiecznych gracji, coś z Natalii Gonczarowej[76]. Regularność rysów układała się w idealny obraz – delikatny owal twarzy, duże niebieskie oczy, równe ciemnoblonde brwi, cienki nos, gładkie czoło. Czarująca twarz, ale Andriej ze zdziwieniem pomyślał, że go nie poruszyła. Czy chodziło o to, że był zakochany w Maszy? Czy taki ideał po prostu nie budzi żadnych innych pragnień, tylko chęć podziwiania? No nie, sądząc z tego, co mówił Kamyszow na podstawie słów sąsiadki, ojczym Maszy był ogarnięty zupełnie innymi uczuciami.

– Anno Aleksiejewno – zaczął. – Dlaczego nie przyszła pani wczoraj na spotkanie z Jurijem Arkadjewiczem?

Kobieta lekko uniosła brwi – wyraźnie nie miała bogatej mimiki.

– Odwołał je.

– Zadzwoił do pani?

– Tak. To znaczy nie. Zadzwoił jego kolega z uniwersytetu. I powiedział, że Jura... że Jurij Arkadjewicz prowadzi dodatkowe egzaminy czy jakoś tak. I nie może przyjść.

– Czy zdarzało mu się już wcześniej odwoływać wasze spotkania?

Anna zamyśliła się.

– Tak, kilka razy. Ale zawsze robił to osobiście. Nie wiedziałam, że ufa swoim kolegom na tyle, by dawać im numer mojego telefonu i wtajemniczać ich... w tę część swojego życia. Nie spodobało mi się to... Trochę.

– Od jak dawna się spotykaliście?

– Od dwóch lat – odpowiedziała spokojnie, odsuwając z twarzy kosmyk

lśniących włosów, a Andriej nie mógł oderwać od niej wzroku. Piękno to jednak potężna siła. – Byłam jego pacjentką. – Lekko się uśmiechnęła, odsłaniając idealne zęby. – Litował się nade mną.

Andriej nie zdążył zdziwić się taką charakterystyką ich kontaktów, bo, po raz pierwszy patrząc mu prosto w oczy, zapytała:

– Może pan mi wreszcie powie, co mu się stało?

– On... – Andriej odchrząknął – zginął. Został zabity wczoraj wieczorem. Bardzo mi przykro.

Andriej spodziewał się każdej reakcji – od kilku łez do rozpaczliwego łkania. Ale „Gonczarowa” go zadziwiła. Jej twarz, przed chwilą taka piękna i nieruchoma, nagle zaczęła drgać jak w tańcu świętego Wita. Usta wykrzywiły się, powieki drżały, podbródek przesunął się w tył i w przód, brwi poszybowały do góry, idealnie gładkie przed chwilą czoło zmarszczyło się jak ściśnięta harmonia. Wyglądało to tak fantasmagorycznie, że Andriej wystraszył się i zerwał z miejsca, o mało nie przewracając krzesła.

– Lekki... – powiedziała Kuzniecowa obcym, niskim głosem przez zaciśnięte zęby i wskazała ręką na kuchenną szafkę nad stołem obiadowym.

Andriej otworzył drzwiczki i od razu ją zauważył – buteleczka na dolnej półce rzuciła się w oczy. Z groźnym napisem na nalepce: „Tylko na receptę”.

– Trzydzieści kropeł – wychrypiła kobieta, a on zaczął odliczać krople do szklanki stojącej tuż obok. Wydawało mu się, że czas się zatrzymał. Skupił wzrok na kropkach, nabrzmiewających i spadających do szklanki – piętnaście, szesnaście! Tylko się nie pomylić i nie patrzeć na tę straszną twarz!

Wreszcie podał jej lek, podtrzymał, gdy odchyliwszy się na krzesło, piła, dzwoniąc zębami. Andriej wyjrzał przez okno. Mieszkanie Kuznieców znajdowało się w starej dwupiętrowej kamiennicy przy cichym skwerze. Ile takich jeszcze zostało w Moskwie? Musi dużo kosztować – pomyślał nagle. –

Ciekawe, gdzie ona pracuje? Chyba że to po prostu udane małżeństwo z gliną o wyglądzie bandyty?

– Przepraszam – za nim rozległ się spokojny głos. – Tak myślałam. Powinnam była się tego spodziewać.

Andriej odwrócił się do niej i znów zobaczył przed sobą idealną piękność.

– Wszystko to było takie dziwne: i telefon, i to, że Jura odwołał spotkanie

nie sam. Wiedział, że musimy się spotykać przynajmniej raz w tygodniu. Myśli pan – lekko pochyliła głowę – że był tylko moim kochankiem? –

Smutno się uśmiechnęła. – Nie jest to takie proste. Był też moim psychoterapeutą. Ma pan papierosy?

Andriej kiwnął głową i wyjął paczkę z kieszeni. Kuzniecowa zaciągnęła się niezręcznie.

– Rzadko palę. Ale Jura mówił, że po ataku mogę. To uspokaja. Przywiózł mnie do Psyche mój mąż. On nie widział różnicy między psychologami, psychoterapeutami czy psychiatrami. Dla niego wszyscy byli „psychiczni”. Ja też. Więc wszystko w porządku. Miejsce drogie, czyste. Nie to co Kanatczikowa Dacza[77]. Ale Jura... Szybko zrozumiał, że potrzebny mi jest nie psycholog, tylko zupełnie inny lekarz. Bardzo się o mnie bał. Mąż również. – Znów się uśmiechnęła. – A ja bałam się męża. Jura wypisał mi leki, zalecił intensywną terapię. A mąż był zazdrosny – myślał, że chcę chodzić do Psyche tylko po to, by widywać się z Jurą. Zresztą tak właśnie było, ale Jura o tym nie wiedział. Krótko mówiąc, mąż zabronił mi chodzić do centrum psychologicznego, grożąc, że zabije Jurę. Własnej śmierci już się nie bałam. Wtedy Jura zaproponował mi spotkania nie w centrum, tylko w jakimś innym miejscu. Myślę, że na początku nawet nie przypuszczała, jak to się skończy.

– A pani mąż? Niczego się nie domyślał? Przecież on, o ile zrozumiałem...

– Tak, to jeden z waszych, ale nie, nie domyślał się. Złożyłam pozew rozwodowy. Nie chciał się zgodzić. Czuwał przy mnie jak pies stróżujący. Uwaga, zły pies! Wiedziałałam – ściszyła głos – że zabijał ludzi. Zaklinał się, że nie, ale czułam to! Nie mogłam z nim zostać. Zanim w moim życiu pojawił się Jura, chciałam odejść od niego inaczej... Próbowałam ze sobą skończyć. Ale on zawsze zdążył na czas. A gdy spotkałam Jurę, jakby światełko pojawiło się w tunelu. Długim, czarnym tunelu, tak długim jak moje życie. Póki widywaliśmy się choć raz w tygodniu, nie bałam się. Więc w końcu nie wiem, kim był dla mnie bardziej: kochankiem czy lekarzem. Mówił, że potrafię już obejść się bez jego profesjonalnej pomocy. Że już prawie jestem zdrowa, nauczyłam się kontrolować. – Anna zamilkła. – I proszę, pojawiła się okazja, żeby to sprawdzić.

Odwróciła się do okna. Po jej nieskazitelnej twarzy toczyła się kryształowa łza. Carówna Nieśmiejana[78] – pomyślał Andriej.

Odczekał, zanim zadał kolejne, bardzo ważne pytanie:

– Anno Aleksiejewno, czy mogę porozmawiać z pani mężem? Mam na myśli – poprawił się – z pani eksmężem?

– Będzie z tym kłopot. – Na jej twarzy pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiezek.

– Jestem gotów podjechać do niego do pracy i...

– Leży na Wostriakowskim.

Andriej nie od razu zrozumiał, co to znaczy.

– Mąż zginął, to znaczy został zabity w czasie wykonywania obowiązków służbowych półtora roku temu. Nie zdążył się ze mną rozwieść. Zresztą nie miał zamiaru. Nie spotykaliśmy się z Jurą tutaj, ponieważ on mieszkał daleko stąd, poza tym było to nasze wspólne mieszkanie z mężem, a Jura był bardzo zasadniczy.

Andriej milczał. Policjant, zdolny do zabijania. Znał – pośrednio – ojczyzna Maszy. Andriej był bardzo rozczarowany – tak liczył od rana na tę wersję. Podniósł się i pożegnał z gospodynią.

Otwierając mu drzwi, „Gonczarowa” dodała, jakby mówiąc do siebie:

– Obaj tak się o mnie martwili. Ja żyję i jestem prawie zdrowa. A ich już nie ma. Co za bezsens...

MASZA

Masza weszła do mieszkania Innokientija i poczuła ulgę – po raz pierwszy w ciągu długiego dnia. Zachciało jej się wszystkiego naraz: spać, jeść, zadzwonić i usłyszeć głos Andrieja. Ale najpierw musiała jednak coś zjeść.

– Kientij – powiedziała cieniem głosem, zrzucając obuwie. – Masz coś do przekąszenia?

Innokientij postawił torbę i posłał Maszy ironiczne spojrzenie.

– Cieszę się, że mój dom kojarzy ci się z jedzeniem, dziecinko. Idziemy.

W kuchni usiadła na wysokim stołku barowym i okręcała się na nim powoli, podczas gdy Innokientij przeglądał zawartość ogromnej dwukomorowej lodówki. Uwielbiał swoją lodówkę za gabaryty i czule nazywał ją piwniczką. Wyjął z „piwniczki” zapotniały garnek i postawił na kuchence. Potem znalazł koperek i poszatkował go na wielkiej, ciężkiej desce. Włączył piekarnik i wstawił do niego talerz z pierożkami. Gdy zawartość garnka zaczęła się gotować, zdjął go z kuchenki, wyłowił mięso kurczaka i drobno pokroił. Wyciągnął wazę do zupy w drobne kwiatki – holenderską, z manufaktury w Delft, jak sam wyjaśnił, i ostrożnie przelał do niej rosół. Wyjął z szuflady lnianą serwetkę i położył obok Maszy razem ze srebrną ciężką łyżką. Zwykle śmiała się z jego gospodarności, z pragnienia, by wszystkie wydarzenia swego życia – a zwłaszcza związane z żołądkiem – celebrować „jak należy”. Nawet jeśli przy stole siedzi jedna jedyna przyjaciółka z dzieciństwa, której całkiem zwyczajnie burczy w brzuchu. Ale teraz wszystkie te piruety przy stole działały na nią uspokajająco, jak jakiś prastary rytuał. Przecież w świecie, w którym od dziewiętnastego wieku istnieje waza do zupy z Delft, nic złego nie może się zdarzyć.

– A gdzie są srebrne kółka do serwetek? – zażartowała. – Nie jestem ich godna, co?

Innokientij zajęty ostatnim etapem przygotowań – przelewał właśnie wódkę do kryształowej karafki, która natychmiast zapotniała – uśmiechnął

się i dał jej pstryczka w nos. Nalał wódki do maciupieńkich kieliszków z grubego szkła, rosołu do głębokiego talerza, przysunął bliżej talerzyk z pierożkami. Masza głęboko westchnęła, uniosła kieliszek wódki i nie stukając się, wypila. Ugryzła pierożek, wrzuciła do ust dużą szczyptę koperku.

– Kientij – zaczęła i zamilkła.

A on zamarł z łyżką w ręce. Co mu powiedzieć – dziękuję ci za to, że jesteś? Jesteś moim najlepszym przyjacielem i nie wiem, jak bym przeżyła bez ciebie wszystkie te lata? Powiedzieć mu wszystko, co mogła, ale nie zdążyła powiedzieć swojej przyjaciółce Katii? Albo ojczymowi? Ale się przestraszyła – żegna się z nim, czy co? Nie skończywszy zdania, przełknęła pierwszą łyżkę złocistego przezroczyściego rosołu. I dopiero wtedy podniosła na niego wzrok.

– Kto nauczył cię gotować taki świetny rosół?

Przez chwilę wydawało się, że Innokientij czekał na jakieś inne słowa. Ale uśmiechnął się i wytarł usta serwetką.

– Pani Mołochowiec, z domu Burman. – I zacytował: – „Żeby zupa była przezroczysta, trzeba gotować ją na najmniejszym ogniu, zdejmując szumowiny, tak żeby gotowała się tylko z jednej strony, wtedy będzie smaczna i tak przezroczysta, że nie trzeba oczyszczać jej za pomocą białek, wystarczy precedzić przez serwetkę”. Wydanie z tysiąc dziewięćset jedenastego roku.

– Ojejku! – stęknęła Masza, udając przerażenie. – I pomyśleć, że wszystkim twoim kulinarnym umiejętnościom mogę przeciwstawić tylko jajecznicę!

– Ale jaką! – jak zwykle pocieszył ją Kientij.

– Jesteś po prostu lustrem, w którym odbijają się moje wady! – powiedziała, zjadając drugi pierożek. – Powiedz mi, ty mój kuchciku, pierożki również sam piekęś?

– Pierożki są z pierogarni – przyznał ugodowo Innokientij. – A co z tym lustrem?

– O! Dopiero teraz na to wpadłam. Masz tyle zalet, że patrząc na ciebie i automatycznie się porównując, widzę wyłącznie swoje wady. Sam pomyśl:

jesteś przystojny i elegancki, jesteś dobrym gospodarzem, świetnie gotujesz. Każda dziewczyna byłaby szczęśliwa, mogąc dzielić z tobą to pięknie urządzone życie!

Innokentij uśmiechnął się i odwrócił do kuchenki, pytając:

– Chcesz jeszcze czegoś? – Odkaslnął. – Deser, na przykład?

– Nie, Kiesza, dziękuję! – zawołała serdecznie, podeszła do niego i na chwilę przywarła do jego wielkich pleców.

I poczuła, jak jego mięśnie pod cienkim swetrem lekko się napinają. Pewnie kaszmir, modniś nieszczęsny! – pomyślała i odsunęła się.

Innokentij westchnął, odwrócił się do niej i szepnął:

– Maszo, muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Z tonu i wyrazu jego twarzy – jakiego nigdy u niego nie widziała – Masza wywnioskowała, że wszystkie wysiłki włożone przez przyjaciela w wyciągnięcie jej z tego posępnego lasu, w którym błądziła przez ostatnie kilka miesięcy, poszły na marne. Serce jej się ścisnęło i zamarło.

– Usiądź, proszę – powiedział Innokentij i sam usiadł obok, kładąc na stole duże piękne dłonie. – Jest coś, czego o mnie nie wiesz. Myślałem, że to nieistotne. I chyba jest nieistotne.

– Kientij – głucho rzuciła Masza. – Mów wreszcie.

Westchnął, podniósł na nią oczy i spróbował się uśmiechnąć.

– To dotyczy mojej rodziny, Maszo. Nigdy nie pytałaś, ale oni... Moja rodzina pochodzi ze starowierców. Pradziadek finansował budowę cerkwi na Basmannej. Prababka była z gminy starowierców na Uralu. Nie miało to większego znaczenia. Nie jestem zbyt wierzący. Ale mój ojciec... –

Innokentij nie spuszczał oczu ze swoich dłoni. – To dlatego rzadko zapraszałem cię do siebie w dzieciństwie.

Masza patrzyła na niego jak zaczarowana. Setki, a nawet tysiące wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości wypływały jednocześnie na powierzchnię niczym białugi na tarło, powracały w obrazach. Ojciec Innokentija, zawsze z bujną brodą, idealnie pasującą do całego jego „prawdziwie rosyjskiego” wyglądu. Matka wracająca wieczorem z siatkami, a na głowie, mimo wiosny – ciasno zawiązana chusta. Ciemna ikona w kuchni. Zapach starych ksiąg w domu. Na górnych półkach, gdzie nie sięga

dziecięca ręka, ich nadgryzione zębem czasu grzbiety ze złotym tłoczeniem. Obrona dyplomu Innokientija kilka lat temu – gratulacje kierownika katedry: „Pana dyplom to prawie praca doktorska!”. Jak mogła nie domyślić się tego wcześniej! Przecież o jej dyplomie powiedzieli to samo. Miał bzika na punkcie raskolników, cały czas o nich opowiadał – straszne, tajemnicze, czasami nawet zabawne historie – wszystko to musiało mieć swoje korzenie, tak samo jak jej fascynacja maniakami.

Masza wpatrywała się w Innokientija i nie poznawała go. Jakby zrobił się jeszcze większy, ogromny, wypełnił sobą całą przestrzeń kuchni, krył w sobie moce, o których nie miała pojęcia.

– Maszo, nie patrz na mnie, jakbym był opętany przez ciemne siły! To tylko odgałęzienie prawosławia! Nawet jeśli z trudną historią! Nie patrzyłabyś tak na mnie, gdybym się przyznał, że jestem protestantem! Tym bardziej że nie jestem wierzący, przecież wiesz! Jestem tylko historykiem!

Masza przełknęła ślinę.

– Twój pradziadek brał udział w budowie świątyni na Basmannej?

Innokientij przesunął dłonią po twarzy.

– Tak, właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Przychodzili do mnie ludzie. To znaczy... człowiek. Przełożony wspólnoty. Prosił, bym z tobą rozmawiał, żebym cię przekonał, że maniak nie jest z naszych. Póki śledczy nie narobili głupstw, póki nie pojawiły się artykuły w gazetach. Przecież gminy dopiero co zaczęły się odradzać, wracać do ojczyzny ze Stanów i Ameryki Południowej, odbudowywać cerkwie... I wszystko to może zostać zaprzepaszczone przez głupie uprzedzenia, plotki, bezpodstawne gadanie!

– I ty zgodziłeś się... – wyszeptała Masza. – Zgodziłeś... mnie namówić?

Innokientij smutno się uśmiechnął.

– Zgodziłem się spróbować, Maszo. Nic nie obiecałem.

– Przynajmniej tyle dobrego. – Masza lekko skrzywiła usta. – W każdym razie nie jesteś związany obietnicą i nie zmuszę cię do złamania strasznej przysięgi.

– Maszo, proszę cię! – Innokientij pochylił się w jej stronę, ale Masza się odsunęła, a on z nieszczęśliwą miną znów zgarbił się na swoim krześle. –

Mam – zaczął – tylko jeden argument. Historyczny, i może wydać się niepoważny twoim śledczym, ale dla mnie, jak dla każdego starowiercy, stawia on raskolników poza wszelkimi podejrzeniami. To niebiańskie Jeruzalem, do którego jest tak przywiązany nasz maniak, bezpośrednio wiąże się z osobą patriarchy Nikona opętanego ideą drugiej Jerozolimy. Nikon chciał zjednoczyć w patriarchacie moskiewskim wszystkie Cerkwie prawosławne, przede wszystkim grecką i kijowską. Po to zmienił, na przykład, rosyjski znak krzyża dwoma palcami na grecki trzema, dopasowywał księgi liturgiczne do greckich odpowiedników. Wiesz, do czego to doprowadziło. Do rozłamu i pojawienia się starowierców. Dla raskolników Nikon i wszystko, co jest z nim związane, to najstraszniejsza karta ich historii. Dlatego idee, którym służył patriarcha, są dla nich „diabelskie”. Marzył, by stać się kimś podobnym do papieża, i nawet zbudował pod Moskwą na brzegu Istry klasztor Wozniesiński[79] – Nową Jerozolimę. Budowa całego kompleksu Nowej Jerozolimy była dla Nikona próbą upodobnienia Moskwy do Watykanu... I na Boga, nikt z naszych nigdy nie będzie, wybac metaforę, pić z tego zatrutego źródła. – Innokentij rozłożył ręce. – Mógłbym dużo jeszcze powiedzieć, ale...

– Zrozumiałam. – Masza ześliznęła się z wysokiego taboretu. – Ja... muszę pomyśleć. Przepraszam, ale chciałabym się teraz położyć.

– Tak, oczywiście. – Innokentij zakrzętał się. – Jesteś zmęczona. Głupiec ze mnie! Po prostu nie mogłem tego dłużej dusić w sobie. Wybacz mi, masz teraz zupełnie inne problemy! Pościelę ci w gabinecie.

I szybko wyszedł z kuchni, a Masza na chwilę znieruchomiła, ale zmusiła się, by włożyć brudne talerze do zmywarki i wstawić wystygły garnek do lodówki. Innokentij znów stanął w drzwiach. Wyglądał na przygnębionego, ale Maszy wcale nie było go żal. Siebie też nie.

Strasznie chciało jej się spać i gdy Kientij zaprowadził ją do gabinetu i cicho przytknął drzwi, szybko zrzuciła z siebie ubranie, padła w chłodną wyprasowaną i wykrochmaloną pościel i natychmiast zasnęła.

ANDRIEJ

Andriej patrzył na nabrzmiały krwią kark szefa i próbował się wyłączyć. Zwykle w czasie monarszego gniewu bladł i denerwował się. Ale dziś było mu wszystko jedno. Żaden szef nie potrafi zrugać go tak, jak rugał sam siebie, jak sobą pogardzał za „profesjonalną nieprzydatność” w ciągu ostatniej doby. Za Maszą – jego Maszą! – chodzi maniak. A on nie wie o nim nic, co by pomogło zagonić zabójcę z powrotem do jego ciemnej, śmierdzącej nory, z której wylazł. Wstyd pchał Andrieja do przodu, poganiał, gdy zatrzymywał się na chwilę, żeby wrzucić w siebie niewyszukane paliwo w postaci kanapki. Ale cały ten bieg nie miał sensu, jak na bieżni w siłowni, wszystkie ślady prowadziły donikąd, wszyscy podejrzani po kolei odpadali. Policjant leżący na cmentarzu, raskolnicy, wojskowi, których chłopcy z dochodzeniówki przycisnęli wczoraj w sprawie współpracy z Jelnikiem... Zabójstw było zbyt dużo, trzeba by kopać jak krety w dziesiątkach kierunków, mając nadzieję na znalezienie w tym morzu informacji chociażby najmniejszego tropu. Tropu podobnego do cudu.

– ...twoja mać! – Aniutin walnął w stół ogromną pięścią z rozczulającymi dołkami. – Widziałeś to?! – I podsunął Andriejowi pod nos artykuł pod tytułem *Nowy Czikatilo w centrum Moskwy!*

Andriej obojętnie przebiegł wzrokiem tekst i powrócił do swoich myśli. Jeśli nie jest zdolny do złapania przestępcy, to może uda mu się ukryć Maszę? Nie – powiedział do siebie – to nie ma sensu. Jedyne wyjście – trzymać ją przy sobie dwadzieścia cztery godziny na dobę i, być może, w ten sposób uratować.

– Czy ty wiesz – wciąż bulgotał pułkownik – jaki ja ochrzan dostałem z góry?! Jak długo mam karmić ich historyjkami ze Starego Testamentu, co?

– Z Biblii... – odruchowo poprawił szefa.

– Widzę – rzucił groźnie Aniutin – że cała Pietrowka to teraz same spece od świętych tekstów! – I wybuchnął: – A my co, jakimiś dyrdymałkami tu się

zajmujemy?! Czy czekasz może, aż on przerobi wszystkie te, jak im tam, mytarstwa? I przyczai się?! – Znów walnął w stół tak, że pofrunęły wszystkie papiery. Ktoś zapukał do drzwi. – Tak – burknął Aniutin, a Andriej z pracownikiem rzucili się zbierać dokumenty z podłogi.

– Można? – odezwał się dobrze postawiony baryton.

Do gabinetu wszedł Katyszew. Aniutin poczerwieniał już nie tylko na karku, ale i na czole, wyprostował się i uścisnął prokuratorowi rękę. Katyszew skinął głową do Andrieja.

– Właśnie pana szukałem. Chcę wiedzieć, jak posuwa się śledztwo.

Zmęczony Andriej pokręcił głową.

– Wcale się nie posuwa! – odpowiedział za niego Aniutin. – To jakiś duch, no po prostu mistrz maniaków!

– Z maniakami bardzo często tak bywa. – Katyszew usiadł. – Przypomnij sobie, ile osób zabił Czikałiło. – Wskazał głową na artykuł w gazecie. – I ilu przez niego stracono.

– Nie usprawiedliwiaj moich leniuchów! – nabzdyczył się Aniutin, nie patrząc nawet w stronę Andrieja. – Czas leci, zabójstw przybywa, a oni ani na krok nie zbliżyli się do rozwiązania zagadki!

Katyszew spokojnie pokiwał nogą w dość znoszonym, jak zdążył zauważyć Andriej, bucie.

– Przynajmniej twoi chłopcy poznali już uwarunkowania tej zagadki, co nie było proste. – Prokurator smętnie się uśmiechnął. – Czasami sam chodzę po Moskwie jak idiota, nie mając pojęcia, dokąd mnie zanosło. Gdzie się podziało miasto mojego dzieciństwa? Wszystkie te liczne nocne kluby i striptizy, przerażająca bieda obok bentleyów i szampana płynącego strumieniami... Ten wasz maniak, Mytnik, nie podlega żadnym prawom ani ograniczeniom. Kroj sobie – albo co on tam robi? – ćwiartuje tych, do których nie możemy się dostać. Jak do tej gubernatorowej...

Wstał i westchnął ciężko.

– Czasami, Saszo, nachodzi mnie nawet myśl, czy nie dać mu dokończyć tego, co zaczął.

MASZA

Maszę obudził dźwięk zatraskiwanych drzwi wejściowych. Poleżała jeszcze chwilę, nasłuchując ciszy. Widocznie Kientij poszedł na spotkanie ze swoimi klientami albo na bazar, żeby odkupić winę, przygotowując dla niej kolację. Już nie gniewała się na niego – sama nie wierzyła w religijnego fanatyka. Raczej – myślała, ubierając się – cała ta religijna otoczka jest dla niego przykrywką. Idea niebiańskiego Jeruzalem razem z listą mytarstw tworzy pewną spójną teorię. Drogę, którą wiedzie go głos serca. Serce!

Wybrała numer komórki mamy – odezwała się poczta głosowa. Telefonu do jej przyjaciółki nie miała, ale Nadieżda przecież obiecała, że da Natalii coś na uspokojenie, więc prawdopodobnie mama teraz śpi.

Wyszła z pokoju, zajrzała do kuchni, nalała sobie soku z lodówki. Rzeczywiście w mieszkaniu Kientija poczuła się lepiej. Nie będzie myślała o ojczymie, nie będzie myślała o maniakach. Pomyśli o tym jutro, pojutrze, i jeszcze długo przyjdzie jej się nad tym zastanawiać. A dziś... Dziś spróbuje poczytać jakąś książkę z biblioteki Kientija. Ale nie z tych mądrych, wręcz przeciwnie – z czasów ich wspólnego dzieciństwa. Coś z „Biblioteki Przygód”, której grzbiety widziała w jego gabinecie. Waltera Scotta albo Mayne’a Reida. Czy w jej wieku wypada jeszcze czytać coś takiego? Weszła na kanapę i trzymając szklankę z sokiem w jednej ręce, drugą przesuwając po znajomych grzbiętach. Aha. Juliusz Verne. *Tajemnicza wyspa*. Świetnie! Zahaczyła tomik paznokciem i wysunął się prosto w jej nadstawioną dłoń – książki stały luźno. Za książką Juliusza Verne’a widać było ciemne drewno półki i coś białego na jego tle. Koperta? Masza nachmurzyła się. Czyżby Kientij chował w takim miejscu pieniądze? Niepodobne do niego. Ciekawe, co tam może być? Zachwiała się, stojąc na paluszkach, wypila łyk soku i rzuciła książkę na kanapę. Wciąż nachmurzona w ten sam sposób zahaczyła kopertę i ostrożnie wyjęła ją zza książek. Na moment znieruchomiała – zrobiło jej się wstyd. Koperta była dobrze ukryta przed spojrzeniem obcych. Ale ciekawość wzięła górę. A poza tym przed chwilą Innokentij wyjawiał jej

swoją tajemnicę. To naturalne – przekonywała siebie – że chce sprawdzić, czy Kiesza nie ma jeszcze jakichś niespodzianek w zanadrzu. Tylko spojrzysz i już... Otworzyła kopertę.

W kopercie były zdjęcia. Jej zdjęcia. Ale nie ich wspólne z czasów kółka szermierczego w Pałacu Młodzieży. Była na nich wyłącznie Masza, Masza, Masza... Czarno-białe, błyszczące, rozsypały się na jej kolanach, gdy, obejrawszy pierwsze z wierzchu, cicho krzyknęła i upuściła pozostałe. Na zdjęciach rano wychodziła z domu, szła, szeroko się uśmiechając, z jakimś adoratorem z uniwersytetu, piła z matką szampana na premierze w Teatrze Wielkim, siedziała w kawiarni... Była tam też Katia i inni jej przyjaciele. Mało tego! Na podstawie tych zdjęć można było prześledzić całe jej życie: studia, rodzina, przyjaciele, czas wolny. Prześledzić... Innokentij ją śledził! Śledził od dłuższego czasu. Dobrze pamiętała wyjście do Teatru Wielkiego i awanturę z matką, która chciała, by Masza włożyła wydekoltowaną suknię. Działo się to pięć lat temu. Innokentija z nimi nie było. Albo był, ale ona go po prostu nie zauważyła, może chował się za kolumną z obiektywem w rękach? Masza z przerażeniem patrzyła na obrazki ze swojego życia rozsypane wachlarzem dookoła. Po co to robił? Szpiegował ją?

Konwulsyjnie przełknęła ślinę i gwałtownie wstała, z obrzydzeniem strzepując zdjęcia jak jadowite robactwo. Nie, nie chce o niczym wiedzieć. Musi opuścić to mieszkanie. Natychmiast! Nie zwracając uwagi na zdjęcia pod nogami, wybiegła na korytarz, gdzie z białych ścian srogo patrzyli woloocy święci na starych ikonach, i włożyła buty. Boże, jak mogła czuć się tu bezpieczna? W tym mieście nie ma już bezpiecznego dla niej miejsca i wygląda na to, że nie ma też ludzi, którym mogłaby zaufać! Na samą myśl o tym, że musi wrócić do pustego mieszkania, które w takim pośpiechu opuściła dopiero kilka godzin temu, gdzie wszystko przypominało jej o tacie i ojczymie i do którego wchodził – teraz już nie miała wątpliwości – zabójca, zrobiło jej się słabo. Ale lodowatymi rękami popchnęła ciężkie wejściowe drzwi i wyszła na pustą klatkę schodową.

Nagle usłyszała hałas na schodach – miarowe pewne kroki wysokiego człowieka pokonującego dwa stopnie na raz. Masza nerwowo przełknęła ślinę – była przekonana, że to Innokentij, ale jego widok byłby teraz dla niej ponad siły. Cicho weszła pół piętra wyżej i obserwowała przez siatkę szybu windy, jak próbował otworzyć drzwi, które same ustąpiły pod jego naciskiem

i powoli się uchylily.

– Masza? – uslyszala jego zaniepokojony glos.

Drzwi zatrzasnely sie i Masza prawie sfrunela w dol po schodach, na spotkanie z samotnoscia.

ANDRIEJ

Od momentu, gdy wyszedł z gabinetu Aniutina, gdzie szef z Katyszewem rozprawiali o czasach i obyczajach, powtarzał sobie, że nie jest w stanie myśleć i podejmować jakichkolwiek działań, póki nie zobaczy Maszy. Nawet jej numer wybrał dopiero przed samym wyjazdem do niej, bo wiedział, że rozmowa telefoniczna go nie zadowoli, nie uciszy dręczącego niepokoju. Musi przytulić Maszę Karawaj, trzymać w swoich objęciach i nie puszczać.

Póki nie znajdą maniaka albo póki nie skończą się zabójstwa. Trzymać długo, być może całą wieczność. Wieczność w objęciach z Maszą – to nie najgorsza perspektywa. Nie ufał Innokientijowi – nikomu nie mógł jej powierzyć. Choć był spokojniejszy, wiedząc, że nie jest sama, tylko z Kieszą. Gdy usłyszał w słuchawce przytłumione „Jestem w domu”, nie zadawał już żadnych pytań. Jaka różnica, skąd ją zabierze? Muszę tylko pamiętać, by wpaść do supermarketu po drodze – pomyślał, parkując pod bramą domu Maszy. – Na daczynie znów nie ma nic do jedzenia. Ale to później. Jestem już blisko – i razem z nią.

Wchodząc schodami, usłyszał głosy. Jeden męski, mówiący cicho, drugi lekko histeryczny, kobiecy, przytłumiony. Nie mógł na początku rozróżnić słów, ale w miarę jak wchodził na górę, słyszał dialog coraz wyraźniej – rozpoznał głos Innokientija. I już pierwsze zdanie, jakie zrozumiał, spowodowało, że stanął jak wryty.

– Maszo – mówił Innokientij głucho. – Wybacz mi. Co za dzień dzisiaj, że cały czas muszę coś wyznawać i usprawiedliwiać się? O co mnie podejrzewasz? Że jestem śledzącym ciebie latami maniakiem? A jeśli chodzi o coś zupełnie innego? Czyżbyś... – Na chwilę zamilkł. – Czyżbyś nie umiała znaleźć żadnych innych powodów, prócz mojej kandydatury do roli zabójcy, skłaniających mnie... Maszo, czemu nie możesz zrozumieć, że ja cię...

– Okłamywałeś mnie! – przerwała mu Masza i w jej napiętym głosie

zabrzmiała histeria. Andriej nie wytrzymał i rzucił się do przodu. – Tyle przede mną ukrywałeś, że już ci nie ufam, nikomu nie ufam!

Andriej wbiegł na podest i zobaczył opierającego się czołem o drzwi Innokientija, który odwrócił do niego nieobecne, zgnębione spojrzenie.

– Maszo! – zawołał Andriej. – To ja, otwórz drzwi. – I popatrzysz kątem oka na Innokientija, który wzdrygnął się i odsunął, dodał: – Proszę.

Drzwi otwarły się i Masza z zapłakanymi oczami stanęła na progu, pytając:

– Gdzie byłeś? – Zrobiła krok w jego stronę. – Dlaczego tak długo jechałeś?!

Objął ją tak mocno, jak marzył przez cały dzień, czując jej mokry gorący policzek na swojej szyi. Przytulił jej głowę do swego ramienia, schował usta w jedwabistym kosmyku włosów na karku i uspokajał:

– Ććć... cicho, cicho... Wszystko będzie dobrze, zaraz pojedziemy do mnie, nakarmimy psiaka, zjemy, położymy się spać, dobrze się wyśpimy, tak?

A Masza przytulała się do niego jeszcze mocniej i pochlipywała, ale coraz rzadziej i rzadziej, aż jej oddech całkiem się uspokoił. Wtedy obrócił ją twarzą do siebie, popatrzył w zapłakane oczy i wydawało mu się, że nigdy nie były tak intensywnie zielone.

– Weźmiesz coś ze sobą czy tak pojedziemy?

– To by było już trzeci raz w ciągu tego dnia – powiedziała. – Nie. Nie będę się pakować. Tylko wezmę torebkę.

Nie puszczając jego ręki, wymacała w przedpokoju torebkę, wyłączyła, też po omacku, światło i zatrzasnęła drzwi, nie zamykając dodatkowo na klucz.

Dopiero wtedy przypomnieli sobie o Innokientiju i rozejrzeli się zmieszani, ale nigdzie go nie było. Nawet nie zauważyli, kiedy odszedł.

– Idziemy. – Andriej pociągnął Maszę za rękę. – Idziemy. Musimy nakarmić psa.

Mężczyzna lekko i zwinnie przeskoczył przez ogrodzenie parku i wsunąwszy ręce głęboko w kieszenie, szybko poszedł w stronę dziecięcego placu zabaw na podwórku. Samochód stał na miejscu, czarny w gęstniejącym wczesnojesiennym zmroku. Otworzył drzwiczki, usiadł na przetartym siedzeniu i westchnął. Opuścił ze zgrzytem szybę, wyciągnął papierosy i z przyjemnością się zaciągnął. Wraz z dymem papierosa poczuł ostry zapach opadłych liści. Był mniej intensywny niż przed chwilą w parku, ale i tak odczuwalny w szybko ochładzającym się nocnym powietrzu. Widać, że zima już blisko... Wkrótce na drzewach, odzianych jeszcze kolorowymi liśćmi, pozostaną tylko czarne gałęzie, tajemnicze litery na tle bezbarwnego nieba. Ławeczki rankiem będą oszronione – myślał, patrząc na ławeczkę pod bramą – potem spadnie pierwszy śnieg, przez chwilę będzie się zdawało, że jest jaśniej, ale to iluzja, złudzenie optyczne. Przyjdzie zima, katharsis, śmierć bez nadziei na odroczenie. Umrze i ten rok. A ja razem z nim. Ale nie żałuję tego.

Starannie zgasił papierosa, zamknął szybę i ruszył. Przez jakiś czas droga była całkiem pusta, ale nagle zza zakrętu wyleciał z wyciem samochód straży pożarnej, za nim kolejny. Szybko! – burknął mężczyzna. – Pożaru boją się wszyscy. Nawet zaleca się w czasie gwałtu lub napadu krzyczeć „Pożar!” zamiast „Ratunku!”. Kto by zareagował na „Ratunku!”? Mężczyzna przełknął znajomą gorycz w ustach. Wiedział, że gorycz nie minie, choćby nie wiadomo ile przełykał czy zapijał ją alkoholem. Wyjechał już na prospekt Kutuzowski, gdy z ciemności na pobocze wychynęła sylwetka spasionego policjanta z drogówki i pomachała do niego pasiastą pałką. Mężczyzna zachmurzył się – wiedział, że nie naruszył przepisów drogowych, po prostu nigdy ich nie naruszał, ale zatrzymywać się w tym rejonie nie chciał. Zamiast prawa jazdy podał policjantowi swoją legitymację i zobaczył, jak galaretowata twarz szybko tężeje w uroczystym grymasie. Zamknął szybę i skinął ręką na uprzejme „Szerokiej drogi!”.

Poczuł zapach spalenizny. Wleciał, gdy okno było otwarte – wiatr wiał w tę stronę. Tak samo pachniały jego ręce. Tak, i trochę benzyną. Trzeba pamiętać, by wymyć je w roztworze antyseptycznym – w przypadku ekspertyzy to daremny trud, ale do rana zapach powinien się ulotnić, żeby długie nosy w pracy niczego nie wyczuły. Ma jeszcze tyle spraw na głowie. Jedna z nich – co pomyśli Masza Karawaj, gdy się dowie jutro rano. Ale

pomyli się. Będzie ich dwóch. I znów się uśmiechnął – szczerym uśmiechem pracusia, któremu niedużo już zostało do zasłużonego odpoczynku.

A tam, skąd właśnie przyjechał, dalej i wyżej, na górze, w głębi parku Zwycięstwa, paliło się, wesoło potrzaskując, ogromne ognisko, jaskrawy wybuch płomieni na tle nocy, która wydawała się czarna jak węgiel.

Gorzko-słodki dym unosił się na kształt szarego słupa.

MASZA

Obudziła się z zimna. Wczoraj nie chciało im się rozpalać pieca, włączyli tylko grzejnik elektryczny, co było dużym błędem. Przytuliła się do Andrieja na różne sposoby, grzejąc a to lodowatą stopę o jego bok, a to dłonie pod pachą. Przespali całą noc, ułożeni w dziwne puzzle, obejmując się rękami i nogami, ale gdzieś o drugiej Andriej wstał, by wyłączyć grzejnik, obawiając się pożaru, i do rana słabe ciepło ich oddechów, które zebrało się w pokoiku, wywietrzało. Masza musiała zrezygnować z dalszego leżenia w błogim zapomnieniu, czując senny oddech kochanka na swoim policzku i ciepło jego ciała. Pora była wstawać i zastanowić się.

Ostrożnie, by nie obudzić Andrieja, wyprostowała nogi, dotknęła nimi zimnej podłogi i poderwała się z łóżka – brrr! Ale myśl o włączonym w kuchni grzejniku i starym rozpinanym swetrze Andrieja, pożyczonym od niego wczoraj, dodała jej odwagi. Wstała, chwyciła stertę ubrań i wysliznęła się do kuchni, gdzie cierpliwie czekał już pies. Z roztargnieniem patrzył, jak przyjaciółka pana z rekordową szybkością wkłada podkoszulek i dzinsy, potem sweter, a na to rozpinany sweter pana, i mrucząc z zadowolenia, wciąga też należące do pana wełniane skarpetki, schnące koło pieca jeszcze od ubiegłorocznego sezonu narciarskiego.

Potem nowa gospodyni znów zniknęła w pokoju i wróciła już z grzejnikiem, nastawiła czajnik i otworzyła lodówkę. Tu już nie wytrzymał, poderwał się i przywarł bokiem do pani, na wszelki wypadek – żeby nie zapomniała o głodnym psie! I ta – dobra dusza, niezepsuta jeszcze srogością pana – od razu zaproponowała mu parę serdelków. Z powagą popatrzyła, jak połyka oba z charakterystycznym gardłowym dźwiękiem, i dała jeszcze jeden. Spróbował go jeść już z zachowaniem dobrych manier – z szacunku dla damy – a potem potruchtał do drzwi wejściowych. A pani zrozumiała, przekręciła zamek i wypuściła go na zewnątrz.

Patrzyła na psa, który wydeptywał na działce ścieżkę w porannym szarym

szronie, i nie myślała o niczym, po prostu chłoneła mgłę za oknem, ciemną masę krzaków oddzielających ich daczę od sąsiedniej, absolutną ciszę, którą przerywało tylko przytłumione stąpanie psich łap po świeżo opadłych wilgotnych liściach i ruch ciekawskiego mokrego nosa zwierzaka w kruchej od szronu trawie.

Wyrwał ją z zamyślenia czajnik, którego przykrywka pod ciśnieniem pary brzęknęła i z łoskotem potoczyła się po drewnianej podłodze na środek kuchni. Rozległo się skrzywienie łóżka w sąsiednim pokoju. Jednak obudziła Andrieja! Skrzywiła się zawstydzona. Przeszedł obok niej z na wpół zamkniętymi oczami, w samych dzinsach, a ona, rozczulona, nie mogła się powstrzymać, by na chwilę nie przytulić się do niego, jeszcze ciepłego od snu. Ale Andriej, bezskutecznie starając się stłumić ziewnięcie, powiedział coś mało zrozumiałego, że niby musi się umyć, w przeciwnym razie „wstydzi się nawet zbliżyć”. I wkrótce na werandzie zabręczała mocno wyeksploatowana umywalka, połała się woda, rozległo się zuchowate prychnanie... Masza uśmiechnęła się i zaczęła nakrywać do stołu, wyciągając wszystko, co wczoraj przywieźli ze sobą z nocnego supermarketu: jakieś jogurty, ser, wędlinę. Za chwilę wrócił całkiem już obudzony Andriej, pocałował ją w policzek i nalał gorącej wody do kawiarki. W gospodarskim zapale kupili nawet opakowanie kawy „na zapas”. Wreszcie usiedli przy stole. Masza grzała dłonie o filiżankę z kawą. Andriej robił kanapkę z wędliną. Zerknęli na siebie i spieszyli się. Było to ich pierwsze wspólne śniadanie. Andriej odłożył kanapkę i wyciągnął rękę nad stołem. Z uśmiechem ujęła jego dłoń.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział z przekonaniem, jak człowiek, który porządnie się wyspał i jest w świetnym nastroju.

Masza kiwnęła głową i wskazała chleb z wędliną – że niby nie gadaj, tylko jedz. Andriej uśmiechając się – „Czy jestem jak mój pies Raniewska?” – odgryzł solidny kawałek i łyknął kawy z filiżanki.

– Myślę, że... – zaczęła Masza i urwała.

– Tak?

– Myślę, że nie miałam racji co do Innokientija. Po prostu spanikowałam wczoraj. Dzień był taki... okropny. Ojczym... – Ścisnęła mocniej filiżankę z kawą. – Mamę zabrali do szpitala, a tu Kientij opowiada mi o swojej

rodzinie, do tego te zdjęcia... – Uniosła na niego wzrok. – To jakaś bzdura! Znam Kientija jak nikogo innego. Trzeba całkiem zwariować, żeby podejrzewać go o zabójstwo! Jakkolwiek by to banalnie zabrzmiało, on rzeczywiście nie skrzywdziłby nawet muchy. Wierzysz mi?

Andriej skinął głową.

– O tym, że jego rodzina jest inna, wiedziałam od dawna. Nie miało to po prostu znaczenia. No i krępowałam się zapytać wtedy, w dzieciństwie: a dlaczego masz takich dziwnych rodziców? Jestem pewna, że gdybym o to zapytała, to by odpowiedział. Ale nie byłam tego ciekawa, zaprzętały mnie własne problemy, no i w końcu wybrał zły moment na ujawnienie rodzinnych tajemnic. A zdjęcia... – Masza opuściła wzrok i zaczęła kreślić wzorek na starej ceracie.

– Przecież z tymi twoimi zdjęciami wszystko jest jasne! – westchnął Andriej.

– Oczywiście, że jasne – przyznała cicho Masza. – Jasne nawet dla ciebie. Ale ja? Przecież wszystko widziałam, Andrieju. Tylko nie chciałam przyznać się przed samą sobą, wygodniej mi było „mieć przyjaciela”, wykorzystywałam jego uczucie do mnie. Byłam, szczerze mówiąc, kiepską przyjaciółką! Nawet jako przyjaciółka się nie sprawdziłam! – Podniosła na niego nieszczęśliwe spojrzenie.

Speszony Andriej potarł nasadę nosa i zrobił sobie jeszcze jedną kanapkę.

– Maszo, posypywanie na okrągło głowy popiołem nic nie da: wczoraj z powodu matki, dziś Innokientija. Powiedz sobie wreszcie, że w zasadzie nie mogłaś być jego dobrą przyjaciółką! Nie da się być dobrym przyjacielem dla kogoś, kto jest w nas zakochany. Przyjaźń nie daje mu tego, czego oczekuje. I niechący zadajemy mu ból. Ale Innokientij jest już dużym chłopcem. Sam zdecydował, jak będzie się do ciebie odnosił. Mógł już ze sto razy wyznać ci miłość, popatrzeć, jak na to zareagujesz i spróbować cię zdobyć, czy co...

Masza nagle parsknęła.

– „Czy co”? – przedrzeźniła go. – Tak jak ty, „czy co”?

– No. – Andriej przyciągnął ją za rękę na swoje kolana. – Mniej więcej.

Masza poważnie kiwnęła głową.

– Tak, walczyłeś o moje względy długo i wytrwale.

- Ważny jest nie proces, a rezultat... – wyszeptał jej do ucha Andriej.
 - Hm. Gdyby tylko Kientij wiedział, jak łatwo mnie zdobyć...
 - Nie, to nie tak, że jesteś łatwa. Jesteś po prostu wybredna.
- I po tej historycznej wypowiedzi wreszcie Maszę pocałował.

ANDRIEJ

Masza niestety szybko mu się wyśliznęła. Andriej z niepokojem pomyślał o zapachu wędliny z ust, zabijającym nawet najbardziej romantyczne momenty, ale chodziło o co innego.

– Muszę zadzwonić do Kientija i go przeprosić. Jak najszybciej.

Potarła po kociemu policzek o jego ramię i poszła z komórką na werandę.

Andriej pomyślał, że mógłby być zazdrosny o Innokientija – a wcale nie jest, mało tego, jest mu go żal. Czuł się nawet jakby lepszy od niego, co już było śmieszne. Kończył pić kawę, gdy wróciła zaniepokojona Masza.

– Nie odpowiada. Nie odbiera ani komórki, ani stacjonarnego. Gdzie on może być?

– U rodziców? – podsunął Andriej, chowając resztki jedzenia do lodówki.

– Nie... – Zamyślona pokręciła głową. – Nigdy u nich nie nocuje.

– Hej! – Andriej objął ją i popchnął do wyjścia. – Nie zamartwiaj się o niego. I nie zaczynaj go znów podejrzewać. Może śpiewa pod prysznicem i nie słyszy telefonu. A może zalał wczoraj robaka i teraz śpi. Wyłączył telefony.

– Innokientij? Upił się? – zawołała Masza z niedowierzaniem.

– A co, słyszałaś, jak śpiewa pod prysznicem? – dogryzł jej Andriej, gdy już wsiadali do samochodu. – Pewnie arie Verdiego w oryginale, a nie disco jakieś, nie daj Boże!

Masza się roześmiała, ale jakoś smutno, pogrążona we własnych myślach, i Andriej położył jej rękę na kolanie – już nie w romantycznym geście, tylko żeby uspokoić.

– Zaraz zawiozę cię do mamy do kliniki, posiedź u niej, ile będzie trzeba. Potem weź taksówkę i przyjedź na Pietrowkę. Chcę, żebyś cały czas była przy mnie.

– Dobrze – zgodziła się posłusznie, jej kolano lekko drgnęło. – Tylko niepotrzebnie się martwisz, mówiłam ci już...

– Ty mówiłaś, a ja słyszałem: zabójca prześladowuje nie ciebie, tylko twoich bliskich. Tak, słyszałem to wczoraj w supermarkecie. Postawmy problem inaczej: będziesz bronić mnie swoją obecnością, okej?

– Okej! – Masza patrzyła prosto przed siebie na drogę. – Ani na krok od ciebie nie odejdę.

Znów zajechali do sklepu, kupili soki, jakieś ulubione krakersy Natalii, kwiaty i pół godziny później Andriej wysadził Maszę przed kliniką.

Długo patrzył w ślad za nią i miał nadzieję, że dzisiejszy dzień nie przyniesie jej kolejnych zmartwień. Musi odpocząć – pomyślał, wyjeżdżając ze szpitalnego parkingu. – Potrzebuje chwili oddechu, w przeciwnym razie ją też trzeba będzie położyć do szpitala. Nie jest już zdolna do logicznego myślenia, bo zbyt dużo przeżyła. Może Mytnik właśnie na to liczy? Chce ją ogłuszyć bólem, żeby odłączyć rozum? Wygląda na to, że ta chaotyczna krzątanka jednak doprowadziła ich blisko zabójcy. Niech Masza teraz zajmie się matką.

Zaświtał mu w głowie pewien pomysł, który musiał natychmiast sprawdzić.

Nagły telefon przerwał tok jego myśli. Dzwonił Kamyszow.

– Andrieju, chyba mamy kolejnego trupa.

– Zaczekaj! – Andriej gwałtownie skręcił w prawo i zatrzymał się na poboczu, nie zwracając uwagi na wściekłe trąbienie. – Jesteś pewny, że jest z naszej serii?

– Nie jestem, ale na to wygląda. Dziś w nocy w parku Zwycięstwa znaleziono spalone ciało. To znaczy najpierw wezwano strażaków, bo w parku tak się paliło, że widać było z daleka. A potem znaleźli również ciało i obok dokumenty na nazwisko... Zaraz, zaczekaj... – Kamyszow zaszeleścił papierami i powiedział rześkim tonem: – Innokientij Aleksiejew. A ponieważ było to jedyne na twojej liście miejsce poza Bulwarym Kolcem... Andrieju? Czemu milczysz?

– Innokientij? – odchrząknął Andriej.

– A co, znajome nazwisko?

– Tak – potwierdził głucho, zawracając samochód. – To autor listy.

Po półgodzinie dotarł do kliniki. Siedział w wozie, tępo gapiąc się w okno i odsuwając moment, gdy będzie musiał spotkać się z Maszą i przekazać jej straszną wiadomość.

MASZA

Masza ostrożnie postawiła sok na szafce obok łóżka i poszła do pielęgniarki po wazon. Rozmawiała przed chwilą z Nadeżdą Witaljewną. A ta, poważna i skupiona, ubrana w biały kitel, powiedziała jej, że stan matki jest stabilny, prawie nic nie je, dużo śpi, co nie jest niczym dziwnym, jeśli wziąć pod uwagę środki uspokajające, które jej aplikują. Ale nie ma powodu do obaw. Nadeжда po raz pierwszy uśmiechnęła się.

– Masz bardzo twardą matkę, Maszeńko, uwierz mi. Za pomocą leków dajemy odpocząć jej systemowi nerwowemu. Wkrótce poczuje się lepiej, a potem, może zabrzmie to makabrycznie, pogrzeb pozwoli jej zapomnieć o najtrudniejszej rzeczy: o własnych myślach. Więc nie bierz tego na swoje barki, rozumiesz, o czym mówię?

– Rozumiem. – Masza przypomniała sobie, z jaką zawziętością szorowała naczynia w kuchni Katii.

– Zuch dziewczyna! – Nadeжда Witaljewna zmierzwiła jej włosy. – Byłam już u Nataszy rano. A ty nie siedź z nią. Póki śpi, pospaceruj, oderwij się od tego wszystkiego.

– Dobrze – zgodziła się Masza i uśmiechnęła, ale jakoś tak z trudem.

Nadeжда skinęła głową i poszła korytarzem dalej. Dziewczyna odprowadziła ją wzrokiem i po raz kolejny wybrała numer telefonu Innokientija.

Wychodząc z pokoju matki, nagle zauważyła przy stanowisku pielęgniarki znajomą sylwetkę.

– Irina Gieorgijewna? – zawołała i kobieta odwróciła się.

Rzuciło się w oczy, że była chorobliwie wychudzona.

– Maszeńko – uśmiechnęła się do dziewczyny i gwałtownie ją objęła. – Co za nieszczęście! Biedna mama – pochowała Fiodora, a teraz jeszcze Jura! Jak ona się czuje?

– Śpi. Dają jej środki uspokajające i...

– Oczywiście, oczywiście. – Irina Gieorgijewna patrzyła na nią z przechyloną na bok głową i Masza zauważyła nagle, że ma zaczerwienione od płaczu oczy. – A ty? Trzymasz się jakoś?

– Tak. – Masza poczuła napływające do oczu łzy.

– No dobrze już, dobrze. – Irina Gieorgijewna pogłaskała ją po ramieniu. – Nik Nik jest bardzo z ciebie dumny, wiesz o tym? Uważa, że masz intuicję, tak jak Fiodor. Dar, jeśli wolisz...

Masza nie wytrzymała. Zanosła się łkaniem, próbowała coś powiedzieć, wytłumaczyć swoje nagłe łzy, ale kobieta tylko głaskała ją po plecach i szeptała:

– To nic, to nic...

Było coś absurdalnego w tym, że wyplakała się wreszcie nie na ramieniu matki i nie na piersi Innokientija czy Andrieja. Popłakała się przy mało sobie znanej żonie Nik Nika, której nie widziała chyba od dziesięciu lat. W końcu otarła oczy i wydmuchała nos w koronkową chusteczkę, którą podała jej Irina.

– Proszę mi wybaczyć, Irino Gieorgijewno, jestem strasznie zmęczona.

– Naturalnie, naturalnie – powtórzyła żona Nik Nika, chowając chusteczkę do torebki. Masza zauważyła nagle siniec na jej ręku. Irina pospiesznie poprawiła sukienkę. – Muszę już iść, Maszeńko, zobaczyć się z twoją mamą. Odwiedź nas, dobrze?

I ruszyła w głąb korytarza ciężkim, zupełnie niepasującym do jej chudej postaci krokiem.

Masza zaś postanowiła, jak jej radzono, pospacerować i zaczekać, aż matka się obudzi – żeby zobaczyć ją, powiedzieć coś bez znaczenia, pocałować... A potem pojechać wreszcie na Pietrowkę, gdzie ciągnęło ją jak narkomana do działki.

Ale z jej planów nic nie wyszło. Już na ganku kliniki zauważyła zbliżającego się szybkim krokiem Andrieja i jej serce zamarło w złym przeczuciu. Tak złym, że zatrzymała się, nie chcąc zrobić nawet kroku w jego stronę, wręcz przeciwnie, marząc, by szedł do niej jak najdłużej. Jakikolwiek by były wiadomości, które dla niej miał, wiedziała, że zburzą

jej obecny spokój w chwili, gdy tylko Andriej otworzy usta.

– Pokłonna Góra? – zapytała ponownie, gdy opowiedział jej o zwłokach.

– Tak. – Kiwnął głową. – Nawiązanie do miejsca w Jerozolimie, gdzie zgodnie z tradycją pielgrzymi zatrzymują się przed wejściem do Świętego Miasta, żeby się pomodlić, pokłonić i...

– Wiem, co to jest Pokłonna Góra – przerwała mu Masza. – Mytarstwo?

To było już jak apel: hasło – odzew. Miejsce? Numer? Andriej ją zrozumiał.

– Dziewiętnaste. Herezja. Odstępstwo od wiary prawosławnej.

– Kto? – spytała szeptem.

– Maszo, tak mi przykro...

Ale ona nie usłyszała już imienia, zapadając się w dzwoniącą w uszach pustkę zamroczenia.

Zamroczenia, w którym od wczoraj błędziła jej matka.

ANDRIEJ

Andriej ledwo zdążył Maszę chwycić – leżała blada, z uciekającymi w głąb oczami.

– Hej! Na pomoc! – zawołał w stronę kliniki i nie doczekawszy się sanitariuszy, wziął dziewczynę na ręce. Z izby przyjęć już biegli do niego z noszami, a on, płacząc się, mówił, że tu leży już jej matka, podsuwał swoją legitymację. Wyjaśniał, że matka to przyjaciółka Nadieżdy Witaljewny, imię przyjaciółki Natalii nagle wyskoczyło z jego ust niczym piłeczka pingpongowa, choć Masza wymieniła je wczoraj tylko raz, gdy opisywała wydarzenia dnia. Dzięki Bogu, Nadieżda sama już schodziła. Na widok Maszy jęknęła, błyskawicznie chwyciła ją za rękę, uderzyła parę razy po policzkach, zażądała amoniaku. Andriej stał obok, gapiąc się bezmyślnie. Czuł się całkiem bezsilny. Dręczył go wstyd – tak dobrze mu znany.

Masza ocknęła się, zajęczała. Szedł obok noszy, które już wtaczało do wielkiej windy dwóch potężnych chłopów.

– Co się stało? – wyszeptala z trudem, a Nadieżda odpowiedziała:

– Straciłaś przytomność. To naturalne przy twoim wyczerpaniu nerwowym. W pokoju mamy jest drugie łóżko. Poleżysz tam jeden dzień, dojdiesz do siebie.

Andriej przełknął ślinę, ścisnął rękę Maszy i poczuł lekki uścisk jej dłoni.

– Przyjdę po południu – odezwał się do niej zachrypniętym głosem i odkaslnął. – Co ci przywieźć?

– Nic. – Masza przymknęła oczy. – Niczego nie potrzebuję.

– Zginął najlepszy przyjaciel Maszy – powiedział do Nadieżdy, gdy wyszli z pokoju.

– Okropne! – Przerazona zakryła usta dłonią. – Więc to nie jest przypadek?

– Nie. – Andriej pokręcił głową. – To już trzecie zabójstwo w jej

otoczeniu. Myślę... myślę, że czuje się teraz bardzo źle. Będzie siebie obwiniać o śmierć przyjaciela i...

– Ależ to absurd! – oburzyła się Nadieżda Witaljewna.

Andriej żałośnie się uśmiechnął, kiwnął głową i pożegnawszy się szybko, wyszedł z kliniki.



Nie opuszczała go myśl prosta jak drut. Nie dawała mu spokoju od wczorajszego wieczora – potrzebował jednego dnia, by wszystko sprawdzić. Albo przynajmniej pół dnia, jeśli nie będą mu przeszkadzać. Przydzielił zadanie każdemu z grupy śledczej w sprawie Mytnika – kto ma jechać do jednostki wojskowej, w której służyli żołnierze, kto przesłuchiwać świadków pożaru w parku Zwycięstwa, kto węszyć w najbliższym otoczeniu gubernatorowej...

Znalazł mnóstwo innych pilnych, niecierpiących zwłoki spraw, których prawdziwym celem było pozbycie się wszystkich członków grupy dochodzeniowej z oczu, żeby mieć czas do namysłu i nie rozpraszać się niepotrzebnie. Nawet – o zgrozo! – nie odebrał, wchodząc do pokoju, telefonu od Aniutina. Rozejrzał się wokół siebie i z satysfakcją stwierdził, że został sam. Potem zamknął drzwi od wewnątrz, wyciągnął wtyczkę telefonu, jednym zdecydowanym ruchem zrzucił z biurka wszystkie papiery, wizytówki i teczki, których nazbierało się w ciągu miesiący. Odetchnął głęboko i wyciągnął teczki związane ze sprawą Mytnika, przyniesione wczoraj – od pierwszej do ostatniej, z dokumentami związanymi z zabójstwem ojczyzna Maszy, po którym została krwawa miazga. Starannie sprawdzał ofiary. Szukał powiązań zabitych z zabójcą. Jak maniak trafił na swoją pierwszą ofiarę? Może Innokientij miał rację i nie chodzi o konflikt młodego gaduły z tatusiem-diakiem? Może raskolnicy nie mają z tym nic wspólnego? Jacy raskolnicy? Przecież Innokientija spalono jako heretyka, więc wymierzający karę należy do innego obozu...

Może odbywał służbę wojskową? Albo został oskarżony? W jakiś sposób musiał wpaść w oko „zawodowcom”, swoim, z organów, albo wojakom, ponieważ zabójca wyraźnie nie był amatorem, wręcz przeciwnie, był profesjonalistą wysokiej klasy. Dobrosław Owieczkin nie służył

w walecznych siłach zbrojnych, skazano go za drobne chuligaństwo – dostał wyrok w zawieszeniu. Sprawa była rozpatrywana w Moskwie, w sądzie rejonowym. Dalej – Julia Tomilina zeznająca przeciwko swemu byłemu kochankowi; Aleksandr Solanko – podejrzany w sprawie podrzucenia narkotyków bezpośredniemu konkurentowi; pijak Kolan – takich każdy dzielnicowy ma na oku... Andriej rozpiął kołnierzyk koszuli, otworzył okno – a jeśli znów idzie w złym kierunku? Jeśli to nie ścieżka do zabójcy, a kolejna ślepa uliczka, a on tu tylko traci czas, który jest w tym przypadku bardzo cenny? Traci, podczas gdy Masza leży w klinice faszerowana lekami uspokajającymi?

Zmuszał się do zwalczania nerwowego podniecenia, nieokiełznanego pragnienia, żeby dokądś biec, coś robić, nieważne co. Metodyczność. Powściągliwość. Żelazna konsekwencja. Nie patrzeć na zegarek, tylko przeglądać teczki strona po stronie. Ułaskawiony architekt. Złodziej-recydywista. Biorąca ogromne łapówki Turina... Stop! Jelnik. Zabójca wyłowiony w rzece Moskwie. Co powiedział o nim wsiowy głupek Andriusza? Nagle znieruchomiał. Przypomniał sobie gabinet Aniutina, ich pierwszą rozmowę dotyczącą Mytnika. I ostatnią. Wszystko zrozumiał. Zerwał się z miejsca i wybiegł z pokoju. Musi zobaczyć się z Maszą. Ale przed spotkaniem z nią musi pozbyć się resztek wątpliwości. Zszedł do portierni, oddał klucze, podpisał się w dzienniku wejść i wyjść i poprosił o pokazanie zapisów z dnia, w którym został zabity ojczym Maszy. Nazwisko Aniutin – naprzeciwno krótki, po wojskowemu wyraźny podpis. A obok czas oddania kluczy. Kiwnął głową i wybiegł na ulicę. Miał wrażenie, że znów zaczął oddychać. I że teraz może już jechać do Maszy.



Masza leżała odwrócona do ściany. Nie spała, jej matka też. Nie rozmawiały ze sobą. Natalia miała oczy spuchnięte od łez, ale gdy wszedł Andriej i przywitał się, zerknęła na niego tak, że skulił się w sobie. Dotknął ramienia Maszy. Powoli się obróciła i uśmiechnęła, ale bladym uśmiechem, jedynie kącikami ust.

– Są wiadomości? – spytała.

Andriej spojrział kątem oka na jej matkę. Ta bez słowa wstała i wyszła z pokoju.

– Już wiem, Maszo – powiedział, choć gdy tu jechał, nie był jeszcze wcale pewny, czy zechce jej o wszystkim powiedzieć.

– Wiesz?! – Masza gwałtownie poderwała się z poduszek.

– Uspokój się. Nie wolno ci się denerwować! – rzucił, ale od razu pożałował tej oklepanej formułki.

Brwi Maszy zbiegły się w jedną linię, oczy się zwęziły.

– Nie jestem chora, Andrieju. I nie jestem inwalidką. Jeśli dowiedziałeś się, kto to jest, i chcesz zrobić coś beze mnie, ja... Ja nigdy ci tego nie wybaczę. Rozumiesz? Muszę przy tym być, muszę ci pomóc go złapać. Dla Katii i dla Jurija Arkadjewicza, i – w jej oczach błysnęły łzy – i dla Kientija.

– Dobrze. Ubieraj się. Jedziemy za miasto.

– Dokąd? – zapytała Masza, wciągając sweter.

– Jedziemy na daczę do twojego Katyszewa.

Masza się nachmurzyła.

– Skąd wiesz, że on...

– Domyśliłem się. – Andriej uśmiechnął się posępnie.

– Ale... nie wiem dokładnie, gdzie on ma daczę! Byliśmy tam ostatni raz, gdy miałam jakieś dziesięć lat, jeszcze przed śmiercią taty. Pamiętam, że jest tam rzeczka i las, ale ani nazwy stacji, ani nic konkretnego...

– Wieś Narino. Przy Szosie Kałuskiej. Dom numer, zdaje się, dziewiętnaście. Jedyny naprzeciwko lasu, nie zabłądzicie.

Masza i Andriej odwrócili głowy – w drzwiach stała Natalia Siergiejewna, blada jak kolor jej białej koszuli nocnej i równie białego szlafroka frotté.

– Mamo... – niepewnie wykrztusiła Masza.

Ale ona patrzyła prosto w oczy Andriejowi.

– Jedźcie. Jedźcie zaraz, póki się nie ściemniło.



Dość szybko wydostali się z miasta. Masza całą drogę przez Moskwę milczała, ze skupieniem wpatrując się przed siebie.

– Dlaczego? – zapytała wreszcie, gdy samochód rozpędził się na Szosie

Kałuskiej.

– Odkąd zginął twój ojczym i wyczerpały się możliwości dalszych spekulacji na temat Katii, zadawałem sobie to samo pytanie. Dlaczego? Dlaczego właśnie ciebie oplata swoją siecią, dlaczego akurat tobie chce coś udowodnić? Chciał ci zaimponować, czy co? Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?

– Dlatego – powoli zaczęła Masza – że go znam i chyba rozumiem, jak działa?

– Maszo, wszystkie te „znam” i „chyba” są nic niewarte! Metafizyka, intuicja, babskie gadanie! – z rozdrażnieniem przerwał jej Andriej. – Jak mogliśmy tego nie zrozumieć już po śmierci twojego ojczyma! On wiedział, że właśnie ty go rozgryzłaś. Ty, i nikt inny, powiązałaś zabójstwa ze sobą! Odgadłaś jego motywy, połączyłaś miejsce zabójstw z niebiańskim Jeruzalem, znalazłaś *Mytarstwa świętej Teodory*! Ty, Maszo!

– Nie bez pomocy Innokentija – powiedziała cicho.

– Nie umniejszaj swoich zasług! – Uderzył ręką o kierownicę. Złościł się i wiedział, że wcale nie złości się na Maszę.

– Dobrze – zgodziła się. – I co z tego?

– A to, że stałaś się dla zabójcy interesująca!

Masza zbladła, odwróciła się do okna.

– Od dawna już o tym wiem, Andrieju. Jeszcze wczoraj ci mówiłam, że to ja jestem wszystkiemu winna!

– Głupia! – Andriej nie wytrzymał. – Mądra, a taka głupia! Kto wiedział o tym, że jesteś autorką pomysłu powiązania zabójstw z niebiańskim Jeruzalem?!

– Wielu, Andrieju. Nie krzycz, proszę cię.

Andriej głęboko odetchnął, jeszcze mocniej ściskając kierownicę.

– Wybacz. Cholera! Przez cały ten czas mieliśmy rozwiązanie przed nosem, a zachowywaliśmy się jak ślepe kocięta, pochłonięci przemądrzałymi teoriami. Wielu, ale nie do końca, Maszo. – Spojrzał na nią z ukosa. Patrzyła w bok, na umykający rząd dacz z ogródkami. – Przypomnij sobie. Nasza ekipa śledcza nie wiedziała, kto do tego doszedł. Wiedziało, dokładnie, tylko

pięć osób. Ty, ja...

– Innokentij – podchwyciła Masza. – Aniotin i... Nik Nik.

– Tak, Maszo, twój Nik Nik, *Herr* prokurator Katyszew, który od samego początku interesował się sprawą! Katyszew, który w czasie ostatniego spotkania bez ogródek zaproponował Aniotinowi, by dać Mytnikowi możliwość dokończenia tego, co zaczął.

– To wszystko tylko domysły, Andrieju – powiedziała zachrypniętym głosem. – Po prostu miał na myśli, że tamten ma całkowitą swobodę działania, podczas gdy wymiar sprawiedliwości...

– No właśnie, Maszo! Przypomnij sobie o naszym, a właściwie znowu twoim, portrecie psychologicznym! Że zabójca prawdopodobnie pracuje w organach wymiaru sprawiedliwości, że służył w wojsku. Przecież twój Nik Nik służył, tak?

Masza tylko skinęła głową.

– A chęć wymierzania sprawiedliwości własnymi rękami... Przecież to znak rozpoznawczy maniaków misjonarzy! I kto ma to robić, jak nie *Herr* prokurator?

Urwał, wyciągnął papierosa z paczki, otworzył okno. Masza też milczała, ale wiedział, czuł w głębi serca, że zaczyna mu wierzyć.

– I jeszcze coś. Dziś rano przejrzałem stos spraw związanych z Mytnikiem. Jak myślisz, czego szukałem? Próbowałem wybadać powiązania. Jak przestępca poznawał swoich „grzeszników”? Wahałem się jeszcze, kogo podejrzewać: szefa czy Katyszewa. Obaj pasowali. I oto co odkryłem: wszystkie ofiary, w taki czy inny sposób, miały styczność z wymiarem sprawiedliwości, nawet ten mały gaduła z nabrzeża Biersieniewskiego!

Minęli napis „Wieś Narino”.

– Teraz w prawo – głucho rzuciła Masza.

Andriej skinął głową, skręcił i zwolnił.

– A wiesz, kiedy zrozumiałem, że idę dobrym tropem?

Masza w milczeniu patrzyła na wiejską ulicę.

– Przypomniałem sobie, jak jeździłem na wieś do Jelnika. Był tam u niego

chłopak na posyłki, wsiowy głupek. Nie widział zabójcy, tylko jego samochód. Ale powiedział coś, na co zwróciłem uwagę. W dzień zabójstwa Jelnik odesłał go, mówiąc, że przyjechał jego przyjaciel, bardzo ważna osoba, któremu będzie wdzięczny po grób. A kto był oskarżycielem na ostatnim procesie Jelnika? Oskarżycielem, któremu niby nie starczyło dowodów winy?!

Powoli podjechali do ostatnich domków na głównej ulicy. Andriej zatrzymał się i wyłączył silnik. Masza obróciła do niego twarz z uparciem, po dziecięcemu, wysuniętą do przodu brodą.

– Andrieju, i tak w to nie wierzę! Nik Nik był najlepszym przyjacielem mojego ojca, bardzo lubił mamę... – Urwała, gwałtownie otwierając drzwiczki samochodu. Spojrzała na niego. – A jeśli to jednak Aniutin?

Andriej wzruszył ramionami.

– Myślałem o tym. I co nieco sprawdziłem. To nie mógł być Aniutin. Nieznajomy zadzwonił do wynajmowanego mieszkania twojego ojczyma o czwartej po południu. Zwykle o tej godzinie... hm... miał spotkanie. Aniutin był w tym czasie w pracy. I pozostawał tam do ósmej. Nie jest to stuprocentowa pewność, zgadzam się. Dlatego nic nie powiedziałem szefowi o naszych planach. Po pierwsze, możliwy jest przeciek informacji. Po drugie, nie mamy czasu na tak dokładne sprawdzanie szczegółów i alibi.

Szli skrajem lasu, gdzie ziemia była śliska od opadłych liści, a mech ugiął się pod stopami. Andriej wziął Maszę za rękę, żeby się nie przewróciła. Rękę miała bezwładną, ale twarz skupioną, ściągniętą. Intensywnie o czymś myślała i Andriej ucieszył się, wiedząc, że aktywna praca umysłowa odciągnie ją od mrocznych myśli. Nagle stanęła – przed nimi był drewniany płot z łuszczącą się starą farbą.

– To tu... – wyszeptała. – Dacza Nik Nika. Furtka powinna być po prawej.

Ostrożnie obeszlili dom, wszędzie panowała cisza. W ostatnich dniach zrobiło się tak zimno, że letnicy wynieśli się z powrotem do miasta, a miejscowych nie było zbyt wielu. Tylko gdzieś tam, za oddalonymi domami, unosił się dym z komina. Andriej popchnął ramieniem zamkniętą bramkę, ale Masza wcisnęła dłoń między płot a furtkę i odsunęła zasuwę z przeciwnej strony. Odwróciła się do Andrieja wciąż blada i zamyślona.

– Powiedział: „Otwórz. To ja”. Pamiętasz?

– Pamiętam. – Andriej kiwnął głową. – Aniutin nie znał twojego ojczyma, a Nik Nik i owszem. Zabójca zszedł z górnego piętra i zadzwonił do drzwi. A gdy twój ojczym zapytał: „Kto tam?”, zabójca nawet nie musiał wymieniać swojego imienia, bo został natychmiast rozpoznany.

Masza przełknęła ślinę.

– Nie ma ich na dacy. Widziałam dzisiaj żonę Katyszewa. W szpitalu. Przyszła... w odwiedziny do mamy. Miała siniec na rękę. – Potrząsnęła głową. – Wiem, że maniacy stosują przemoc w rodzinie, ale może po prostu się uderzyła? Może to jednak nie on, tylko Aniutin? Chodzi o to – popatrzyła na niego błagalnie – że Nik Nik nigdy nie był religijny. Wiedziałabym o tym!

Andriejowi zrobiło jej się potwornie żal.

– Jeśli chcesz – powiedział – możesz posiedzieć na ganku.

– Nie możemy łamać zasady nienaruszalności mieszkania... – zaczęła Masza, ale Andriej podszedł do drzwi, uniósł rękę, niczym magik wyłowił z rzeźbionego łuku na zadaszaniu ganku klucz i za jednym obrotem otworzył zamek.

Drzwi zaskrzypiały i Masza weszła za Andriejem do domu. Pierwsze, co zobaczyła, to niewielka ikona umieszczona w świętym kącie[81], tak jak to było przyjęte. Masza wzdrygnęła się i spojrzała Andriejowi w oczy. Dzięki Bogu, nic nie powiedział. Im dłużej rozglądała się dookoła, tym silniejsze, wyraźniejsze ogarniały ją wspomnienia z niezatrutego jeszcze śmiercią ojca okresu dzieciństwa. Za tym oto stołem siedzieli wszyscy razem po tradycyjnym jesiennym grzybobraniu i czyścili zdobycz, chwając się nią. A Irina uczyła Maszę nawlekać kawałki borowików na mocną białą nić, żeby potem wieszać je, niczym girlandy na choince, wokół okrągłego, pomalowanego srebrzystą farbą pieca. A na tej werandzie Nik Nik i mama po obiedzie zmywali razem naczynia w misce i mama zaśmiewała się, a tata wyciągał nogi w starym bujanym fotelu i rozmawiał z Iriną, która zawsze miała jakąś robótkę w rękach – a to cerowała, a to robiła na drutach, a czasami z niepokojem nasłuchiwała radosnego śmiechu w kuchni, którego Fiodor, jak się zdawało, nie zauważał. Wspomnienia były tak żywe, że Masza jakby zapomniiała, po co tu właściwie przyszła. Patrzyła na złożone jak harmonia stare łóżka polowe oparte o ścianę na werandzie, przesuwała ręką po łuszczącym się lakierze starego kredensu, w którym stały porcelanowe

figurki Iriny, pewnie po rodzicach – chłopiec z sankami, dziewczynka z łyżwami. Irina mówiła, że jest przywiązana do tych kruchych drobnomieszczańskich bibelotów, nawet jeśli są kiczowate. Mama oczywiście tego nie rozumiała...

Te wspomnienia przerwał głośny hałas. To Andriej przesunął ciężki stół, podniósł wesoły dywanik uszyty z różnokolorowych pasków – pod nim znajdowała się kłapa do piwnicy. Masza skinęła głową. Pamiętała tę piwnicę z dzieciństwa. Pomagała Irinie zanosić tam przetwory z grzybów i konfitury. Zeszli na dół. Piwnica była zaniedbana, pachniała pleśnią. Masza potknęła się o pustą bańkę, która z łoskotem potoczyła się w ciemność. Pstryknął wyłącznik i zapaliło się przyćmione światło zakurzonej żarówki na skręconym przewodzie. Wzdłuż ścian stały półki, wypełnione kiedyś zapasami na zimę, workami ziemniaków i jabłek. Teraz matowiały na nich puste, pokryte kurzem słoiki, które nie stały ciasno obok siebie, przez co ich rzędy przypominały szczęki z wybitymi zębami, a sama piwnica – dawno zamknięty sklepik alchemika albo aptekarza.

– Wydawało mi się... – powiedziała Masza, a jej głos rozbrzmiał dziwnym echem w zaniedbanym i zakurzonym pomieszczeniu. – Byłam przekonana, że piwnica jest większa.

– W dzieciństwie wszystko wydaje się większe – melancholijnie zauważył Andriej.

– Ciekawe, dlaczego żona Nik Nika zarzuciła ogrodnictwo. – Masza przesunęła palcem po zakurzonym słoiku. – Uwielbiała kisić i robić konfitury! Wiesz, że oni nie mają dzieci...

– Ćśś! – uciszył ją Andriej.

Zaczął opukiwać regały, a potem odwrócił się do Maszy.

– Masz rację – tu nie chodzi o dziecięce postrzeganie przestrzeni. Ta piwnica rzeczywiście jest o wiele większa. Pomóż mi.

Razem zaczęli zdejmować słoiki z półek. Gdy regał opustoszał, Andriej lekko popchnął go w jedną i w drugą stronę. I nagle regał ustąpił i skrzypiąc, powoli się przesunął. W otworze ukazała się kolejna część piwnicy. Żarówka oświetlała zaledwie kilka centymetrów kamiennej podłogi.

I nie była ona pokryta kurzem.

MASZA

Andriej powiedział:

– Zaczekaj tutaj.

Posłuchała go. Nic nie chciała widzieć. Tak łaknąca wiedzy, „niczym słońce obracający się do słońca”, jak mawiał ojciec, zrozumiała, że dotarła do pewnej granicy. I ta granica przebiega akurat wzdłuż linii dzielącej niepewne światło i głuchą ciemność piwnicy. Andriej wyciągnął latarkę i poszedł przed siebie, a ona usiadła na przewróconym starym wiadrze i czekała na niego, w zamyśleniu przyglądając się szarym od kurzu palcom.

Nie chciała patrzeć w tamtą stronę, ale jak zahipnotyzowana wracała spojrzeniem do czarnego otworu. Przez jakiś czas promień latarki odbijał się w byle jak pobielonej ścianie, po czym Andriej znalazł wyłącznik i tamtą część piwnicy zalało zupełnie inne, jaskrawe światło. Wydawało jej się teraz, że siedzi w półciemnej strefie, pełnej nieokreślonych cieni i wątpliwości. A tam z ciemności wyłania się, jak za sprawą czarów, wspaniały świat, w którym rządzi bezwzględna prawda. Masza patrzyła, jak Andriej przechadza się po piwnicy. Na ścianie wisiał wielki stary plan Moskwy, obok – plan Jerozolimy, a dalej – współczesny plan stolicy ze starannie wpiętymi czerwonymi chorągiewkami. Masza przełknęła ślinę – sama miała taki, z tak samo zaznaczonymi miejscami. Oko kamery – ciekawe, skąd obserwował swoje ofiary? Ogromna zamrażarka przemysłowa, w której prawdopodobnie z pół roku przeleżał Jelnik, jakieś narzędzia stolarskie. Nagle przypomniała sobie, że matka zawsze stawiała ojcu Nik Nika za wzór, mówiąc, że jest złotą rączką: „A ty, Fiodorze, nawet gwoździa w kuchni nie potrafisz wbić!”. W głębi stała prosta, mocna ława – Masza nie musiała nawet podchodzić, żeby zobaczyć, że cała jest w brunatnych plamach.

– Popatrz tylko – Andriej podszedł do półek i wyciągnął cienką książeczkę – *Mytarstwa świętej Teodory*. – Otworzył zamrażarkę. – Wyłączona, ale rozmiary pasują. – Wyciągnął z niej jakieś akwarium.

– Co to jest? – spytała drżącym głosem Masza, nie wstając ze swojego wiadra.

– Coś w rodzaju inkubatora – Andriej ze zdziwieniem obracał w rękach szklany sześcian – do hodowli...

– Mrówek... – szeptem skończyła za niego Masza i zaproponowała: – Chodźmy stąd!

Andriej obejrzał i odłożył na miejsce bicz z metalowymi zakończeniami.

– Idziemy – zgodził się. – Zobaczyliśmy wystarczająco dużo.

Już podniósł rękę, żeby wyłączyć światło, gdy Masza zawołała:

– Zaczekaj!

Wstała i weszła do środka. Starając się nie patrzeć na boki, szybko podeszła do przeciwległej ściany i jednym ruchem zerwała plan z chorągiewkami – zwinął się w jej rękach w rulon.

– Teraz możemy iść – powiedziała i zaczęła wchodzić po schodach na górę. Ale nie wytrzymała, obejrzała się za siebie – w miejscu potajemnego schronienia znów ziała czarna dziura. To było właśnie tu – powiedziała do siebie. – Niebiańskie Jeruzalem... Tu, w tej ciemnej piwnicy, dla Nik Nika – mojego Nik Nika! – jaśniało niebiańskie światło i śpiewały anioły. Mój Boże!

Szybko pokonując ostatnie stopnie, wybiegła z domu, chwyciła się balustrady na ganku i zwymiotowała. A potem długo siedziała na schodach i zachłannie wdychała gorzkawe mroźne powietrze. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Andriej tulił ją w ramionach, próbując uspokoić.

Gdy wsiedli do samochodu, prawie już się nie trzęsła, tylko w milczeniu patrzyła na plan zwinięty w rulon na jej kolanach. Andriej zadzwonił do ekipy śledczej, wezwał na daczę techników, wyjaśnił, jak dojechać. Drzwi i przejście do piwnicy zostawili otwarte. Poprosił Kamyszowa, by dowiedział się, czy prokurator jest u siebie. W prokuraturze go nie było, komórki też nie odbierał. Masza wybrała numer domowego telefonu Nik Nika. Słuchawkę podniosła Irina.

– Koli nie ma w domu. – Po chwili zapytała: – A jak tam mama?

I Masza musiała przez kilka minut opowiadać jej o swoim i mamy samopoczuciu – nie mogła ani odłożyć słuchawki, ani zadać tej kobiecie

żadnego pytania dotyczącego śledztwa. Grzecznie wysłuchiwała poleceń żony Nik Nika zaniepokojonej jej stanem zdrowia („Musisz dużo odpoczywać, Maszeńko! Spać osiem godzin, pić rumianek i miętę”) i miała wrażenie, że oszalała i cały świat razem z nią. Nawet zmusiła się, by zerknąć w lusterku wstecznym na znikającą w półmroku daczę, za którą, niczym czarna ściana, wyrastał las, żeby przekonać się, że ani świat nie zwariował, ani ona. Szalony jest zupełnie kto inny, choć sam oczywiście tak nie uważa. Pod koniec rozmowy Masza zapytała od niechcienia:

– Irino Gieorgijewno, często pani jeździ na daczę?

Przez chwilę miała wrażenie, że połączenie się zerwało, aż w końcu Irina Gieorgijewna powiedziała smutno:

– Wiesz, wcale tam nie jeździmy. Kola nie ma czasu, a co ja tam sama będę robiła? No i dom, jak mówi Kola, rozpada się, a on nie ma głowy do remontowania. Cały czas sądzi swoich przestępców. – Roześmiała się niedobrym śmiechem. A Masza się wzdrygnęła, tak trafny był jej wniosek. – No, Maszeńko, przekaż mamie pozdrowienia i życzenia szybkiego powrotu do zdrowia – pożegnała się Irina i odłożyła słuchawkę.

– Więc tak – podsumował Andriej. – Nigdzie go nie ma. Jak myślisz, domyśla się, że go namierzaliśmy?

– Nie wiem – cicho odpowiedziała Masza i dodała pewniejszym tonem: – Sądzę, że tak.

Andriej na chwilę odwrócił do niej zmartwioną twarz.

– Jeśli wie, że idziemy jego śladem, może uciec.

Masza pokręciła głową.

– Nie. Jeśli wie, że idziemy jego śladem, spróbuje dokończyć to, co zaczął.

– Jesteś pewna? – Andriej popatrzył na nią z ukosa.

Masza uśmiechnęła się posępnie.

– Jestem. Znam Nik Nika. Jest... bardzo konsekwentny.

BIAŁY GRÓD

Miał jeszcze czas. Wiele razy go wyliczał, bo teraz nie ufał samochodowi

– zawsze można utknąć w korku, schodzić pod ziemię do metra też nie chciał. Chciał po prostu przespacerować się Bulwarynym Kolcem, w końcu zasłużył na ten spacer.

Miał na sobie stary prochowiec z postrzępionymi na brzegach rękawami. Żona już kilka razy cerowała podszewkę, ale z wytartymi miejscami nic nie mogła zrobić. A on go lubił, podobało mu się nawet, że jest wytarty – płaszcz żył razem z nim jego życiem od początku jesieni do nadejścia chłódów, gdy odpowiedniejsze było już palto z flauszu, i od połowy wiosny do wakacji. Zawsze od zimowego mrozu czy skwaru moskiewskiego lata wołał okresy przejściowe. W tych porach roku, z ich delikatnym słońcem i wilgotnym powietrzem, w którym jeszcze bardziej czuło się nutkę benzyny, łatwiej było mu uwierzyć w to, co widział i czuł. Nie, nie mknące samochody, nie szpetne szyldy, nie wulgarne reklamy i nie tłumy ludzi prących z naprzeciwka, nawet niezauważających mężczyzny w starym płaszczu, znoszonych butach, z twarzą zmęczoną życiem.

Sam sobie wydawał się przezroczysty jak to zmienne powietrze w okresach przejściowych i jak zmieniający się miejski pejzaż. Wokół niego wznosiły się mury Białego Grodu, Car-Grodu, przytłaczając swoją białokamienną masą całą tę warstwę naniesionego śmiecia. Białe ceglane mury lekko falowały w delikatnym powietrzu, a nad nimi było już tylko niebo, takie samo jak w 1591 roku, gdy Fiodor Kon skończył budowę, a chan Girej podszedł pod mury twierdzy, ale musiał obejść się smakiem. Mężczyzna chytrze się uśmiechnął, jakby sam siedział pod dachem namiotu i widział w dali cofające się krymskie wojsko.

Już prawie dotarł do swojego przedostatniego przystanku – wejścia do potężnego gmachu w kształcie litery „П[82]”, od strony Bulwarowego Kolca. Poprzeczna ściana budynku wychodziła na Znamienkę.

Pomyślał, że przespaceruje się później również tą ulicą, a w zapadającym zmroku staną przed nim, jakby nigdy nie były zburzone, dwie cerkwie. Jedna – świętego Nikołaja Cudotwórcy Strieleckiego, z trzema niewielkimi kopułami i dzwonnica, w której miejscu „oni” wybudowali kiczowatą kaplicę. I druga – Ikony Matki Boskiej, gdzie teraz jest plac zabaw dla dzieci, niedaleko domu pod numerem dziewiętnaście. Na załatwienie sprawy potrzebuje pół godziny – a potem powoli przespaceruje się w stronę placu Borowickiego i stamtąd na nabrzeże.

Pokazał swoje dokumenty na portierni i od razu dostał przepustkę. GZWM – widniało na niej. Dla tych, którzy nie wiedzą: Główny Zarząd Wojskowo-Medyczny Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej. A w rogu skomplikowany emblemat, któremu z zainteresowaniem przypatrywał się w windzie: tradycyjny wąż wiję się wokół czaszy, a w samej czaszy coś leży. Kindżał? Moździerz? Wokół wieniec z liści dębowych, u góry orzeł, na dole czerwony krzyż – a niech to! Uśmiechnął się – heraldycy pochrzanieni.

Zapukał do drzwi gabinetu. Sekretarza już nie było – i właśnie na to liczył. Wszedł witany potężnym basem gospodarza, który nawet wstał na jego widok. W spojrzeniu było pewne zdziwienie – co sprowadza do niego prokuratora? Ale koniec końców nie unika się spotkań z takimi ludźmi jak on, nawet gdy się doszło do tak przestronnego gabinetu z widokiem na Kreml.

Uścisnęli sobie dłonie. Leontjew, gospodarz gabinetu i szef departamentu, usiadł w skórzanym fotelu przy długim niczym lodowisko, błyszczącym lakierowanym stole i ruchem szerokiej dłoni zaprosił gościa, by zajął miejsce.

– Słyszałem, słyszałem o panu – zagrzmiał i skierował wzrok na mężczyznę w płaszczu. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując źle dopasowaną sztuczną szczękę.

– Będę się streszczał. Wiem, jak cenny jest pański czas, ale jedno małe pytanie – powiedział. – Doszły mnie słuchy o kilku kolejnych samobójstwach na pokaz. Wszystkie ofiary to żołnierze afgańcy[83]. I oto czego się dowiedziałem. – Mężczyzna w płaszczu już się nie uśmiechał, tylko wyszczerzał zęby niczym wilk, a może robił to od początku? – Wszystkim im odmówiono od dawna oczekiwanych wózków inwalidzkich. Anulowano także, według wersji oficjalnej z powodu oszczędności, zniżki na leki dla weteranów.

– Nie całkiem rozumiem, czemu pan się wtrąca w wewnętrzne sprawy ministerstwa. – Leontjew starał się być uprzejmy, ale na jego szerokiej, szczerzej twarzy, która wyraźnie pomogła mu w zrobieniu kariery, widać było z trudem skrywane rozdrażnienie. – Pan wie tak samo dobrze jak ja, o ile zmniejszyły się budżety federalne!

Mężczyzna pokiwał głową, machając jednocześnie nogą w starym bucie, i kontynuował jakby nigdy nic:

– Jednak, o ile mi wiadomo, w tym samym czasie został zakupiony komplet mebli do pana gabinetu. – I czule przesunął palcem po lśniącej powierzchni blatu. – Wiśnia?

Leontjew skinął głową.

– Kosztował ponad pięć milionów rubli. Wszystkie te rzeźbienia, brązy, dobra skóra warte są takich pieniędzy. – Wstał, podszedł całkiem blisko do Leontjewa i życzliwym tonem zapytał: – Tyłek się nie przykleja?

– Jak pan śmie?! – Leontjew powoli podniósł się z obciążonego skórą fotela.

Gdy wstał, widać było, że jest tego samego wzrostu co dziwny prokurator. Nagle usłyszał metaliczny szczęk. Spojrzał z ukosa – z odległości zaledwie kilku centymetrów od skroni patrzyła na niego, bez mrugnienia, czarna źrenica pistoletu. I jeszcze coś. Po raz pierwszy ujrzał z tak bliska oczy mężczyzny w wytartym płaszczu i źrenica pistoletu wydała mu się prawie przyjazna.

– Co pan ro... – zaczął Leontjew, ale mężczyzna kazał naczelnikowi departamentu zamknąć się i zręcznym ruchem doświadczonego magika włożył mu na głowę coś pomiędzy maską a kneblem. Z drugiej kieszeni płaszcza wyciągnął szeroką beżową taśmę klejącą i przymocował Leontjewa do jego kosztownego fotela. Leontjew mógł pewnie w jakimś momencie się wyrwać. Ale ten czarny pistolet... Ten całkowity spokój prokuratora. Jego pozbawione emocji, oszczędne ruchy... Oto podszedł, położył na stole zwykłą dyplomatkę, zaczął tak samo niespiesznie wyciągać z niej jeden po drugim drewniane kołki i starannie układać na stole.

Leontjewowi wydawało się, że wariuje. To, co w tej chwili w tak zwyczajny sposób działo się w jego gabinecie, po prostu nie mieściło mu się w głowie. Po co mu kołki? – pomyślał. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczął rozglądać się dookoła niczym wystraszony ptak i nagle zamarł. Trochę się przesunął, podjeżdżając na fotelu bliżej stołu – nowe meble nie skrzypnęły, wykładzina dywanowa tłumiła dźwięki. Stopą w bucie z miękkiej skóry o długim nosku próbował wymacać przycisk alarmu pod stołem – oprócz zwykłego, do wewnętrznej ochrony budynku, był tam też bezpośrednio połączony z rejonowym komisariatem policji. Jeszcze milimetr, jeszcze... Zaczął jęczeć, żeby odwrócić uwagę prokuratora od swoich

ruchów, i – co za szczęście! – udało mu się wdusić upragniony przycisk.

ANDRIEJ

Dzwonek rozległ się, gdy prawie podjeżdżali do miasta. Kamyszow krzyczał, że rejonowy komisariat policji w centrum dostał właśnie zgłoszenie. Mają tam nowy system – słyszą wszystko, co dzieje się teraz w gabinecie szefa departamentu.

– Jakież brednie! – krzyczał podekscytowany Kamyszow. – Cienki głos, jakby babski, ale nie babski, gada bzdury.

– Gdzie?! – przerwał mu Andriej.

– W Głównym Zarządzie Wojskowo-Medycznym na Znamience – budynek ma też wejście od strony Bulwarnego Kolca...

– Gdzie ekipa?

– Już wyjechaliśmy, Andrieju. Za pięć, maksimum dziesięć minut będziemy na miejscu! O tej porze są cholerne korki!

– Właśnie na to liczył – cicho powiedział Andriej. – Dobrze, róbcie, co możecie.

– Jakież bzdury wygadywał? – spytała Kamyszowa Masza, która uważnie słuchała krzyków z komórki.

– Wysłali mi nagranie na komórkę przez internet! – powiedział Kamyszow dumny z technicznego wyposażenia rodzimej policji. – Zaraz dam posłuchać!

Andriej włączył głośnik w telefonie, najpierw usłyszeli czyjeś jęczenie.

– Założył mu knebel! – wyszeptała Masza.

A potem wysoki i przez to jeszcze bardziej przerażający głos zaczął recytować śpiewnym głosem: „...złe duchy ostatniego, dwudziestego mytarstwa – okrucieństwa i bezwzględności. Okrutni są tu kaci, i ksiązę ich jest srogi, z wyglądu oschły i ponury. Gdyby ktoś dokonywał najbardziej bohaterskich czynów, umartwiał się postami, nieustannie modlił się

i zachowywał czystość cielesną, ale nie miał w sobie miłosierdzia, strącany jest z tego ostatniego mytarstwa w otchłań piekielną i nie otrzymuje przebaczenia na wieki wieków. Skazuję cię, grzeszniku, na strącenie do piekła przez nabicie na pal”.

– Słyszeliście? – w komórce znów rozległ się głos Kamyszowa. – Ciarki po plecach przechodzą, no nie? Dobra, już dojechaliśmy!

– Nie wyłączaj telefonu – powiedział do niego Andriej.

Wymacał pod siedzeniem koguta i nie zwalniając, przyczepił go na dachu samochodu.

Jechali teraz szybciej, ale i tak za wolno, zdecydowanie za wolno, a tymczasem Kamyszow lakonicznie komentował sytuację:

– Dojechaliśmy, szefie. Otaczamy wejście. Wchodzimy do budynku. Rozdzielamy się. My wchodzimy schodami, reszta jedzie windą.

Masza siedziała napięta jak struna. Słysząc było tupot wielu stóp, potem otworzyły się ze skrzypnięciem drzwi wejścia pożarowego, znów rozległ się tupot, cisza, łomot wyważanych drzwi, aż nagle zapadła kompletna cisza.

– Kamyszow! Żyjesz?! – krzyknął Andriej. – Co tam się dzieje?!

– ...twoja mać... – wybuchnął do telefonu Kamyszow. – Jestem, Andrieju. Wszystko w porządku. Ale z facetem...

– Poproś, by go opisał – wyszeptała Masza.

– Eee... – zaczął Kamyszow. – Facet siedzi w fotelu. A fotel stoi na stole, jakby był pomnikiem. Kołki... sterczą gościowi z żeber... Jak jeżozwierz jakiś zakrwawiony, Panie, zmiłuj się!

Nagle w komórce rozległy się wrzaski i krzyk Kamyszowa wypełnił cały samochód:

– On żyje! Kurde, zdejmijcie go, on żyje!!!

Masza i Andriej zamarli. Na drugim końcu słysząc było krzątanie, łoskot spadających krzesel.

– Nie – usłyszeli czyjś nieznajomy głos. – To były konwulsje przedśmiertne. Wezwijcie techników.

Kamyszow znów był przy telefonie.

– Koniec. Zmarł.

– Kamyszow, posłuchaj mnie. – Andriej mówił powoli, rozumiejąc, że biedny Kamyszow jest w szoku. – Zejdź na portiernię. Sprawdź, kto był u zabitego dziś wieczorem – kiedy przyszedł, kiedy wyszedł. – I dodał: – Biegiem!

Poprosił Maszę, by wybrała numer telefonu Aniutina.

– Towarzyszu pułkowniku – drżącym głosem, nie witając się, powiedziała Masza. – Wiemy, kim jest zabójca. To Nikołaj Nikołajewicz Katyszew.

Aniutin ostrożnie kaszlnął.

– Maszo, czy pani, proszę mi wybaczyć, oszalała...? – zaczął, ale Andriej już wyrwał Maszy telefon z ręki.

– Aleksandrze Iwanowiczu, właśnie byliśmy u niego na daczce. Znaleźliśmy wszystko: plany miasta, narzędzia tortur. To bez wątpienia on. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Mamy właśnie kolejnego trupa. Proszę powiadomić wszystkie posterunki drogówki, wysłać specgrupę pod jego adres domowy i na daczę.

– A ty? – tyle tylko zdołał wydusić z siebie Aniutin, a sądząc po jego małomówności, coś takiego było w głosie Andrieja, że uwierzył.

– Zadzwońię później, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział Andriej i rozłączył się.

MASZA

Prawie od razu ponownie usłyszeli Kamyszowa:

– Trzymam w rękach książkę wejść i wyjść. Dziś wieczorem poszkodowany miał trzy spotkania. Zaczniemy od ostatniego – N.N. Katyszew. Przyszedł o godzinie dziewiętnastej piętnaście. Wyszedł o dziewiętnastej czterdzieści pięć.

– Jak wyszedł? Przez portiernię?

– No tak. – Kamyszow jeszcze nic nie pojmował. – Wszystko jak należy: i podpis, i przepustkę oddał.

Andriej zaklął i zerknął z ukosa na Maszę.

– Wracajcie na Pietrowkę – rozkazał i z wściekłością rzucił komórkę na deskę rozdzielczą.

Masza wiedziała, dlaczego jest taki wściekły – nie minęła jeszcze ósma. Byli już całkiem blisko. Zabójcą mógł być każdy z przechodniów podążających wieczornymi ulicami niczym duchy o zmierzchu.

– On już nie pokaże się w domu – powoli powiedziała Masza. – I wątpliwe, by wrócił na daczę. Muszę pomyśleć.

Zaparkowali i Masza rozłożyła na kolanach plan miasta wyniesiony z piwnicy na daczy. Patrzyła na plątaninę centralnych ulic, na chorągiewki porozrzucane tu i ówdzie na zielonym polu. Tak – powiedziała do siebie. – Teraz idziemy od końca. I zaczęła spokojnie, w skupieniu usuwać – jedną po drugiej – chorągiewki z miejsc zbrodni: nabrzeże Biersieniewskie, Leniwka, plac Puszkina, Kołomienskoje. Ostrożnie wyjmowała chorągiewki, wygładzała palcem dziurki po szpilkach. Jakby uwalniała od straszliwej przeszłości, wypuszczała znów na wolność stare nazwy ulic i placów. Zatrzymała się przy chorągiewce na Pokłonnej Górze. Andriej otworzył okno, zapalił, nie spuszczać z niej oczu. Łubianka, ulica Nikolska, Warwarka... Wyciągnęła wszystkie. Prócz jednej – prawie w centrum, gdzie

plan był już podziurawiony innymi chorągiewkami.

Masza przysunęła plan bliżej oczu, przeczytała nazwę i odwróciła do Andrieja bladą twarz.

– Widzisz? – powiedziała. – Wszystko dla nas przygotował...

– W jakim sensie? – Andriej wyrzucił niedopałek i wziął plan.

– Mamy kilka luk w mytarstwach i w zabójstwach. Myślałam, że Nik... że zabójca zabił, a my po prostu je przeoczyliśmy, nie wiedzieliśmy, gdzie szukać... Przepięknie, które dziś popełnił, to naprawdę już dwudzieste, ostatnie mytarstwo. Wygląda na to, że doszedł do końca. I powinniśmy mieć dwie zbędne chorągiewki. Ale mamy jedną, Andrieju.

– I co to znaczy?

– Moim zdaniem – powoli zaczęła Masza – dopuszczał możliwość, że znajdziemy jego kryjówkę. A jeśli tam byliśmy i znaleźliśmy plan miasta, nie będzie już dla niego drogi odwrotu. Zostawia więc na planie tylko jedną zbędną chorągiewkę. Tylko jedną, Andrieju, a nie dwie. W miejscu, które dla nas nie jest jeszcze związane z zabójstwem. Ale... – Masza zamilkła, a po chwili dokończyła głucho: – Ale było na liście sporządzonej przez Kientija.

– Chcesz powiedzieć, że wyznacza nam spotkanie? – niepewnie zapytał Andriej.

Masza skinęła głową.

– Wasiljewski Spusk[84]? – Andriej spochmurniał, czytając malutkie literki, ledwie zauważalne w świetle samochodowej żarówki.

Masza powtórzyła za nim niczym echo:

– Wasiljewski Spusk.

WASILJEWSKI SPUSK

– Siedź w wozie i nie wychylaj się! – rozkazał Andriej, pocałował ją twardymi ustami i wyciągnął ze schowka pistolet.

Zrobiło się całkiem ciemno. Po Wasiljewskim Spusku spacerowali spóźnieni turyści. Masza siedziała cicho w powoli stygnącym samochodzie i okropnie się bała.

Może trzeba było zadzwonić do Aniutina? Dlaczego Andriej poszedł sam? A może po wyjściu z samochodu już do wszystkich zadzwonił i cały Wasiljewski jest otoczony? Dlaczego w takim razie nie wyprowadzają z tej strefy obcokrajowców?

Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Rozglądała się dookoła i mówiła do siebie: No oczywiście! Gdzie mają się spotkać, jak nie tu? Kremłowski mur nigdzie nie wydaje się tak wysoki jak przy rzece. Szerokie zbocze unosi się jak fala, a na jej grzbiecie stoi podświetlony sobór Pokrowski – przypomina wytłaczany piernik. Ulubione przez nowożeńców i turystów miejsce na zdjęcia. Lśniący obrazek, do jakiego można zredukować każde miasto na świecie, nawet najbardziej niepojęte i piękne.

Patrząc na prawie czarne w zapadających ciemnościach mury starej twierdzy, myślała o tym, że historia każdego miasta – każdego punktu na mapie, gdzie przez wiele stuleci żyją obok siebie ludzie – to historia krwawa i okrutna. Człowiek to bezlitosne zwierzę. I gdyby nagle na chodniki starych miast wypłynęła cała przelana na nich kiedyś krew, brodzilibyśmy w niej po kostki, a być może po kolana. I nigdy więcej nie chcielibyśmy zamieszkać w miastach, ponieważ ze wszystkich tylko jedno jest bezgrzeszne, ale nikt tego miasta nie widział. Gród Niebiański. Jeruzalem.

Nagle zadzwoniła komórka i Masza z przerażeniem odkryła, że to telefon Andrieja, zostawił go na desce rozdzielczej. Nie będzie więc mógł wezwać pomocy? Błądzi tam sam w ciemnościach, poszukując zabójcy, który czeka na niego w gęstym cieniu warownego muru?

Masza szybko chwyciła telefon, wysiadła z samochodu i stała, rozglądając się bezradnie dookoła jak pisklę, które wypadło z gniazda. Andrieja nigdzie nie było widać – wokół spieszyli w swoich sprawach przechodnie, a ona miała ochotę nabrać do płuc chłodnego, wilgotnego powietrza znad rzeki Moskwy i krzyknąć: Wynoście się stąd, ratujcie się, kto może!

Odetchnęła nerwowo i zaczęła szukać w książce telefonicznej komórki numeru telefonu Aniutina.

– Maszeńko – nagle usłyszała cichy głos i na krótką chwilę odetchnęła z ulgą.

Już chciała się odwrócić – dzięki Bogu, Nik Nik jest tutaj, on wie, co robić! I nagle zamarła, o wszystkim sobie przypomniawszy. Stał tuż za nią.

Wydawało jej się, że czuje nawet jego oddech – niezbyt świeży oddech starzejącego się człowieka.

– Maszeńko – westchnął, jego głos był bliski i obcy jednocześnie. – Tata byłby z ciebie dumny. Zawsze byłaś mądrą i upartą dziewczynką. Wierzyłem, wierzyłem w to, że kiedyś się spotkamy! – Usłyszała śmiech. –

Ot tak, na końcu mojej drogi. Bardzo bym nie chciał być tu sam. Ale wiedziałem, że mnie znajdziesz! Wiesz, że na początku Fiodor też ufał mi bezgranicznie. Ale tamtego wieczoru zaczął zadawać pytania. Nie zdążyłem jeszcze na nie odpowiedzieć, a on już zrozumiał, że jego podejrzenia nie są bezpodstawne. Przecież dobrze mnie znał, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi! Jak nikt inny wiedział, kiedy kłamię!

Masza zacisnęła zęby i odwróciła się do niego. Nik Nik stał, schowawszy ręce w kieszeniach wytartego płaszcza – pamiętała ten płaszcz, miał z piętnaście lat. Katyszew uśmiechał się swoim smętnym, zmęczonym uśmiechem.

– Ty... – Masza nie mogła dokończyć.

– Tak, Maszeńko, zabiłem go. Oczywiście nie własnymi rękami. Zabili go ci, którzy dali mi łapówkę. Zrozum wreszcie! – Próbował podejść bliżej, ale ona się odsunęła. – To były czasy całkowitego pomieszania wartości i jednocześnie nędzy. Pogubiłem się.

– Tata się nie pogubił! – krzyknęła Masza, czując, jak do oczu cisną jej się łzy, niewypłakane w dzieciństwie.

I uparcie wysunęła do przodu brodę – o czym ona z nim rozmawia? Jakie stare rodzinne sprawy wyjaśnia? Przecież to potwór! Ale inaczej nie mogła. Dwanaście lat czekała na tę rozmowę.

– Tata się nie pogubił. – Nik Nik powtórzył za nią jak echo i skrzywił się. – Fiodor zawsze miał „kamerton moralny”. A ja znalazłem go później, gdy uwierzyłem w Boga. Uspokoilem się, Maszo, stałem się innym człowiekiem.

– Innym człowiekiem?! – zawołała Masza wysokim głosem i jednocześnie, jak w marnych thrillerach, usłyszała:

– Nie ruszać się!

Andriej stał pięć kroków od nich i celował w głowę Katyszewa. Nik Nik zrobił ledwie zauważalny ruch, chwycił Maszę za ramię, gwałtownie obrócił

do siebie. Chłodna lufa pistoletu dotknęła jej skroni.

– Nie bądź taki szybki! – powiedział Katyszew. – Jeszcze nie skończyliśmy, młody człowieku. Odłóż pistolet na ziemię. Na ziemię! – wrzasnął i Masza zobaczyła, jak Andriej powoli odkłada pistolet. – Ręce za głowę! – rozkazał prokurator.

Masza dostrzegła, jak zmienił się jego głos. Było to tym bardziej zadziwiające, że знаła na pamięć wszystkie jego intonacje, ale ta, z nutką hysterii, brzmiała obco. Sparaliżował ją gwałtowny strach.

– No właśnie – kontynuował Katyszew, a Masza czuła, jak podryguje stal na jej skroni. – O czym to mówiliśmy? Zostałem sędzią, nie mogłem... Nie znosiłem zepsutych ludzi, nie mogłem patrzeć na ich bezkarność. Kłamcy! I ci, co udają, że uciekają, i ci, co ich gonią. Tak, nie jestem bez grzechu! Ale przecież sąd ziemski nie może być sprawiedliwy! – Jego głos poszybował jeszcze wyżej, unosząc się i wibrując w krystalicznie zimnym powietrzu. Katyszew oblizał wargi. – Sprawiedliwy jest tylko sąd niebieski. A w każdym z nas żyją anioł i demon! W ich imieniu skazywałem winowajców na szybkie zejście do piekła. Ale – tu dobrodusznie się uśmiechnął, a po ciele Maszy przeszedł dreszcz – byłbym złym sędzią, gdybym nie potrafił osądzić samego siebie... Nie przejdę, Maszo, dziewiątego mytarstwa – nieprawdy, gdzie są dręczeni niesprawiedliwi sędziowie, dla korzyści uniewinniający przestępców i skazujący niewinnych. I moje miejsce jest w piekle. A umrę tu, na Wasiljewskim Spusku, który jest symbolem gehenny piekielnej!

I człowiek, który był najbliższym przyjacielem jej ojca, nagle mocno popchnął Maszę do przodu. Potknęła się i poleciała prosto w ramiona Andrieja. A Katyszew wyciągnął z wytartej kieszeni ampułkę i póki kapitan z wystraszoną twarzą biegł – wolno, zbyt wolno – w jego stronę, rozgryzł kruche szkło zawierające śmierć. I upadł na chodnik w śmiertelnych konwulsjach. Widział pochylające się nad nim twarze, widział Maszę i do ostatniej chwili patrzył, nie odrywając wzroku, w jej jasne, „fiodorowskie” oczy. I nie znalazł w nich nic oprócz bezgranicznego żalu.

A potem zapadła cisza – zamilkły krzyki, warkot samochodów, dźwięki syren, daleka muzyka. Zniknęły zapachy wilgotnego asfaltu, gnijących liści i benzyny. Zniknęły z przeciwległego brzegu dopiero co wybudowane

penthouse'y, zniknęła sama rzeka, wysokie ceglaste wieże Kremla, kamienie chodnika. A razem z nimi odeszły wszystkie nieszczęścia, ułomności i cierpienia. Płacz i ludzkie jęki.

I wydało mu się, że z kryształowego niebytu powoli i uroczyście wyłaniają się wysokie mury lśniące zimnym światłem...

- [1] Kiteż grad – mistyczne miasto znajdujące się według legendy w obwodzie niżnonowogrodzkim na brzegu jeziora Swietłojar (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki, jeżeli nie zaznaczono inaczej).
- [2] Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski, Vis-a-vis/Etiuda, 2010.
- [3] Łobnoje Miasto – w okresie średniowiecza miejsce straceń na placu Czerwonym.
- [4] GUM (ros. Gosudarstwiennyj Uniwiermag) – Państwowy Dom Towarowy.
- [5] Sobór Pokrowski – sobór Opieki Matki Bożej na Fosie (przyp. red.).
- [6] Pietrowka – ulica w centrum Moskwy, gdzie pod numerem 38 mieści się Główny Zarząd MSW Rosji dla miasta Moskwy.
- [7] Bałtyka – marka piwa.
- [8] Faina Raniewska (1896–1984) – znana radziecka aktorka.
- [9] ros. *rukomojnik* – nie chodzi tu o zwykłą umywalkę, tylko o metalowy pojemnik z zaworem, wykorzystywany w domach, gdzie nie ma bieżącej wody.
- [10] Mister Twister – tytułowa postać wierszowanej książki dla dzieci Samuela Marszaka o bogatym Amerykaninie, który wraz z rodziną przybywa do ZSRR i dowiaduje się, że to kraj ludzi szczęśliwych i pracujących, a czarni nie są służącymi. W polskim przekładzie Janusza Minkiewicza książka zaczyna się od słów: „Mister Twister, były minister, fabrykant guzików, właściciel dzienników i hut...” (przyp. red.).
- [11] MGU (ros. Moskowskij Gosudarstwiennyj Uniwiersitiet) – Moskiewski Uniwersytet Państwowy im. M.W. Łomonosowa.
- [12] Natalia Biechtieriewa (1924–2008) – rosyjska neurofizjolog, profesor, członek Akademii Nauk.
- [13] Kołomienskoje – zespół pałacowy na obrzeżach Moskwy, dawna rezydencja rosyjskich carów.
- [14] Muzeum Puszkina – Muzeum Sztuk Pięknych im. A.S. Puszkina

z bogatą kolekcją zbiorów malarstwa europejskiego.

- [15] Nadieżda Konstantinowna Krupska (1869–1939) – żona i towarzyszka Lenina.
- [16] Kutafja – barbakan stanowiący część fortyfikacji moskiewskiego Kremla.
- [17] Jewgienij Pietrosian – rosyjski artysta estradowy i kabaretowy, autor i wykonawca skeczy.
- [18] Kolan – familiarne od: Kola, Nikołaj.
- [19] Rublowka – nieoficjalna nazwa osiedla willowego pod Moskwą zamieszkanego przez urzędników państwowych wysokiego szczebla i bogatych Rosjan.
- [20] Plan Zygmunta – dokładny plan Moskwy (rycina w wykonaniu Luki Kiliana) w obrębie Sadowego Kolca został sporządzony przez Joannę Abelina w 1610 r. na rozkaz polskiego króla Zygmunta III, stąd jego nazwa. Komentarze do planu należą do Sigismunda Herbersteina (1486–1566), austriackiego barona, polityka, historyka i dyplomaty, autora bardzo popularnej w tamtych czasach w Europie książki w języku łacińskim *Zapiski o Moskwie* (1549).
- [21] Apokalipsa św. Jana, 21, 2 [wszystkie cytaty za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych (Biblia Tysiąclecia)*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1990, wydanie trzecie poprawione].
- [22] Biełooziero – obecnie Biełoziersk.
- [23] Cerkiew Pokrowa na Nerli – cerkiew Opieki Matki Bożej na Nerli.
- [24] Chodzi o szczegółowy plan Kremla.
- [25] Blaeu – rodzina holenderskich kartografów i wydawców (XVI–XVII w.).
- [26] Apokalipsa św. Jana, 21,12–13.
- [27] Skorodom (ros. Dieriewiannyj Gorod) – nazwa umocnień w Moskwie w XVI–XVII w.
- [28] Biały Gród – historyczna dzielnica Moskwy otoczona białymi murami obronnymi.

- [29] Apokalipsa św. Jana, 21,16.
- [30] Tamże, 21,17.
- [31] Doktor Ojboli – postać z wierszowanej bajki *Limpopo* Kornieja Czukowskiego, przeł. W. Broniewski.
- [32] Sadowoje Kolco – obwodnica dookoła centrum Moskwy.
- [33] Kitaj-gorod – historyczna dzielnica Moskwy, blisko Kremla.
- [34] Monastyr Kriestowozdwiżenski – monastyr Podwyższenia Krzyża Pańskiego (przyp. red.).
- [35] Monastyr Roźdiestwienski – monastyr Narodzenia Pańskiego (przyp. red.).
- [36] „MK” – gazeta „Moskowskij Komsomolec”.
- [37] Sobór Pokrowa Prieswiatoj Bogorodicy, czto na Rwu – sobór pod wezwaniem Opieki Matki Bożej na Fosie, potocznie Sobór Wasyla Błogosławionego (przyp. red.).
- [38] Apokalipsa św. Jana, 22,1–2.
- [39] Cerkiew Wozniesienija Gospodnia – cerkiew Wniebowstąpienia Pańskiego (przyp. red.).
- [40] *Ułożenie soborowe* (ros. *Sobornoje ułożenije*) – zbiór praw Carstwa Rosyjskiego przyjęty w 1649 r. i obowiązujący prawie 200 lat.
- [41] Niegrustin – od ros. *nie grusti* – nie smuć się.
- [42] Pofigin – od ros. *po figa* (potocz.) – po co?
- [43] Nachrenin – od ros. *na chrena* (potocz.) – po kiego diabła?
- [44] Piter (potocz.) – Sankt Petersburg.
- [45] Ostapa już poniosło – te słowa o Wielkim Kombinatorze, głównej postaci powieści satyrycznych Ilji Ilfa i Eugeniusza Pietrowa *Dwanaście krzesel* (1928) oraz *Złote ciele* (1931), stały się w języku rosyjskim frazeologizmem oznaczającym, że ktoś się zagalopował (polski przekład Jan Brzechwa i Tadeusz Żeromski).
- [46] Miriskustnicy (ros.) – malarze skupieni w stowarzyszeniu Mir Iskusstwa (Świat Sztuki), które działało od lat 90. XIX w. do 1924 r. Miriskustnicy stosowali w malarstwie nowe treści i formy, uprawiali

„sztukę dla sztuki”, ich wiodącą ideą estetyczną był modernizm, należeli do tzw. Srebrnego Wieku w rosyjskiej kulturze skupiającego symbolistów (m.in. takich, jak Rozanow, Miereżkowski, Benua, Błok, Balmont, Pasternak, Bięły, Achmatowa, Cwietajewa i in.), którzy występowali przeciwko oficjalnemu akademizmowi i skostniałemu realizmowi.

- [47] Pieriedwiznicy (z ros. pieriedwigat'sia – przemieszczać się) – grupa rosyjskich malarzy skupionych w Towarzystwie Objazdowych Wystaw Artystycznych założonym w 1870 r. w Petersburgu. Pieriedwiznicy uprawiali sztukę realistyczną, propagowali rodzimą tematykę rodzajową, pejzaż i portret, ukazywali ciężki los ludu.
- [48] Savile Row – ulica w Londynie (w Mayfair), gdzie mieszczą się najlepsze salony krawieckie.
- [49] Tretiakowka – Muzeum Sztuk Pięknych w Moskwie z największymi zbiorami rosyjskiego malarstwa.
- [50] Wostriakowski – cmentarz w południowo-zachodniej części Moskwy (przyp. red.).
- [51] Chodzi o miasto Puszkino, 30 km od Moskwy.
- [52] Warwarka (ulica Warwarska) – jedna z najstarszych ulic w ścisłym centrum Moskwy, odchodząca od placu Czerwonego; nazwa pochodzi od stojącej przy niej cerkwi św. Barbary (ros. Warwara).
- [53] Łubianski Projezd – ulica w centrum Moskwy.
- [54] Muslim Magomajew (1942–2008) – radziecki i rosyjski śpiewak operowy i estradowy.
- [55] Dmitrij Malikow (ur. 1970) – rosyjski piosenkarz, kompozytor, producent płyt i aktor filmowy (przyp. red.).
- [56] Nowodiewiczy (ros. Nowodiewiczij) – cmentarz w starej części Moskwy, są tu groby wybitnych osobistości, m.in. N. Gogola, M. Bułhakowa, D. Szostakowicza, N. Chruszczowa, B. Jelcyna i in.
- [57] Leninowskie Wzgórza, obecnie Worobjowyje Gory (Worobjowe Wzgórza) na południu Moskwy, moskwianie jednak z przyzwyczajenia nadal używają starej nazwy.
- [58] Chodzi o wojnę 1812 r. z Napoleonem.

- [59] Żelazny Feliks – Feliks Dzierżyński.
- [60] Fiodor Nikiforowicz Plewako (1842–1908) – rosyjski adwokat, obrońca w wielu głośnych procesach politycznych.
- [61] GUWD (ros. Głównoje Uprawlenije Wnutriennich Dieł) – tutaj: Główny Zarząd MSW Rosji dla miasta Moskwy.
- [62] W oryginale *mytarstwomat*’, od *mytarstwo* – cierpienie, męka, wspólny źródłosłów – *mytar* – mytnik, celnik. Zob. także mytarstwa powietrzne w teologii prawosławnej – jest ich 20 i symbolizują przeszkody (grzechy), które musi pokonać każda dusza chrześcijańska na drodze do tronu Pańskiego, gdzie podlega osądowi.
- [63] *Knyha pro wiru jedynu* – traktat teologiczny Zachariasza Kopysteńskiego znany w Rosji jako *Księga o wierze* (1619–1621).
- [64] Zachariasz Kopysteński (II poł. XVI w.–1627) – urodzony w Przemyślu pisarz, działacz kulturalny i kościelny, archimandryta Ławry Kijowsko-Pieczerskiej; pisał pod pseudonimem Azariasz.
- [65] *Czasosłow* – księga liturgiczna z XVII w.
- [66] Jat’ (Ѣ) – litera rosyjskiego alfabetu usunięta po rewolucji październikowej. Tak naprawdę nie spełniała żadnej funkcji i była utrapieniem dla gimnazjalistów.
- [67] ros. Miasnickije Worota – plac w centrum Moskwy, nie mylić z ulicą Miasnicką.
- [68] Triada MacDonalda (od nazwiska autora teorii Johna MacDonalda) – zestaw zachowań występujących w młodości u seryjnych morderców.
- [69] ros. Bulwarnoje Kolco – obwodnica ścisłego centrum Moskwy zbudowana na miejscu rozebranych murów i wież Białego Grodu.
- [70] Łapszennik – zapiekanka z makaronu.
- [71] Starowiercy robią znak krzyża dwoma palcami.
- [72] Chruszczowka – potoczna nazwa budynków mieszkalnych z wielkiej płyty lub cegły, masowo wznoszonych w ZSRR w latach 1960–1980 ub. wieku, pochodząca od nazwiska N.S. Chruszczowa, I sekretarza KPZR, za którego czasów rozpoczęto ich budowę.
- [73] Duremar – sprzedawca pijawek, jedna z postaci książki dla dzieci

Aleksego Tołstoja pt. *Złoty klucz*, czyli niezwykle przygody pajacyka *Buratin*, wzorowanej na książce Carla Collodiego *Pinokio*. Bajkę o Buratinie przetłumaczył na j. polski Julian Tuwim.

- [74] Aleksander Puszkina, *Eugeniusz Oniegin*, przeł. Adam Ważyk, Wrocław 1970, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, wyd. II, s. 53.
- [75] Arkadycz – familiarny skrót od: Arkadjewicz.
- [76] Natalia Gonczarowa – żona Aleksandra Puszkina, jedna z najpiękniejszych kobiet epoki.
- [77] Kanatczikowa Dacza – szpital psychiatryczny w Moskwie.
- [78] Carówna Nieśmiejana – bohaterka rosyjskiej baśni ludowej, która nigdy się nie uśmiechała.
- [79] Klasztor Wozniesiński – monastyr Wniebowstąpienia Pańskiego, zburzony w 1929 r. (przyp. red.).
- [80] Pokłonna Góra – wzniesienie w zachodniej części Moskwy, w znacznym stopniu splantowane w latach 80. XX wieku, obecnie stanowi część parku Zwycięstwa. Nazwa pochodzi z czasów, gdy góra znajdowała się daleko poza granicami miasta i podróżni zatrzymywali się tam, by spojrzeć na Moskwę i pokłonić się jej cerkwiom.
- [81] Święty ką (ros. *swiatoj ugoł* albo *krasnyj ugoł*, czyli piękny ką) – najważniejsze, honorowe miejsce w chacie, po wschodniej stronie, na które kierował się wzrok wchodzących; uznawane za uświęcone. Właśnie tam umieszczano ikony.
- [82] „П” – rosyjska litera „P”.
- [83] Żołnierz afganiec (ros. *woin-afganiec*) – tak Rosjanie określają żołnierzy, którzy walczyli w Afganistanie w latach 1979–1989.
- [84] Wasiljewski Spusk – plac w centrum Moskwy rozciągający się wzdłuż murów Kremla od placu Czerwonego do nabrzeża Kremłowskiego rzeki Moskwy.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz